

SARAH HILARY

SMAK STRACHU

Książka laureatki prestiżowej nagrody Theakston's Crime Novel of the Year

Mroczna, pasjonująca i przejmująca książka. Tak się powinno pisać kryminały. Sarah Hilary szturmem zdobywa gatunek.

Wojciech Chmielarz

SMAK STRACHU

SARAH HILARY

SMAK STRACHU

Przekład
Agnieszka Brodzik



Wyjątkowe postaci i wielopoziomowa fabuła. Wnikliwe studium zranionej duszy. Sarah Hilary coraz mroczniejsza

Katarzyna Puzyńska

Sarah Hilary kolejny raz nie odpuszcza czytelnikowi. „Smak strachu” to hipnotyzująca opowieść o zakamarkach chorego umysłu i obsesyjnej potrzebie sprawowania kontroli – nad wszystkim i nad każdym. To także historia o nieprzepracowanych traumach, nastoletnich sekretach i bolesnym pragnieniu bycia dostrzeżonym.

Małgorzata Rogala

Mroczna, pasjonująca i przejmująca książka. Tak się powinno pisać kryminały. Sarah Hilary szturmem zdobywa gatunek.

Wojciech Chmielarz

Ta historia uruchamia nie tylko wyobraźnię, ale i zmysły. Inspektor Marnie Rome, mroczny Londyn pełen tajemnic i zaginione nastolatki stanowią intrygujący koktajl. Polecam kolekcjonerom wrażeń.

Joanna Opiat-Bojarska

Sarah Hilary pisze kryminały, które porywają od pierwszych stron. Zanim sięgniesz po jej powieść, poinformuj rodzinę.

Robert Małecki

Dla Francis

Za to, że była jedną

z tych odważnych

Dwa lata wcześniej

DESZCZ STEPIŁ WSZYSTKIE londyńskie iglice, spłaszczył wszystkie wieżowce, pogrzebał bloki w kałużach błota. Nawet kominy Elektrowni Battersea leżały nisko, ich długie cienie gotowały się w wodzie. Nie tylko dni, ale wręcz długie tygodnie deszczu. Ściana wody, wymywająca na wierzch brudy, rozmiękczająca ziemię pod nogami, niepozwalająca zapomnieć, że to miasto powstało na cmentarzach.

Deszcz zawsze znajdzie drogę, przekrwawi się przez cegły, wypłucze szkło z potrzaskanych okien, wypełni pustą puszkę, którą Christie wystawiła na godziny szczytu. Przesunęła palcem po zadartej krawędzi, chcąc zobaczyć krew – dowód, że ciągle tu była. Puszka guinnessa, z wieczkiem oderżniętym za pomocą tępego noża, z kamieniami obciążającymi denko. Monetami osiągnęłaby ten sam cel, lecz minęły już całe dni, odkąd w puszcze ostatni raz zagościły pieniądze. Zaczęła ssać palec, czując smak mięsa i miedzi. Pusty ból, ale dawał znak, że Christie ciągle tu jest. Żałowała, że nie ma to lepszego dowodu niż zakrwawiony palec w ustach.

Świat stał się murem parasolek. Christie знаła ludzi dojeżdżających do pracy tą trasą, widziała ich latem w zapoconych sukienkach i koszulkach z krótkim rękawem. Teraz chowali głowy w ramiona, marszczyli brwi. Wściekali się, że zajmuje miejsce na chodniku, że wpycha swoje brudne stopy w ich na wpół zamknięte drzwi sumienia. Deszcz był pretekstem, by nienawidzić jej bardziej. Gdy była nowa w tej grze – kiedy to było? Parę miesięcy temu? – szukała w tłumie przyjaznych twarzy. Szybko się jednak nauczyła, że to nie dobroć dawała monety.

Ludzie rzucali w nią drobnymi tak, jak się je rzuca do koszyka na myto. Żeby przedostać się dalej, żeby uciec. Jeszcze chwila i nie będą musieli udawać, że ją zauważyli. Stanie się niewidzialna. Deszcz ją zmyje.

– Mogłabyś? – rzuciła nagle kobieta, mając na myśli stopy Christie, które najwyraźniej zagradzały jej drogę, chociaż to nie była prawda. Christie skuliła się, skurczyła, żeby nikomu nie wadzić. – Na Boga, znajdź sobie jakieś miejsce. – Była chuda i zła, z pięścią groźną od pierścionków zaciśniętą wokół rączki parasola.

Christie wcisnęła się w próg jakiegoś wejścia, niemal suchego, jednak nawet tutaj deszcz znalazł do niej drogę. Przecisnął się przez stare cegły, najpierw cienką strużką, potem strumieniem. Czowała, jak jego palce łaskoczą ją po karku.

– Są przecież miejsca dla takich jak wy.

Nie знаła ich. Żałowała tego, ale nie znała. Bała się deszczu, który wszystko niszczył, jej ubrania, jej śpiwór – wszystko, co miała. Deszcz wzbudzał w niej strach większy niż ogień.

Kiedy dopiero zaczynała, pewna młoda para przynosiła jej ulotki. Zatrzymywali się i kucali, usta im się nie zamykały. Opowiadali o Bogu i tym, co miało przyjść, i pytali ją, czy jest gotowa. Christie spodziewałaby się tego po starych ludziach, chociaż większość kręciła tylko głową, jakby za ich czasów żebracy nie istnieli. Tylko raz ktoś po sześćdziesiątce zaszczycił ją choćby drugim spojrzeniem. Młoda para miała ulotki z szeroko uśmiechniętymi ludźmi. Farbowały, jeszcze bardziej brudząc jej dłonie. Kiedy poprosiła o pieniądze, wściekli się. Udawali, że nie – „jesteśmy po twojej stronie” – ale widziała to pod powierzchnią ich skóry, jak wilo się niczym węże.

Gorszy niż węże był ten mały mężczyzna, który przyszedł kiedyś i usiadł obok niej. Nic nie mówił, tylko siedział i wrzucał jej monety do puszek, pojedynczo, żeby nie mogła wstać i odejść, i powiedzieć mu, żeby spadał, chociaż przyprawiał ją o dreszcze. Dziwnie pachniał. Nie jak bezdomny. Jak bogacz. Bogactwo nie pomaga, mówiła młoda para, rzecz w tym, żeby być gotowym. Na śmierć czy Jezusa, Christie nie wiedziała, ale przez jedną chwilę wydawało jej się, że da radę – że będzie udawać nawróconą, by oni uratowali ją przed tym. Przed byciem nikim, niczym, niewidzialnym.

Kiedy zaczęło padać, przestali przychodzić.

Wszyscy – oprócz tego małego faceta. On przychodził w foliowej pelerynie, z której spływała woda, leciała na nią. Jego monety pluskały w puszkach, a Christie wiedziała, że nie stać jej na bycie wybredną. Kiedy sobie poszedł, wsadziła do niej rękę i zebrała jego pieniądze, a potem wyrzuciła je i zaczęła wysysać rdzawą krew z obdartych knykci. Tamten wróci jutro. Mogłaby się gdzieś przenieść, żeby nie zdołał jej znaleźć. Bolało ją całe ciało, jakby ktoś je ścisnął.

Gdzie miałyby iść?

Kim powinna być?

Mogłaby skurczyć się jeszcze bardziej dla tej kobiety z pierścionkami, udawać nawróconą dla tamtych religijnych. Iść z tym dziwakiem w pelerynie i być... kimkolwiek by zechciał. Tylko po to, by choć na jeden dzień, jedną godzinę, uciec przed deszczem, który ją zmywał, pozbawiał kolorów, wszystkiego. Nie była już sobą. Była pusta w środku, wyskrobana. Nie było jej.

I właśnie wtedy ją znalazł, właśnie *tam* ją znalazł...

Tuż na krawędzi niebycia.

Nie przypominał wcale tego małego. Był wysoki, miał jasną karnację, pachniał deszczem, który zniebieszczył ramiona jego koszuli. Nie miał ulotek, nie zadawał pytań. Nie wściekał się na nią.

Jego dłonie były puste, twarz szczera.

Kiedy stał w przejściu, zakrywał parasole, plusk i chlupot kół na ulicy. Jego ramiona nie dopuszczały do niej deszczu.

Silne palce, takie jak jej, ale jego były też suche i ciepłe.

Bezpieczne, były bezpieczne.

Są przecież miejsca dla takich jak wy.

Nie wierzyła w to, aż do teraz.

Teraz

NOAH BYŁ JUŻ spóźniony. Złapał bajgla w drodze do drzwi, wyszedł z nim w zębach, zostawiając ręce wolne, by poszukać karty miejskiej, kluczy i telefonu, który właśnie wygrywał motyw przewodni z *Lotnej brygady*...

– Słucham. – Wyjmij bajgla, spróbuj jeszcze raz. – Sierżant Jake, słucham.

– Cholera, chłopie. – Ron Carling roześmiał się w głośniku. – Brzmisz, jakbym zadzwonił na sekstelefon. W czymś ci przeszkodziłem?

– W śniadaniu. Co tam?

– U mnie dobrze, ale u ciebie chyba nie. Długa noc?

– Z długimi nocami nie mam problemu, to wczesne poranki mnie dobijają. – Nie mógł namierzyć karty miejskiej. Miał nieprzyjemne przeczucie, że podebrał mu ją Sol. – Już jadę.

– Szefowa chce cię widzieć w Battersea.

– A gdzie dokładnie?

Ron podał mu adres, który Noah rozpoznał.

– Kiedy?

– Dziesięć minut temu. Lepiej załóż rolki i pędź jak Struś Pędziwiatr.

Czterdzieści minut później ruch z York Road kierowano na objazd z powodu

wypadku. Wężę samochodów pożerały ulice po obu stronach Elektrowni Battersea. Noah szedł wzdłuż jej szerokiego cienia, wysokie kominy wyciągały się do nieba niczym poplamione palce. Elektrownia nie pracowała od lat, czasami wynajmowano ją do kręcenia filmów, ale przez większość czasu stała pusta. Dan pracował tutaj, kiedy jeszcze funkcjonowała galeria sztuki, wspominał, że przy niej Tate wyglądało jak gablotka starej ciotki. Teraz budynkom nadawano nowy kształt, jeden z kominów zburzono, a całość przekrzywiła się jak stół na trzech nogach. Penthouse'y sprzedawano po sześć milionów funtów, a mówiło się o prywatnych klubach i restauracjach. Noah będzie tęsknił za starą elektrownią. Sunset Boulevard z dzikim liftingiem, wciąż chytrze palący trzy paczki dziennie...

Usłyszał taśmę policyjną, jeszcze zanim ją zobaczył, trzepoczącą na wietrze.

Czarny zapach śladów po przypaleniu. SUV wjechał w audi, a siła uderzenia wbiła oba samochody w betonową ścianę, po drodze zbierając jeszcze lampę uliczną.

Komisarz Marnie rozmawiała z policjantem z drogówki, rude włosy miała spięte z tyłu, elegancki kostium w tym samym odcieniu armatniego brązu co audi, którego fragmenty wciąż jeszcze usuwano z drogi. Po SUV-ie nie było już śladu, został tylko kształt odbity w ścianie.

– Sierżancie Jake. Dzień dobry.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Wszyscy się dzisiaj spóźniają przez ten wypadek – odezwał się ten z drogówki.

– Jakie straty? – zapytał Noah Marnie. – Ron wspominał o jednej ofierze śmiertelnej.

– Jeszcze nikt nie umarł. Cztery ofiary w szpitalu, w tym dwie w stanie krytycznym. Jeden ze świadków mówi, że jakaś dziewczyna weszła na jezdnię.

W doniesieniach opublikowanych w sieci nikt nie wspominał o dziewczynie.

– To ona jest w stanie krytycznym?

– Nie, ona sobie poszła. Bez zadraśnięcia, a przynajmniej nie z tego powodu. Kierowca audi miał szczęście. Jego żona nie. Ani pasażer SUV-a.

– Kto jest w stanie krytycznym?

– Ruth Eaton z audi. Logan Marsh z SUV-a. Chłopak ma osiemnaście lat. Ojciec odwoził go do domu po wizycie u przyjaciela. Urazy głowy. Nie wygląda to dobrze.

– Ale dziewczyna nie została nawet draśnięta? Gdzie teraz jest?

– Też bym chciała wiedzieć.

– Czyli kiedy powiedziałaś, że sobie poszła, miałaś na myśli, że uciekła z miejsca wypadku?

– Tak. Musimy ją znaleźć. Sądząc po opisie, może jej grozić niebezpieczeństwo. Jest półnaga, cała w zadrapaniach. W szoku. – Marnie

przyglądała się śladom po wypadku. – Kierowca audi to nasz jedyny świadek. Joe Eaton. Pojechał razem z żoną do Szpitala św. Tomasza.

– Ile lat miała dziewczyna?

– Szesnaście, siedemnaście? Uprzedzając twoje następne pytanie: miała rude włosy, nie blond. Jeśli sądzić po opisie, to raczej nie była May Beswick.

Od dwunastu tygodni szukali May. Noah miał nadzieję...

– Ta dziewczyna jest bardzo chuda – ciągnęła dalej Marnie. – I półnaga. Nikt z bazy osób zaginionych nie pasował do tego opisu.

– Ale co to za opis, żaden. – Przez dwanaście tygodni May mogłaby schudnąć i ufarbować włosy. – Świadek nie zauważył nic więcej?

– Próbował ją wyminąć.

– Też kiedyś omal w kogoś nie wjechałem. Dzieciak wyskoczył na ulicę za piłką. Udało mi się nacisnąć hamulec na czas, ale niewiele brakowało. Mały chwycił piłkę i zniknął, o tak. – Noah pstryknął palcami. – Widziałem go tylko przez sekundę, ale wciąż pamiętam piegi na jego nosie i obdarte kolana. Jakbym zdjęcie zrobił. To było dwa lata temu.

– Pamięć wzrokowa... – Oczywiście Marnie zmatowiały. – Może Eaton pamięta więcej, niż mu się wydaje. Sprawdźmy to.

W SZPITALU PACHNIAŁO JAK zawsze, chemiczna woń czystości z kwaśną nutą bazową ciała. Noah oddychał przez usta, wymuszonym nawykiem. Razem z Marnie szli korytarzem, gdzie wózki zostawiły ślady na ścianach,

a podłoga lśniła niepokojąco. Kierowali się do sali, w której Joe Eaton czekał na wieści o stanie żony.

Eaton był po trzydziestce, ale wyglądał na młodszego. Ciemnawe włosy, szare oczy, lewe naznaczone wylewem, krew wypłynęła na biel. Elegancki garnitur, ale wrażenie niszczył kołnierz ortopedyczny. Nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Przerażenie na twarzy na widok Marnie i Noaha.

– Panie Eaton, nazywam się Marnie Rome i jestem komisarzem policji, a to jest sierżant Noah Jake. Jak się pan czuje?

– Dobrze. – Wyprostował się. – Nic mi nie jest. Ruth ma operację. Podejrzewają pękniętą śledzionę.

– Przykro mi – powiedziała Marnie. – Ale musimy zadać panu kilka pytań.

– A co z Loganem? Rozmawiałem w nocy z jego ojcem. – Joe zakrył usta dłonią. – Nie najlepiej to wyglądało, gorzej niż u Ruth. A to przecież dzieciak.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze z panem Marshem. Może usiądziemy? – Marnie przyciągnęła krzesło i usiadła twarzą do mężczyzny.

Joe pokiwał głową, podporządkowując się komisarz Rome. Noah czuł zapach jego strachu: stary pot zamaskowany wodą kolońską, zielony żel antybakteryjny ze szpitalnej łazienki.

– Miałam nadzieję, że opowie nam pan o dziewczynie, którą widział pan zeszłej nocy.

– Wyszła mi przed maskę. Nie miałem innego wyjścia, jak skrócić. Inaczej bym ją zabił. – Przeczesał włosy palcami. Skrzywił się. – Powiedziała już, dlaczego to zrobiła?

– Zaginęła – odparła Marnie. – Ciągłe jej szukamy.

– Czyli uciekła? Z miejsca wypadku? – Wydawał się raczej wystraszony niż zły. – Zrobiła coś takiego, a potem sobie poszła, ot tak?

– Szukamy jej. Myślał pan, że jest ranna?

– Miała pełno zadrapań na ciele. Ale chyba poza tym była cała; musiała być, bo jak inaczej zdołałaby uciec?

– Chcielibyśmy jeszcze raz przyjrzeć się opisowi, który podał pan zeszłej nocy. Żeby nic nie przegapić.

– Mnie kompletnie nic się nie stało, nie rozumiem tego. Założyli mi tylko to, bo nami szarpnęło. – Joe dotknął kołnierza ortopedycznego, a potem wyciągnął ręce przed siebie i zaczął im się przyglądać. – Nawet ojciec Logana... Obaj żeśmy wyszli bez szwanku, ale tylko ja nie mam nawet draśnięcia, a przecież to wszystko przeze mnie.

Marnie i Noah czekali, nie odzywając się.

– Szła prosto na nas. Gdybym w nią uderzył, umarłaby na miejscu. Jechałem najwyżej trzydzieści kilometrów na godzinę, ale to wystarczyłoby, żeby kogoś zabić. *Musiałem odbić.*

- Z której strony szła? – zapytała Marnie.
- Z mojej lewej. Czyli chyba... z zachodu?
- I szła na wschód.

– Jest takie osiedle po tej stronie York Road, może ona tam mieszka? Policja kazała mi dmuchać w balonik, nie przekroczyłem limitu. Wypiliśmy z Ruth po kieliszku wina, ale jedliśmy do tego spaghetti. Byłem napchany węglowodanami, a potem jeszcze wypłem dwie kawy. Przecież ja mam *dzieci*. Są teraz u siostry Ruth, zbyt małe, żeby zrozumieć, co się dzieje z ich mamą.

- Ile mają lat? – zapytał Noah.

– Sorcha dwa. Liam dziesięć miesięcy. Carrie świetnie się nimi zajmuje. Kochają swoją ciocię. – Joe wytarł łzy z oczu i położył dłonie na krawędzi stołu. – Dobra. Dziewczyna z zeszłej nocy? Wyglądała na siedemnaście lat, może trochę mniej. Trudno powiedzieć, bo nie była normalnie ubrana, miała na sobie tylko męską koszulę, za dużą, białą. A jej skóra była strasznie blada, nie licząc tych zadrapań. Poruszała się jak nakręcana zabawka. Niezbyt szybko, ale jakby nie chciała... jakby *nie mogła* się zatrzymać. A jej twarz... straszna. – Zamrugał. – Ona by się nie zatrzymała.

- Wołała o pomoc?

– Nie, ale ta jej twarz... zupełnie jakby krzyczała. – Skrzywił się i potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się obrazu, który pojawił się w jego wyobraźni.

– Panie Eaton. – Marnie wyciągnęła fotografię. – Czy to dziewczyna, którą widział pan na drodze?

– Czy to nie... Mary Beswick? – Chwycił zdjęcie u samej krawędzi. – Ta zaginiona nastolatka?

- Tak, May Beswick.

Noah wstrzymał oddech, kiedy Joe przyglądał się twarzy May, ale...

- To nie ona. – Joe oddał fotografię. – Przykro mi.

– Jest pan pewien? Mogła schudnąć od czasu, kiedy zrobiono to zdjęcie. Ufarbować włosy, przebrać się. Ile wzrostu miała tamta dziewczyna?

– Była niższa od Ruth. Nie miała nawet metra sześćdziesięciu. To tylko dzieciak, nastolatka. Może miała raczej piętnaście niż siedemnaście lat. I była naprawdę chuda. Koścista. I ruda. – Spojrzał na Marnie. – Nie tak ruda. Miała czerwone włosy, jak farba. – Wrócił wzrokiem do zdjęcia, marszcząc brwi. – Faktycznie były farbowane.

- Krótkie czy długie?

– Do ramion. Ale były nastroszone, jakby je natapirowała. Miała naprawdę dziką fryzurę.

May Beswick miała metr pięćdziesiąt pięć i nie była chuda, ale też nie gruba. Na zdjęciu jej jasne gładkie włosy sięgały do pasa. Ubrana była w zielony sweterek na białej bluzce, uśmiechała się, jej górna warga odsłaniała całe przednie zęby.

Oczy o piwnych tęczęwkach, zmarszczki w kącikach. Noah nie musiał patrzeć na zdjęcie, by być pewnym tych szczegółów. Oglądał tę twarz w swoich snach przez ostatnie dwanaście tygodni.

– Co jeszcze miała na sobie, poza koszulą? – zapytała Marnie.

– Nic. Może majtki. – Joe zaczerwienił się. – Nie włożyła ani spodni, ani butów. Ani stanika. Może jednak miała te siedemnaście lat. Nie wiem. W każdym razie powinna była już nosić stanik.

Gdzieś zamknęły się drzwi. Joe odwrócił się w stronę dźwięku. Jego dłonie zacisnęły się na krawędzi stołu, a szyja zaczerwieniła się pod kołnierzem.

– Opowiedz nam o tych zadrapaniach – powiedziała Marnie.

– Wszędzie... naprawdę wszędzie. Na nogach, brzuchu, klatce piersiowej. – Skrzywił się. – Były wszędzie.

Na zdjęciu twarz May była gładka, podobnie jak włosy. Pulchne policzki, szerokie czoło, żadnych śladów trądziku. Dwanaście tygodni temu nie było na niej żadnej skazy.

– Miała podrapaną twarz?

– Nie, twarz nie. Ale wszystko inne tak.

– Te zadrapania były świeże? – zapytał Noah.

– Nie wydaje mi się. Trudno ocenić, bo widziałem je w świetle lamp samochodowych, no i tylko przez sekundę, ale wydawały mi się czarne, nie czerwone, nie jak świeża krew. – Wciągnął głośno powietrze. Przytrzymał. Wypuścił. – Ruth lepiej jej się przyjrzała niż ja. Dziewczyna szła z lewej strony auta. Jeśli... – Podniósł dłonie do oczu. – *Kiedy* się obudzi, będzie w stanie podać wam lepszy opis. Ruth ma oko do szczegółów. Świetna w tym jest.

Przycisnął mocniej dłonie, aż zbieleły mu knykcie.

– Nie mogę zapomnieć jej twarzy. Może to faktycznie była May Beswick, nie wiem. Nie przypominała jej, ale ona w ogóle nikogo nie przypominała. Nie wiem, co jej się stało, ale... wyglądała na... absolutnie przerażoną.

Opuścił ręce i popatrzył na Marnie i Noaha.

– Nie wydawała żadnego dźwięku, żadnego, ale cała jej twarz zdawała się *krzyczeć*.

Aimee

TRZY MIESIĄCE TEMU zdawało mi się, że jest bezpiecznie. W suchym domu, a nie na ulicy w deszczu. No i było też towarzystwo. Wszystkim nam się wydawało, że wylądowaliśmy na czterech łapach. Jak koty. On wziął nas do siebie.

Nazywał to nowe miejsce domem, ale nie było tak, jak można by się tego spodziewać.

– Jest otwarte – mówił.

Chodziło o otwarty plan, ale Harm miał coś innego na myśli. Miejsce, gdzie jesteś pomijany, gdzie możesz zniknąć nawet wtedy, gdy tego nie chcesz. Martwe przestrzenie, ślepe punkty. Puste przejścia, odstępy między budynkami. Miejsca, których nikt nie szuka, bo ich nie widzi, nie tak, jak powinien. Może kiedyś widzieli, ale nauczyli się je omijać. Nawet jeśli jesteś na ich drodze do pracy, z wyciągniętymi rękami prosisz o niewielką pomoc, nawet kiedy jesteś pieprzonym *psem*. Harm mówił, że czasem można mieć coś pod nosem, a i tak tego nie dostrzegać. Niektóre rzeczy są po prostu... niewidzialne.

Grace nie chce być niewidzialna. Zaczęła mu pyskować. Nie gra według zasad, a mogłaby się zwyczajnie zamknąć. W głowie za bardzo jej musuje, aż się od tego trzęsie, a włosy jej stoją, jakby potarła o nie balon. Nie chce siedzieć

spokojnie i nie chce się zamknąć, a moim zdaniem coś jest z nią nie tak. Jak z nami wszystkimi, dlatego nas wybrał. Takie głośne dziewczyny jak Grace i takie skryte jak ja – palimy się jak fajerwerki, aż w końcu nie zostaje z nas nic.

Harm nas obroni, tak powiedział. Musimy go tylko słuchać, dać sobie pomoc. Grace powinna się zamknąć. Przecież przynajmniej ma dach nad głową.

Nowy dach. Dom, w którym trzymał nas wcześniej, robił się zbyt mały, za bardzo przypominał squat. Wysypywaliśmy się z niego, robiąc bałagan. To nowe miejsce jest lepsze. „Doskonały potencjał”, powiedział Harm.

Temu koleśowi z agencji się to spodobało. „Niektórzy ludzie widzą tu tylko martwą przestrzeń, ale pan jest mądrzejszy”.

Harm pokiwał głową i odwrócił się plecami. Uważał koleśia za pedała, dało się to zobaczyć w jego twarzy. Harm nie cierpi pedałów; to pierwsza rzecz, jaką udało mi się o nim dowiedzieć.

Nowa miejscówka była mieszkaniem, ale dwupoziomowym. Z półpiętrzem, jak mówił agent, mieszkanie loftowe. Jeden pokój wyżej niż pozostałe, a przed nim schody. Mój pokój. Kiedy widzieliśmy go po raz pierwszy, był jeszcze nieskończony. Surowe ściany z dziurami wielkości pięści do przeprowadzenia kabli, a agent pieprzył ciągle o oświetleniu w podwieszanym suficie i ogrzewaniu podłogowym, chociaż widać było gołym okiem, ile jeszcze pieniędzy trzeba do wykończenia mieszkania. Nic dziwnego, że się skończyły. Jednak wtedy lokum wyglądało dobrze. Pedał pozwolił nam nacieszyć się widokiem. Cały Londyn skrzył się pod naszymi stopami. „Dam wam chwilkę”, powiedział wtedy agent.

Harm odwrócił się do niego plecami.

Właśnie wtedy jest niebezpieczny – kiedy stoi plecami do ciebie. To znaczy, że nie może już dłużej na ciebie patrzeć. Obrzydzasz go, denerwujesz. Tak mocno, że nie może znieść twojego widoku. Chce, żebyś przestał istnieć, przestał patrzeć, przestał *być*. Wszyscy to wiedzieliśmy, nawet Grace, ale agent nie wiedział. Był tego rodzaju człowiekiem, który omijałby mnie, spotkawszy na ulicy, więc chyba też chce, żeby przestał mówić, przestał *być*, zupełnie jak Harm.

Na koniec Harm uścisnął dłoń mężczyzny, którego oczy zabłysły, nos wyczuł zapach podpisanej umowy. To było jeszcze zanim skończyła się kasa, kiedy ciągle wierzyli, że te podwieszane sufity i podgrzewane podłogi się ziszczą. Kiedy Grace jeszcze musowała. Zanim Harm sprawił, że to minęło.

Pamiętam dokładnie, jakie towarzyszyły mi wtedy uczucia, tamtego pierwszego dnia w nowym miejscu.

Reszta ruszyła za Harmem i Christie na zewnątrz. Tylko mi było trzeba więcej czasu, żeby się przygotować, żeby się dowiedzieć, z czym będziemy mieli do czynienia.

Harm wrócił. Nie było go słychać na schodach, ale z podłogi podniósł się kurz, kiedy jego stopy przemierzyły ją bezszelestnie.

Potem jego ciepło za moimi plecami...
Wilgotny ciężar jego cienia na moich ramionach, na karku.
Obcinał mi włosy na krótko. Skóra mi cierpła pod wpływem jego spojrzenia.
Nie dotykał mnie. Nigdy nie dotykał. To było gorsze.
Jego wzrok był gorętszy niż palce, gorętszy niż język.
Dało się czuć zapach jego uśmiechu.
Był taki ciężki, gdy tak za mną stał.
– To jest to – szepnął. – To nasz dom.

PODOBNIE JAK JOE Eaton, Calum Marsh miał kołnierz ortopedyczny na szyi i prawą rękę na temblaku, żeby odciążyć mocno obity obojczyk. Siedział na krawędzi szpitalnego łóżka, próbując wcisnąć lewą stopę w skórzany but. Ten, kto zdjął mu oba wcześniej, nie rozwiązał sznurówek, a teraz mężczyzna męczył się, z wyrazem udręki na twarzy. Ubrany w chinosy i rozpiętą do połowy koszulę, chciał włożyć jeszcze buty, żeby iść i sprawdzić, co z synem. Cała jego panika i ból były widoczne w tych zmaganiach.

– Panie Marsh, nazywam się Marnie Rome i jestem z policji. A to sierżant Jake. – Marnie uklękła i wzięła but a potem rozwiązała supeł. – Przyjechaliliśmy dowiedzieć się, co się stało.

Calum popatrzył na nią zdezorientowany.

– Widziała go pani? Logana? – Jego stopy i twarz drżały po wpływie stresu. – Ja *spalem*. Jego mama przyjechała? – Odwrócił wzrok od Marnie, skupiając się na Noahu. – Nic mu nie jest? Co się dzieje?

– Czekamy jeszcze na rozmowę z lekarzem. Logan jest w tej chwili w sali operacyjnej. – Marnie wciąż kuciała, trzymając but z rozwiązanymi sznurowadłami. – Poprosiłam kogoś, by poinformowano pana, gdy tylko będzie coś wiadomo.

– Nic nie mogę zrobić. Tak powiedzieli w karetce. I tutaj. Pielęgniarki tutaj też. – Calum wytarł dłonie o pościel, zostawiając rdzawy ślad tam, gdzie pot rozpuścił zaschniętą krew. – *Nic* nie mogę zrobić. Był po czterdziestce, dobrze zbudowany, z siwiejącymi skroniami i krótkim zarostem na twarzy;

w zmarszczkach pod oczami zebrała się krew. O ile koszula nie skrywała ran niewidocznych dla Noaha, krew należała do Jasona.

– Niedługo powinny być jakieś wieści. – Marnie odłożyła but i wyprostowała się, a potem zrobiła krok do tyłu. Dała Noahowi znak, a on przysunął krzesło do łóżka.

– Rozmawialiśmy na temat wypadku z Joem Eatonem – powiedział. – Teraz szukamy tej dziewczyny.

– Dziewczyny. – Twarz Caluma nic nie wyrażała. Zamrugał, potem na powrót skupił wzrok. – Jakiej dziewczyny?

– Dziewczyny, która weszła na jezdnię. To przez nią Joe Eaton musiał gwałtownie skręcić.

– Wjechał prosto na mnie. – Calum podniósł rękę, rozczapierzył palce. – *Prosto* na mnie. – Jego dłoń była większa niż Joego, poznaczona bliznami, i drżała pod wpływem szoku jak reszta ciała.

– Joe powiedział, że wyszła przed jego audi. – Noah starał się mówić łagodnie. – To dlatego musiał skręcić. Żeby jej nie potrącić.

– Tak powiedział? Ten drugi kierowca... Powiedział, że tam była dziewczyna?

– Nie widział jej pan?

– Nie widziałem żadnej dziewczyny, tylko jadące w naszą stronę audi i... ścianę. I Logana, jak uderzył w przednią szybę, z tym *odgłosem*. – Calum karał swoją zranioną dłoń lewą ręką. – Jego głowa wydała taki dźwięk, jakby pękła. Rozbił szybę swoją *głową*... – Wyciągnął na ślepo rękę przed siebie. – Nie pozwólcie, żeby umarł. Nie w ten sposób. Nie przeze mnie, niech nie umiera przeze mnie, to tylko dziecko. *Moje* dziecko.

– Już dobrze. – Noah chwycił dłoń mężczyzny, zimną i lepłą od krwi syna, zaciskając się z nerwów w pięść. – Panie Marsh? Calum? Już dobrze.

Marnie wyszła i wróciła za chwilę z pielęgniarką, która pomogła ojcu Logana wrócić na łóżko. Noah poczekał, aż ten się ułoży, a potem uwolnił swoją dłoń z uścisku mężczyzny.

– Przepraszam. – Calum ciągle to powtarzał pielęgniarce, Noahowi. – Przepraszam.

Marnie stała na korytarzu.

– Nie widział żadnej dziewczyny – powiedział Noah. – Myślisz, że Joe Eaton się pomylił?

– Nie skręcił bez powodu. Nie pił, nie padał też deszcz. Warunki były dobre. Dlaczego miałby wymyślać dziewczynę? Zwłaszcza półnągą i pokrytą zadrapaniami.

Wyciągnęła telefon.

– Musimy się dowiedzieć, kto jeszcze znajdował się na tamtej drodze.

Tanner przegląda nagrania z monitoringu. Czy to May Beswick, czy nie, dziewczyna ma kłopoty. – Marnie wybrała numer i przyłożyła komórkę do ucha. – Ed, zadzwoń do mnie, kiedy to odsłuchasz. Jesteś mi potrzebny.

Ed Belloc był pracownikiem biura wsparcia ofiar, jednym z najlepszych. Jego związek z Marnie trwał już pół roku, może trochę dłużej.

– May Beswick czy nie – powtórzył Noah. – Myślisz, że jest na to szansa?

– Nie wiem. Chciałabym. Przynajmniej... Ta dziewczyna uciekała przed kimś. Była zraniona, z tego, co mówił Eaton. Nie zatrzymała się po tym, jak spowodowała wypadek. Zastanawiam się, czy się gdzieś ukryła, o ile miała szczęście i znalazła kryjówkę. Ed będzie znał takie miejsca w okolicy Battersea; będzie wiedział, czy i jak łatwo jest znaleźć bezpieczną kryjówkę w tej części miasta, kiedy się jest zdesperowanym.

– A może być zdesperowana, bo spowodowała ten wypadek. Jeśli Logan umrze, albo Ruth... Dziewczyna może się nas obawiać.

Za ich plecami, za ścianą, dało się słyszeć cichy protest zrozpaczonego Caluma Marsha.

– Znajdźmy ją – rzuciła Marnie.

Aimee

PAZNOKCIE DRAPIAŁY DRZWI.

– Jedzenie gotowe. On chce, żebyś usiadła z nami.

Nie chcę jeść, więc nie odpowiadam. Ashleigh szamocze się z drzwiami i wchodzi do pokoju. Harm wstawił specjalne zawiasy i trzeba było uważać, inaczej drzwi same się zamykały.

– Masz zjeść z nami.

– Nie jestem głodna.

– Nie bądź głupia. – Rozgląda się. – I nie pakuj mnie w jakieś gówno.

Znowu.

Jej oczy są głodne, pożerają wszystko. Mam za dużo rzeczy.

Harm zawsze daje mi prezenty. Ostatnio sprawił mi szczotkę do włosów, z prawdziwego srebra, dobrej próby. Ashleigh podchodzi do miejsca, gdzie leży szczotka, śmiesznej toaletki z żarówkami wokół lustra, jak w garderobie gwiazdy soft porno.

– Fajne. – Jej głos jest płaski, jak wyprasowany żelazkiem. Nienawidzi mnie. Mimo to nie dotyka szczotki. Nie ma odwagi. W świetle jarzeniówek jej skóra dostaje wysypki.

– Masz zejść i usiąść z nami do stołu. – Podchodzi do drzwi. – Wstawaj.

Leżę jeszcze chwilę na łóżku, a potem robię, co mi każą. Ashleigh mnie nienawidzi, ale ma rację. Nie mogę znowu robić jej kłopotów. Nie tak szybko po ostatnim razie.

Na dole wszyscy siedzą przy stole i czekają na mnie. Wszyscy prócz Gracie, która pewnie znowu ma karę i siedzi w pokoju. Ashleigh zaczęła ją nazywać *Disgracie*[1]. Byłoby to nawet zabawne, ale nie jest. Jest mi jej żal. Nie znaczy to, że mnie jest lepiej. Jestem w gorszej dupie niż one wszystkie i żadna liczba srebrnych szczotek tego nie zmieni.

Rozgrzana kuchnia pachniała na brązowo, a mnie się chciało rzygać na myśl o tym, co się właśnie gotuje. Puszki, zawsze żarcie z puszek. Można by powiedzieć, że lepiej umrzeć z głodu niż to jeść, ale mam za sobą zbyt wiele głodnych nocy. Umieranie z głodu jest dobre dla bogatych dzieciaków, które zawsze mają porządny posiłek na wyciągnięcie ręki. Ja mogę się zadowolić najgorszym gównem, byle coś zjeść. I jeszcze za to podziękuję.

May uśmiecha się do mnie, siedząc bardzo prosto na swoim krześle, uczesana i ubrana w szkolny mundurek. Przez rajstopy swędzą ją uda, tak jak mnie. Jednak nie odważymy się drapać przy stole. Ashleigh zajmuje swoje miejsce, kładzie serwetkę na kolanach i maskuje wszelki ślad po tym, jaką dziwką była chwilę temu na półpiętrze.

Harm przy kuchence wykłada brązowe jedzenie na szare talerze. Porusza się wolniej niż zwykle, jakby chciał nam przypomnieć, jakie są zasady. Palce mi drżą, ale zaraz je uspokajam. Każda zmiana w rytmie szarga mi nerwy.

Wszystko musi być zawsze, *zawsze* takie samo.

Właśnie tego nas nauczył, tego nas ciągle uczy. Nie podoba mi się, że tak wolno się porusza. Świece wciągają jego cień na stół. Zabieram ręce daleko poza jego zasięg.

Christie pomaga Harmowi, trzyma dwa talerze jak kelnerka. Jest wysoka i twarda, bardziej prawdziwa niż my. Jasne włosy opadają jej na plecy, tak jak on lubi. Ubrała się w bawełnianą sukienkę do kolan, eksponując łydki. Ma silne mięśnie. Jednak obok niego wygląda jak chuchro. Spogląda na mnie, dając mi znak, że jest ze mnie zadowolona. Kazali chorej dziewczynce zejść na dół i przyszła bez marudzenia. Dobra dziewczynka. Dobry piesek. Odsuwam krzesło i siadam obok May, która chwyta mnie za dłoń pod stołem. Jej dłoń jest ciepła, moja zimna. W moim pokoju nigdy nie robi się naprawdę ciepło. To ogrzewanie podłogowe było kłamstwem, jak wszystko inne.

Ashleigh szura stopami po podłodze, ale zaraz przestaje i siedzi cicho.

Trzy dziewczyny ubrane w białe bluzki, czarne spódniczki i rajstopy,

z twarzami umyтыми mydłem i wodą, z gładko zaczesanymi włosami. Słodkie usteczka podlotków, jednak o słodyczach nie było mowy.

Christie niesie talerze na stół. Harm to dobry kucharz, mówi. Jakby trzeba było umiejętności godnych gwiazdki Michelina, żeby upichcić to gównno z puszek, tak nafaszerowane konserwantami, że mogłoby się samo podać. May próbowała kiedyś zasadzić warzywa, ale Harm jej na to nie pozwolił. Wszystko musiało mieć wydłużony czas przydatności. Obślizgły plaster suszonego bakłażana na moim talerzu wyglądał jak oberżnięty język czyjegoś buta.

Jemy w ciszy, słysząc tylko skrobanie widelców o aluminiowe talerze. Wodę pijemy z aluminiowych kubków. Wszystko na naszym stole jest niezniszczalne. Trzy nastoletnie dziewczyny w towarzystwie przystojnego i szczodrego mężczyzny w średnim wieku. Naprawdę, *naprawdę* chciało mi się rzygać.

– Jesteśmy, kim jesteśmy – mawia ciągle Christie.

Jest horror o takim tytule[2], ale zostawiam to dla siebie.

Jesteśmy, kim jesteśmy.

Gdyby ktoś spojrział przez okno, co by zobaczył? Ojciec z młodą żoną siedzi przy stole w towarzystwie córek-laleczek z gładkimi włosami do pasa i jędrnymi cycuszkami wybrzuszającymi eleganckie koszule. I do tego ja – dziwadło na samym końcu, z płaską klatką piersiową, krótkimi czarnymi włosami, na które marnuję swoją srebrną szczotkę.

To wszystko kłamstwa. Christie to wcale nie jego żona. My nie jesteśmy jego córkami, nawet nie jesteśmy spokrewnione. Oczywiście przez okno nie dałoby się tego dostrzec. Przede wszystkim dlatego, że wszystkie były szczelnie zasłonięte żaluzjami.

Harm nalewa mi wody do kubka, na jego twarzy maluje się zmartwienie.

– Uważaj, żebyś się nie odwodniła.

Ashleigh ryzykownie przewraca oczami, na wszelki wypadek maskując to mrugnięciem, zanim Harm ją przyłapie.

Woda smakuje monetami i pachnie jak moje dłonie kiedyś, po dobrym dniu zebrania.

– Dziękuję. – Głos mi się załamuje na ostatnim słowie.

Ashleigh pierwsza wszystko zjada.

– Było pyszne. – Oblizuje usta i posyła Harmowi biały uśmiech, jej oczy lśnią tak samo jak zęby. Nałożyła coś na powieki.

O kurwa...

Posmarowała powieki i usta wazeliną. W domu nie można nosić makijażu. To jedna z jego zasad. Wazelina sprawia, że jej usta wyglądają na mokre. Ashleigh nie wygląda z nimi jak uczennica. Wygląda dorosłe, dziwkarstwo. Głupia, *głupia* krowa...

Harm nienawidzi dorosłości. Nienawidzi *dziwkarstwa* bardziej niż

czegokolwiek innego na świecie. Mamy być jego idealnymi laleczkami, bezpłciowymi, skromnymi. Przecież ona to wie. Ashleigh to wie. Siedzi z wypiętą pierśią, dłońmi skubie rąbek spódniczki. Harm to zauważy. Ashleigh od kilku tygodni próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. *Kurwa*. Jak miałby nie zauważyć jej cycków, kiedy siedzi w ten sposób?

Christie wysuwa krzesło spod stołu.

– Ashleigh, teraz twoja kolej, żeby pomóc przy sprzątanii.

Ashleigh wstaje, kołysząc biodrami jak kolorowa zabawkowa sprężyna spadająca ze schodów. Christie wymierza jej spojrzeniem policzek, a ja czuję to tak mocno, jakby to moja twarz była celem.

Powietrze gęstnieje zupełnie jak przed burzą. Czuję na języku posmak elektryczności. Siedząca obok mnie May cała się spina w oczekiwaniu na to, co zrobi Harm. Jego dziewczynki ubrały się właściwie, siedziały, gdzie im kazano, jadły jego gówniane jedzenie, ale to za mało. Nic nigdy nie wystarcza.

– Ashleigh. – Jego głos jest miękki, jakby posypał go grubo magnezją, niczym kulturysta przed podnoszeniem dużego ciężaru. – Ashleigh.

Odwraca się, tym razem bez uśmiechu. Próbuje zlizać wazelinę z ust, ale ona wciąż tam jest, na brzegach warg, mruga do niego.

– Chodź tutaj.

May ściska mi pod stołem rękę.

Nie nie nie...

– Chodź tutaj – powtarza Harm.

Ashleigh podchodzi z powrotem do stołu, teraz już nie kręci biodrami, raczej szarpie się jak na smyczy. On patrzy jej w oczy. Jest tak blisko, że Ashleigh z pewnością czuje jego oddech. Tylko on oddycha; reszta nie ma dość odwagi, nawet Christie. Płomienie świec unoszą się równo do sufitu w tej naglej, martwej ciszy.

– Pięką cię usta? – Głos Harna nadal jest łagodny.

Ashleigh kręci głową. Jej piersi uniosły się wraz z wdechem i Ashleigh próbuje je zatrzymać, próbuje się opanować, ale nie może. On jej na to nie pozwala.

– Pięką cię oczy?

Znowu zaprzecza.

– Są suche? Popękane?

I jeszcze raz.

– W takim razie dlaczego masz na nich wazelinę?

– Ja... nie. Tak. P-proszę. Przepraszam. – Rzuca każde słowo po kolei, licząc na to, że któreś okaże się tym właściwym.

Harm nie słucha. Wyciąga do Christie rękę, a ta chwyta swoją papierową serwetkę i podaje mu ją nad stołem, sprawiając, że płomienie świec drżą.

Harm pluje na serwetkę, a potem się prostuje.

Cały pokój jakby się przechyla, ciągnąc cienie w jego stronę; Harm nas połyka.

Ashleigh się nie rusza. Jest teraz bardzo mała, kiedy on tak stoi nad nią.

Wyciera jej usta serwetką. Znowu pluje. Wyciera jej powieki. Jakby próbował zetrzeć ją całą. Ashleigh mu na to pozwala. Przynajmniej tyle ma rozumu. Kuli się, żeby jej piersi wydawały się mniejsze. *Dobrze*. Plucie. Wycieranie.

Harm kończy i rzuca na stół zwiniętą w kulkę serwetkę.

Potem sięga po świecę.

Moje palce drżą gwałtownie pod stołem. May głaszcze kciukiem moje knykcie, próbując mnie uspokoić. Powinno być na odwrót. Tylko mnie Harm nie chce dotykać, tylko ja mam jakąkolwiek władzę, ale czuję strach, zawsze czuję zbyt wielki strach.

Ashleigh stoi jak kamień, jej cień skulił się u jej stóp, jakby się zsiąkała.

Harm trzyma świeczkę tak blisko, że cała jedna strona Ashleigh jest żółta.

Wciągam nieco powietrza przez nos, bo nie umiem już dłużej się powstrzymać, ale nie chcę poruszyć płomienia i pchnąć go w jej włosy.

Harm patrzy na nią.

– Tak lepiej. – Jego głos ani na chwilę nie traci swojej łagodności. Harm nigdy nie krzyczy. Nie musi. – I co teraz powiesz?

– Dziękuję.

– Nie, nie to. – Przy każdym słowie płomień skacze bliżej twarzy Ashleigh.

– Co powinnaś powiedzieć?

– Przepraszam.

– Powiedz to wszystkim.

Żeby wykonać jego polecenie, musi obrócić się w stronę stołu, w stronę ognia. Harm trzyma sztywno świecę, jego ślina wysycha na jej twarzy, a ja czuję zapach przypiekanej skóry, jak kipiącego mleka...

Czuję zapach jego śliny na Ashleigh.

– Przepraszam. Prze-przepraszam.

– Za co?

– Że zepsułam. – Płacze. Płomień oblizuje jej twarz, odnajduje łyzy, które syczą. – Przepraszam, że to zepsułam.

– Tak lepiej. – Harm odkłada świecę na stół. Rozkłada ręce i Ashleigh wpada mu w ramiona, lądując na jego piersi z rykiem. – Dobra dziewczynka. – Głaszcze ją po włosach jak pieska. – Dobra dziewczynka.

Patrzy prosto na mnie.

Po chwili odsuwa od siebie Ashleigh na odległość wyciągniętej ręki i puszcza.

Nie, nie pozwól, by odwrócił się plecami...

Ostatniej nocy odwrócił się plecami do Grace.

Christie zaczyna zbierać talerze ze stołu, przerywając ciszę, przywracając mieszkaniu głos. Harm uśmiecha się do Ashleigh i pokazuje na umywalkę. Jej twarz zapadła się w sobie, wciąż błyszcząca od śliny. Wszystko dlatego, że chciała być dla niego wyjątkowa. Trzeba było jej powiedzieć...

Wcale nie chcesz być przez niego wyróżniona, naprawdę nie chcesz.

Ona widzi tylko prezenty, tylko dawanie. Nie ma pojęcia o tym, co zabiera.

Harm wraca do stołu.

– Aimee, dokończ posiłek. – Przesuwa wzrok na May. – Ty też. – Jakby nic się nie stało.

Wszystko musi być zawsze, *zawsze* tak samo.

Jedzenie jest przywilejem. Wpycham je do ust tak, jak zasypuje się piachem dół, aż buzuje od adrenaliny. Przydaje mi odwagi i odbiera rozum. Nie podoba mi się to, jak spojrzał na May. Nie podoba mi się.

– Gdzie jest Grace? – Sięgam po kubek, wsłuchując się w nową ciszę. Inną niż wcześniej, ponieważ tym razem jest skupiona na mnie, ale to lepiej, niż żeby była skupiona na May. Z pełnymi ustami powtarzam niebezpieczne pytanie. – Gdzie jest Grace?

Teraz patrzy na mnie. Na nikogo więcej. Jakby w pokoju nie znajdował się nikt inny. Jego spojrzenie sprawia, że drzę, ale chcę usłyszeć, jak to mówi. Chcę mieć dowód.

Grace zniknęła.

Czuję pustkę po niej. Znam wszystkie miejsca tutaj, otwarte czy nie. Jedno z nich jest teraz puste. Martwe. Grace zniknęła, a ja chcę, żeby przyznał, że istnieje wyjście. Że można uciec przed jego prezentami i krótką smyczą jego uwagi, strachem przed tym, co się stanie, gdy skończy mu się cierpliwość albo jedzenie. Jego rodzina to ułuda, toksyczna ułuda. Jesteśmy toksyczni. Wszyscy jesteśmy bezpieczni, ale też chorzy. Żyjemy według jego zasad, nienawidząc jego uwagi i pragnąc jej. Nienawidzimy się nawzajem, nienawidzimy *go*, ponieważ *go* potrzebujemy, ponieważ nie ma nikogo innego, a my czujemy *przerażenie*. Żyjemy jak bite psy.

Grace zniknęła. Uciekła.

Chcę, żeby powiedział to na głos.

Moja dłoń jest zimna i pusta.

May wstaje z krzesła.

Nie jak inni. Ona nie potrzebuje uwagi Harma, ale i tak ją dostaje. Wszyscy patrzą tylko na nią, kiedy mówi:

– Jestem w ciąży.

[1] Gra słów: *disgrace* w języku angielskim oznacza wstyd, hańbę (wszystkie przypisy od tłumaczki).

[2] Polski tytuł tego filmu to *Jesteśmy tym, co jemy*, jednak w tekście zastosowałam dosłowne tłumaczenie oryginalnego *We are what we are*. Film traktował o rodzinie kanibali.

MARNIE STAŁA NA oszpeconej bocznej części ulicy i patrzyła na kamerę monitoringu. Londyn był zawalony tego rodzaju kamerami. Jej zespół zdobył wiele godzin materiałów i teraz musieli je obejrzeć w poszukiwaniu dziewczyny, która mogłaby się okazać May Beswick. Przepytывanie mieszkańców jest szybsze, ale ma swoje minusy – największym jest to, że niezauważanie niczego jest supermocą londyńczyków.

Obraz nakreślony przez Joego Eatona był dość wyrazisty, żeby Marnie zobaczyła dziewczynę oczami wyobraźni. Farbowane na czerwono włosy, czarne zadrapania na skórze. Gołe stopy. Wchodzi na jezdnię jak nakręcana zabawka. Kto ją nakręcił? I gdzie?

Odwróciła się do miejsca, z którego wyrastały kolejne kamery. Jedna na każdym sześciu mieszkańców miasta. Tim Welland, jej szef, uwielbiał cytować statystyki. Przeciętny londyńczyk był filmowany czterysta razy dziennie, a jednak zaledwie trzy procent spraw rozwiązywano dzięki materiałom z monitoringów. Może Marnie nie miała racji w kwestii tego niezauważania. Może prawdziwą supermocą miasta była paranoja. Ruszyła w stronę osiedla, z dala od śladów hamowania, myśląc o gołych stopach dziewczyny. Biegła, zraniona, szukając bezpiecznego schronienia. Dlaczego więc się nie zatrzymała?

Dwanaście tygodni wcześniej May Beswick była inteligentną, cichą nastolatką. Nie miała żadnych huśtawek emocjonalnych, żadnych lęków, a przynajmniej niczego podobnego nie zauważyli jej przyjaciele i rodzina.

Dziewczyna Joego Eatona krzyczała.

Noah czekał na rogu.

– Ron zajął się przesłuchaniami. – Kiwnął głową w stronę osiedla Garrett. – Mówi, że i tak miał się tutaj rano pojawić.

– Emma Tarvin – przypomniała sobie Marnie. – Zgłaszała dzieciaki wznecające pożary.

– I groźby karalne – potwierdził Noah. – Ron mówi, że to stara hetera, której byle co nie wystraszy. Ed się odzywał?

– Ciągłe jeszcze wydzwania do różnych ludzi, ale rozmawiał już z najbliższym ośrodkiem udzielającym schronienia kobietom. Nie przyjęli zeszłej nocy żadnej nowej dziewczyny. Tak czy inaczej, nie mogłaby tak po prostu do nich wejść z ulicy. Musiałaby wcześniej zadzwonić, a jeszcze wcześniej znać odpowiedni numer. Gdyby miała dostęp do telefonu, mogłaby po prostu zadzwonić na policję. Sprawdzamy zgłoszenia sprzed i po wypadku. Do tej pory nic.

Ruszyli w stronę Garrett.

– Joe Eaton wspominał o gołych stopach. – Noah popatrzył na chodnik. – Ja bym tutaj nie ryzykował.

– Ani tu, ani nigdzie indziej w Londynie. Poza tym robiło się już zimno. Z pewnością szukała jakiegoś ciepłego kąta.

– Jeśli założymy, że była sama. Że ten, przed kim uciekała, nie dogonił jej.

– Tak, zakładając to – przyznała Marnie.

Osiedle Garrett składało się z czterech wysokich bloków połączonych systemem wspólnych balkonów. Bloki były obskurnymi betonowymi pudłami, które oferowały swoim mieszkańcom, najbiedniejszym londyńczykom, bezlitośnie olśniewający widok na rzekę. Mieszkania socjalne, ale śmierdzące w najlepszym przypadku anonimowością, a w najgorszym izolacją. Zabite deskami drzwi i okna przypominały o panującej tu paranoi; to było chyba jedyne, co tu kwitło, bo w cementowych donicach zamiast roślin widać było śmieci. Trawa między chodnikami wyraźnie głodowała, bardziej szara niż zielona. Nawet graffiti, niemal całkowicie wypłowiałe, sprawiało przygnębiające wrażenie.

Przed pierwszym z bloków rozbiła się mobilna jednostka, a Ron Carling właśnie tłumaczył zespołowi, jakiego mogą się spodziewać przyjęcia ze strony mieszkańców.

– Jesteśmy tu tak lubiani jak, nie przymierzając, ebola, więc bądźcie mili. Chcemy wyników na drzwiach, jak mawiał Larry Grayson. O, witam. – Wyszczrzył się do Noaha. – O wilku mowa[3].

– Emma Tarvin – rzuciła Marnie. – Który to numer?

– Siedemset czterdzieści sześć. Czasami nie śpi całą noc, wyglądając przez okno. W końcu biedactwo zaczęło się bać własnego cienia.

– Myślałam, że nazwałeś ją heterą – powiedział Noah.

– To nie znaczy, że nie może się bać.

– Wygląda przez okno – przerwała mu Marnie. – Które?

– Czy wyglądała przez nie także wtedy, gdy przechodziła tędy nasza poszukiwana? – Ron pokazał w stronę szeregu okien na połowie wysokości pierwszego z bloków. – Widok z lotu ptaka, a baba to wścibska stara kwoka. Musi taka być, żeby tu przetrwać. Witamy w tym, co zostało z Lambeth. Gotham to pikus przy tej dziurze.

– Rozchmurz się, Bruce. Poradzisz sobie.

– Bruce? – Ron popatrzył na Noaha. – A, no tak. Bruce Wayne.

– Albo Forsyth. Myślałem raczej o nim. Chodzi o ten wąsik.

Ron prychnął, ale zaraz się uśmiechnął.

– Dobra, róbmy te wyniki.

Na południowej stronie osiedla para dzieciaków kopała osmolony po podpaleniu kosz na śmieci. Kiedy zobaczyły policję, kopały mocniej, aż któryś z mundurowych nie ruszył w ich stronę; wtedy zniknęły szybko między blokami, wessane przez długie cienie wysokich budynków.

– Strach to normalna reakcja na życie w społeczeństwie. – Noah dogonił Marnie. – Czy nie tak mówią?

– Jak dla mnie te dzieciaki wcale nie wyglądały na wystraszone. Co najwyżej znudzone.

– Ojciec nazywał to spadkiem po Thatcher. Nie ma już społeczeństwa, jedynie rodziny i jednostki. *Konkurujące* jednostki. Wszyscy ze sobą konkurują, więc każdy jest zagrożeniem. Udajemy istoty społeczne, ale w rzeczywistości jesteśmy przerażeni. – Noah podrapał się po policzku. – Mój ojciec w rzeczywistości jest znacznie fajniejszy, niż może się wydawać po tym, co powiedziałem. Ale lubi marudzić o starych dobrych czasach, tak coś koło tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego.

– Wtedy się urodziłeś, prawda?

– W miejscu takim jak to. – Wyciągnął szyję, by spojrzeć na przedłużony balkon nad nimi. – Ojciec nazywał je gułagiem. Między innymi.

Jakieś trzydzieści metrów dalej czarnoskóry chłopiec w wieku około dziesięciu lat jeździł w kółko na rowerze, z czapką naciągniętą aż po nos. Rower był dla niego za mały, a z kierownicy zwisały różowe nylonowe wstążeczki. Dzieciak wydawał się karykaturą znudzenia, ale Noah wiedział lepiej.

– To czujka. Ktoś tutaj sprzedaje narkotyki albo skradzione rzeczy. Albo jedno i drugie.

Wiedział, o czym mówi. Marnie usłyszała to w jego tonie, dostrzegła w ostrożnym kroku.

– Myślisz, że mógł wczoraj zobaczyć coś ważnego?

– Może, ale czy się tym z nami podzieli? – Chłopiec zaraz się zmył,

wjeżdżając między dwa bloki. – Wątpię. – Noah nie odwrócił się, żeby spojrzeć na dzieciaka, zamiast tego trzymał prosto głowę, ramiona luźno, czując na sobie jego wzrok. – Gdybyśmy go o cokolwiek zapytali, zaraz mielibyśmy na głowie pracowników pomocy społecznej. Tego typu dzieciaki znają każdą sztuczkę.

Ron patrzył na wszystkich na osiedlu w ten sam sposób, ale Noah był cwańszy. On wiedział, że poufałość to niejedyne, co rodzi tutaj lekceważenie. Marnie cieszyła się, że ma go w swoim zespole.

Dotarli do wejścia do bloku, w którym mieszkała Emma Tarvin.

– No dalej, kochaniutka. – Ron czekał z palcem na przycisku domofonu i ustami przy panelu. – Przecież już mnie znasz. Otwieraj.

Wreszcie odezwał się głos starszej osoby, urywany przez trzaski głośnika.

– Jest was tam cały tłum. Gdzie byliście, kiedy te bachory wpychały różne świństwa w moją skrzynkę pocztową? Na jebanym księżycu.

– Ale teraz jesteśmy tutaj. Proszę nas wpuścić, a zaparzę herbatkę. Potrzebujemy pani pomocy.

– Jakiej niby? W znalezieniu własnej dupy?

Mimo to nacisnęła guzik, wpuszczając ich do środka.

Ron kiwnął głową, pokazując na schody.

– Jest też winda, ale śmierdzi moczem. – Poprowadził ich na górę, głośno tupiąc.

Marnie i Noah ruszyli jego śladem, widząc wszędzie po drodze ślady po pożarze, osmolone ściany, stopiony plastik na poręczach. Marnie nie pierwszy raz znalazła się w spalonym budynku; wiedziała, że to jeszcze nic – to tylko dzieci bawiące się zapalkami. Nie oznaczało to jednak, że nie przerzucą się na benzynę albo paliwo do zapalniczek. Nie tak dawno temu i nie tak daleko stąd nastolatek spalił schronisko dla psów, zabijając dziesiątki zwierząt. Podpalacze mają skamieniałe serca. A ogień szybko się rozprzestrzenia. Za szybko, żeby zmienić zdanie.

– Następne piętro – rzucił Ron.

Nikt nie pojawił się na klatce, kiedy wspinali się po schodach. Nic nie świadczyło o życiu toczącym się w tych mieszkaniach, nie licząc okazjonalnego głośniejszego dźwięku z telewizora. Ilu mieszkańców siedziało teraz w domu? Ilu poszło do pracy? Statystyki tej części Londynu są przygnębiające. Joe Eaton i Calum Marsh w swoich drogich samochodach tylko przejeżdżali tędy do lepszego życia. Aż zdarzył się wypadek.

Emma Tarvin mieszkała na siódmym piętrze.

Marnie zatrzymała się na balkonie, żeby spojrzeć w dół na rozkładającą się mobilną jednostkę. Wróciły dzieciaki, znowu znęcały się nad koszem na śmieci między blokami a główną drogą. Kawalek dalej znajdował się plac budowy przy Elektrowni Battersea, jak rana na tkance miasta. *Miejsca odosobnienia.*

Słowa pojawiły się w jej głowie zupełnie niechciane. Kiedy miała osiemnaście lat, zapłaciła, żeby mieć je wytatuowane na lewym biodrze. Uważała się wtedy za inteligentną buntowniczkę. Czytała te słowa na swojej skórze za każdym razem, kiedy się ubierała albo rozbierała. Ed Belloc też je czytał; był pierwszą osobą, której zaufała w ten sposób. I Stephen Keele, nastolatek w domu jej rodziców. Jej przybrany brat. Zabójca jej rodziców. Właśnie te słowa podał jako powód tego, co zrobił, jakby podburzyły go do morderstwa. Jakby skóra Marnie była instrukcją albo prośbą.

Gdzieś niżej dało się słyszeć huk. Dzieciakom udało się przewrócić pojemnik. Leżał teraz na boku, wysypywały się z niego śmieci. Marnie zamrugła i na powrót skupiła się na sprawie.

Dziewczyna, która mogła być May Beswick, szła tędy ostatniej nocy. Z siódmego piętra można było widzieć miejsce wypadku, a Emma Tarvin lubiła patrzeć. Czy coś zauważyła?

Ron stał już pod drzwiami z numerem siedemset czterdzieści sześć.

– No, pani otworzy, pani Tarvin. Wiem, że już pewnie ma mnie pani dosyć, ale potrzebujemy pani pomocy.

– Legitymacje. – Głos Emmy Tarvin był ostry. Miała drzwi frontowe wzmocnione stalą, całe w śladach po kopniakach. Brązowe plamy znaczyły miejsce wokół zamka i skrzynki pocztowej, dolna krawędź była osmolona, a czerń rozciągała się na całą długość mieszkania. Kobieta mieszkała pod ostrzałem.

Ron podniósł legitymację do judasza.

– No, wpuść nas pani, nie mogę się doczekać herbatki.

– Kto tam jeszcze jest? – Oko w judaszu było ostre jak jej głos.

– Moja szefowa, komisarz Rome. Chce się z panią spotkać. Obiecałem, że powie jej pani to i owo.

Sezamie, otwórz się.

[3] Aluzja do wspomnianego wcześniej Larry'ego Graysona, gospodarza programu *The Generation Game*; mówiło się o nim, że jest homoseksualistą. Z tym programem związana jest też wcześniejsza uwaga o wynikach: właśnie na drzwiach zapisywano punkty uczestników.

– NO, NARESZCIE. Już myślałam, że dawno zdechnę, zanim się ogarniecie. Pewnie spaliłabym się na wiór we własnym łóżku. – Emma Tarvin była potężną kobietą, szerokie ramiona sprawiały, że jej straszna postać wyglądała jeszcze straszniej; miała fioletową sukienkę i cieliste rajstopy; poznaczone siwizną ciemne włosy były ścięte na krótko, blada i kwadratowa twarz nie nosiła śladów makijażu. Brązowe oczy, twarde jak kamienie, skupiły się na Marnie, a zaraz potem przeniosły na Noaha.

– A co to za przystojniaczek?

– To sierżant Jake. Robi świetną herbatę.

– To pan możesz zrobić herbatę. Przystojniaczek – posłała Noahowi uśmiech zdolny zedrzyć mu skórę z twarzy – może iść ze mną. – Kiwnęła głową na Marnie.
– Pani też.

Noah i Marnie ruszyli do pokoju dziennego, pomalowanego na chorobliwie żółty kolor. Usmolone ślady na ścianie od południa i naokoło okna. Siatkowe zasłony, które wyglądały, jakby zostały zafarbowane w mocnej herbacie, do tego agresywnie nylonowy dywan, meble z lat pięćdziesiątych, wszystko oplastikowane co do milimetra. Noah przypomniał sobie mieszkanie swojej babci; było identyczne, miało nawet takie same ochraniacze na zagłówki i lustro w kształcie słońca. Brakowało jedynie fotografii rodzinnych. U babci Noaha pełno było zdjęć jego i Sola. Emma miała siedemdziesiąt sześć lat. Albo nie dorobiła się wnuków, albo trzymała ich fotografie w innym pokoju. Tutaj nie dało się zauważyć żadnych

ozdób, nawet wazonu z kwiatami. Stały za to regały, wypełnione głównie kasetami wideo. Panoramiczny telewizor. Biurko przy oknie, zasypane czasopismami i papierami. Jakby z mieszkania studentów, a nie emerytki. Pachniało też jak u studenta, nieświeżo.

– Możesz usiąść tutaj. – Emma zajęła miejsce na sofie, dając Noahowi znak, że może do niej dołączyć.

Zrobił, jak mu kazała. Marnie wybrała jeden z dwóch foteli naprzeciwko. Ron wrócił z kuchni, niosąc cztery kubki herbaty na poobijanej aluminiowej tacy.

– Kto za nie płaci? – Prychnięcie. – Nazywam się Tarvin, nie jebana Tetley.

– Następnym razem przyniosę pudełko herbaty. – Ron usiadł na drugim fotelu. – I ciasteczka, jeśli pani chce.

– Jeśli ta pozwoli – szarpnięcie głowy w stronę Marnie. – Nie wygląda, jakby jadła ciasteczka. Ja bym miała ochotę na czekoladowego paluszka. – Kolejny obezwładniający uśmiech dla Noaha. – Przepraszam za marudzenie przy drzwiach, ale ciągle mi się tu pałętają różne takie. Ta z dołu otworzyła raz ludziom z pomocy społecznej i co? Zaraz jej wyczyścili wszystko. Tutaj albo się pozamykasz na cztery spusty, albo możesz się już żegnać ze swoim dobytkiem. – Wyciągnęła rękę po kubek herbaty. – Czyli przyszłście posłuchać o moich podpalaczkach. Wreszcie potraktowaliście to poważnie, po zaledwie trzynastu pożarach. Chyba że jesteście tu tylko po to, by mi wygłosić kazanie, jak ci ostatni. „Podpalenie to wołanie o pomoc”. Za dużo tu tego wołania, cholera. Nikt tu nikogo nie słucha. Mnie na pewno nie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przespałam całą noc. Albo coś podpalają, albo mi grożą, albo coś próbują ukraść. Nakopią, narobią hałasu i od razu dają dyla. Albo drą się godzinami. Teraz to już się nawet nie kładę do łóżka. Siedzę i ich wypatruję. – Kiwnęła głową w stronę okna, przygryzając wargę. – Są mniej straszni, kiedy się ich widzi.

– I wszystko pani zapisuje – przerwała jej Marnie.

Noah podążył za jej wzrokiem i zobaczył zeszyt na stoliku obok okna, na wpół schowany pod egzemplarzem „Radio Times”. Wcześniej go nie zauważył.

Emma jeszcze raz przyjrzała się Marnie.

– Jestem skrupulatna. Ktoś tu musi.

– Proszę kontynuować. Wspominała pani, że siada i obserwuje ich.

– Każdej nocy. Są bezczelni. A dziewczuchy najgorsze.

– Natalie Filton i Abigail Gull. Te nazwiska podała pani sierżantowi Carlingowi. – Marnie napiła się herbaty. – Jeszcze ktoś?

– Całe mnóstwo, ale te dwie to prowodyrki. – Chwila ciszy. – Trochę pani za młoda, żeby być jego szefową. – Kiwnęła brodą na Rona, a potem spojrzała na Noaha. – Pozytywna dyskryminacja, prawda? – Miała szczękę boksera wagi średniej. Noah widział włoski na jej brodzie.

– Trzynaście podpaień. W ciągu jakiego czasu? – Marnie dopasowała swój

ton do tonu kobiety, jakby wymierzały sobie nawzajem ciosy.

W przypadku Emmy była to idealna taktyka. Noah zauważył iskrę uznania w oczach staruszki.

– Niecałego roku. Oczywiście wcześniej nie było tu drugiego Frensham – odezwał się Noah.

– Frensham? – powtórzył Ron.

– Najcichsza wioska w Anglii. Albo jedna z najcichszych. Zna pani Frensham, pani Tarvin?

– Tylko z telewizora – odparła staruszka, trzymając kubek w dłoni dwa razy większej od dłoni Marnie i szerszej niż Noaha. Nosila obrączkę obok pierścionka zaręczynowego z kamieniami zbyt stępionymi, żeby były diamentami.

– Powiedziała pani sierżantowi Carlingowi, że za wszystkie trzynaście podpaień są odpowiedzialne te same dziewczyny.

– Bo tak jest. Tylko dlatego, że policja nie potrafi znaleźć dowodów.

– Widziała je pani, gdy podkładały ogień?

– Oczywiście, że nie. Nie są głupie, tylko dzikie. Groziły mi już, rzucały we mnie kamieniami, wpychały różne rzeczy do mojej skrzynki pocztowej. Zapisałam to wszystko i dałam jemu.

– Rozmawialiśmy z tymi dziewczynami i ich matkami. O ojcach nie ma sensu wspominać – powiedział Ron.

Emma prychnęła.

– Oczywiście, że nie. Jeden gorszy od drugiego.

– Czym pani groziły? – zapytał Noah.

– Że doniosą na mnie na policję za szpiegowanie ich. Tak, wiedziałam, że to się wam spodoba. Te dzieciaki *rządzą* całym osiedlem i są bandą pieprzonych dzikusów. – Otaksowała Noaha wzrokiem. – Powinieneś się pan cieszyć, żeś pan tu nie mieszkał. Nienawidzą czarnych, nawet tych przystojnych. Syn pani Singh z piętra niżej trafił do więzienia po tym, jak uznali go za dżihadystę. Nadstawiam karku, żeby im pomóc, i znikąd jebanej pomocy. Wy to niczego się nie dotkniecie z czarnymi, a małych dziewczynek boicie się od czasów Savile'a i reszty tych zbrodni. Boicie się robić to, co do was należy, więc tacy jak ja muszą odwalać robotę za was. I to w moim wieku. Całe noce czuwam zamiast spać. – Jej dłonie zaczęły się trząść, światło odbijało się w sztucznych diamentach. Uspokoiła ręce, a potem syknęła przez zęby. Była starsza niż babcia Noaha i właśnie w tej chwili wyglądała na swój wiek. Powtarzające się próby podpalenia, a ona mieszkała na siódmym piętrze. Jak to było, budzić się w nocy, czując zapach dymu wkradającego się przez szczelinę pod drzwiami frontowymi, i wiedzieć, że nie ma ucieczki?

– Zeszłej nocy też pani czuwała? – zapytała Marnie.

– Każdej pieprzonej nocy. I przez większość dnia też.

– I zapisuje pani wszystko, co wydaje się niezwykle?

– Nie, pani kochana. – Jej głos ociekał sarkazmem. – Tutaj podpalanie i bicie islamskich chłopców to codzienność. Tłumaczyłam już.

– Możemy zerknąć? – Marnie wskazała na zeszyt.

Wzruszenie ramion.

– Proszę bardzo.

Komisarz Rome wstała i to samo zrobił Noah, ciesząc się okazją, by uciec z sofy. Dywan pod oknem był mocno wytarty. Ile godzin dziennie staruszka stała tutaj, wyglądając przez okno? Pilnując dziewcząt, które uczyniły ją więźniem jej własnego mieszkania? Dziewczęta młodsze od May Beswick. Dziewczęta, które uznały wybuchową emerytkę za łatwy cel wybryków. Noah dorastał w otoczeniu tego typu gangów. Dzieciaków, które kroczyły dumnie w stronę dojrzałości, przekuwając strach na coś innego, dość dużego i głośnego, by mylono to z odwagą. Sol ciągle trzymał się z niektórymi gangami, które wtedy znali.

Uratowawszy zeszyt spod „Radio Times”, razem z Marnie zaczął przeglądać notatki, podczas gdy Ron zajmował Emmę rozmową. Staruszka pisała gęsto, ale wyraźnie. Niebieskim długopisem notowała daty, godziny i incydenty. W większości z nich brały udział dwie dziewczyny, których nazwiska podała Ronowi: *NF i AG palą. AG kopie pojemniki. NF śmieci.* Strona za stroną tego rodzaju zapisków, czasami urozmaicanych wzmiankami o wyzwiskach albo bójkach między innymi dziećmi: *AG pcha NCK na ścianę i dusi.* To wydarzyło się więcej niż raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– Kim jest NCK? – zapytał Noah.

– Nieznana czarna kobieta – odpowiedziała Emma.

– Czyli NBK to nieznana biała kobieta? – Marnie dotknęła kciukiem notatki z ostatniej nocy.

– To nie fizyka kwantowa, pani kochana. – Emma przewróciła oczami, zwrócona do Rona, który wyszczerzył do niej zęby.

– Nieznana biała kobieta, którą wczoraj pani widziała. Może ją pani opisać?

– A co tam napisałam?

Marnie odczytała z notatek:

– „NBK. Nowa. Kłopoty?” Na końcu znak zapytania, „nowa” podkreślona.

– A, *ona*. Teraz pamiętam. Pewnie mewka.

– prostytutka – przetłumaczył Ron. – Dlaczego pani tak pomyślała?

– Bo tak była ubrana... A raczej nie była. Chodziła w samych gaciach, ot co.

– Pani Tarvin obejmowała dłońmi kubek. – W strasznym stanie ją widziałam. Sterczące na wszystkie strony czerwone włosy, chwiejny krok. Pewnie pijana. Nie pokazywała się więcej.

– Była sama?

– Kiedy ją widziałam, tak.

– Z której strony szła?
– Z York Road.
– Widziała pani, dokąd poszła?
– A co nawyprawiała? – Popatrzyła po kolei na każdego z trójki. – Jeśli sprawia kłopoty, mam prawo wiedzieć.
– Zeszłej nocy już pani wiedziała, że sprawia kłopoty – odparła Marnie. – Tu jest wszystko napisane.

– Ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba w tej dziurze, to kolejne takie jak tamta. To nie Knightsbridge, pani kochana. Dziwki stąd nie robią zakupów w Harrodsie i nie świecą diamentami. Większość się puszcza, żeby mieć na narkotyki. Zostawiają zużyte gumki na korytarzach i Bóg jeden wie co jeszcze. Więc tak, patrząc na nią, widziałam kłopoty. A po wyrazie waszych twarzy wnoszę, że miałam nosa. Co zrobiła?

– Słyszała pani o wypadku z wczoraj? – zapytał Ron. – To przez nią; weszła na jezdnię.

Marnie zazgrzytała zębami.

– Sierzancie Carling, może zmyje pan po herbacie?

Emma zachichotała.

– Nagrabiłeś sobie, gaduło.

Ron w ciszy zebrał kubki.

– Widziała pani, dokąd poszła dziewczyna? – zapytała Marnie.

– Szła w tę stronę, ale straciłam ją z oczu koło bramy. Zły kąt.

– Czyli weszła między bloki?

– Może. Nie mieszka tutaj, inaczej bym ją zauważyła. A wszystkie widuję, częściej lub rzadziej.

– Zauważyła pani coś jeszcze?

– Tylko tyle, że była pijana i półnaga. Doskonale by pasowała do tego miejsca.

Noah sprawdził widok z okna. Wyliczył, że dziewczyna znajdowała się jakieś dwa, trzy metry od wejścia, kiedy Emma straciła ją z oczu. Niemal na pewno weszła między bloki.

Marnie stała obok i też patrzyła, jednak nie na martwy punkt pod oknem. Raczej na miejsce, gdzie dzieciaki przewróciły pojemnik i wysypały śmieci na beton. Noah dostrzegwał tylko pogniecione pudełka, połamany szkielet starego regału i plamy bieli od foliowych torebek.

– Rozpoznałaby pani tę dziewczynę? – zapytała Marnie Emmę.

– Och, tak. Mam pamięć do twarzy. – Kamienny uśmiech dla Noaha. – Nie musisz być przystojniaczkiem, żebym cię zapamiętała.

– Zróbcie jeszcze raz odprawę – powiedziała Marnie, kiedy wyszli z powrotem na świeże powietrze.

– Myślisz, że jest tutaj? – zapytał Ron. – W jednym z mieszkań?

– Wiem, że przebrała się tutaj. – Marnie podeszła do pojemnika. Już wciągała rękawiczki. – Chyba że to zbieg okoliczności. – Wskazała palcem.

Wśród śmieci z przewróconego pojemnika leżała biała koszula. Noah pomylił ją z torebką foliową.

Marnie wyjęła ją z resztek regału, strząsnęła plastikowe butelki, paczki po chipsach i pudełka po pizzy.

Męska koszula.

Poplamiona od środka czymś, co wyglądało jak krew.

Aimee

KTOŚ PUKA DO drzwi. Na dole, do *frontowych* drzwi. Ktoś próbuje dostać się do środka.

Podnoszę się i nasłuchuję, aż mnie uszy bołą. Nic. Chyba wariuję. Nikt przecież nie przyjdzie, po co miałby to robić? Na ulicy zawsze się człowiekowi wydaje, że już następna osoba go zauważy, że pomoże, ale to oszukiwanie samego siebie. Nikt nigdy nie pomaga, nikt nie przychodzi. Tylko Harm.

– Jestem w ciąży.

Mówiąc to, May trzymała głowę wysoko, jakby teraz nie mógł jej dotknąć. Jakby ciąża robiła różnicę. May ma młodszą siostrę, którą kocha ponad wszystko, i zawsze chciała mieć dziecko. Miło byłoby poznać kiedyś jej siostrę. W tamtej chwili jednak w moich myślach był tylko on i to jego spojrzenie.

– Idź do swojego pokoju.

Po wszystkich jego wykładach, przy wszystkich jego zasadach...

Jestem w ciąży.

Co ona narobiła?

Pokój May znajdował się bezpośrednio pod moim. Dzieliła go z Ashleigh i plastikowymi beczkami wody, paczkami papieru toaletowego, produktami do

czyszczenia, bateriami. Samowystarczalność, powtarza ciągle Harm, przetrwanie. Wszystko jest na miejscu. Nie trzeba się już martwić o to, że będzie nam zimno, mokro albo że zgłodniejemy. Nie trzeba wychodzić, nigdy. Jesteśmy wszystkim, czego nam trzeba, powiada Harm. A mnie się zdawało, że jesteśmy bezpieczni.

Idź do swojego pokoju.

Nikt nie puka do drzwi. Nawet gdyby ktoś pukał, Harm by się go pozbył; zabezpieczanie terytorium to nie jest coś, co się robi raz i potem o tym zapomina. Trzeba cały czas być uważnym i gotowym do działania.

Jestem w ciąży.

Ta jego twarz, kiedy wysłał nas do pokoi. Jakby cierpiał. Jakby w jego głowie rozpętała się burza. Stał przy zasłoniętym oknie, dotykał palcami szkła, a mnie się zdawało, że widzę go w środku, gorącego i czerwonego. On cierpiał.

Jesteśmy dla niego jak ból. Przeciskamy się przez ściany, potrzebujemy oparcia, potrzebujemy pokarmu. Gdyby był kobietą, rozplakałby się, jego ciało poddałoby się cierpieniu, wypuściło je z siebie. Ale jest mężczyzną, więc musiał trzymać cierpienie w ryzach – w nadziei, że się uspokoi, bojąc się alternatywy. Christie, Ashleigh i May...

W zasięgu jego rąk.

Stał przy oknie, całował czubki palców, by poczuć smak szarości szkła.

Przez niego całe moje ciało boli od strachu.

Kiedy May powiedziała, że jest w ciąży, przez sekundę – niechciana – pojawiła się w mojej głowie myśl:

Już nie żyjesz.

KIEDY WRÓCILI NA komisariat, inspektor Welland powiedział:

– Dzwonili z drogówki. Chcą odzyskać swoje miejsce zbrodni. Wspominali coś o... zakrwawionej koszuli w kontenerze?

– W pojemniku na śmieci.

– Tak czy inaczej, podniosło im to ciśnienie. Domagają się wyjaśnień, dlaczego nasz wydział zajmuje się ich wypadkiem. – Welland wbił wzrok w Marnie i Noaha. Zmarszczone brwi odzwierciedlały jego nastrój. – I słusznie. Nawet jeśli wypadek okaże się śmiertelny, to nadal będzie sprawa drogówki.

– Szukamy dziewczyny, która go spowodowała – odparła Marnie. – Uważamy, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

– Z powodu tej poplamionej krwią koszuli? Co z niej wyczytaliście?

– Fran Lennox wzięła ją do siebie. My przeszukujemy osiedle, na którym ją znaleźliśmy. Ta dziewczyna nie jest pierwszą nastolatką, która zaginęła w tej części Londynu w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Może to nawet nasza May Beswick. Jeśli jest choć cień szansy...

Welland powoli pokiwał głową.

– To osiedle Garrett. Ulubiona wakacyjna miejscówka sierżanta Carlinga, takie Algarve podpalaczy. Ale najwyraźniej ktoś był tam wczoraj dość trzeźwy, by zobaczyć tę dziewczynę?

– Emma Tarvin – odparł Noah. – Potwierdziła to, co powiedział nam Joe Eaton o dziewczynie, która wygląda na przerażoną, prawdopodobnie

straumatyzowaną.

– Tarvin. – Welland przygryzł górną wargę. – To ta wścibska emerytka?

– Robi notatki o każdej osobie, która zbliża się do jej mieszkania na odległość kilku metrów – wyjaśniła Marnie.

– Marnuje mnóstwo papieru.

– Ale szybsze to niż przeglądanie nagrań z monitoringu.

– Wszystko jest szybsze od przeglądania nagrań z monitoringu, ale nie puściłbym jej jako świadka prokuratury. Robicie przesłuchania?

Marnie pokiwała głową.

– Niestety nie wszyscy są tak rozmowni jak Tarvin.

– A to zaskoczenie – prychnął Welland. – Socjał w pełnej krasie. Kiedy ostatni raz tam byłem, miałem ochotę coś podpalić tylko po to, by stopić te lodowate spojrzenia. Nikt nikogo nie zna, wszyscy mają wszystko w dupie. Ochrona to jakiś żart. Darujcie sobie monitoring. Od lat nie działa. Szkoda im pieniędzy... Z tego, co mówił Carling, ostatnio jest nawet gorzej.

– Tarvin się z tym zgadza. Ma problem w szczególności z grupką nastolatek.

– Dzieciaki – rzucił z obrzydzeniem Welland. – Nie bez powodu obniżyli wiek odpowiedzialności karnej, ale w większości przypadków i tak nie możemy nikogo aresztować, nie mówiąc już o postawieniu zarzutów. I oni o tym wiedzą. Widziałem już sześć- i siedmiolatki, które lecą do jakiegoś dilerka po działkę dla mamusi. Jeśli ta dziewczyna faktycznie weszła na Garrett, powodzenia z szukaniem jej. – Popukał kciukiem w zęby, kręcąc głową. – May Beswick miałyby dość oleju w głowie, by się tam nie pchać.

– A przynajmniej tak nam się wydaje – uściślił Noah.

Welland uniósł brwi i spojrzał na niego.

– Co za godny pochwały pesymizm. – Kiwnął głową na Marnie. – Kup mu za to dużą kawę.

Marnie zrobiła, co szef jej kazał, i stanęła na ulicy przed wejściem do komisariatu, żeby wypić kawę z Noahem.

– Minęło już tyle czasu, odkąd ostatni raz mieliśmy dla nich jakieś wieści. – Sierżant Jake musiał osłaniać oczy przed słońcem odbijającym się w oknach budynku. – Co, jeśli niepotrzebnie narobimy im nadziei?

Marnie zdjęła pokrywkę z kubka.

– Kiedy prasa dorwie się do historii z wczoraj, rodzice May sami do nas zadzwonią. Wolę ich uprzedzić.

– Naprawdę uważasz, że to może być May? Tarvin pomyliła ją z prostytutką. Albo pijaczką. – Noah zmarszczył brwi. – O ile się pomyliła. Skoro nikt jej właściwie nie rozpoznał, co możemy im powiedzieć?

Marnie najpierw napiła się kawy, a dopiero potem odpowiedziała.

– Zobaczą powiązanie między jedną a drugą sprawą, bo tego właśnie potrzebują. Ta dziewczyna jest żywa. Będą chcieli wierzyć, że to May. Ja na ich miejscu tak bym zrobiła.

– Ciekawe, jak Loz sobie radzi. – Sierżantowi zrobiło się żal młodszej córki Beswicków. – Biedaczysko.

Loz miała trzynaście lat i była nad wyraz inteligentna jak na swój wiek. Żyła teraz w domu, który rozpadał się pod ciężarem stresu związanego z zaginięciem jej siostry. May miała szesnaście lat i żadnego sensownego powodu, by uciec, a przynajmniej żadnego, o jakim wiedzieliby Noah i Marnie. Bać się najgorszego jest łatwo. Trudniej o nadzieję na lepsze.

– Są jakieś wieści ze szpitala o Loganie Marshu albo Ruth Eaton?

– Logan pozostaje w stanie krytycznym. U Ruth stabilnie, przynajmniej na razie.

– Jeśli znajdziemy tę dziewczynę... Drogówka będzie chciała ją oskarżyć?

– O co? Zakłócenie porządku publicznego? – Niebieskie oczy Marnie były ciemne, poważne. – Zaatakują Joego Eatona, jeśli już. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego skręcił, zamiast hamować, i znalazł się po złej stronie jezdni, zachowując prędkość dość wysoką, by spowodować tak poważny wypadek. Powiedział, że nie przekroczył limitu, więc dlaczego nie miał czasu się zatrzymać albo chociaż zwolnić? Będzie musiał odpowiedzieć na kilka trudnych pytań, zwłaszcza że brakuje świadków.

– Twoim zdaniem Tarvin miała rację, mówiąc, że dziewczyna była pijana albo naćpana?

– Kłopoty, takiego użyła słowa. Nowa i kłopoty. Nie wydaje mi się, by Tarvin poświęcała zbyt wiele czasu jakimkolwiek dzieciom.

– Nie widziałem żadnych zdjęć rodzinnych. To dziwne, gdy ktoś z jej pokolenia nie ma dzieci albo wnuków.

– Rodziny się kłóca. I rozpadają.

– Mieszka tam zupełnie sama. Nie chciałbym, żeby moja babcia tak skończyła, a ty?

– Myślę, że całkiem nieźle sobie radzi. – Nieco oschły ton. – Ale nie, nie chciałabym.

– Przeprowadziliśmy przesłuchania na Garrett zaraz po zaginięciu May. To ta sama część Lambeth. Nikt niczego nie widział, nawet Tarvin.

– Owszem – zgodziła się Marnie. – Dziewczyna znalazła gdzieś ubrania na zmianę. Możliwe, że albo sama mieszka na tamtym osiedlu, albo zna kogoś, kto tam mieszka.

Innymi słowy, to nie May Beswick.

– Myślisz, że może znać Natalie Filton albo Abi Gull, nasze przyjacielskie

osiedlowe podpalaczki?

– Nie wierzymy we wszystko, co mówi Tarvin. – Marnie wyrzuciła pusty kubek po kawie do śmieci. – I jedźmy do Beswicków, zanim sprawa dostanie się do prasy.

Sean i Katrina Beswickowie mieszkali w domu szeregowym na Taybridge Road, niedaleko Clapham Common. Dom miał okna wykuszowe i kurczowo trzymał się oryginalnego projektu, jak staruszka swojej torebki po odebraniu emerytury z poczty. Sąsiedzi postawili sobie betonowe ogrodzenie, ale Beswickowie woleli ligustrowy żywopłot, który do niedawna regularnie przycinali. W ciągu ostatnich trzech miesięcy wyrosła mu nierówna grzywka.

Drzwi otworzył ojciec May; jego twarz nabrała ponurego wyrazu, gdy zobaczył Marnie i Noaha.

– Żadnych wieści – powiedziała od razu Marnie, wiedząc, czego się obawiał.
– Wciąż jej szukamy.

– Zapraszam. – Otworzył szerzej drzwi.

Poszli za nim do pokoju dziennego. Mając ponad metr dziewięćdziesiąt, Sean jako jedyny nie musiał zadzierać głowy, żeby spojrzeć na obrazy, które zbyt wysoko powiesił na ścianach. Mdłe krajobrazy, które Dan nazywał graffiti dla klasy średniej. W wybebeszonym kominku znajdował się stojak na wina. Żadnych książek. Telewizor z płaskim ekranem i półki pełne szkła, lepkiego od kurzu. Białe ściany, dużo wolnej przestrzeni. Agent nieruchomości nazwałby ten dom jasnym i słonecznym. Ale wcale taki nie był, zgięty wpół pod ciężarem zaginionego dziecka.

– Jak się miewa Katrina? – zapytała Marnie. – I Loz?

– Wracają właśnie z pracy i szkoły. – Sean wepchnął pięści do kieszeni dżinsów. Garbił się jak większość bardzo wysokich ludzi, głowę z jasną czupryną trzymał nisko, ramiona skulone. Nie był ubrany jak do pracy, nie ogolił się. Na niskim stoliku przy sofie stał otwarty laptop. Sean zerknął w tamtym kierunku.

– Rejestrowałem się na stronach, które zajmują się szukaniem zaginionych dzieci; forach, gdzie dzieci zostawiają wiadomości. Choć w zasadzie May nie interesowała się komputerami, nie korzystała nawet z telefonu, który jej kupiliśmy. Loz... wiecie już, że Loz żyje Internetem. – Zadrżał, wycofał się. – Oczywiście jesteśmy ostrożni. Założyliśmy blokadę rodzicielską na najgorsze strony.

– A szkoła? Jak jej idzie w szkole? – Marnie posłała mężczyźnie swój pewny uśmiech.

– Pytania, wyrazy współczucia, wie pani. Niektóre dzieciaki są okrutne, może świadomie, może nie. Spekulują, czy May jeszcze żyje, czy uciekła sama, czy ktoś ją porwał. Szkoła się z nimi rozprawia, ale po jakimś czasie zaczynają od

nowa. Chciałbym, żeby Loz mogła zostać w domu, ale nie może. Zgodziliśmy się, że musimy spróbować żyć jak wcześniej. – Zamrugał, patrząc na drugą stronę pokoju, jego oczy były brązowe jak u May, ale cierpienie sprawiło, że poruszały się nerwowo. – Wrócić do normalności.

– Może usiądziemy? – zaproponowała Marnie.

– Oczywiście, przepraszam. – Schylił się, żeby zamknąć laptop. – Zaparzę kawę. Napiją się państwo? – Ruszył w stronę kuchni, utykając pod ciężarem bólu.

– Wystarczy woda. – Marnie pozwoliła mu odejść. Noah został z nią i przyglądał się małym zmianom, jakie zaszły w otoczeniu, odkąd ostatni raz tu przyjechali. Z każdą wizytą nieco więcej kurzu, nieco grubsza warstwa zaniedbania. Jeden z krajobrazów na ścianie był przechylony. Zwracał uwagę jak odcisk dłoni.

Sean wrócił z kuchni z dwiema szklankami wody.

– Proszę.

– Dziękuję. – Marnie usiadła na sofie. – Chcieliśmy pana ostrzec. Jutro albo nawet jeszcze dzisiaj pojawi się w mediach pewna sprawa. – Poczekala, aż Sean zajmie miejsce obok, włoży dłonie między kolana. – Być może już pan słyszał o wypadku z wczoraj.

– Zamknęli York Road. – Sean pachniał starym potem i papierosami. W domu nie było widać żadnych popielniczek. Może palił w ogrodzie. – Kat musiała szukać innego dojazdu do pracy.

– Jeden z kierowców widział na miejscu wypadku dziewczynę. Szukamy jej. Będziemy musieli zgłosić się po pomoc ogółu, jeśli jej wkrótce nie znajdziemy.

– To może być May? – Gdy pochylił się do przodu, strzyknęło mu w ramionach. – Kierowca zobaczył May?

– Pokazaliśmy mu zdjęcie, ale jej nie rozpoznał. Szukamy innych świadków, przede wszystkim jednak nie chcielibyśmy, żeby zakładali państwo, że to May. Prasa na pewno będzie spekulować, ponieważ wypadek wydarzył się niedaleko, a wszyscy czekają na wieści o May.

– Na początku faktycznie czekali – powiedział Sean. – Przestali mieć nadzieję po pierwszych dwóch tygodniach. My nie. My nie możemy. Ale nie ma sensu oczekiwać od zwykłych ludzi, że tak długo będą się przejmować czyimś dzieckiem. Kat mówi, że w pracy nikt na nią nie patrzy, jakby wszyscy uznali, że minęło już zbyt wiele czasu, że May na pewno... nie żyje. – Zacisnął szczęki, wymawiając dwa ostatnie słowa. – Zaczną znowu, kiedy zacznie się proces. Kiedy znajdziecie tego, który jej to zrobił. – Na jego twarzy przez chwilę malowała się rozpacz, jednak zaraz ją ukrył. – Ja wcale tak nie myślę. To oni tak myślą, nie my. My ciągle mamy nadzieję.

Nieprawda. W jego twarzy nie dało się dostrzec choćby cienia nadziei. Jakby nie miał już wątpliwości, że jego córka nie żyje.

– Rozumiemy – powiedziała Marnie. – My też się nie poddajemy.

– Przyszli państwo ostrzec nas, żebyśmy nie robili sobie nadziei. Kiedy usłyszymy wieści o tamtej dziewczynie, mamy nie robić sobie nadziei. O to chodzi, prawda?

– Chciałam, żeby wiedzieli państwo tyle, ile my na tym etapie. Obawiam się, że to niewiele. Jak już wspominałam, kierowca nie rozpoznał May, jednak staramy się zrobić wszystko, żeby zyskać pewność.

Sean pokiwał sztywno głową.

– Rozumiem. Nadzieja to straszna rzecz. Tego się nauczyłem przez ostatnie trzy miesiące. Okropna, okropna rzecz. Ale nie można przestać. My nie stracimy nadziei. Chyba że nas jej państwo pozbawią. – Wskazał swoim pożółkłym od papierosów palcem na ulicę. – Kiedy zapukacie do tych drzwi i powiecie, że ją znaleźliście, wtedy przestaniemy.

Aimee

ASHLEIGH SIEDZI W ŁAZIENCIE i próbuje zmyć z twarzy wosk i ślinę. Słyszę, jak się rusza. Cieszy się, że wreszcie przestała być w centrum uwagi, nawet jeśli jeszcze nie pozbyła się śladów. Nigdy nie lubiła May, a mnie nienawidzi. „Byłam tu pieprzone trzy miesiące – powtarzała ciągle – zanim wy dwie się pokazałyście”.

Prawda, ale to nie moja wina, że Harm to właśnie mnie lubi najbardziej. Przecież to nie tak, że *chcę*, by mnie lubił.

Christie spędziła z nim prawie dwa lata, więcej niż ktokolwiek z nas. Grace znalazła jakiś rok temu, a potem we dwie znalazły Ashleigh. Zawsze ta sama historia, ten sam haczyk.

– Znam takiego jednego kolesia – powiedziała na pewno Christie. – Ma dom i pozwoli nam się tam zatrzymać, jeśli będziemy grzeczne.

Grace musiała odpowiedzieć w ten sposób:

– Tak? Mamy być grzeczne na plecach czy na kolanach?

Ashleigh też.

A wtedy Christie rzuciłaby:

– To nie tak.

I Ashleigh z pewnością poczuła się rozczarowana.

Dom okazał się całkiem niezły. Czyste ubrania, ciepła woda, jedzenie. I wszystko za darmo, a nawet jeśli nie, to co z tego? Każde z nas miało coś gorszego na sumieniu, życie na ulicy. Oprócz May, ale ona miała mnie. Wydawało nam się, mnie i May, że wszystko jest super, bo mamy siebie. Dopiero kiedy dom okazał się za mały i przenieśliśmy się do mieszkania, bajka się skończyła. Głupie, rozmarzone dzieciaki. Ale te dzieciaki nie zasłużyły sobie na to. May sobie nie zasłużyła.

Nasza największa głupota: wydawało nam się, że wybór był nasz, a nie jego. Że to takie cwane, podstępem skłonić go do zapewnienia nam dachu nad głową, darmowego jedzenia, prezentów. Ashleigh z cyckami jak dwie bomby, gotowe wybuchnąć. Dzika Grace, wiecznie wszczynająca kłótnie. May, która wyglądała jak aniołek, ale nim nie była – i teraz wszyscy o tym wiedzą. I ja, ofiara. Jego pupilek. Lubi siedzieć przy moim łóżku i trzymać mokrą szmatkę na moim czole, podnosić szklankę do ust. Nie dotyka mnie, chyba że chce zmierzyć mi puls, a nawet wtedy nie robi tego tak, jak by się można spodziewać. To nie on jest chory, lecz ja. Każdego dnia moje siły słabną, robię się mniej sobą. Harm wyciera mnie ze mnie swoimi zimnymi szmatkami i gorącym spojrzeniem.

Jeśli myślicie, że wariactwem było przyjście tutaj, informuję, że nie zawsze tak to wyglądało. Kiedyś było super. Dziewczyny chciały być grzeczne, właśnie w tym rzecz. Nie jest łatwo być grzecznym w oczach Harma. On nie jest jak inni mężczyźni, jak większość mężczyzn. Żałuję, ale nie.

Mężczyzn rozumiem. Wiem, czego chcą i jak ich uszczęśliwić – ale Harm jest inny. Grace myślała inaczej i właśnie dlatego musiała odejść. Obraziła go, sugerując, że pragnie nas w ten sposób. Wcale tak nie jest. Mnie się wydaje, że on nie może. Nigdy nie dotykał May, ale zaszła w ciążę i nikt nie wie jak. Nie chce powiedzieć, nie odzywa się nawet słowem.

Słyszę, jak Ashleigh kończy w łazience i wraca do swojego pokoju. Jest cicho, tylko hałas Londynu obmywa okna. Czekam, aż wróci May. Zawsze przychodzi do mnie przed pójściem spać. Żeby pogadać, powiedzieć dobranoc. Muszę wiedzieć, czy wszystko z nią okej.

To miejsce – czuję, jak wrze pode mną.

Chcę, by była ze mną na górze, nie na dole z nim. Oczami wyobraźni widzę, jak biegnę do jej pokoju, mam w nosie spojrzenia Ashleigh i ryzyko przyłapania przez Christie czy Harma. Ale brakuje mi odwagi.

Całe życie brakuje mi odwagi.

Jestem w ciąży.

Liczę minuty, godziny odkąd wypowiedziała te słowa.

Chcę ją mieć przy sobie.

Boję się, gdy jest na dole, z nim.

I że odwrócił się do niej plecami.

OTWIERAJĄC DRZWI WEJŚCIOWE, Noah usłyszał włączony telewizor. Krzyki, pociski, zwierzęce wrzaski, mlaszczące odgłosy. Kolejny maraton filmów zombie. Wrzucił kluczyki do miski w korytarzu i zsunął buty, przechodząc do pokoju dziennego.

Jego młodszy brat Sol leżał rozwalony na kanapie obok Dana, ich twarze oświetlał na czerwono i zielono ekran telewizora, który właśnie pokazywał zbliżenie głowy odcinanej maczetą.

Sol wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Hej, bracie.

– Hej. Przepraszam za spóźnienie. Przegapiłem kolację?

– Odebrałem wiadomość. – Dan podniósł się i okrążył kanapę, żeby pocałować Noaha na przywitanie. – Zamówiłem chińszczyznę. Powinna być za dwadzieścia minut.

W telewizorze jakiś mężczyzna uzbrojony w łuk mierzył w stronę zbliżającego się umarlaka. Sol klepnął się po kolanach.

– Zaraz dostaniesz, głupie ścierwo!

– Film dostał Złotego Globa – rzucił niewinnie Dan.

– Dwadzieścia minut do kolacji? – Noah przełożył kciuk przez szlufkę dzinsów Dana i pociągnął go za sobą do sypialni. – Pomóż mi popracować nad apetytem.

Dan pchnął stopą drzwi do pokoju dziennego, zostawiając Sola sam na sam

z telewizorem.

– Powinniśmy podgrzać talerze.
– Tak, ale najpierw rozgrzej mnie.
– Ciebie nie trzeba rozgrzewać, zawsze jesteś gorący. – Dan rzucił krawat Noaha za jego ramię, a potem pochylił się, by polizać jego szyję. – I smakujesz też dobrze.

Noah rozluźnił biodra, opadając w objęcia Dana; jego oddech przyśpieszył.
– Chryste... Za dużo się naoglądałeś tych umarlaków.
– Nie lubisz, gdy ktoś cię gryzie?
– Wolę, jak mnie ssiesz. – Pociągnął jasną grzywkę Dana, chcąc spojrzeć w jego niebieskie oczy. – Albo całujesz.

Dan przycisnął go do ściany, całując tak, że Noahowi zakręciło się w głowie.
– Smakujesz jabłkami.
– To był mój lunch.
– Komisarz Rome cię nie karmi?
– To nie jej zadanie. Byliśmy zajęci. Na Battersea, niedaleko elektrowni.

Dan zaczął ocierać się o biodra Noaha.
– Bardzo mi się tam podoba. Ciągle mnie ktoś zaprasza na ostatnią wspinaczkę przed rozbiórką pozostałych kominów.
– Ci twoi koledzy od hakowania dachów i tuneli – domyślił się Noah.
– Miejscy eksploratorzy – poprawił go Dan. – Odbieramy miasto planistom...

– ...i dajecie się aresztować za wtargnięcie. Łamiecie sobie karki. Dobrze, że jesteś zbyt mądry, żeby się zgadzać na propozycje tych ćpunów uzależnionych od adrenaliny.

– Tu nie chodzi tylko o adrenalinę. – Dan oparł rękę obok głowy Noaha, całując go między jednym a drugim zdaniem. – Chodzi o powrót do tego, co nasze, pokonywanie ogrodzeń, przedostawanie się pod naskórek miasta.

– Hmm. Twoi kumple prędzej czy później zostaną złapani. W Wielkiej Brytanii jest więcej kamer niż we wszystkich pozostałych krajach Europy razem wziętych. Wiedzą o tym, prawda?

– Wiedzą, że sypiam z policjantem. To mocno ogranicza liczbę zaproszeń.
– Liczy się efekt. Nie chciałbym być zmuszony przykuć cię kajdankami do jakiejś siatki.

– Nic takiego się nie zdarzy. – Dan roześmiał się z ustami przy szyi Noaha. – Ale wiem, skąd to wszystko wynika, a ty nie? Nikt już dzisiaj nie ma swojej przestrzeni. Ciągle pewnie to widzisz. Dzieciaki snują się po ulicach, nie mając gdzie się podziać, nie szanują cudzej własności i ignorują ostrzeżenia. Nie mają swojego miejsca, więc wszystko jest dla nich. Chodzą, gdzie chcą, robią, co chcą.

– Twoi przyjaciele nie są dziećmi i nie są biedni. Większość pracuje i dobrze

zarabia. Gdyby było inaczej, nie mieliby funduszy na eksplorację.

– Dlaczego w ogóle o tym mówimy? – Dan znowu go pocałował. – A, no tak. Elektrownia Battersea, falliczne kominy, ty i twoje gorące ciało...

Ktoś nacisnął dzwonek domofonu, domagając się, żeby wpuścić go do budynku.

Sol wystawił głowę za drzwi do pokoju dziennego.

– Kolacja przyszła.

– Odbiorę. – Dan odsunął się od Noaha. – Ty możesz podgrzać talerze. –

Wyszedł z mieszkania.

Sol pokręcił głową, patrząc na brata i wypychając językiem wnętrze policzka.

– Nawet nie zdjęłeś garniaka. Co by na to powiedziała twoja szefowa?

– Zapytałaby, czy mój młodszy brat ciągle u mnie nocuje i jeszcze podkrada mi kartę miejską.

– Musiałem podjechać do domu po coś. – Sol zaczął szukać karty w spodniach. – Nie ma się co wściekać.

– Następnym razem poproś o pieniądze. – Noah włożył kartę do kieszeni. – Potrzebuję jej.

– Luz. – Sol ruszył do kuchni. – Piwa?

Dan wrócił z papierowymi torbami pachnącymi smażonym ryżem.

– Zjedzmy.

Właśnie wykładali kolację na talerze, kiedy odezwał się telefon Noaha.

– Tak, szefowo?

– May Beswick. – Marnie przeszła od razu do sedna, obdzierając rozmowę ze skóry. – Znaleźliśmy ją.

Martwą.

Noah słyszał to w jej głosie.

May nie żyła.

Odstawił pudełko z ryżem, odwrócił się plecami do stołu.

– Gdzie?

– W Elektrowni Battersea. Jak szybko możesz przyjechać?

LONDYN ZAGLĄDAŁ PRZEZ wysokie okna, by przyjrzeć się temu, co się stało. Jego cienie plamiły podłogi i ściany, a także szklany żwirek w glazurowanych donicach z tłustymi kaktusami. Te same cienie kładły się na stopach i nogach dziewczyny, zebrały się na wgłębieniu jej brzucha jak kałuża brudnej wody.

Noah stał w penthousie plecami do słynnych kominów elektrowni, patrząc na martwą córkę i siostrę. Zamordowaną dziewczynę.

Londyn spoglądał beznamiętnie na May Beswick. Obmywał jej twarz, przyciskał dłonie do boków, utrudniał rozczytanie czarnych liter na jej ciele. Wyglądała na taką drobną, leżąc na łóżku. Miała szesnaście lat. Była naga, jeśli nie liczyć białych bawełnianych majtek i napisów. Jej ciało było pokryte napisami. Poczynionymi czarnym tuszem markera.

Brzydka. Dziwka. Pies. Suka. Te same słowa, raz po raz. W górę nóg i w dół rąk. Przez brzuch i piersi. Wysoko, aż po mostek. *Suka. Dziwka. Pies.*

Na otwartych dłoniach. *Dziwka.*

Słowa krzyczały, wypełniały pokój, pulsowały w czaszce Noaha, jakby ktoś podkręcił głośność. Wszystko krzyczało. Kolory, zapach, jej bezruch. To, jak leżała na łóżku, z bladymi włosami rozczesanymi schludnie na poduszce.

Wciąż miała pulchne policzki i szerokie czoło, lecz nie była już dziewczyną z fotografii, która nawiedzała go w snach przez ostatnie dwanaście tygodni. Słyszał szcztokę czeszącą jej włosy, krew powoli krzepnącą na tylnej części jej nóg.

Zacisnął zęby, zacisnął dłonie w pięści, skupiając się na zbrodni.

Słowa były starannie napisane na lewej stronie jej ciała. Jeśli była praworęczna, mogła to zrobić sama. Trudno było na nią patrzeć, ale musiał. Na tym polegała jego praca, jedyny powód, dla którego się tutaj znalazł i wbijał wzrok w martwą nastolatkę. Raczej usłyszał, niż to zobaczył: wysoki dźwięk skrobania, dodatek do hałasu w jego głowie.

– Potrzebujemy techników. Fran Lennox... – Marnie rozmawiała przez komórkę. Jej usta zacisnęły się w cienką kreskę. – Nie, chcę Fran. Powiedz jej, że prosiłam konkretnie o nią. I niech wsparcie ofiar siedzi pod telefonem. – Stała przy nogach łóżka. – Mamy tu morderstwo.

Noah niemal słyszał, jak na gardle May zaciskają się męskie dłonie. Duże, ich rozmiar krzyczał z sinego śladu na skórze. Została uduszona. Niedawno, sądząc po kolorach. Słyszał jej stopy uderzające o podłogę. To nie wydarzyło się tutaj.

– Mów do mnie – powiedziała Marnie. – Opisz, co widzisz.

– Nie zrobił tego tutaj. Była już martwa, kiedy ją tu położył. To nie... Nie wydaje mi się, by chodziło o seks. Ona jest... dzieckiem. On widzi w niej dziecko.

– Rozebrał ją.

Noah pokręcił głową w proteście.

– Wygląda jak dziecko.

– Szukaliśmy dziecka. Córci Beswicków. *Ich* dziecka.

– Siostry Loz. – Było mu niedobrze. – Starszej siostry Loz.

– Dlaczego nie dostrzegasz w tym podtekstu seksualnego? Powiedz mi, co widzisz.

– To, jak uczesał jej włosy... – Noah widział już kobiety ułożone przez morderców jak anioły albo jak dziwki. Tutaj było inaczej. – Uczesał jej włosy jak dziecku.

– Mnóstwo ludzi zabija dzieci. Za dużo.

– Tak. Ale to nie brzmi... nie *wygląda* w ten sposób. Nie dla mnie. – Musiał odwrócić wzrok od łóżka, choć na chwilę.

Wisiał nad nim obraz elektrowni. Mroził peryferia jego pola widzenia, odkąd wszedł do pokoju. Zimne, szare studium skali i śliskiej głębi – sprawiało wrażenie, że jakby patrzyło się na nie zbyt długo, wpadłoby się do płótna i walczyło w nim jak mucha na pajęczynie przed śmiercią, przed pożarciem żywcem przez kwas. Noah widział takie obrazy w galeriach, które odwiedzali razem z Danem. Brud starty z łuków mostów kolejowych i kanały burzowe czyniły go tłustym i nieregularnym, skrzący kurz i włosy wyrastały jak cysty pod naskórkiem płótna. Kiedy na nie patrzył, żołądek wywracał mu się na drugą stronę.

– Jak ją tu wniósł? – Marnie odwróciła się od łóżka w stronę wysokich okien. – Budynek ma ochronę. Zapewne lepszą niż ta, jaką zostawią tu po skończeniu budowy. Monitoring, alarmy, patrole.

Właśnie jeden z patroli wezwał policję. Ochroniarz w trakcie obchodu znalazł ciało May i zadzwonił; wydawał się obrzydzony, ale nie spanikowany.

– Jamie Ledger, były żołnierz – powiedziała Marnie. – Widział już gorsze rzeczy, ale nie w Londynie. Spodziewał się spokojnej roboty. Musimy z nim porozmawiać.

Noah pokiwał głową, ale nie ruszył się z miejsca. Chciał zostać tutaj, dopóki ciało nie ucichnie.

– Zabójca ryzykował, przynosząc ją tutaj. – Kominy czaiły się za jego plecami. Monolityczne. Ikoniczne. – Chciał, żebyśmy ją znaleźli. Tutaj... dokładnie tutaj. – Z uczesanymi włosami, z rękami po bokach. – To rytuał albo wyznanie. – Cała wiedza wyniesiona ze szkoleń z psychologii i kryminalistyki podpowiadała mu, że ma do czynienia z kimś, kto nie poprzestanie na jednym razie. – Monitoring, alarmy, patrole. Zadał sobie wiele trudu, żeby ją tutaj zostawić.

– To wiadomość – zgodziła się Marnie. – Ale jaka? Co próbuje powiedzieć?

– Miał dostęp do budynku albo zna kogoś, kto ma ten dostęp. Potrzebujemy nazwisk wszystkich, którzy znają tutejszą ochronę. Musiał przyjść tutaj przed zabiciem jej. Myślę, że... zobaczył to wszystko i chciał, żeby stała się tego częścią.

– Kosztowne miejsce spoczynku – mruknęła Marnie. – Zostałaby znaleziona, i to szybko. Masz rację. Pracownicy, agenci nieruchomości, potencjalni kupcy... Potrzebujemy listy wszystkich ludzi, którzy wykazali zainteresowanie tym mieszkaniem w ciągu ostatnich dwunastu tygodni.

Noah patrzył, jak światła przeciągają się w Tamizie.

– Rozmawiałem z Danem o tym miejscu. Wspominał o miejskich eksploratorach, o hakerach przestrzeni. Uwielbiają tę okolicę.

– Nie wszyscy znajdują się na liście. Okej. Ale musimy od czegoś zacząć.

Noah pokiwał głową, wspominając coś jeszcze, co Dan powiedział na temat przyciągania, jakie czują amatorzy takich miejsc.

Przedstawianie się pod naskórek miasta.

Odwrócił się z powrotem w stronę łóżka. Wciąż krzyczały. Słowa na jej ciele. Jego głowa pulsowała czernią.

– Twoim zdaniem sama to na sobie napisała?

– W jej pokoju było mnóstwo cienkopisów. Sean wspominał, że ciągle coś rysowała.

– Elektrownia Battersea... Czy to nie jedno z miejsc, które były na obrazkach?

Marnie pokiwała głową.

– To miejsce znaczyło coś także dla niej. Nie tylko dla zabójcy. – Stanęła obok niego przy łóżku. – Mów dalej. Co jeszcze?

– Dwanaście tygodni i jeden dzień. – Noah popatrzył na dłonie i stopy May.

– Trzymał ją w jakimś porządnym, czystym miejscu. Karmił ją, opiekował się nią. Paznokcie ma przycięte, nogi niedawno golone, włosy umyte... Uczesał je już po wszystkim. Po dokonaniu zbrodni. Czy resztę też mógł zrobić po jej śmierci?

– Nie wszystko – powiedziała Marnie. – Spójrz na jej skórę. Żadnych siniaków, nie licząc tych na szyi. Żadnych otarć, żadnych widocznych śladów. Nie jest niedożywiona. Ktoś o nią dbał albo pozwalał jej dbać o siebie. Nie zrobiłaby tego wszystkiego, gdyby się bała, gdyby myślała, że jest w niebezpieczeństwie.

– Pismo jest brzydkie. Myślisz, że robiła to sobie jeszcze przed ucieczką z domu?

– Być może. Pytaliśmy Beswicków o samookaleczenie i zaprzeczyli.

– Czy to samookaleczenie?

– Na pewno jest to samokrytyka. Może ostrzeżenie. – Marnie odwróciła wzrok, przez chwilę milcząc. – Wciąż ma blond włosy i nie jest chuda. Ale myślę, że powinniśmy zapytać Joego Eatona o dziewczynę, którą widział. Zwłaszcza o czarne zadrapania.

Noah popatrzył na poszarpane linie tuszu na ciele May.

– Myślisz, że też była popisana?

– Tak, tak mi się wydaje.

– One się *znały*? May i ta druga dziewczyna? A może obie znały zabójcę?

– Wcale tak nie twierdzę. To wszystko może być tylko zbiegiem okoliczności.

– Nie ma zbiegów okoliczności – odparł odruchowo Noah.

– Czytał je. – Marnie mówiła tak cicho, że musiał obrócić głowę w jej stronę.

– Skrzywdzone dziewczyny, uciekinierki. Odszukiwał je, zabierał do siebie. I czytał. Czytał z ich skóry. – Spojrzała na Noaha. – Musimy go odnaleźć, zanim zrobi to jeszcze raz.

Rytuał. Widowisko...

Wszystko sugerowało początek seryjnych zabójstw.

Londyn był pełen zaginionych dziewcząt.

Ile z nich już zdążył odnaleźć ten mężczyzna?

Aimee

MAM JEJ FLAMASTRY. Te, którymi pisała po swoim ciele. To był pomysł Grace, ale May dotrzymywała jej towarzystwa, żeby Grace nie czuła się takim dziwadłem, żeby nie czuła się tak samotna. Nienawidzę tego pisania, tych kłamstw. *Brzydka. Suka. Dziwka.* Żadne z tych słów nie było prawdą, ale ona nie chciała słuchać, nie chciała przestać.

A teraz jej nie ma.

Nie mogę w to uwierzyć. Nawet się nie pożegnała. Po prostu zostało po niej puste miejsce przy stole, kiedy zasiedliśmy do śniadania.

– Wróciła do domu. Chciała tego.

Nikt nie zadaje pytań. Nie przy śniadaniu, nie Harmowi. Nie mogę przełknąć jego jedzenia, muszę trzymać je w policzkach, a potem wypluję do sedesu. Przeżywam szok, głównie szok. Ale ze mnie tchórz. Jak mogła wierzyć, że obronię nie tylko ją, ale i dziecko?

Po śniadaniu idę do jej pokoju w nadziei, że zostawiła dla mnie wiadomość, jakąś instrukcję, jak ją znaleźć. Nie mogę tu zostać bez niej. Ale gdzie pójdę? Skoro nawet ona mnie nie chciała...

– Co tam, dziwolągu? Tęsknisz za swoją laseczką? Nawet teraz, gdy już

wiesz, że nie jest lesbą? – Ashleigh właśnie wrzuca rzeczy May do worka na śmieci. – Lesby nie zachodzą w ciążę. – Zawiązuje worek. – May wołała kutasa.

– Mogę to wziąć? – pytam, wyciągając rękę.

– A po co? Co mi za to dasz, dziwołagu?

– Paracetamol. – Wkładam rękę do kieszeni. – Dam ci dwie tabletki.

Tylko ja dostaję leki, bo niby ciągle choruję.

Ashleigh chce mieć te tabletki, ale jest chciwa.

– A może ten medalion, który od niego dostałaś? – Owinęła sobie worek wokół nadgarstka. – Dwie tabletki i medalion.

– Nie mogę ci dać medalionu. Harm sprawdza wszystko, co mi daje. Jeśli zauważy brak medalionu, uzna, że go ukradłaś, i będziesz miała kłopoty. A tabletki... udam, że wzięłam, bo źle się poczułam. – Wyjmuję listek tabletek i wyciskam dwie na dłoń, a potem podaję Ashleigh. – Tych nie sprawdza.

– A po co ci w ogóle jej śmieci? – Ashleigh bierze tabletki i podaje mi worek. – To dziwka. Puszczą się, ucieka, żeby dawać dupy. Farciara. Chyba, że to jego sprawka. – Zakrywa usta, udając zszokowaną. No, może częściowo udawała. Gdyby Harm ją usłyszał albo gdyby usłyszał to ode mnie, pożałowałyby tego. Powtórzyłyby się świeczka i wycieranie twarzy, tylko gorzej.

– On nie robi takich rzeczy. I May też nie jest taka.

– O ja jebię, przecież zaciążyła. Jak twoim zdaniem do tego doszło? Musiała się wymykać, żeby dawać dupy. Tak czy inaczej, powodzenia. Nie będę tęsknić. – Odwraca się do szafki, gdzie włożyła wazelinę, którą smaruje usta, a ja sobie myślę:

Jesteś następna.

Nie będę tęsknić.

Zanoszę worek na górę i siadam na łóżku, żeby przejrzeć rzeczy pozostawione przez May. Kilka koszulek, parę starych gumek z jej włosami, długopisy i szkicownik. Przewracam kartki, patrząc na nasze twarze. Dziewczyny nie chciały jej pozować, więc twarz Ashleigh to tylko zarys. Christie jej nie wyszła; zdawała się nosić papierową maskę z własnym zdjęciem. Rysunki Grace są dobre. Tęsknię za Grace, szaloną Gracie. Nie widzę żadnych portretów Harma, za to mnóstwo moich. Zmuszał May do ciągłego rysowania mnie. Tu siedzę przy toalecie z jego prezentami. Tu czeszę włosy, tam zapinam medalion na szyi, jeszcze gdzie indziej leżę na łóżku. Dużo leżę: *Aimee, słaba Aimee*. May zgadzała się mnie rysować, bo w ten sposób mogła spędzać ze mną czas. Miło było oglądać, jak pracuje; z włosami spiętymi z tyłu, ustami zagryzionymi w skupieniu, niebem i chmurami zagładającymi jej przez ramię. Mieliśmy tam cały Londyn. Jak się stało przy oknie, można było zobaczyć Elektrownię Battersea. Jej kominy to ostatnia rzecz, jaką narysowała.

Szukam wiadomości, jakiegoś liściku tylko dla mnie. Nie mogę uwierzyć, że

odeszła bez pożegnania. Wszystko było nasze, wspólne. Pamiętam, jak Christie dała mi paczkę podpasek – wciąż czuję rumieniec wstydu. Nie wiem, co by się stało, gdyby May nie zażartowała sobie wtedy: „Wyłożysz sobie celę...”.

Żadnych wiadomości w jej szkicowniku, nic, czego nie byłoby wcześniej, nie licząc ostatniego rysunku elektrowni. Patrzyliśmy, jak budują rusztowania, budowlańcy łazili wszędzie w tych swoich kaskach. Mieli zmienić budynek w blok mieszkalny, a nam się marzyło, że kiedyś tam zamieszkamy. May, ja i jej młodsza siostra. W największym mieszkaniu, z wielgachnymi oknami, które dzieliły Londyn na takie obrazki jak te rysowane przez nią. Czy to wiadomość? Ten ostatni rysunek? Czy czeka tam na mnie? Znalazła sposób, żeby uciec, tak jak Grace. Uciekła, ale beze mnie. Z nim...

Klamka w drzwiach powoli opada.

Wpycham szkicownik i całą resztę pod poduszkę, kładę się i zamykam oczy, krew pulsuje mi w gardle, pot występuje na rękach i nogach jak wysypka, swędzi mnie pod pachami, na ustach...

Powietrze w pokoju gęstnieje, ciąży na mnie.

On podchodzi do łóżka i stoi bardzo długo, patrząc w dół.

Widzi to, co chce zobaczyć.

Jego chorą dziewczynkę.

Aimee, słabą Aimee.

POZA WNĘTRZEM PENTHOUSE'A ELEKTROWNIA wyglądała na opuszczoną. Surowy cement, porośnięte mchem kafelki, podłogi lepiące się od tłuszczu i kurzu. Z sufitów zwisały kable, gotowe do podłączenia, zjednoczenia się z resztą miasta. Tutaj plac budowy śmierdział jak zepsute chorobą płuco.

Marnie rozmawiała z ochroniarzem, Jamiem Ledgerem.

– Twierdzi pan, że nie macie nagrań z monitoringu z wczoraj?

– Zdziwiłbym się, gdybyśmy mieli. To dlatego nas zatrudniają. I psy. – Kiwnął głową na jednego z kolegów, który właśnie patrolował obrzeża placu z owczarkiem alzackim na grubej smyczy. – Psia niania.

Były wojskowy, trzydziestokilkulatek, tatuaże na palcach. Niejedno już w swoim życiu widział, a to? Durnego robota, w niczym nie przypominała dosłownie śmiertelnie poważnego zawodu, który porzucił, sądząc po fryzurze, niedawno.

– Jak długo pan tu pracuje?

– We wtorek minęły trzy tygodnie. – Ledger schował ręce za plecy.

– Były tu wcześniej jakieś problemy?

– Martwe ciała? Nie, to jest pierwsze.

– A jakieś inne kłopoty?

– Dzieciaki, amatorzy wspinaczki, paru pijaczków. Nic szczególnie poważnego.

Blade oczy w ciemnej twarzy. Na jednym z wytatuowanych palców widniał jastrząb. Mężczyzna miał metr osiemdziesiąt, był dobrze zbudowany, lepiej niż inni ochroniarze, których widziała w tym miejscu. Góra mięśni, której szary wzrok zmierzył ją całą jednym spojrzeniem. Wiedział, że Marnie dowodzi akcją, nawet zanim zobaczył jej legitymację. To musiał być dobry żołnierz; patrząc na bliznę nad uchem wielkości monety, zastanawiała się, dlaczego odszedł z wojska. Zapytał, czy może zapalić, a ona się zgodziła, bo potrzebowała go po swojej stronie. Każdy papieros sam skręcał, potem wypalał prawie do końca i pstrykał petem na ziemię.

– Monitoring w głównym budynku nie działa? Dlaczego? Przecież tu jest mnóstwo kamer.

– Kamery trzeba podłączyć. A góra chce sprzedać więcej mieszkań, zanim zacznie łądować dodatkowe fundusze. – Wzruszył ramionami. – Tacy już są deweloperzy. Oszczędzaliby na piasku na pustyni.

– Ale pan to wie czy tylko się tego domyśla? Przydałyby mi się jakieś konkretne informacje. Na przykład: ile dokładnie kamer nagrywa i które. W szczególności na górze.

– Żadne na wyższych piętrach. Uznali, że nikt niepowołany się tam nie

dostanie, nie mając paru milionów do wydania. – Przejechał językiem po bibułce do papierosa. – Naszym zadaniem jest pilnować obszaru na dole. – Sprawdzał ją kątem oka tak, jak się sprawdza broń, czy się nie zatnie albo nie szarpnie w bok po strzale. Nie było w tym nic osobistego, a już na pewno nie seksualnego. W ten sam sposób sprawdzał Noaha.

Marnie potrzebowała kogoś uważnego na miejscu. Mężczyzna różnił się od typowego ochroniarza. Co powiedział o strażniku z psem? Psia niania? Zapamiętała to na przyszłość.

– Widział pan ciało na górze. Ale niczego pan nie dotykał.

– Nie. – Blade spojrzenie przemknęło po niej jak promień reflektora. – Było oczywiste, z czym mam do czynienia.

– Czyli z czym?

– Z morderstwem. Jakiś psychol ją udusił. Pewnie też i zgwałcił. – Szczypta gniewu w jego głosie. – Zapomniałem już, jakim piekłem bywa Londyn.

– Ile czasu minęło, odkąd pan wrócił?

Ugasił swój gniew uśmiechem.

– Dwa lata, mniej więcej.

– Gdzie pan stacjonował?

– W Afganistanie. – Żadnej dumy w głosie. Odpowiadał na pytania, nic więcej.

– Dziewczyna ważyła pięćdziesiąt kilogramów. – Marnie dopasowała swój ton do beznamiętnego tonu mężczyzny. – Ktokolwiek ją tam zaniósł, musiał być silny i mieć dobrą kondycję.

– Musiał też być cicho. A tutaj nie jest o to łatwo. – Ruszył butem luźną warstwę gruzu, wywołując tym dźwięk podobny do rześistego deszczu. – Znalazłem ją na pierwszym obchodzie. Mogła tam leżeć jakieś dwie godziny przed tym, jak zacząłem.

– Nikt nie robił obchodu przed panem?

– Oficjalnie wszyscy. Trochę popytałem, kiedy byliście na górze. W papierach wszystko pouzupełniane, ale niech mnie, jeśli któryś z nich naprawdę ruszył tyłek z miejsca.

– Tylko pan to robi?

– Lubię taki wysiłek. Lepiej się przejść niż siedzieć i słuchać ich narzekania albo wachać ich pierdy. – Wygładził papierosa opuszkami palców. – Już tam leżała, kiedy zacząłem obchód. Inaczej bym coś zauważył. – Spojrzał w stronę rzeki. – Niewiele jest w stanie umknąć mojej uwadze. Tak nas szkolą. Oczy i uszy zawsze otwarte. Niektóre rzeczy da się zapomnieć, ale nie to. Za to zapomniałem, po co w ogóle wróciłem do domu. – Zapalił zapałkę, a od niej papierosa. – Afganistan to pikuś przy tym miejscu.

Tymczasem w penthousie Fran Lennox właśnie stała przy łóżku.

– Fioletoworóżowy to paskudny kolor. Brudny. Ja bym wzięła biały. Biała pościel zawsze pasuje.

– Próbuja sprzedac te mieszkania bogatym prezesom i dyrektorom – powiedział Noah. – Wszystko jest bardzo... męskie.

– Nie cierpie tych pokazowych mieszkań. – Fran skubała opuszki palców, próbując poluznić lateksowe rękawiczki. Szczupła blondynka, niewiele większa od May, krótkie włosy, wystające kości policzkowe i dociekliwe spojrzenie. – Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł faktycznie tak mieszkać, a wy? To wezglowie wygląda jak z odrzutowca. A tego obrazu już nawet nie komentuję... – Zadrzała. Niebieski strój ochronny nadawał jej skórze mleczny odcień.

Czyżby czekała, tak samo jak Noah, aż ucichnie hałas? May przestała już do niego krzyczeć, ale może teraz Fran ją słyszała. Nie, patolożka widziała już zbyt dużo martwych ciał. Po prostu czekała na Marnie.

– Gdzie szefowa?

– Rozmawia na dole z ochroniarzem, który znalazł ciało.

– Jak on się czuje?

– To były wojskowy. Nic mu nie jest. A przynajmniej na tyle, na ile to możliwe po czymś takim.

Fran podeszła bliżej, patrząc na May.

– Mogło być gorzej. Przynajmniej rodzice będą w stanie ją rozpoznać.

Noah wcale nie był pewien, czy to lepiej czy gorzej. To schludne ułożenie jej ciała było oznaką tchórzostwa, było obraźliwe. Jakby zabójca wziął wybaczenie ze strony rodziny za pewnik. Przygotował ładnie ich córeczkę, uczynił ją milczącą i posłuszną jak lalka. Zrobił z niej na powrót dziecko. Noah od dawna nie widział tak paskudnego morderstwa.

– Miała szesnaście lat, prawda? – zapytała Fran.

– Tak.

– Nie wygląda na tyle. Raczej na trzynaście. Nie chodzi mi o fizyczność. Raczej to, jak ją zostawił.

– Tak. – Ktoś nie chciał, żeby May dorastała. – Pismo... Myślisz, że sama to sobie zrobiła?

– Jeśli jest praworęczna, jak dziewięćdziesiąt procent populacji, to tak. – Fran uniosła brodę. – Jeśli wnioskować po tym, jak wyglądają te słowa, jest to uzasadnione założenie.

– Przyszła nam na myśl dziewczyna z wypadku. Może to, co Joe Eaton wziął za zadrapania, w rzeczywistości było właśnie tym. Pismem.

– Sprawdziłam koszulę, którą znaleźliście. To nie była krew. Etanol i izopropanol. Podstawowe składniki zwykłego tuszu do cienkopisów. – Fran

pokazała na dłonie May. – Ślady musiały wyglądać tak jak te, o ile dobrze rozumiem.

– Czyli... dziewczyny się znały. Dwie dziewczyny w tym samym wieku, z tak samo porysowaną skórą. Jedna uciekła, druga... – Noah pokręcił głową z ogromnym smutkiem.

– To może być przypadek. – Fran pochyliła się, żeby spojrzeć na zasinienia na szyi May. – Duże dłonie. Niekoniecznie należące do mężczyzny. Nie wydaje mi się też, by morderstwo miało podtekst seksualny, ale nie mogę tego powiedzieć z pełną odpowiedzialnością. Pewnie będziesz chciał dostać zdjęcia napisów, żeby pokazać je Joemu Eatonowi.

– Dwie nastolatki z tej samej części Londynu, obie piszące po swoim ciele? To zbyt duży zbieg okoliczności. Musiały się znać albo jako przyjaciółki, albo jako ofiary.

– Druga dziewczyna przebrała się i znalazła kryjówkę, czy nie tak mówiliście? Może jest w to zamieszana, ale nie nazywałabym jej jeszcze ofiarą... – Fran wyprostowała się, patrząc za ramię Noaha. – Rome, prowadzasz mnie w najlepsze miejsca.

– Później mi podziękujesz. Twój zespół już wchodzi.

– Świetnie. Zabierzemy się do pracy, a wam zostawimy kwestię ochrony i monitoringu. Przy tym obłożeniu kamer pewnie poznacie tożsamość zabójcy na długo przede mną.

– Podziwiam twój optymizm – powiedziała Marnie.

– Nie mów, że ta supernowoczesna ochrona jest bujną?

– Och, kamery są prawdziwe. Tylko jeszcze niepodłączone.

– Poważnie? – Noah kiwnął głową na konsolę alarmu przy drzwiach. – Nic z tego systemu nie działa?

– Część działa, na parterze. Tutaj nic. A przynajmniej tak twierdzi Jamie Ledger.

– Kto jeszcze o tym wiedział?

– Deweloperzy, ochroniarze. Pracujemy nad listą. – Marnie spojrzała na łóżko, jej twarz zmieniła wyraz. – Powinniśmy poinformować Beswicków.

– Nie możemy poczekać? – zapytał Noah. – Do rana? Niech się wyśpią.

– Myślisz, że śpią? Powinniśmy im powiedzieć. Fran, zadzwoń do mnie, gdy tylko będziesz gotowa. – Marnie nie odrywała wzroku od łóżka. – Będą chcieli ją zobaczyć.

NA TAYBRIDGE ROAD pojemniki na śmieci zostały już wyprowadzone, gotowe na przyjazd śmieciarek. Deszcz padał przez większość nocy, zbierając się w rynsztokach i płytkich pokrywach pojemników. Była prawie piąta rano.

Marnie znalazła wolne miejsce parkingowe i zgasiła silnik, patrząc na krople deszczu na przedniej szybie.

– Gotowy?

– Tak. – Noah rozpiął pas, ale nie podniósł się z fotela pasażera. – Właściwie to nie. Boję się. Że powiem coś niewłaściwego i pogorszę sytuację.

– Nic takiego się nie wydarzy. – Silnik stukał cicho, chłodząc się. – Gorzej być nie może. – To zabrzmiało zbyt ponuro. Spróbowała jeszcze raz. – Wolę zrobić to z tobą niż kimkolwiek innym z zespołu. Właśnie dlatego, że jesteś taki wrażliwy. Beswickowie to czują. Ufają ci.

Noah pokiwał głową.

– Dobra. Miejmy to już za sobą. – Wysiadł z samochodu.

Przez wzorzystą szybę frontowych drzwi widać było światło lampy. Ktoś nie spał o tej porze. Marnie zapukała i zrobiła krok do tyłu, stając ramię w ramię z Noahem.

Drzwi otworzyła Loz. Popatrzyła na ich twarze i jej spojrzenie rozżarzyło się.

– Nie. *Nie*. Idźcie stąd. – Zagrodziła im wejście do domu. – Nie obudzili się jeszcze. Śpią. Po prostu... idźcie.

– Bardzo nam przykro – powiedziała Marnie. – Naprawdę musimy wejść do środka. Musimy zobaczyć się z twoimi rodzicami.

Loz nie ruszała się z miejsca.

– Nie mówcie... Nie mówcie im, że nie żyje. – Mankiety jej szkolnego mundurka prawie przykrywały zwinięte w pięści dłonie. – Ani się ważcie. – Nie przypominała starszej siostry. Była chudsza, szczupłą twarz okalały ciemne włosy. Nikt nigdy nie uczesze włosów Loz na kształt blond wiatraka na fioletoworóżowej pościeli.

– Loz, wpuść nas – powiedział Noah. – Ja tu zamierzam.

Czarne oczy szybko zwróciły się w jego stronę.

– Ty to powiesz czy ona? Chyba ona musi, skoro jest *kobietą*, a kobiety podobno są takie cholernie uczuciowe. – Zamrugnęła, przez sekundę wyglądała jak Sean. – Jeśli moja siostra nie żyje, mam prawo przeklinać.

– Masz prawo przeklinać – zgodził się Noah. – Możesz mnie nawet uderzyć, jeśli to pomoże. Ale wpuść nas do środka, dobrze?

Wycofała się za drzwi, zostając tam, aż Marnie i Noah nie znaleźli się we wnętrzu domu. Z piętra nie dobiegały żadne dźwięki.

Noah zamknął drzwi.

– Możesz obudzić rodziców?

– I tak zaraz wstaną. Mama budzi się o szóstej, do pracy. – Z jej twarzy odpłynęły kolory. – Możecie poczekać, prawda?

– Przykro mi. – Twarz Noaha była mokra od deszczu. Chciał położyć rękę na ramieniu Loz, ale wyglądała, jakby mogła się rozplakać, gdyby to zrobił. Potrzebowała mamy i taty.

– Ja pójdę – zaproponowała łagodnie Marnie. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

– *Dobra*. Pójdę. – Loz wyminęła ich, ruszając w stronę schodów. W połowie drogi zatrzymała się i odwróciła. – Lepiej nastawcie wody. – Popatrzyła na nich bystrze. – Będą potrzebować herbaty.

Katrina i Sean Beswickowie siedzieli na sofie w piżamach. Loz stała w kącie pokoju dziennego, obserwując ich. Marnie i Noaha też. Pięć filiżanek herbaty stało na niskim stoliku, gdzie znajdował się też laptop Seana, który mrugał elektronicznym światłem.

– Wiadomo już, że to na pewno ona? – Katrina wyglądała jak na wpół zamarznięta w swojej białej jedwabnej piżamie, z odsłoniętymi obojczykami jak wieszak na resztę ciała. – Nie musimy jej zidentyfikować?

– Trzeba będzie przeprowadzić formalną identyfikację, tak. – Marnie usiadła na brzegu fotela, blisko małżeństwa Beswicków. – Ale jesteśmy na tyle pewni, na ile możemy, że to May. Bardzo mi przykro.

Noah stał przy oknie, niedaleko Loz. Czuł na jej mundurku zapach środka do zmiękczenia tkanin. Dziewczynka trzymała się prosto, cała napięta.

– Była w Elektrowni Battersea? Czy ona... – Sean przełknął głośno ślinę. – Czy wiecie, czy ona...

– Tata chce zapytać – wtrąciła Loz – czy May się zabiła?

Spojrzenie matki znalazło ją po drugiej stronie pokoju.

– Loz, przestań. – Błagalny gest otwartych dłoni. Światło osiadło na załamaniach pod szarymi oczami Katriny. – Nie teraz.

– To nie było samobójstwo – odpowiedziała Marnie.

– Czyli ktoś ją zabił. Została zamordowana.

– Proszę! – Warknięcie matki.

Deszcz uderzał w szyby jak garść drobnych kamyków.

– Co, nie mogę się nawet wkurzać, że jakiś pieprzony pojeb zabił moją siostrę?

– Kochanie, chodź tutaj. – Sean patrzył na nią, ale jakby jej nie widział. – Chodź.

Loz zignorowała jego wyciągniętą rękę. Siedziała na stołku w kącie pokoju z kolanami pod brodą.

Marnie poczekała, aż burza na twarzy dziewczynki nieco się uspokoi.

– Bardzo mi przykro, ale tak. Mamy do czynienia z morderstwem. Dziewczyna została uduszona.

– *Dziewczyna* została uduszona. Czyli nie jesteście pewni? – upierała się Katrina. – To wciąż może nie być May.

– Mamo, oni mówią, że May nie żyje. Ktoś ją zabił. – Loz otoczyła kolana rękami, wielkie oczy zarzyły się na jej twarzy. – Potrzebują jeszcze oficjalnej identyfikacji, to taka formalność, ale widzieli ją, więc wiedzą. – Spojrzała na Noaha. – Widział ją pan? To była ona, prawda?

– Tak. Bardzo mi przykro.

– Jest jeden plus. Musi dobrze wyglądać, skoro to takie oczywiste. Na pewno nie jest spalona ani pobita, ani gnijąca.

Katrina podniosła dłonie do oczu, żeby nie patrzeć na córkę.

– Kochanie – odezwał się słabo Sean. – Musisz przestać. – Zwrócił pełen oburzenia wzrok na Marnie. – Kiedy? Kiedy ją znaleźliście, kiedy to się stało?

– Znaleźliśmy ją około siódmej zeszłego wieczora. Nie jesteśmy pewni, kiedy to się stało, ale uważamy, że niewiele wcześniej. Niedługo powinniśmy być w stanie powiedzieć coś więcej.

– Po sekcji zwłok. – Loz zamknęła oczy i zaczęła kołysać się na stołku.

Noah czekał, aż rodzice przejdą na drugą stronę pokoju i wezmą ją w ramiona. Ani jedno, ani drugie nie podniosło się z kanapy. Uderzyło go to, jaki chłód panował w tym domu, z tymi białymi ścianami i pustymi przestrzeniami. Loz

obejmowała się sama, jakby nikt nigdy jej nie przytulał.

– Czyli żyła jeszcze wczoraj rano, a nawet po południu? – Sean nie wyciągnął ręki, by chwycić dłoń żony, siedział daleko od niej, jakby bał się bliskości. – Przez te dwanaście tygodni ciągle żyła?

– Tak. Odezwał się telefon Marnie i komisarz spojrzała na wyświetlacz.

– To moja koleżanka z pracy, Fran. Jest gotowa, by pokazać May. Kiedy zbiorą państwo siły.

– Fran? – powtórzyła Katrina.

– Patolożka. – Loz nie otwierała oczu. – To ona zajmie się sekcją.

Beswickowie nie mogli patrzeć na swoją córkę, na siebie też. Szukali na twarzy Marnie choć okruszka pocieszenia.

– Alice Gordon może nam towarzyszyć – powiedziała Marnie. – Jeśli sobie tego państwo życzą.

Alice była przydzieloną im pracownicą biura wsparcia ofiar.

– Nie, dzięki. – Loz podniosła brodę, dziabiąc Noaha spojrzeniem. – Jeśli zobaczę tę krowę, porzygam się.

Żadnej reakcji z kanapy, Beswickowie jakby jej nie odnotowali.

– Od początku traktowaliście tę sprawę jako sprawę morderstwa. Wiem o tym. Sprawdziłam w Internecie. Taka jest policyjna procedura w przypadku zaginięć. W razie wątpliwości zakładać morderstwo. Dzięki temu oszczędza się czas, kiedy zaginiona osoba zostanie znaleziona martwa. – Loz oparła brodę o kolana. – Już od wielu tygodni uważaliście ją za martwą.

Christie

– AIMEE ZACZYNA MIEĆ gorączkę – powiedział Harm. – Powinna zostać w łóżku. Sprawdź później, jak się czuje.

Stał po drugiej stronie kuchni, między Christie a drzwiami. Ale jeszcze nie było źle, jeszcze na nią patrzył. Dopiero kiedy unikał jej wzroku, wtedy zaczynała się go bać. Nie chciał patrzeć na to, co zrobił. Kim był. Za chwilę Christie pójdzie do Aimee, ponieważ on tego oczekiwał i ponieważ musiała sprawdzić, czy z Aimee wszystko w porządku. Myślała, że może być tego pewna, ale po Grace, po May...

Christie nie mogła mieć już pewności. Żadna z nich tego nie rozumiała. Ashleigh wydawało się, że może go uwieść. Nie zostanie tu na długo. A jeśli chodzi o Aimee...

Aimee od początku nie miała szans. To, jak wyglądała, jaka była *słaba*. Christie nie miała pojęcia, jak ta dziewczyna zdołała przetrwać na ulicy, nie licząc tego, że – jak podejrzewała – była na swój sposób cwana. Kiedy Christie pójdzie sprawdzić, jak się czuje, Aimee nie będzie spała, choć zawsze dobrze udaje. Cwana, po prostu nie dość cwana. Aimee myślała, że May zdołała uciec, że żyje. Aimee nie ma o niczym pojęcia.

Żadna nie ma o niczym pojęcia.

Nie mają pojęcia o Harmie. Nie mają pojęcia o Neve, jego siostrze, która zaginęła, kiedy Harm był jeszcze dzieckiem. Myśleli, że poszła mieszkać na ulicy. Harm szukał jej bezskutecznie przez lata, nie wiedząc, za czym goni. Nikt nigdy nie zostaje taki sam, żyjąc na ulicy. Nikt nie wie, czy Neve została dziwką jak Ashleigh, czy zwariowała jak Grace, czy była marzycielką jak May, a może próbowała przetrwać za wszelką cenę jak Christie.

Christie nie była taka cwana jak Aimee. Była cwana w rękach i nogach. Była też pracowita. Gotowała i sprzątała, i planowała, i robiła zakupy. Była gotowa zrobić dla niego absolutnie wszystko, ale Harm...

Harm nie chciał kogoś silnego. Aimee została jego ulubienicą, ponieważ była *staba*. Miała słabość wymalowaną na twarzy. Chciał jej bronić, bo nie zdołał obronić siostry. Aimee została jego nową Neve, tylko tym razem nie pozwoli, by stała się jej krzywdą.

To wszystko z powodu Neve.

Powiedział Christie, jak jego rodzice uklękli wiele lat wcześniej, modląc się swoimi twarzami i wierzchem dłoni, i podeszwami stóp – matki tak pomarszczonymi, że można było policzyć w nich jej wiek, a starzała się z każdym dniem, gdy klęczała chwytając pościel w garście, z głową pełną Neve, cały dom był wypełniony strachem o nią. Powiedział o historiach o tym, gdzie poszła, kim się stała – prostytutką albo narkomanką, wolnym duchem albo czyimś niewolnikiem – byle nie myśleć o tym, że mogła umrzeć. Tyle wersji Neve. Nic dziwnego, że nie mógł przestać jej szukać, odnajdując ją w twarzach innych zagubionych dziewcząt. To był ich sekret, Christie i Harma. Zaufał jej. Christie była inna. Christie była ważna. A wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, to być ważną.

Ashleigh uważała się za kogoś wyjątkowego, przez ten jej promienny uśmiech i piersi rozpychające koszulę, jakby to dlatego ją kupił, żeby zobaczyć, jak zmienia się jej ciało. Nie rozumiała, co się stanie, kiedy wyrośnie z ubrań, które jej dał. Myślała, że ta jej obfitość oznacza władzę, że mogłaby dorosnąć i go w sobie rozkochać. Tak bardzo się myliła. To nie za to kochał Harm. Teraz nie mógł już nawet na nią patrzeć.

Tak jak na Grace, na May.

Christie nie chciała myśleć o May. Powiedziała, że spodziewa się dziecka. Czyjego? Przecież tutaj była *bezpieczna*. Nie musiały się o to martwić, żadna z nich. Harm widział, jak mężczyźni na nie patrzyli, jak wykorzystywali je swoimi oczami, i uratował je przed tym. May mogła narazić się na niebezpieczeństwo, tak samo jak Aimee. Wszystkie mogły znaleźć się w niebezpieczeństwie, ponieważ May nie potrafiła docenić tego, co miała. Wymykała się dla seksu, śmierdziała swoją słabością, przynosiła ją tutaj. Jej *dziecko*, zgniła czerwona fasolka w jej brzuchu. Aimee uważała May za swoją przyjaciółkę, ale co to za przyjaciółka,

która zaraża twój azyl swoją chorobą?

Christie widziała poród – swego rodzaju poród. Wiedziała, jakie to nieczyste. Harm by na to nie pozwolił. Nie tutaj. May nie chciała powiedzieć czyje. Ile razy by Christie nie pytała.

Ashleigh myślała, że wie. Śmierdziała hormonami i patrzyła na Aimee, jakby to przez nią wszystko było nie tak, a przecież Aimee jest celem tego wszystkiego. To wszystko było dla Aimee.

Harm będzie musiał pokazać Ashleigh. Nie ma innego wyjścia.

Inaczej zrobi to Christie.

Stał przy zlewie, zmywał naczynia, mięśnie jego ramion pracowały, światło rzucało jego cień na pokój. Patrzyła na niego, szukając jakiejś słabości. Jakiegoś dojścia. Czasami wydawało jej się, że widzi siniaki pod rozpiętym kołnierzykiem jego koszuli, gdzie skóra miała słoje jak drewno, jakby z niego został wyrzeźbiony. Jasne drewno, z sękami w miejscach oczu i ust. Potrzeba siekiery, żeby zrobić na nim jakieś wrażenie, a nawet i wtedy trzeba by się wysilić. Ale...

Ludzie obejmują drzewa, prawda?

Jego szyja poruszyła się razem z cieniem, wypełniając i opróżniając przestrzeń pod kołnierzykiem koszuli. Christie wyprasowała tę koszulę. I spodnie. Harm lubił ubierać się elegancko; taki kac po poprzednim życiu. Nie potrafił go porzucić, tego dawnego Harma. Przeszłość szła obok niego jak pies. Żadna tego nie rozumiała. Nie słyszały, jak tyka. Słuchały jego zasad i wykonywały polecenia. Jadły jego jedzenie, nosiły jego ubrania. Żadna jednak nie wiedziała, kim on *jest*, nie tak, jak Christie.

Deszcz zmywał okno nad jego głową, stukając w szybę. Tak dużo czasu minęło, odkąd czuła na sobie te krople. Dwa lata odkąd ostatni raz siedziała na tamtym chodniku, chowając stopy przed tłumem przechodniów. *Stuk-stuk* w rozerwanej puszcze, którą wystawiła i obciążyła kamieniem. Rdza na palcach, jak krew. Ból między nogami, wnętrzności wyszorowane do cna. Wszystko smakowało metalem i mięsem. Harm uratował ją. Jego kark był gładki. Chciała wtulić w niego policzek.

Aimee uczyła się. Znowu leżała chora w łóżku. Najlepsze miejsce dla niej. Pilna uczennica z tej Aimee.

Christie zastanawiała się, która z nich będzie następna.

Która będzie następną Grace. Następną May.

Ashleigh, pomyślała.

Następna będzie Ashleigh.

PRZYCZEPIONE DO BIAŁEJ tablicy w sali koordynacyjnej zdjęcia May, przed i po. Zaginiona, z uśmiechem na twarzy. Znalaziona, z siniakami na szyi.

– Te napisy... – Ron popatrzył na zdjęcia. – Po co ktoś miałby sobie robić coś takiego? Jesteśmy pewni, że to nie sprawka zabójcy?

– Fran uważa, że nie – powiedział Noah. – Nie ma żadnych na plecach, a pismo po lewej stronie jest wyraźniejsze. Dziewczyna była praworęczna.

– Rodzice zobaczyli napisy, kiedy przyszli zidentyfikować zwłoki?

– Były zakryte ubraniami, więc nie.

Sean i Katrina potwierdzili tożsamość zmarłej, ale nie słowami, lecz dźwiękiem: upiornym wyciem Katriny, przenikliwym szlochem Seana.

– Czy Loz wiedziała o napisach? Moje siostry znały wszystkie moje sekrety.
– Debbie odwróciła się, żeby odebrać telefon.

– Jak idą przesłuchania na osiedlu? – zapytał Rona Noah.

– Znaleźliście jakiegokolwiek ślady zaginionej dziewczyny na Garrett?

– Pozwól, że ujmę to w ten sposób: w ostatnich dniach więcej razy zatrzaskiwano mi drzwi przed nosem, niż wypłem kieliszków martini w całym swoim życiu.

– Nienawidzę martini.

– Dobra. To zamiast picie martini na robienie lodu, Sierżancie Przystojniaczku.

– Jak się miewa pani Tarvin?

– Jak zawsze. Służy za ostatnią deskę ratunku przed głównem, które ciągle spada na tamtą dziurę.

– Pewnie będzie wyglądać naszej dziewczyny.

– Nie inaczej. Powinniśmy jej coś za to zapłacić... Co jest? – Ron zobaczył wyraz twarzy Debbie, gdy odłożyła słuchawkę. – Tylko nie mów, że znowu złe wieści.

Pokiwała smutno głową.

– Dzwonili ze szpitala. Logan Marsh zmarł wczoraj.

Kolejni osieroceni rodzice. Noah poczuł, że bołą go zęby.

– O której?

– Nie podali dokładnej godziny, przeprosili tylko, że nie poinformowali nas wcześniej. Podobno błąd zarządzania.

– Cholera. – Ron złapał się za głowę i odwrócił. Za sekundę znowu na nich patrzył. – Lepiej pokażmy te napisy Eatonowi, zanim drogówka postanowi go aresztować.

Noah przyznał mu rację i sięgnął po komórkę.

– Dam znać szefowej.

Przy Elektrowni Battersea wiał wiatr od wody, szarpiąc taśmą policyjną za plecami Marnie. Zespół Fran właśnie kończył pracę. Zabezpieczyli mieszkanie pokazowe, zebrali wszystkie dowody, jakie mogli.

Marnie czuła jeszcze w kościach chłód kostnicy, a na sobie przerażone spojrzenie Loz i emanujący z niej gniew, który miał bronić dziewczynkę przed rozpaczą. Marnie widziała w niej zbyt wiele z siebie samej. Chciała zadzwonić do Eda, tylko po to, by usłyszeć jego głos, ale nie było czasu. Bała się, że ślad się zatrze. May nie żyła od niecałych dwunastu godzin. Musieli to wykorzystać, przesłuchać każdego, kto był zeszłego dnia na placu budowy. Dziewiętnastu ludzi, w tym Jamie Ledger.

Ledger właśnie kończył pracę. Któryś z pozostałych ochroniarzy zawołał do niego: „Siema, Ledge!”, a Marnie zaczęła się zastanawiać, czy prawdą było, co powiedział jej o niewielkiej sympatii, jaką żywił do współpracowników.

– Potrzebujecie podpisanego zeznania – powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta. – Gdzie je przeprowadzacie? Tutaj czy na komisariacie?

– Tutaj. Pański szef udostępnił nam biuro. – Mnóstwo biurek, błyszczące witryny w pomieszczeniu śmierdzącym nowym dywanem i drogimi wydrukami.

Ledger wsunął ręce w rękawy kurtki.

– Będę tam na panią czekał.

– Nie na mnie. Na mój zespół. Ja jestem potrzebna gdzie indziej.

– A jak to przyjęła rodzina? Ona miała młodszą siostrę, prawda? To May

Beswick, rozpoznałem ją z gazet. – Jego oczy zmatowiały. – Po prostu chciałem wiedzieć, jak się czuje dziewczynka.

– Przykro mi, nie mogę o tym mówić.

– Jasne. – Wyprostował się. – Trudne zadanie, informować rodzinę o czymś takim. Sam musiałem to kiedyś robić. Nie pytałem z niezdrowej ciekawości.

Marnie pokiwała głową, a potem poczekała, aż Ledger pójdzie do biura, i wyjęła komórkę z kieszeni, żeby zadzwonić do Noaha.

– Logan Marsh nie żyje – poinformował ją. – Właśnie jadę do Joego Eatona, pomyślałem, że lepiej teraz sprawdzić, czy ślady na ciele tamtej dziewczyny wyglądały jak te napisy u May.

– Welland na pewno chciałby wszystkich tutaj. Przynajmniej do czasu, aż nie upewnimy się, że sprawy są ze sobą faktycznie związane.

– I właśnie Eaton może nas w tym upewnić.

– To nie jest naszym priorytetem. Przykro mi z powodu Logana, ale potrzebujemy zespołu od przesłuchań na placu budowy. Powinniśmy ograniczyć obszar działań. Chcę cię tutaj.

– Już jadę – rzucił Noah.

Marnie zakończyła rozmowę i odwróciła się twarzą do wiatru, pozwalając mu wgryźć się w jej policzki. Deszcz już przestał padać, lecz jeszcze wróci, jego tępy ciężar naciskał na chmury. Patrzyła, jak palce pogody rozluźniają się i na powrót zaciskają w pięść. Myślała o Loganie Marshu w kostnicy i rozpaczy jego rodziców. Zastanawiała się, dlaczego May postanowiła uciec z domu i gdzie skończyła. Była dobrze odżywniona, zadbana. Ktoś się nią opiekował. Ten sam ktoś, kto ją później zabił? Czy czuła się bezpieczna przez te kilkanaście tygodni przed śmiercią?

Etui telefonu było ciepłe w dłoni Marnie, jej palce wybrały na klawiaturze numer Eda. Uciekła te czternaście lat temu. Była w domu bezpieczna, ale nie szczęśliwa. Jako trzynastolatka zachowywała się zupełnie dziko, przesiadując do późna poza domem, wracając po pijaku. Sprawdziała granice tolerancji rodziców aż do chwili, gdy zebrała dość odwagi, by całkiem się od nich odciąć i wyprowadzić. May też była dzika, jednak w inny sposób. Wróciła do domu parę razy pijana, śmierzdząc papierosami, ale to wystarczyło, żeby jej rodzice pomyśleli, że uciekła z domu, a nie, że została porwana. Loz oskarżyła policję, że od początku uznali ją za martwą. Miała trochę racji. Zmarnowali mnóstwo czasu na sprawdzanie, czy nie sypia na ulicy; wypytywali, czy ktoś jej nie widział. Okazało się, że zadawali niewłaściwe pytania. May ukrywała się albo ktoś ją ukrywał. W domu nie jadła i nie dbała o siebie. Opierała się rodzicom, którzy starali się pchnąć ją z powrotem na właściwą drogę. Katrina próbowała zainteresować ją modą i pielęgnacją. Zabierała ją do spa, na zakupy. Sean zaczął gotować w domu, żeby rozbudzić apetyt córki, pozwalając jej popijać do posiłków wino. Nic nie działało. May

odsuwała się od nich. Coraz dalej i dalej, aż w końcu któregoś dnia całkiem zniknęła. Potem pojawiła się na tym łóżku, upozowana na dziecko. Kto tak dobrze się nią zajmował przez ostatnie trzy miesiące jej życia? Kto nie chciał, żeby dorosła?

Odezwał się telefon. Dzwoniła Fran Lennox. Marnie schowała się pod ścianą, bo nie mogła przegapić żadnego szczegółu.

– Co dla mnie masz?

– Wyniki badań krwi. Wysoki poziom hCG. Gonadotropiny kosmówkowej.

Deszcz żądlił skórę Marnie.

– May była w ciąży? Jak bardzo?

– Siódmy, ósmy tydzień. Nie więcej.

Noah właśnie szedł w jej stronę z drugiego końca placu budowy, ze spuszczoną głową, długimi krokami wymijając kałuże.

– Myliliśmy się – powiedziała Marnie do telefonu. – Myśleliśmy, że w tym zabójstwie nie było podtekstu seksualnego. Że morderca widział w niej dziecko. Jednak skoro zaszła w ciążę, popełniliśmy błąd.

– Albo była z kimś innym zaraz po tym, jak zaginęła. Może z chłopakiem. Nie widać żadnych śladów użycia przemocy. Nie ma śladów po użyciu więzów. Jeśli mówimy o drapieżniku seksualnym, dowody o tym nie świadczą, jeszcze nie. Będę wiedzieć więcej, kiedy zrobię pełną sekcję.

Noah dołączył do Marnie, osłaniając ją przed deszczem.

– Co jeszcze znalazłaś we krwi?

– Żadnych narkotyków, żadnego alkoholu. Uwagę zwraca jedynie poziom sodu. Jeszcze trochę i dziewczyna miałaby hipernatremię. To zatrucie krwią albo odwodnienie. Nie na tyle poważne, by szkodzić ośmiotygodniowej ciąży, ale na pewno niezdrowe. Jeśli często wymiotowała, właśnie tym mogła ją wywołać. Rodzice nie wspominali o zaburzeniach odżywiania?

– Nie. Byli pewni, że wiedzieliby, gdyby miała zaburzenia, jednak o napisach też nie wiedzieli.

– Zapytajcie o napisy siostrę – powiedziała Fran. – O jedzenie też. Rodzeństwo często wie o wiele więcej niż rodzice, a ta mała wydała mi się całkiem cwana.

– Dobra. Zadzwoń, gdy będziesz miała coś jeszcze.

– Pierwsza się o tym dowiesz – obiecała Fran i rozłączyła się.

Noah starł deszcz z twarzy.

– Co się stało?

– May była w ciąży. W siódmym albo ósmym tygodniu.

– O Boże. – Odwrócił wzrok, ból wykrzywił mu twarz. – Czyli najpierw ją zgwałcił, a potem zabił? Myślisz, że *wiedział* o ciąży, kiedy ją mordował?

– Ojciec dziecka i zabójca mogą się okazać dwiema różnymi osobami.

– Poinformowałaś rodziców? – Noah zakrył usta szeroką dłonią.
– Sama dopiero się dowiedziałam. Uważali, że May nie była w żadnym związku. Cóż, może faktycznie nie była. – Marnie wyprostowała się i włożyła komórkę do kieszeni. – W tej chwili musimy się skoncentrować na tym, jak zabójca zdołał tu wejść. Fran ogarnęła obszar bezpośrednio przy miejscu znalezienia ciała. Potrzebujemy zespołu, żeby poszerzyć granicę zasięgu. – Pokazała Noahowi mapę. – Jedyne wejścia znajdują się tutaj i tutaj. – Wskazała na wejście od Kirtling Street, skąd właśnie przyszedł Noah, oraz jeszcze jedno miejsce na wschodzie. – Teoretycznie mógł ją sprowadzić rzeką, ale na razie założmy, że skorzystał z drogi. Colin właśnie poluje na nagrania z monitoringu. Przejdźmy się po placu i sprawdźmy co i jak.

Na Kirtling Street kwaśno-żółte słońce wdzierało się do ust i oczu Noaha.

Marnie popatrzyła na niego.

– Wszystko w porządku?

– Ból głowy. Przejdzie. Czyli musimy znowu porozmawiać z Beswickami.

– Tak, musimy. Wydaje mi się, że wieści o ciąży mogą poczekać, aż otrzymamy pełny raport z sekcji zwłok od Fran, ale chcę jeszcze raz zapytać ich o potencjalnego chłopaka. I napisy. Fran jest pewna, że May sama je stworzyła. Chciałabym to potwierdzić albo wykluczyć.

– Debbie uważa, że Loz może to wiedzieć. Siostrzane sekrety, tak powiedziała.

– Fran zasugerowała to samo... Myślisz, że Loz zgodzi się z tobą porozmawiać?

– Zależy, jak bardzo będzie rozzłoszczona. – Noah skłamał na temat bólu głowy. To była migrena i sprawiała, że oczy paliły go żywym ogniem. Wziął tabletki, ale jeśli nie przejdzie mu zaraz, nie przyda się do niczego ani Marnie, ani nikomu innemu. – Kiedy dowiedzą się, że była w ciąży...

– Założą, że została zgwałcona. Dlatego musimy poczekać na pełny raport od Fran. Jeśli mamy przekazać im tego rodzaju wieści, nie może zabraknąć kontekstu.

Stali w cieniu kominów elektrowni, czując zapach rzeki i placu budowy, patrząc na Londyn, zmieniający dokoła kształt.

– W tej chwili w mieście jest siedemnaście zaginionych dziewcząt w wieku May – powiedział Noah. – Sprawdziłem dzisiaj rano w bazie. Cztery z nich zniknęły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– Oboje uważamy, że zabójca może to zrobić jeszcze raz. Musimy być na to przygotowani. Musimy opracować jego profil psychologiczny, dlatego też trzeba wypytać Beswicków o napisy, żebyśmy wiedzieli dokładnie, z czym mamy do

czynienia.

– Z potworem. – Noah zamknął oczy. – Z której strony by na to nie spojrzeć, bez względu na to, czy więził ją i gwałcił przed morderstwem, czy nie, mamy do czynienia z potworem.

– Owszem – zgodziła się Marnie. – Dlatego dowiedzmy się o nim tyle, ile się da.

Telefon Noaha zaczął wygrywać melodię z *Lotnej brygady*.

– Jake, słucham.

– Znaleźliśmy ją na monitoringu. – Dzwonił Colin Pitcher z komisariatu. – Nagranie sprzed dwóch dni, osiem minut przed północą na Battersea Park Road.

Noah przełączył na głośnik, żeby Marnie mogła usłyszeć.

– Co zobaczyliście?

– May i inną dziewczynę. Mniej więcej w tym samym wieku. Chudą, z szopą na głowie. To może być dziewczyna, którą Joe Eaton zobaczył na miejscu wypadku.

– Tylko te dwie dziewczyny?

– Tak. Wyglądają na wystraszone. A przynajmniej May. Druga dziewczyna jest odwrócona plecami do kamery. Z mowy ciała wynika, że się kłóca.

– W którą stronę się skierowały?

– Na północ, w stronę elektrowni. Sprawdzam pozostałe nagrania z tej trasy, ale to wymaga czasu. Niektórzy niechętnie przekazują materiały, chociaż ładnie proszę.

– Prześlij to, co masz, na mój telefon.

– Już się robi – powiedział Colin i rozłączył się.

Poszli z powrotem do samochodu Marnie.

– Dziewczyna Joego Eatona – zaczęła. – Myślisz, że powinniśmy wrócić do twojego pierwotnego planu i spotkać się z nim?

– Dziewczyna nie mogłaby zabić May Beswick, prawda? I zanieść jej aż do penthouse'a? To niemożliwe. – Noah poczekał, aż plik załaduje się na jego komórkę. – Ale szły z May na północ. W stronę elektrowni.

– I w stronę Garrett. Osiedle znajduje się na północ od Battersea Park Road.

W samochodzie obejrzelik filmik.

Typowe nagranie z monitoringu, w spranych kolorach, przedstawiało upiorne postacie dziewczyn.

Owalna twarz May była prześwietlona przez uliczną lampę. Jej towarzyszka odwróciła się plecami do kamery. Miała wzrost May, ale była chudsza, ubrana w czarne spodnie dresowe i bluzę z kapturem. Kaptur był ściągnięty, pokazywał poczochrane włosy, ciemniejsze niż u May, bardziej kolorowe.

– To z nocy tuż przed jej śmiercią – powiedział Noah. – Nawet nie dwa kilometry od domu rodziców. Dlaczego nie wróciła do nich? Dlaczego nie uciekła?

Tak jak ta druga dziewczyna, o ile to ta z wypadku.

– Gołe stopy. – Marnie dotknęła kciukiem wyświetlacza.

Spod nogawek spodni dresowych wystawały białe i kościste palce.

– To ona – oznajmiła Marnie. – Sprawdźmy, czy Joe Eaton się z tym zgodzi.

JOE EATON OTWORZYŁ im drzwi w piżamie.

– Słyszałem już. Gina Marsh do mnie zadzwoniła. Podałem jej telefon w szpitalu. – Ślad poduszki na jego twarzy, oczy wciąż zaczerwienione. – Logan nie żyje. Złożyłem kondolencje. Potworne. Chłopak miał dopiero osiemnaście lat...

– Możemy wejść? – Marnie czuła, jak Noah trzęsie się obok niej.

– Oczywiście, przepraszam. – Joe przytrzymał drzwi. – Dzieciaki są u Carrie. Ja miałem trochę odpocząć. Nie spodziewałem się, że zasnę, ale jednak. – Zaprowadził ich do pokoju dziennego.

Zabawki, wszędzie. Koc na kanapie, laptop na ławie. Kołnierz ortopedyczny ze szpitala leżał na fotelu przy niedziałającym kominku. Beswickowie zamontowali sobie w tym miejscu stojak na wino. W tym było pełno płyt DVD z bajkami dla dzieci. Dla Sorchy i Liama.

– Carrie to ich ciocia? – zapytała Marnie.

– Siostra Ruth. Uwielbiają ją. Nie jest łatwo namówić je do zrobienia czegoś, czego nie lubią. Zostają u niej tylko dzisiaj, wieczorem wracają do domu. Stan Ruth się polepsza. – Skrzywił się z ulgą i przez wyrzuty sumienia. – Lekarze mówią, że wszystko będzie dobrze. Szkoda tylko... Logan miał przed sobą całe życie. Napiją się państwo czegoś? Mnie by się przydała kawa.

– Dzięki, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Chcieliśmy zadać panu kilka dodatkowych pytań o dziewczynę z wypadku. Sierzancie Jake?

– Znaleźliśmy ją na nagraniu z monitoringu. – Noah przytrzymał telefon tak,

by Joe mógł obejrzeć filmik. – Czy to możliwe, że właśnie tę dziewczynę widział pan na drodze?

Joe pochylił się do przodu i zmarszczył brwi, patrząc na wyświetlacz.

– Ma na sobie inne ubranie, ale budowa ciała jest taka sama. Dlaczego ma gołe stopy? Tak, to mogłaby być ona. Ta druga to May Beswick? Słyszałem w wiadomościach, że w Elektrowni Battersea znaleziono jej ciało.

Marnie kiwnęła na Noaha, który poruszył kciukiem po ekranie, a potem znowu podniósł telefon przed oczy Joego.

– Te zadrapania, które widział pan na ciele dziewczyny na drodze. Czy to mogło być coś takiego?

Joe znowu się pochylił.

– To są... napisy? Widziałem napisy?

– Tak nam się wydaje – powiedziała Marnie. – Rozumie pan, że prowadzimy sprawę morderstwa May i to, co panu pokazujemy, to poufne i delikatne informacje.

– Oczywiście. Strasznie mi żal jej rodziców. Chryste... Gina radzi sobie lepiej niż ja na jej miejscu, ale może jeszcze to do niej nie dotarło. May była młodsza niż Logan, prawda? Wciąż chodziła do szkoły.

– Miała szesnaście lat.

– To mogło być to. – Joe popatrzył na wyświetlacz, przekrzywiając głowę. – Napisy. Na ciele tamtej dziewczyny. To mogły być napisy. Ale co to znaczy? Jest zamieszana w śmierć May?

– Nie mamy powodu, żeby ją o to podejrzewać.

– Ale na nagraniu jest z nią May, prawda? May Beswick.

– Wspominał pan o dobrych wieściach? – zmieniła temat Marnie. – Na temat Ruth?

– Operacja się powiodła. Ruth zaczyna reagować, tak mi mówili. Mogę się z nią później zobaczyć, zanim odbiorę dzieci. – Wydawał się nieufny, wycierał dłonie o spodnie pizamy. – Będą państwo chcieli ją wypytać o wypadek, o tę dziewczynę. Nie wiem, czy będzie już na to gotowa.

Marnie popatrzyła na Noaha.

– Będziemy w kontakcie, panie Eaton. Jeszcze raz dziękujemy.

Na ulicy zapytała:

– Bardzo źle się czujesz?

Noah położył dłoń na dachu auta. Nie odpowiedział od razu.

– Migrena?

Zacisnął usta.

– Przepraszam.

- Zabiorę cię do domu.
- Mogę wezwać taksówkę.
- To nie jest daleko. Zawiozę cię. Wsiadaj.

Noah nie spierał się z nią. Ostrożnie zajął miejsce na fotelu pasażera, jakby bolało go całe ciało. Zapiął pasy i zamknął oczy. Jego twarz wykrzywił ból. Marnie uruchomiła silnik i wyjechała na ulicę tak gładko, jak tylko potrafiła. Wiedziała, że Noah czasami cierpi na migreny, ale nigdy nie miała okazji zobaczyć ataku na własne oczy. Wyglądał tak, jakby dostał obuchem w głowę. Jechali w dobrą stronę jak na tę porę dnia, podróż do mieszkania Noaha zajęła im niecałe dwadzieścia minut. Zaparkowała na drugiego i zgasiła silnik, włączając światła awaryjne, a potem wysiadła i otworzyła drzwi od strony pasażera. Poczekala, aż Noah wyjdzie z auta, stając z boku, żeby dać mu przestrzeń, ale też nie za daleko, by w razie czego złapać go i uchronić przed upadkiem.

– Dzięki. – Oparł się o samochód na moment, a potem się wyprostował. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Spojrzała na budynek, przypominając sobie, ile stopni musi pokonać Noah, zanim dotrze pod drzwi mieszkania. – Masz kogoś, kto ci pomoże?

- Sola... Ale nic mi nie będzie.

Skrzywił się, słysząc dźwięk klaksonu. Biała kia sportage czekała, aż Marnie zjedzie z drogi. Rome zignorowała to, skupiając się na Noahu.

- Chodź.

Poszli do drzwi wejściowych i czekali, aż Noah znajdzie w kieszeni klucze. Kierowca auta znowu nacisnął klakson. Noah wyciągnął klucze i podał je Marnie. Już samo utrzymanie pozycji stojącej było dla niego wysiłkiem. Otworzyła mu drzwi i odprowadziła go do schodów, gdzie kazała mu usiąść.

Na zewnątrz kierowca cały czas naciskał klakson.

- Poczekaj – rzuciła Marnie.

Wyszła na ulicę, gdzie czekała na nią kia. Kierowca miał koszulę równie krzykliwą co jego klakson i marynarkę wiszącą na wieszaku za fotelem. Dała mu znak, żeby opuścił szybę.

- Nie możesz tak po prostu zatrzymać się na środku drogi, ty głupia krowo... Zamknął się na widok legitymacji Marnie.

– Znajdź objazd. – Schowała legitymację z powrotem. – I przestań się bawić klaksonem.

Wróciła do Noaha, który wstał i nawet zdobył się na uśmiech.

– Poradzę już sobie. Powinnaś pracować nad sprawą. Daj mi kilka godzin i znowu stanę na nogi.

To była długa przemowa i po jej zakończeniu wyglądał znowu tak upiornie, jak w aucie.

Marnie kiwnęła głową.

– Odpoczywaj. Zadzwoń, kiedy będziesz już gotów, ale nie wcześniej.

Noah wspiał się po schodach do mieszkania, podpierając się o obie ściany jednocześnie. Na ślepo, ponieważ lewa strona jego pola widzenia była jedną wielką kolorową plamą, wszystko czerwone i zielone jak w ulubionym serialu Sola. Ból bił mu w głowie dwoma młotkami, po jednym na każdą skroń. Przynajmniej nie zwymiotował w samochodzie. Dotarł do mieszkania i po omacku znalazł zamek – ten ugryzł go, jakby miał zęby. Włożył klucz. Pchnął drzwi. Jedna stopa za drugą.

Doczłap do łóżka i połóż się.

Położ się.

Zamknął drzwi, sprawdził, czy na klucz, a potem poczekał, aż odejdzie fala mdłości. Migrena przemalowała korytarz i ustawiła go pod takim kątem, że nawet trzymając się ścian, nie potrafił go pokonać. Jakby czołgał się przez coraz węższy tunel.

– ...zadzieraj ze mną, ty gówniarzu! – Obcy głos.

Noah stanął i nasłuchiwał. Trudno było mu cokolwiek usłyszeć przez dudnienie w głowie i musiał – Boże, musiał – się położyć. Nieznajomy głos znowu się odezwał, zbyt cicho, ale z wściekłością, która niczym ciało stałe przeciskała się przez ścianę dzielącą Noaha od pokoju dziennego.

– Sol? – Jego własny głos zabrzmiał słabo.

Siedem kroków z korytarza do pokoju dziennego. Zrobił pięć, zanim jego brat zdążył się pojawić przed nim.

– Ja jebię. *Ja jebię*. Dawaj, chłopie.

Noah powstrzymał go spojrzeniem.

– Kto tu jest?

– Nikt. Kumpel. – Sol pokręcił głową. – Chłopie, ty wyglądasz jak zombie. Co się dzieje?

– Migrena. Kim on jest?

– Nikim. Przecież mówię. Dawaj. – Sol chwycił go za ramię i poprowadził z dala od pokoju dziennego, w stronę sypialni. – Cholera, chłopie. Od lat nie widziałem cię w takim stanie.

– Groził ci. – Noah leżał już na łóżku, zakrywając oczy ramieniem, podczas gdy Sol zaciągał zasłony. – Ten twój kumpel. Nazwał cię gówniarzem.

– Takie tam przekomarzanie.

Noah nie odrywał łokcia od twarzy. Migrena wbijała mu żelazny pręt przez lewą skroń.

– Pozbądź się go.

– Jasne. – Sol nakrył Noaha drugim brzegiem kołdry, na której leżał. –

Będziesz rzygał?

– Postaram się nie.

Sol rzucił coś na kształt „poczekaj”, ale Noah nie słyszał dobrze przez dudnienie w czaszce. Bardzo chciał stracić przytomność. W pokoju nie panowały wystarczające ciemności. May Beswick...

Powinien teraz szukać May Beswick. Nie, nie May, jej zabójcy. Właśnie tym powinien się teraz zajmować, a nie leżeć tutaj i modlić się o utratę przytomności. Jego zadaniem było znalezienie mordercy.

– Wiadro. – Sol dotknął łokcia Noaha nieco sztywno, niezgrabnie. – Jakby ci się zachciało.

Minęły lata, jednak Sol nie zapomniał, co należy zrobić, kiedy jego brat znajdzie się w takim stanie. Sierżant Jake miał szczęście, że Sol był akurat w mieszkaniu, by zasłonić okna i podstawić wiaderko... Ale kto jeszcze tu był i nazywał go gówniarzem, groził mu? Niedobrze...

Noah musiał zasnąć. Musiał stracić przytomność. To było jedyne znane mu lekarstwo na tak silny ból.

– Tramadol – błagał młodszego brata. – Szafka w łazience.

– Już się robi – rzucił Sol.

Z OKNA SYPIALNI NA Taybridge Road Marnie oglądała właśnie wspinaczkę miasta, jego wysokie wieżowce piętrzące się coraz wyżej za drzewami Parku Battersea, znacznie przewyższające bloki osiedla Garrett.

Inżynieria wykluczenia: im wyżej wspinało się miasto, tym mniej ludzi miało do niego dostęp. Nie chodziło tylko o penthouse'y w elektrowni, które kosztowały miliony. Biurowce w chmurach były zarezerwowane dla finansowej elity. Widok na Shard wymaga drogiego biletu wstępu i kontroli ochrony. Coraz więcej obszarów Londynu zostaje odgradzonych dla dobra coraz mniejszej i mniejszej liczby ludzi, by bogaci albo korporacje mogli na nich odbić swą pieczęć. Akurat w tym jednym przypadku miało to dla Marnie swoje plusy: mniej osób miało dostęp do mieszkań pokazowych Elektrowni Battersea i lista nie będzie długa – dostanie ją do końca dnia. Mimo to nie ufała tej iluzji sprawowania kontroli. Nie panowała nad miejscem zbrodni bardziej niż nad resztą miasta. Nikt nie panował. Chyba że zabójca, uosobienie strachu. Jak określił to Noah? *Strach to normalna reakcja na życie w społeczeństwie*. Marnie odwróciła się od okna i spojrzała na łóżko May.

Czysta pościel, słaby zapach płynu do zmiękczenia tkanin. Katrina pościeliła łóżko tego dnia, gdy zaginęła jej córka. Jeszcze zanim się dowiedziała, że May nie zamierza wracać. Włożyła czystą bieliznę do szuflad w toaletce, na której blacie kurzyła się szczotka do włosów. Nawet zanim odkryli ciało dziewczyny, pokój ten wydał się Marnie dziwny. Wszystko było posprzątane i nietknięte, nie licząc

warstwy kurzu. Książki, płyty CD, zabawki – nic nie zostało niedawno przestawione, podniesione czy odłożone, użyte. Od zaginięcia May nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, kiedy Marnie pierwszy raz weszła do tego pokoju, a jednak już wtedy wydawało się, jakby nikt w nim nie mieszkał. „Nie spędzała tu zbyt wiele czasu – powiedział wtedy Sean. – Wolała kuchnię albo pokój dzienny, czasami sypialnię Loz”. Plakaty na ścianach należały do znacznie młodszej dziewczyny. „Nakleiła je wiele lat temu – wyjaśnił. – Już ich potem nie zdjęła”.

May od dawna nie żyła w tym pokoju, nie tak, jak żyje większość nastolatków. Chaotycznie, bałaganiarsko, radośnie, smutno. Nie dało się wyobrazić sobie jej leżącej na łóżku ze słuchawkami na uszach albo rozmawiającej przez telefon z koleżanką. W pokoju nie było jej ducha, ani wtedy, ani teraz. Gdzie wychodziła, żeby żyć? Do miejsca, w którym ją zamordowano? Nagranie z monitoringu jest dowodem na to, że noc przed śmiercią May znajdowała się zaledwie ponad kilometr drogi stąd. Mimo to zdecydowała trzymać się z dala od bezpiecznego domu rodziców. Jeśli faktycznie miała wybór.

– Nienawidziła tego pokoju.

Marnie odwróciła się i zobaczyła stojącą w progu Loz. Była ubrana w za duży mundurek szkolny, a jej oczy spuchły od nieprzelanych łez.

– Ja kocham swój pokój, uwielbiam, gdy mnie do niego odsyłają. *Idź do swojego pokoju, Laura!* Jakby to miała być jakaś kara, jakby to nie było najlepsze miejsce w domu. Ale May swojego nienawidziła. Lubiła ogród, ciągle grzebała w ziemi. Czasami przychodziła do mnie. Podobało mi się to, ale nigdy nie potrafiłam jej zatrzymać na dłużej. Zawsze była w ruchu. Jak... jak latawiec. – Głos jej się załamał.

– Gdzie twój tata? Mama chyba się położyła.

– Oboje się położyli. – Loz rozejrzała się po pokoju. – Wydaje mi się, że tak już tutaj zostanie. Tak robią rodzice zmarłych dzieci, prawda? Przez lata nie przestawią nawet jednej książki. Tylko że u May to nie ma sensu. Ona nigdy tu nie mieszkała. Nie naprawdę.

Marnie rozpoznała stawiane przez Loz kolce, którymi chciała się odgrodzić od świata, każdy ostry i błyszczący jak igła. To przerażające, ile z siebie widziała w postawie Loz, w jej gniewie i rozgoryczeniu. Chciała zostawić to zadanie Noahowi, ponieważ uważała, że lepiej potrafi nawiązać kontakt z siostrą May niż ona. Nie chciała być tą, która zadaje dziewczynce pytania i z bliska ogląda jej ból. Nigdy nie jest łatwo rozmawiać z kimś pogrążonym w żałobie po stracie bliskiego, jednak Marnie zadawała sobie ten trud, ponieważ to było ważne. Ten przypadek nie był inny, z pewnością nie mniej ważny, jednak...

Trudniejszy. Ponieważ Loz tak bardzo przypominała Marnie jej samą sprzed lat.

– Kto się tobą opiekuje? Jest tu ktoś prócz mamy i taty?
– Nie, tylko oni. – Jej twarz wydawała się malutka w burzy jeżynowych włosów. – Gdzie pan Noah?
– Rozchorował się. Odwiozłam go do domu.
– Rozchorował się, bo zobaczył May?
– Nie, dostał migreny. Czasami tak ma.
– Mama rozchorowała się po powrocie z kostnicy. – Loz włożyła kciuk między zęby. – Myśli pani, że May знаła tego, kto to zrobił?
– Być może. Większość ofiar morderstw ginie z ręki kogoś, kogo znali.
Ten żar w oczach, które domagały się czegoś więcej niż prostego przekazania faktów, zupełnie inaczej niż u rodziców.
– Ale czy pani zdaniem May znała swojego zabójcę?
– Co się stało z Alice Gordon? Podobno się pokłóciłyście.
– To kłamczucha. Powiedziała, że May wróci, że wszystko będzie dobrze. Że znowu będziemy *rodziną*, jakby to w ogóle kiedyś było prawdą. Do tego ona nawet nie umie dobrze kłamać. Czy pani też musiała tego wysłuchiwać po śmierci rodziców?

Marnie, nagle znalazłszy się w centrum uwagi, aż zamrugowała z zaskoczenia.
– Zostali zamordowani – ciągnęła dalej Loz. – Czytałam o tym w Internecie. Pani przyrodni brat zrobił to, kiedy miał czternaście lat. Zadzgał ich na śmierć. May zginęła inaczej, prawda? Została uduszona.

– Loz... Nie mogę rozmawiać z tobą na ten temat. Nie bez obecności kogoś dorosłego.

– Pani jest dorosła.
– Jestem policjantką.
– Co za różnica. Nie może pani próbować wyciągnąć ode mnie dowodów, a przecież pani nie próbuje. Tylko rozmawiamy. Ja zawsze gadam. Otwieram usta i wypadają z nich różne rzeczy, dopóki się nie zmęczone. Tata zawsze tak powtarza.

I ma rację.

– Bierze pani udział w Programie Wybaczenia? – zapytała za chwilę. – To taki projekt więzienny, który pomaga ofiarom pogodzić się z tym, co się stało, poprzez wybaczenie winnym. Czy my będziemy musieli wybaczyć zabójcy May? Bo ja nie wybaczę. Nawet jeśli mama i tata dołączą do tego programu, ja nikomu niczego nie mam zamiaru wybaczać. May by tego nie chciała. – Jej oczy błyszczały od łez. – Czy musiała pani wybaczyć Stephenowi Keele'owi? Wygooglowałam panią po pierwszej wizycie. Właściwie to pana Noaha, ale nic nie mogłam znaleźć, więc wygooglowałam panią i znalazłam masę rzeczy. Sprzed pięciu lat. On ma teraz dziewiętnaście. – Przygryzła wargi tak mocno, że zrobiły się białe. – Wybaczyła mu pani? Zmusili panią do tego? To znaczy, czy musiała pani ze względu na pracę w policji? Albo w ramach terapii? Założę się, że miała pani całe mnóstwo terapii.

Pewnie teraz będzie nam pani o niej opowiadać. Spotkania z psychologiem, potrzeba akceptacji. A może poczeka pani, aż ją pochowają? O ile ją pochowają. Pewnie ją skremują. – Wytarła oczy i spojrzała rozgniewana na mokrą dłoń. – I tak będziemy musieli poczekać, prawda? Najpierw na wyniki sekcji, a potem policja zatrzyma jej ciało jako dowód w sprawie. Aż do czasu, kiedy znajdzie się zabójca, co może potrwać całe wieki. Może będziecie ją trzymać długie miesiące. Mama i tata nie rozumieją, że ona należy teraz do policji. A potem do sądu. To dowód. May jest dowodem. – Wciągnęła gwałtownie powietrze, wycierając ręce o sweterek. – To nie pani wina. Nikt tak nie twierdzi. Ale *czyjaś* jest. Na pewno zabójcy. Nigdy mu tego nie wybaczę. Ostrzegam, że jeśli pani zacznie coś gadać o wybaczeniu, nie zgodzę się na to nawet ze względu na mamę i tatę. Nie mogę wiele pomóc. Właściwie nic nie mogę. Ale mogę przynajmniej nienawidzić tego, kto jej to zrobił. – Zaczęła się trząść. – Przynajmniej tyle.

Marnie, która milczała, podczas gdy dziewczyna spalała swój gniew w pytaniach, teraz powiedziała:

– Tak, możesz. Może nienawidzić tego, kto jej to zrobił.

– A pani go nienawidzi? Stephena Keele’a? Nawet po pięciu latach?

– Nie wiem. Masz rację, chcieli, żebym wzięła udział w Programie Wybaczenia. Zapisalam się, bo tego ode mnie oczekiwano. Ale w to nie wierzyłam, nie wtedy.

– To *głupie*. To słabość.

– Może się takie wydawać. Jednak z czasem nienawiść bywa męcząca.

– Wolę być zmęczona nienawiścią, niż się z tym pogodzić. – Loz zebrała włosy z twarzy. – Nie cierpię ludzi, którzy tak robią, którzy *żyją dalej*. Jakby nic z tego – wskazała pokój zmarłej siostry – się nie wydarzyło. Ja tak nie zrobię. Nigdy.

Znowu zwróciła swoje ciemne oczy w stronę Marnie.

– Wszyscy ciągle powtarzają, że to ja jestem tą silniejszą. May była marzycielką, ciągle z głową w chmurach. Nie zadawała pytań, nikomu nie wchodziła w drogę. No, mam nadzieję, że *jemu* narobiła kłopotów. Temu zabójcy. Mam nadzieję, że walczyła. Nawet jeśli nigdy wcześniej tego nie robiła. Nie tak jak ja, ta *dziwna*. Ta sprawiająca kłopoty. Dobra, *dobra*. Żałuję, że nie mogę narobić kłopotów temu, który ją udusił. Udusił i kto wie co jeszcze. Kiedy będziecie wiedzieć co jeszcze? Kiedy będą wyniki sekcji?

– Niedługo. – Marnie czuła się przygnieciona nieszczęściem tej dziewczynki, jej palącą potrzebą poznania odpowiedzi. Ścisnęło ją boleśnie w gardle, bo nie mogła ich udzielić. I ze współczucia.

– Powie mi pani? Bo oni nie chcą. Albo powiedzą, tylko w jakiejś łagodnej wersji. A ja chcę *wiedzieć*. Muszę wiedzieć, co się z nią stało. Powie mi pani? Proszę obiecać, że pani powie.

– Nie mogę. Przykro mi, ale nie. Nie złożę obietnicy, której nie mogę dotrzymać.

– Pani *wszystko* powiedzieli. Nie musiała sobie pani wyobrażać rzeczy gorszych niż te, które się naprawdę wydarzyły.

– Miałam dwadzieścia osiem lat. – I stało się najgorsze, nie musiała sobie tego wyobrażać.

– Szukała pani czegoś. – Loz przygryzła wargę, patrząc na pokój siostry. – Czego?

– Cienkopisów. – Była to jakaś odpowiedź.

Wzrok Loz natychmiast przesunął się na Marnie.

– Cienkopisów. – Zaczęła drapać podłogę palcami u stóp. – Czyli widziała pani.

– Widziałam napisy. A ty? Wcześniej. Kiedy May jeszcze tu mieszkała.

– Pokazała mi. Raz chciała, żebym ja coś jej napisała.

Marnie pomyślała o słowach, które wyczytała z ciała May. Brzydkie, znieważające słowa. Myślała, że powstawały w samotności. Przed lustrem w zamkniętej łazience. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że May mogła poprosić kogoś o napisanie ich.

– Co napisałaś?

– Nic. Nie zamierzałam robić czegoś takiego siostrze. To wszystko było głównie prawda. Nie cierpiałam tych napisów. – Znowu walczyła z łzami. – Nienawidziłam tego, co na sobie pisała.

– Oczywiście. Przepraszam. Niemniej... naprawdę cię o to poprosiła?

Loz niechętnie pokiwała głową, nie chcąc zdradzać sekretów siostry.

– Nazwała to grą.

– Jak długo w nią grała?

– Nie wiem. Długo.

– Grała jeszcze z kimś innym?

Loz znowu się zawahała.

– Czasami. Nie jestem pewna, nigdy o tym nie mówiła, ale tak mi się wydaje.

– Z kimś ze szkoły?

– Nie. – Loz rzuciła jej pogardliwe spojrzenie. – Tam jesteś skończona, jak zrobisz sobie nie takie pasemka, jak trzeba. May nie miała w szkole żadnych prawdziwych przyjaciół.

– A gdzie miała tych prawdziwych?

– Loz... – Sean Beswick stał na drugim końcu korytarza i patrzył zmęczonymi oczami na córkę. – Co ty robisz?

Loz wzruszyła nieznacznie ramionami, odrywając wzrok od Marnie.

– Zadaję pytania, robię szum, znasz mnie. Ale nic się nie martw. Pani

komisarz Rome jest profesjonalistką i nie rozmawiała ze mną bez obecności dorosłego. – Odsunęła się od ściany. – Zaparzę herbaty. Przyda się, prawda?

Jej tata patrzył, jak Loz idzie na dół. Marnie wyczytała z jego twarzy, że bał się, jakie pytania mogła zadawać dziewczynka. A może bał się jej smutku.

Dlaczego Beswickowie tak bardzo opierali się przed przytulaniem córki? Obawiali się, że utracą także i ją? Tę, która ciągle sprawia kłopoty. Ile niewygodnych pytań zadała swoim rodzicom Loz, zanim przyjechała Marnie? Na niektóre z nich nie było odpowiedzi, jeszcze nie, a może nigdy nie będzie. Jak dokładnie umarła May, co się z nią działo przez te dwanaście tygodni od czasu zaginięcia. Dlaczego zginęła i z czyjej ręki. Marnie chciała poznać odpowiedzi tak samo mocno jak Loz.

– Przepraszam. Musiałem posiedzieć z Kat. Kiepsko z nią – powiedział Sean.

– Oczywiście. Rozumiem.

– Miała pani jakieś pytania. Potrzebni jesteśmy do tego oboje? Kat naprawdę przydałoby się trochę snu.

– Chciałam wypytać o przyjaciół May, o kogoś, z kim mogłaby być w kontakcie przez ostatnie trzy miesiące.

– Policja już z nimi rozmawiała. – Sean potarł oczy wierzchem dłoni. – Prawda? Podaliśmy wszystkie znane nam nazwiska, dawno temu.

– Rozmawialiśmy z jej kolegami ze szkoły, ale czy był może ktoś jeszcze? Może chłopak.

Sean widział swoją córkę w kostnicy, jej przycięte paznokcie, czyste włosy. Czy nie zastanawiał się, gdzie była, że mogła tak o siebie dbać? Nie, oczywiście, że nie. Widział swoją córkę, martwą, uduszoną. Nie wydawała mu się „zadbana”. Marnie nie potrafiła przestać myśleć jak detektyw, ale nie mogła wymagać od rodzica, żeby myślał podobnie.

– Chłopak? Nie. Jestem pewien, że nie miała chłopaka. – Napięcie w jego twarzy, jak mur broniący przed jej pytaniem. Gdyby się z kimś spotykała, nawet z kimś, kogo nie akceptowaliśmy, wiedzielibyśmy o tym. Zapewne podalibyśmy jego nazwisko jako pierwsze. – Opuścił rękę wzdłuż tułowia. – Dlaczego pani pyta? Pani zdaniem mogła znać swojego zabójcę?

– Zaginęła na dwanaście tygodni. Musimy ustalić, czy spędziła ten czas z tą samą osobą, czy w różnych miejscach i towarzystwie. Może się okazać, że była przez te trzy miesiąca bezpieczna, aż do niedawna.

– May była bezpieczna tutaj. – Uderzył pięścią w ścianę. – My dbaliśmy o jej bezpieczeństwo. Dopóki on jej nie zabrał.

Marnie poczekała chwilę z szacunku dla jego cierpienia.

– May była artystką. Pokazywał nam pan jej rysunki. Niektóre z nich...

– Przedstawiały Elektrownię Battersea. – Pokiwał głową. – Miała obsesję na

punkcie tamtego miejsca, zrobiła projekt artystyczny przedstawiający jego historię, jak się zmieniało. Kiedy powiedziała nam pani, gdzie ją znaleźli, pomyślałem, że powinienem być poszukać jej tam wcześniej. Zawsze kręciła się w tamtej okolicy.

– Przeszukaliśmy ten teren dwanaście tygodni temu – przypomniała mu Marnie. – Nasz zespół był bardzo dokładny. Czy May odwiedzała kogoś mieszkającego na osiedlu Garrett? Może koleżankę?

– Nie. – Kolejna stanowcza odpowiedź. – Żadne z jej przyjaciół tam nie mieszkało. Niektóre z dzieciaków ze szkoły na pewno, ale żadne z jej przyjaciół. Mówiliśmy dziewczynkom, żeby trzymały się z dala od tego miejsca. Dlaczego pani pyta? Czy ona... Wie pani, kto to jest? Czy znaleźliście kogoś...?

– Jeszcze nie, jednak mamy świeże nagranie z monitoringu, na którym widać May i inną dziewczynę...

– Świeże? Twierdzi pani, że była *tutaj*, w okolicy? Dlaczego nie wróciła do domu?

– Nie wiemy. Przykro mi.

– Jaką dziewczynę? – Usłyszał Loz na schodach i zaczął mówić ciszej. – Znają państwo jej imię?

– Jeszcze nie. Ma włosy farbowane na rudy, wręcz czerwony kolor. Jest chuda, do tego mniej więcej wzrostu May i w podobnym wieku. Pamięta pan kogoś z towarzystwa córki, kto pasowałby do tego opisu?

Sean pokręcił głową, nie spuszczając Marnie z oczu.

– Mieszka na Garrett?

Loz niosła dwa kubki herbaty. Jeden podała ojcu, drugi Marnie.

– Na Garrett jest pełno frajerów. Takich, co ćpają i się tną. Najgorsze dzieciaki w szkole. Policja kiedyś przyjechała zrobić nam pogadankę, bo ktoś przyszedł do szkoły z nożem i powiedział, że dostał go właśnie na Garrett. Tam można kupić wszystko. Klej, alkohol, petardy.

– Dobra, Loz. Już wystarczy.

– Ja tylko wyjaśniałam pani komisarz Rome, dlaczego my nigdy byśmy tam nie poszły. Dobre dziewczynki nie chodzą na Garrett. – Patrzyła prosto na Marnie, jej wielkie oczy nie mrugały. – Tam poszłaby tylko taka, którą jara samookaleczanie i takie tam.

– Powiedziałem *wystarczy*.

– Mam iść do pokoju? Nie ma sprawy. – Poszła do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Ona odeszła, ale jej smutek pozostał, czyniąc powietrze suchym i najeżonym kolcami, które wbiły się w pierś Marnie.

Tim Welland marszczył brwi, patrząc na białą tablicę w sali koordynacyjnej;

w prawej ręce trzymał kubek z herbatą. Przywitał powracającą Marnie kiwnięciem głowy, wskazując na zdjęcie May.

– Jak jej rodzice? Trzymają się?

– Ledwo.

Marnie zdjęła płaszcz i ruszyła do swojego biura. Welland poszedł za nią.

– Widziałem nagranie z monitoringu. To dziewczyna z wypadku?

– Joe Eaton zdaje się tak uważać, a to na razie nasz jedyny świadek.

Niedługo powinniśmy dostać nagranie z samego miejsca wypadku. Nic z Battersea nie jest warte oglądania. – Nadgarstki bolały ją po tym, jak zbyt mocno ścisnęła kierownicę. – Chciałabym wrócić na Garrett i poszukać zaginionej.

– Myślisz, że to będzie następna ofiara? – Welland siorbał herbatę z kubka. – A może twoim zdaniem jest w to zamieszana? Sądząc po nagraniu, niezbyt się lubiły.

– Owszem, ale to nie ona zaniosiła May do tamtego mieszkania.

– Mogłaby trzymać drzwi otwarte dla tego, kto to zrobił. We dwójkę na pewno było łatwiej.

– Nie wykluczam tego. Po prostu nie uważam, żeby to się kleiło, przynajmniej na razie. Tamtego wieczora, gdy wydarzył się wypadek, była w szoku, do tego półnaga. Niewiele brakowało, a Joe Eaton by w nią uderzył. Miała szczęście.

– Którego zabrakło Loganowi Marshowi. I May Beswick. – Welland podszedł do okna i popatrzył w dół. – Skoro ledwo uszła z życiem, dlaczego nie zgłosiła się do nas? Dlaczego przebrała się i uciekła? – Odwrócił się, by przyjrzeć się Marnie, marszcząc czoło. – Daj mi jakieś powody. Poza tym, że wiesz, jak czuje się nastolatka uciekająca z domu.

– Przebrała się w Garrett, więc albo tam mieszka, albo ma tam przyjaciół. Ani jedno, ani drugie nie oznacza wprost, że na pewno nie szukałaby pomocy u policji, ale też zmniejsza prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy, prawda? Kiedy ktoś stamtąd zgłosił się do nas po pomoc? Pomijając Tarvin, która i tak nie jest naszą wielką fanką.

– Ta kobieta przypomina mi Kathy Bates z *Misery*. – Podniósł kubek w toaście. – Przepraszam, mówiłaś coś? Coś o tym, że opierasz swoje przekonania na czymś więcej niż empatia?

– Czy my musimy poważnie porozmawiać? Bo wyczuwam dystans. Minęło wiele lat, odkąd byłam nastolatką.

– Dokładnie dziewiętnaście. Nie tak znowu dużo, jak się nad tym zastanowić. – Patrzył na nią znad krawędzi kubka, na jego lewym oku wciąż widoczny był cień raka, który omal nie pozbawił go wzroku trzy lata wcześniej.

Jego choroba wyciągnęła Marnie z otchłani jej żalu po stracie rodziców. Na myśl, że mogłoby zabraknąć w jej życiu także i jego, nawet teraz ścisnęło ją

w żołądku. Chciała, żeby Welland się uśmiechał.

– Tu nie chodzi o empatię. Nie mam pojęcia, co się działo w głowie May, kiedy odeszła z domu, jednak uważam, że odeszła sama. Nie wydaje mi się, by została porwana. Nie jestem nawet pewna, czy przez cały ten czas była z zabójcą.

– Więc kto jej zmajstrował dziecko? W żadnym z zeznań sprzed dwunastu tygodni nie było słowa o chłopaku. – Odstawił pusty kubek na biurko. – Nie wyobrażam sobie, by wiele szesnastolatek miało dość oleju w głowie, by utrzymać związek w tajemnicy. Większość chwali się tym na prawo i lewo w Internecie.

– Nie May, zdaniem jej rodziny. Jej siostra dopiero co powiedziała mi coś interesującego. Żadne z prawdziwych przyjaciół May nie chodziło z nią do szkoły. Może rozmawiała z niewłaściwymi ludźmi i prowadziła życie, którego nie udało nam się jeszcze odkryć. Prawdziwe, nie wirtulane życie, do którego udała się dwanaście tygodni temu. Gdzie poznała dziewczynę z wypadku.

– Masz na myśli Garrett? To nie droga ucieczki, to ślepy zaułek. A dziewczyna miała dobre życie. Jej rodzice to zamożni i porządni ludzie. Nie ma żadnych dowodów na to, że znęcali się nad nią albo ją zaniedbywali.

– Nie ma – zgodziła się Marnie.

– A jednak uważasz, że uciekła. Bo zaszła w ciążę?

– Do zapłodnienia doszło później, więc nie. Uważam, że odeszła, ponieważ nie mogła tam dłużej żyć, z takiego czy innego powodu. Moim zdaniem była bardzo nieszczęśliwa.

– Czyli to był... nastoletni bunt?

– W tym wieku smutek może się wydawać końcem świata. A Beswickowie są... sztywni. Nic do nich nie mam. Jest mi ich żal. Ale przez te dwanaście tygodni nie widziałam, żeby choć raz przytulili swoją córkę. Nawet w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

– Ile lat ma Laura Beswick? Trzydzieści?

– Na pewno nie jest za duża, by nie potrzebować przytulenia po śmierci siostry.

Welland przetrwał to w ciszy.

– A jak się czuje sierżant Jake?

– Dochodzi do siebie, mam nadzieję.

– My dwoje wiemy, jak to wygląda. To dopiero początek, może to nawet seryjny przestępca. – Unikał wyrażenia „seryjny morderca”, ale wymownie się skrzywił. – Twój złoty chłopiec jest dobry, ale bardzo młody. Jeśli chcesz kogoś z większym doświadczeniem albo starszego...

– Nie chcę, dzięki. Noah od razu dostrzegł, czym jest to morderstwo. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na miejsce zbrodni i już pracował nad sprawą. Wie, na co się szykować. Potrzebuję jego mózgu i cenię jego instynkt.

– Dobra, złoty chłopiec zostaje. Upewnij się tylko, że masz wszystko, czego

ci trzeba, by dotrzymywać tempa. Wolałbym nie widzieć więcej trupów w eksponowanych miejscach. Nie chcę, by jacyś turyści natknęli się na martwą dziewczynę w London Eye. Gdzie indziej też nie.

– Chciałabym współpracować z drogówką. Rozważają aresztowanie Joego Eatona?

– Dowiem się. Daj mi znać, co jeszcze wyciągniecie z monitoringu i kiedy oraz jak chcesz powiadomić prasę. – Na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. – Deweloper z Battersea marudzi jak sekretarka niskiego szczebla z moją dłonią pod spódniczką, więc tym też się zajmę.

Wziął pusty kubek z biurka Marnie.

– Mój kielich jest przeobfity.

Ron spoglądał właśnie ze zmarszczonymi brwiami na białą tablicę, kiedy Marnie dołączyła do reszty zespołu.

– Nie uwierzysz, co oni tam porobili w tej Elektrowni Battersea. Jeden wielki burdel. Utopili w tych mieszkaniach miliony, ale na podłączenie paru kamer już im było szkoda. To się nazywa mieć priorytety.

– Mamy już wszystkie zeznania od ochroniarzy?

– Owszem, ale czy się przydadzą? Tylko ten były żołdak, Ledger, cokolwiek widział. Reszta nie zauważyłoby gówna, gdyby przylepiło im się do czoła.

– A co z listą osób, które miały dostęp do placu budowy w ciągu ostatnich dwunastu tygodni?

– Ciągłe ją tworzymy. Do tej pory mamy już budowlańców, deweloperów, agentów nieruchomości. Ci ostatni powinni nam przekazać listy klientów, którzy umówili się na oglądanie mieszkań. Możesz sobie wyobrazić, z jakim entuzjazmem nad tym pracują. No i jest jeszcze ta impreza dla prasy, którą zorganizowali sześć tygodni temu. Pismaki, fotografowie. Zaprosili wszystkich, którzy mogliby ogarnąć dobry temat i pomóc im sprzedać kilka mieszkań. Ciągłe czekamy na listę obecnych.

– Zacznijmy odfajkować nazwiska z tego, co już mamy. Jak przesłuchania na miejscu?

– Typowi „nieznajomi w białym vanie”. Normalnie jakaś plaga białych vanów. Niedługo tam wracam. Dostaniemy wreszcie zdjęcie tej dziewczyny z wypadku, żeby pokazywać ludziom? – Kiedy Marnie pokiwała głową, zapytał: – Jak tam po rozmowie z rodzicami?

– Sean Beswick jest przekonany, że May nigdy nie postawiła stopy na osiedlu Garrett, ale Loz zasugerowała coś przeciwnego. Jeśli dziewczyna z wypadku tam mieszka, chcę ją znaleźć. To nasz najlepszy trop, może dzięki niemu ustalimy, co się działo z May przez ostatnie godziny jej życia.

– Twoim zdaniem May mogła pojawić się na Garrett? Wtedy znalazłaby się w notesie Emmy, prawda? Niewiele jest w stanie umknąć jej uwadze. – Ron wydawał się dumny z emerytki.

– Wiemy, że May miała obsesję na punkcie Elektrowni Battersea. Narysowała to. – Marnie podała mu szkicownik pożyczony od Seana. – Skseruj i powieś na tablicy. Musimy się skupić na miejscu odnalezienia jej ciała oraz tym, gdzie ostatni raz widziano dziewczynę z wypadku. Czyli na Elektrowni Battersea i osiedlu Garrett. Sprawdźmy jeszcze raz, co się działo z May przez te dwanaście tygodni. Chcę wiedzieć mniej więcej, jak mogła mieszkać. Sama czy z przyjaciółmi? Nie wydaje mi się, by żyła na ulicy. Wyglądała na zdrowszą niż na ostatnim zdjęciu z rodziną. Chcę wiedzieć, kto się nią zajmował i gdzie.

– Jej rodzice to porządni ludzie – powiedział Ron jak echo słów Wellanda. – Nie znaleźliśmy nic, co świadczyłoby o czymś innym, a grzebaliśmy głęboko. Dzieciaki uciekają z przeróżnych powodów. Przypomnij sobie Clancy’ego Branda sprzed sześciu miesięcy. Jego rodzice byli bardziej zamożni niż większość ludzi i większość pieniędzy przepuszczali na systemy alarmowe. Ich kamery na pewno były podłączone. Mieli bzika na punkcie bezpieczeństwa. A dzieciak i tak uciekł.

Brandowie cierpieli na paranoję, nie mogli przestać myśleć o zagrożeniach czyhających za drzwiami. Chowali się przed innymi i zmuszali swojego nastoletniego syna do tego samego. Clancy ostatecznie uciekł w wieku czternastu lat – rzucił się na główkę w niebezpieczny świat, lecz – jak powiedział – wolał to niż dom. Niektórzy rodzice zaszczepiają strach w dzieciach, za bardzo skupiając się na ich bezpieczeństwie. Marnie nie uważała, by Beswickowie zaliczali się do tej kategorii, jednak rozmowa z Loz zmusiła ją do ponownej oceny swojej wiedzy na temat rodziny.

– Zostawcie Garrett do rana – powiedziała Ronowi. – Chcę, żeby wszyscy byli wypoczęci i w pełni skupieni w czasie jutrzejszych przesłuchań osób obecnych w elektrowni. Welland ma zorganizować dodatkowych ludzi, ale chcę, żebyś to ty kierował zespołem pracującym na Garrett. Znasz to terytorium.

Jakby osiedle było strefą wojny.

Tak właśnie było.

– Linia wroga – rzucił Ron, jakby czytając jej w myślach. – Opracuję plan działań.

Aimee

MAY WRÓCIŁA DO domu. Słyszę jej głos. Wyskakuję z łóżka półnago, nie przejmując się zasadami i w ogóle niczym prócz May.

Wróciła. Jest tutaj.

Jestem na schodach w białej koszuli nocnej, światło sprawia, że jest przezroczysta, nic nie ochrania mnie przed jego spojrzeniem. I wtedy się zatrzymuję.

To nie może być May. Jak niby? Ona nie wróci. A ja nie mogę się pokazywać w ten sposób. *Jemu* nie mogę się tak pokazywać. Dzisiaj przy kolacji...

Odwrócił się plecami do nas wszystkich.

Zmywał naczynia i zbyt długo stał do nas plecami i zmywał, zmywał, jego ramiona pracowały, aż wydawało mi się, że płacze. Przez całą kolację nie odezwał się ani słowem, nie kazał mi zjeść wszystkiego ani wypić wody, nie patrzył na nikogo.

Coś się stało. Wydarzyło się kilka dni temu, po odejściu Grace, jakby uciekając, zabrała ze sobą jakąś część niego, tę, bez której nie potrafił normalnie funkcjonować, która utrzymywała go w jednym kawałku.

Wszystko musi zawsze, *zawsze* być takie samo. Ale nie było. Coś się

zmieniło. On się zmienił. Teraz została już tylko świeca. Nie było przytulania, nie było *dobrej dziewczynki*.

Christie próbowała zachowywać się normalnie, ale miała strasznie rozbiegane oczy.

– Ashleigh, możesz jako pierwsza iść do łazienki.

Harm nic nie mówił, nie poruszał się. Pachniał mocno, jak drewno na opał.

Świecie rzucały długi, długi cień na jego plecy.

Christie polizała czubki palców i zgasiła wszystkie świece po kolei. Zostały tylko cztery strużki szarego dymu unoszące się nad stołem.

Teraz wydawało mi się, że słyszę głos May. Ale to nieprawda. Mam ze sobą jej szkicownik, schowany pod pościelą. Cały pokój śmierdzi chorobą. *Ja* śmierdę chorobą. Muszę się umyć i zmienić pościel, ale nie mam na to siły. Łatwiej jest zostać tam, gdzie on chce mnie widzieć, zwinąć się w kłębek na łóżku. Tak jak w dzieciństwie, gdy mama nie puszczała mnie do szkoły, widząc u mnie chorobę. Dużo się martwiła ta moja mama. Dlatego wydawało mi się, że wiem, z czym mam do czynienia w przypadku Harma, ponieważ symptomy się zgadzały, to sprawdzanie raz po raz, ta rutyna. Wydawało mi się, że Harm jest jak moja mama i będzie się mną opiekował tak, jak ona się opiekowała – do czasu, aż dłużej już nie mogła.

Katastrofizacja, tak to nazywają specjaliści. Wytłumaczył mi to facet z pomocy społecznej po tym, jak zabrali mamę do szpitala. To wtedy, gdy pozwalasz, by negatywne myśli wymknęły się spod kontroli, i zamartwiasz się rzeczami, na które nie masz żadnego wpływu. Przedsiębiorzesz te wszystkie środki ostrożności, żeby czuć się bezpiecznie, ale to nie działa, bo wymyślasz ciągle coraz większe i większe powody do niepokoju. Teraz uważają, że paranoję ma się w genach. I jeśli znajdą ten gen, znajdą też lekarstwo. Ale dla Harma już będzie za późno. Dla mojej mamy też było, a on jest w gorszym stanie niż ona kiedykolwiek.

Przynajmniej May nie musi już więcej jeść liofilizowanego gówna ani słuchać wykładów o czyhających na nas niebezpieczeństwach. To on jest niebezpieczeństwem. Tylko on. Z May było już dobrze – muszę to sobie powtarzać. Trudno uwierzyć, że byliśmy tak głupi, by czuć się tutaj bezpiecznie. Tylko że on był inny, mówił, że się liczymy, że *ja* się liczę. Zrozumie to tylko ten, kto żył na ulicy. Nie chodzi tylko o głód, zimno czy strach przed pobiciem, a może czymś gorszym. Chodzi o pustkę, jaka się w tobie tworzy. Mogę znieść głód i zimno, mogę znieść nawet gwałt, chociaż to się zdarzyło tylko raz. Nie mogę jednak znieść tego, że nie jestem już sobą.

Bezdomny to tylko synonim słowa *pusty*.

Tamtej nocy Harm mnie znalazł...

Pamiętam to bardzo wyraźnie. Myślę, że chce seksu, więc idę za nim, spodziewając się właśnie tego. Wiem, jak to jest. Mężczyźni nie zabierają bezdomnych dzieciaków z ulicy bez powodu, ale uznają to za sprawiedliwą cenę za to, co mi zaoferował. Łóżko do spania, porządne jedzenie i suchy kąpiel. Od kilku dni pada i mam już dosyć zimna, kaszel nie daje mi spokoju. Z początku nie muszę udawać choroby.

Rozbieram się i biorę prysznic, bo śmierdzą. Dobrze jest się umyć. Potem kładę się do łóżka i czekam na niego. Czysta, gładka pościel. O ile mnie nie skrzywdzi, warto. Nie jestem dzieckiem i wiem, co robię. Uważam, że nie jest tak źle, bo w pokoju jest ciepło, a dom wydaje się bezpieczny. Zwyczajny dom, ale Christie dba o niego. Tamtej nocy nie poznaję jeszcze ani jej, ani innych. Harm zabiera mnie do pokoju na tyłach, gdzie nie ma zamka, więc nie może mnie tam zatrzymać, gdyby okazał się brutalem. Czuję się okej. Kiedy mija trochę czasu, a jego ciągle nie ma, przewracam się na brzuch, bo wydaje mi się, że może woleć w ten sposób. On jednak nie przychodzi, a ja usypiam. Następnego ranka ubieram się i idę na dół. Harm smaży naleśniki na śniadanie. Zapach sprawia, że cieknie mi ślinka.

– Zostawiłem czyste ubrania. Idź się przebierz, a ja to upiorę. – Rozkłada naleśniki na dwa talerze. – Ale najpierw śniadanie – mówi, uśmiechając się do mnie.

Naleśniki są niesamowite.

Po posiłku idę na górę i przebieram się w to, co mi naszykował: czarna spódnica od szkolnego mundurku i biała koszula. Wiem, co sobie myślisz, ale to nieprawda. Spódnica jest długa, do tego są rajstopy, prawdziwe grube rajstopy, a nie jakieś seksowne pończochy. Ubrania leżą lepiej niż moja workowata bluza i džinsy. Kiedy patrzę w lustro, widzę uczennicę z płaską klatką.

Mundurek jest żenujący, ale przyzwyczajam się. Nie oznacza tego, co wydawało mi się, że oznacza. W przypadku Harma zawsze tak jest. Przez kilka tygodni spodziewam się, że mnie dotknie, zwłaszcza przez to, jak cały czas odsyła mnie do łóżka. Po paru dniach w cieple i po porządnym jedzeniu mój kaszel znika. Jednak Harm wcale tego nie chce. Woli się mną opiekować. Tak samo jak moja mama, zanim jej stan się pogorszył. Kiedyś całkiem nieźle mi szło udawanie przed nią. Z nim jest trudniej.

W domu mieszka sześć osób. Musiał należeć do jego rodziców, bo ciągle znajduję zdjęcia dzieci. Dziewczynki i chłopca, który wygląda jak Harm. Christie, Grace, Ashleigh, May i ja – wszyscy w tym domu, aż do czasu, kiedy on oznajmia, że nie jest tu dla nas dość bezpiecznie. Nienawidzi ogrodu po tym, jak May próbuje przywrócić go do życia. Stwierdza, że zbyt łatwo się tu włamać. Właśnie wtedy znajduje dla nas nowe miejsce, mieszkanie dwupoziomowe, gdzie dostaję własny pokój.

Nienawidzę leżenia w łóżku tutaj. Ashleigh strasznie się mnie czepia. Ma przeze mnie kłopoty, bo wymusnęło mi się, że kazała mi sprzątać, jak reszcie. To go wkurzyło. Ale ja tu wariuję, jestem jak ta szalona kobieta na strychu, tylko że nie jestem kobietą, jestem jego małą chorą dziewczynką.

Odosobnienie powoduje halucynacje. Wiesz? Ludzie tracą rozum w więzieniach. Gapię się na mokrą plamę na suficie, próbując wyobrazić sobie niebo, ptaki, drzewa i cały świat. May i maleństwo...

Czasami nie mogę oddychać. Zupełnie jakby coś usiadło mi na piersi. Dziecko albo karzeł, ciężkie i gorące. Czuję jego pulsującą krew i ciało, która wciska mnie w materac. Jego oddech jest obrzydliwy, jakby coś tłustego zdechło mu w ustach.

Leżę w ten sposób całymi dniami, a Harm cieszy się, że nie czuję się na siłach, by wstać. Nie obchodzi go, czy się duszę, czy coś mi siedzi na piersi i przytrzymuje w miejscu, aż zechce mi się pisać na ciele, jak Grace i May. Tylko że moje napisy powiedziałyby prawdę. Prawdę o tym, co on nam robi w tym więzieniu, który z głupoty nazywamy domem.

Wyobrażony ból nie różni się niczym od prawdziwego. Aktywuje te same obszary mózgu, tak mi powiedział ten z pomocy społecznej. Pod koniec mama nie wiedziała już, które zagrożenia są prawdziwe, a które nie. Jedne i drugie wywoływały tę samą reakcję, zamrażały jej mózg, a potem zalewały go adrenaliną, przez którą chciała skakać, uciekać, biec. Jesteśmy sumą naszych strachów, powiedział facet z pomocy społecznej. I właśnie to napiszę. Wyciągnę drut ze szkicownika May i wryję na sobie te słowa: „Harm to zrobił” i „pieprzyć go”...

Za to, że przez niego uciekły, Grace i May. Za to, że zabrał mi najlepszą przyjaciółkę i jedyne, co czyniło to miejsce znośnym. Teraz jestem tylko ja i to coś, które siedzi mi na piersi i dyszy w twarz, żeby zatrzymać mnie na łóżku, przez co coraz mniej udaję, a coraz więcej jest prawdy w tej mojej chorobie.

Właśnie tego chce.

Harm chce, żeby jego dziewczynka nie wstawała z łóżka. Twarzą do góry czy do dołu, bez znaczenia. Myślę tylko, że ostatecznie położy mnie twarzą do góry, z włosami ładnie zaczesanymi na poduszce. Wątpię, żeby mnie pochował. Wątpię, żeby chciał to zrobić. Będzie mnie tu trzymać, aż zacznę śmierdzieć tak bardzo, że ktoś zadzwoni po służby i wyniosą mnie w czarnym worku, i nikt nie będzie wiedział, co ze mną począć. Nikt nie będzie wiedział, do kogo należy to ciało i skąd się wzięło. Chyba że zaczną grzebać naprawdę głęboko i dogrzebią się aż do tamtej stacji metra, gdzie tunele chronią przed deszczem, gdzie on znalazł swoją dziewczynkę, przemoczoną i wykasłującą sobie płuca.

May ma się dobrze. Musi.

Słyszę, jak Ashleigh i Christie poruszają się na dole tak wolno, by nie zwrócić na siebie uwagi.

Drut nie daje się łatwo wyciągnąć ze szkicownika, ale pracuję nad tym.
Może jeśli rozgrzeję go rękami i oddechem, wreszcie wyjdzie.

To słaba broń, ale zawsze jakaś.

Nie zamierzam mu niczego ułatwić. Nie ma sensu, skoro May już odeszła.

Utrzymywanie spokoju było tylko dla niej, nie dla mnie.

Na koniec zostaniemy tylko my, ja i on.

Od początku wszystko do tego zmierzało.

Ja i on.

NOAH OBUDZIŁ SIĘ w ciemnym pokoju. W skroniach jeszcze coś mu pulsowało, jednak migrena już przeszła, pozostawiając po sobie falę endorfin. Leżał z głową na poduszce, czując ogromną ulgę.

– Nie śpisz? – Dan usiadł na łóżku.

– Aha. – Przewrócił się na plecy, ciesząc się błogostanem. – Która godzina?

– Prawie siódma. – Dan odnalazł jego rękę i chwycił ją. – Jak się czujesz?

– Lepiej.

Kciuk Dana nakreślił koło na jego knykciach.

– Na pewno?

– Tak. Chodź tutaj. – Przyciągnął Dana i pocałował go, robiąc to dość namiętnie, by przekonać ich obu, że doszedł do siebie. – Gdzie jest Sol?

– Kiedy wróciłem, zbierał się do wyjścia. Powiedział, że musisz się wyspać. Wcześniej cię pilnował. Masz dobrego brata.

Noah nie sprzeczał się. Postawił nogi na podłodze i poczekał, by upewnić się, że ból nie wróci, a dopiero potem wstał. Czasami migrena nie opuszczała go przez kilka dni, jednak ta najwyraźniej się skończyła. Wypuścił wstrzymywane powietrze i uśmiechnął się do Dana.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Nie potrafiłbym udawać, gdyby było inaczej.

– Wiem – powiedział po prostu Dan, a potem dodał: – Przekonasz mnie jeszcze raz?

Noah przycisnął go do ściany na dłuższą chwilę, przekonując Dana rękami

i ustami, a na koniec rzucił:

– Muszę coś zjeść.

– Zauważyłem.

– Chodź. – Noah złapał go za rękę i pociągnął za sobą do kuchni.

Kiedy mijali pokój dzienny, Noah zatrzymał się, przypominając sobie podniesione głosy. Ktoś był z Solem w mieszkaniu... Kumpel, powiedział jego brat, ale ich rozmowa nie brzmiała przyjacielsko. Nazwał Sola gówniarzem, groził mu...

Pokój był teraz pusty, zostało tylko wgniecenie na poduszce po głowie Sola. Żadnego bałaganu ani niczego, czego nie dałoby się wytłumaczyć swobodnym podejściem chłopaka do roli gościa w czyimś domu.

– Gdzie poszedł Sol? Powiedział?

Dan pokręcił głową.

– Rzucił tylko, że nie wróci późno.

Przeszli do kuchni. Dan otworzył lodówkę i zaczął wyjmować jajka, szynkę.

– Był sam, kiedy wróciłeś do domu? Nie było z nim nikogo?

– Nikogo. – Dan uśmiechnął się do niego przez ramię. – Prócz ciebie leżącego nieprzytomnie na łóżku.

Sol pozbył się swojego gościa, zanim Dan pojawił się w mieszkaniu. Noah żałował, że nie pamięta dokładnie, co usłyszał. Jeśli Sol miał kłopoty i przyprowadził je tutaj ze sobą...

Noah chciał wiedzieć.

Dan właśnie wbijał jajka do miski, szykując omlety.

– Wrzucić ci do tego sera?

– Tak, poproszę. – Noah wyciągnął komórkę. – Powinienem zadzwonić i dać znać, że doszedłem do siebie. – Ruszył na korytarz, gdzie sygnał był mocniejszy. Wybrał najpierw numer Sola, ale odezwała się poczta. – Hej, to ja. Dzięki za wcześniej. Daj znać, czy wszystko okej. – Rozłączył się i zadzwonił do Marnie.

Odebrała po drugim sygnale.

– Jak się czujesz?

– Doskonale. Przespałem migrenę. Jakies wieści?

– Nic, co nie mogłoby poczekać do rana. Odpocznij trochę. Fran będzie miała dla nas jutro wyniki sekcji zwłok. Odezwę się do ciebie, jeśli znajdziemy coś ciekawego. A tak poza tym widzimy się rano. – Rozłączyła się.

Noah schował komórkę i wrócił do kuchni.

– Pachnie super. – Jego ciało domagało się tłuszczu. Nalał sobie soku pomarańczowego i piwa dla Dana, a potem przygotował dwa miejsca przy stole.

– Słyszałem wiadomości. – Dan właśnie dokańczył pierwszy omlet. – O zwłokach znalezionych na Battersea. Ty prowadzisz tę sprawę?

– Tak.

– Nic dziwnego, że dostałeś migreny. – Błękitne oczy Dana przybrały nieco ciemniejszy odcień niż zwykle, a w jego głosie dało się słyszeć niepokój, jednak nie zadawał żadnych pytań. – Usiądź. Zajmę się tym.

Telefon Noaha zawibrował mu w kieszeni.

SMS od Sola: *Spoko i uśmieszek.*

Czyli chciał, żeby zostawić go w spokoju.

Noah wsunął komórkę do spodni i skupił się na jedzeniu.

Nad drzwiami wejściowymi do domu pod numerem czternastym wisiał kosz z petuniami, na podjeździe stał błyszczący samochód. Pojemniki na śmieci pilnowały obejścia jak wartownicy, trochę jak na Taybridge Road. Tylko że to była druga strona Londynu, inny dom. Marnie nie mieszkała tutaj, odkąd skończyła osiemnaście lat. Budynek z lat trzydziestych, jednorodzinny, duża kuchnia z tyłu i łazienka na dole, gdzie jej tata brał kąpiel po myciu samochodu, brązowego vauxhalla, dumy i radości. Teraz na podjeździe stało audi, ale koszyk petunii był ten sam, czerwono-fioletowy, czarny w świetle ulicznych lamp.

Marnie oparła nadgarstki o kierownicę, patrząc przez przednią szybę na dom, który zostawili jej rodzice. Wszystko zostało dla niej. Upierali się, że Stephen jest pełnoprawnym członkiem ich rodziny – opiekowali się nim przez sześć lat – jednak nie wspomnieli o nim w swoich testamentach. Kiedy pojawił się w ich domu, wiedziała o nim tyle, że był chudym i cichym ośmiolatkiem, a pierwsze lata jego życia były piekłem na ziemi. Nie podali jej żadnych szczegółów, a ona nie prosiła o więcej. Zajmował uwagę rodziców, dzięki czemu miała ich z głowy. Cieszyło ją to, była skupiona na nowym życiu, karierze. Uciekła. Welland porównał ją do zbuntowanej nastolatki na gigancie, widząc w niej podobieństwo do May Beswick, jednak Marnie nigdy nie była pozbawiona głosu w tym domu. Wręcz przeciwnie, sprawiała, że wszystko kręciło się wokół niej. Była dzikim dzieckiem, karmiącym się gniewem. Skrzywiła się na samo wspomnienie.

Nienawidzisz go? Nawet po pięciu latach?

May nigdy nie walczyła w domu. To Loz nosiła w sobie gniew. Jak Marnie. Jak Stephen, tylko on swój pogrzał tak głęboko, że nikt z opieki społecznej go nie zauważył. Mieszkał po cichu w tym domu; podglądał Marnie, gdy miał dwanaście lat, a ona dwa razy tyle; patrzył, jak się rozbiera w pokoju gościnnym, wyczytał z jej ciała sekrety, tatuaże ukrywane przed wszystkimi. A Marnie umiała pilnować swoich tajemnic. Picie w wieku czternastu lat, romans dwa lata później...

Niektóre domy wchłaniają sekrety.

Czy tak było też na Taybridge Road? May, Loz, Sean i Katrina mieszkali pod jednym dachem, lecz zdawali się niewiele wiedzieć o sobie nawzajem, o swoim bólu.

Kierownica wpijała się w jej klatkę piersiową, gdy Marnie pochyliła się, by spojrzeć na sypialnię, która służyła za jej pokój aż do wyprowadzki. Przez trzy lata stała pusta, potem wprowadził się tam Stephen na kolejne sześć, aż pewnego ranka chwycił nóż i zabił przybranych rodziców, gdy Marnie była wiele kilometrów dalej, kiedy pracowała nad sprawą.

Wybaczyła mu pani? Loz czekała na odpowiedź.

Okno nad wiszącym koszem petunii było zasłonięte i ciche.

Jak się czuł Stephen, kiedy mieszkał w jej pokoju? Dlaczego nie poprosił o przemalowanie ścian, nie wyniósł jej rzeczy na strych, nie poprzestawiał mebli? Bo wiedział, że nie zostanie tu długo? A może lubił przebywać w pokoju pełnym rzeczy Marnie? Powiedział, że zabił ich *dla niej*. To jego najnowszy sposób na zadawanie bólu, na zwrócenie na siebie jej uwagi, a może po prostu prawda?

Co znalazł, a może wydawało mu się, że znalazł, w jej pokoju? Jakie wskazówki pozwoliły mu myśleć, że była tam nieszczęśliwa? Kurz na szczotce do włosów, jak w sypialni May? Nietknięte książki? Pokój, w którym nigdy naprawdę nie mieszkała. Pokój, z którego musiała od czasu do czasu uciekać, żeby nie czuć na sobie ciężaru jego ścian.

To takie małe dziecko, Marn, a już tak wiele przeszło. Chcielibyśmy mu to jakoś wynagrodzić.

Co zrobili, żeby sobie zasłużyć na los, który im zgotował? Co takiego zrobili, by zasłużyć sobie na jej gniew, jej niechęć, jej ucieczki?

Oparła głowę o fotel, zamknęła oczy.

Było już późno. Powinna być w domu z Edem, a nie siedzieć w aucie przed budynkiem, do którego nie wchodziła od pięciu lat. Zaaranżowała wynajem na odległość, ponieważ nie była gotowa na sprzedaż, ciągle żywiła nadzieję na znalezienie przeoczonej wcześniej wskazówki i odkrycie przyczyny, dla której on zrobił to, co zrobił. Zacisnęła dłoń na kluczach do domu rodzinnego. Skórzany breloczek, wytarty przez palce jej ojca. Klucze wbiły swoje zęby w jej rękę. To był jej dom. Mogłaby złożyć lokatorom wypowiedzenie i wejść do środka, poszukać wskazówek, które przegapiła. Wskazówek, które wszyscy przegapili. Jeśli Stephen był dziwnym chłopcem, nikt tego nie zauważył. Ani jej rodzice, ani sąsiedzi. Nawet raz nie uciekł z domu. Pomagał ojcu myć vauxhalla, bawił się na huśtawce w ogrodzie, każdego dnia chodził do szkoły. Zajmująca się nim pracownica opieki społecznej nie potrafiła tego wytłumaczyć, podobnie psychiatra więzienny. Rodzice Marnie nikomu nawet słowem nie poskarżyli się na przybranego syna. Pani Poole, sąsiadka, widziała Marnie, gdy wychodziła z domu wściekła po kłótni albo wymykała się cichaczem, ale nigdy nie zauważyła, by Stephen zrobił choć jeden niewłaściwy krok. Aż do tamtego ranka, kiedy usłyszała krzyki i wyszła przed dom, a potem na ulicę.

Żaden z mieszkańców Taybridge Road nie zauważył niczego niepokojącego

przed zaginięciem May. „Szczęśliwa rodzina”, powtarzali wszyscy. Ale to nie było prawdą.

Czy było prawdą dla kogokolwiek, gdziekolwiek?

Marnie uruchomiła silnik, zerknęła w lusterka, a potem odjechała z krawężnika.

Przy numerze ósmym ktoś zainstalował kamerę. Ochrona. Nie było jej tutaj pięć lat wcześniej. Morderstwo wywołało niepokój wśród mieszkańców, zniszczyło reputację tego spokojnego skądinąd osiedla. Ciekawe, jaką łatkę przykleją Taybridge Road po tym, jak rozejdą się wieści o zabójstwie May, i czy penthouse’y w Battersea zostaną kiedykolwiek sprzedane – a jeśli tak, to komu. Kto chciałby mieszkać w miejscu, gdzie znaleziono ciało?

Wyjechała z powrotem na ulicę, nie przekraczając ograniczenia prędkości, minęła domki jednorodzinne z podświetlonymi na żółto oknami, zamknięte na cztery spusty.

Czy zabójca May znajdował się w jednym z takich domów?

Gdzieś tam był. Marnie odwlekała moment powrotu do domu, licząc na nowe wieści, jakieś światełko w tunelu, który rano wydawał się do pokonania, lecz teraz zdawał się prowadzić donikąd.

Ten człowiek wiedział, jak się ukryć. Nie pokazuje się zwłok w taki sposób, jak on pokazał ciało May, jeśli się nie ma dobrej kryjówki i doskonale funkcjonującego instynktu przetrwania.

Czyste miejsca zbrodni napełniały ją strachem. Takich zabójców najtrudniej złapać. Bardzo możliwe, że May nie była pierwsza. A z pewnością nie ostatnia.

Marnie skręciła w lewo, zostawiając za sobą szeregi identycznie patrzących na nią domów, by wrócić do siebie, do Eda.

Ed leżał właśnie na kanapie w starym T-shircie i spodniach od pizamy. Ze słuchawkami na uszach i otwartym laptopem oglądał właśnie odcinek *Seinfeld*. Na stopach miał skarpetki nie do pary, włosy poczochrane, z grzywką wchodzącą w oczy. Marnie usiadła na poręczy fotela i pochyliła się do pocałunku.

– Jadłeś już? – Zdjął słuchawki.

Czuła zapach bekonu.

– A ty?

– Śniadanie.

– Śniadanie było wiele godzin temu.

– Zjadłem je na kolację. – Ed przeciągnął się, odłożywszy laptop na bok. – Miałem zachciankę. Zaraz coś ci zrobię.

– Może za chwilę. – Znowu go pocałowała, wczepiając mu palce we włosy. Smakował sosem barbecue o tym samym kolorze, co jego oczy. – Masz złe

pryzyzwyczajenia, Belloc.

– Aha. – Uśmiechnął się z ustami przy jej ustach. – Ty jesteś najlepszym z nich.

Przesunęła ręce na jego biodra, lubiła to, jakie są wąskie, jak dobrze do niej pasują. Po chwili poszli do maleńkiej kuchni z tyłu mieszkania.

– Słyszałem, co się stało w Battersea – powiedział Ed. – Czy to ta biedna dziewczyna, której szukaliście?

– May Beswick, tak. Potwierdzimy to jutro rano.

– Morderstwo? – Ed wbił jajko na patelnię.

– Tak.

Pokręcił głową i nic więcej nie mówił.

Marnie znalazła w lodówce butelkę guinnessa i rozlała ją do dwóch szklanek.

– Bardzo czyste – powiedziała. – Okropne, ale czyste. – Wiedziała, że Ed zrozumie, co ona sama przez to rozumiała.

– Jak sobie z tym radzą jej rodzice? – zapytał.

– Kiepsko. Jej młodsza siostra, Loz, jest rozgoryczona. Martwię się, że nikt się nią nie zaopiekuje.

– A ktoś od wsparcia ofiar?

– Niedobraný. Loz jest trudna. Nie będzie łatwo jej pomóc. Potrzebuje kogoś, kto nie będzie jej karmił frazesami. Może ma trzynaście lat, ale pod pewnymi względami jest dojrzała od May. – Marnie patrzyła, jak Ed przewraca bekon na drugą stronę. – May spodziewała się dziecka. Cięża trwała od kilku tygodni.

Ed popatrzył na nią.

– Zabójca?

– Nie wiemy. To oczywista konkluzja, ale on ją zostawił w taki sposób, że...

Nie wyglądało mi to na morderstwo na tle seksualnym. Ani mnie, ani Noahowi.

Ed wyłożył posiłek na talerz, a potem usiadł, żeby jej towarzyszyć. Marnie nie zdawała sobie wcześniej sprawy z tego, jak bardzo jest głodna. Kiedy skończyła, wrócili na kanapę z tym, co zostało z guinnessa.

– Loz wypytywała mnie o Stephena – powiedziała Edowi. – Wygoogłała mnie i chciała wiedzieć, czy brałam udział w Programie Wybaczenia.

– Co jej powiedziałaś?

– Że nie wierzyłam w jego sens, gdy się zapisałam. Loz nie potrafi sobie wyobrazić, że mogłaby wybaczyć temu, kto zabił jej siostrę. Powiedziałam jej, że rozumiem, jednak nienawiść potrafi być wykańczająca. Głupio zrobiłam. Jest jeszcze za wcześnie, żeby mówić jej o takich rzeczach. W tej chwili *powinna* być rozgoryczona.

Ed chwycił ją w pasie, jego palce odnalazły pasek gołej skóry nad biodrem.

Przypomniało jej to, o czym jeszcze mówiła Loz.

– May pisała po sobie cienkopisami. Całe ciało miała pokryte literami. Naszym zdaniem dziewczyna z wypadku robiła to samo. Znały się. Nie możemy znaleźć tej drugiej, ale uważamy, że może znajdować się na terenie Garrett.

– To trudne miejsce do poszukiwań – stwierdził Ed.

– Tak... Ja też pisałam po swoim ciele, zanim odłożyłam pieniądze na tatuaż. – Nikomu o tym wcześniej nie mówiła. – Wiem, jak to jest, gdy się ukrywa tego rodzaju sekrety. Znam też ten rytuał, to pragnienie. Dzięki niemu jakoś sobie radziłam, dzięki niemu wytrwałam w postanowieniu, by uciec. To był taki pierwszy szkic mojego buntu. Chociaż ten mój bunt nigdy nie był poważny. – Brakowało jej sił. Oddawała swoje ostatnie słowa, swoje nowe zwierzenia, pod opiekę Edowi. – May napisała słowo „dziwka” na dłoniach, po wewnętrznej stronie. I inne obelgi, na całym ciele. Była bardzo nieszczęśliwa. Ale dlaczego akurat to słowo? Jeśli zabójca zrobił jej dziecko, prawdopodobnie nie stało się to za jej przyzwoleniem.

– Jakie słowa ty pisałaś? – zapytał Ed.

– Och, nic w tym stylu. Pretensjonalne bzdury, takie jak te tatuaże.

Ed przeciągnął kciukiem po literach na jej biodrze: *Miejsca odosobnienia*.

– W tej chwili w Londynie jest siedemnaście dziewcząt w jej wieku, które zaginęły. Nawet jeśli okroimy tę liczbę do tych, które zniknęły niedawno, będzie ich cztery. A ten człowiek... On nie przestanie.

– Okropne i czyste.

– Dokładnie. Na początku o nie dba. May nie była niedożywiona, jej ciało nie nosiło śladów po więzach. Nie żyła na ulicy. Jeśli cały ten czas spędziła ze swoim zabójcą, wszystko wskazuje na to, że się nią dobrze opiekował. I właśnie dlatego uważam, że on nie przestanie.

– Jak ją znalazł, jeśli nie żyła na ulicy? Myślisz, że została porwana?

– Martwię się, że to ona odnalazła jego, a nie na odwrót.

– W sieci?

– Nie korzystała z komputera ani komórki. A przynajmniej nie tyle, co inne nastolatki. Sprawdziliśmy laptopy w jej domu i nic. Lubiła rysować Elektrownię Battersea. Może właśnie tam ją wypatrzył. Jeśli czuła się samotna, mógł to wykorzystać, komplementować ją i podkreślać, jaka jest wyjątkowa... – Pomyślała o imprezie sprzed szesnastu lat, kiedy pewien nieznajomy zaproponował jej papierosa, trzymając jednego w zębach i patrząc na nią swoimi błękitnymi oczami. Adam Fletcher. Jej pierwszy duży błąd.

– Loz zasugerowała, żebyśmy sprawdzili Garrett. Tam, gdzie szukamy już tej drugiej dziewczyny.

– Znam kilka rodzin stamtąd. – Ed podrapał się po głowie. – Z tego, co mi mówią, żyją tam jak pod oblężeniem. – Martwił się o ludzi, którym pomagał;

dystansowanie się od pracy nie leżało w jego naturze. Nadszedł czas, by zmienić temat.

Marnie sięgnęła po guinnessa.

– Stephen ma zostać przeniesiony do więzienia dla dorosłych.

– Kiedy?

– Za kilka miesięcy. Skończy wtedy dwadzieścia lat, a w Sommerville już od jakiegoś czasu sprawiał kłopoty. Z pewnością przyśpieszyli sprawę.

– Wiesz już, dokąd go odsyłają?

Powiedziała.

– Znasz miejsce o gorszej reputacji? Bo ja nie.

Samookaleczenia, samobójstwa, przemoc. W nowym domu Stephena zdarzało się każde z powyższych, i w przeciwieństwie do Sommerville znajdował się w Greater London. Marnie nie miałyby już wymówek, by go nie odwiedzać, jeśli chciała dotrzymać obietnicy złożonej w ramach Programu Wybaczenia.

Ed milczał, nie zdejmując ręki z jej biodra, palcami gładząc jej skórę.

– Powiedziałam, że pojedę go zobaczyć przed przeprowadzką. Paul Bruton uważa, że mogłabym wygłosić mu jakąś mowę motywacyjną, pomóc mu się skupić na rehabilitacji.

– A czy to nie jest zadanie Brutona?

Marnie przykryła jego dłoń swoją.

– Stephen wie o tym. O tatuażach. – Palce Eda znajdowały się dokładnie na słowach *Miejsca odosobnienia*. – Powiedział mi, że to dlatego to zrobił, dlatego ich zabił.

– Co...?

– Niepotrzebnie to przed tobą zataiłam. Stephen najwyraźniej podglądał mnie w domu rodziców, wiele lat temu. Zobaczył tatuaże, ale nigdy o nich nie wspomniał. Jednak podczas mojej ostatniej wizyty powiedział, że właśnie dlatego ich zabił. Powiedział, że zrobił to „dla mnie”.

– Co za brednie. – Oczy Eda zapłonęły z gniewu. – Co za sukinsyn.

– Wiem, że to brednie. Nie przejmuj się. – Posłała mu uśmiech, nie puszczając jego ręki. – Wiem, że kłamie. Wiem nawet, dlaczego to robi. Żeby ze mną pogrywać. Właśnie to go interesuje, nie ma nic innego. Przynajmniej... Rozmawialiśmy o paczkach. Ktoś przysłała mu jedzenie, książki. Stephen twierdzi, że nie ma pojęcia, kto to jest. Zapewne jego rodzice. Ale z nimi nie próbuje pogrywać. To mojej uwagi tak bardzo pragnie.

– Już dawno powinien być zostać przeniesiony do więzienia dla dorosłych.

– Ja nie chcę, żeby go przenosili.

– Dlaczego? – zdziwił się Ed.

– Część mnie oczywiście tego chce. Część cieszy się, że wreszcie zostanie należycie ukarany. Ale nie jestem dumna z tej części mnie. Tak samo jak nie

jestem dumna z tego, jak zachowywałam się w wieku May, jak za wszelką cenę próbowałam się wykoleić, sprawiać problemy, gotować rodzicom piekło. To właśnie tamta dziewczyna we mnie ucieszyła się, gdy usłyszała o przeniesieniu Stephena, lecz nie przepadam za nią. Staram się już nią nie być. – Czekala, jednak Ed nie odezwał się; siedział blisko, chciał jej wysłuchać do końca. – Czy chcę, żeby morderca moich rodziców został ukarany? Tak. Ale czy chcę, żeby znalazł się w miejscu, gdzie prawdopodobnie nauczy się gorszych sposobów na sprawianie ludziom bólu? Nie. A to i tak o ile tam przetrwa. Jest duża szansa, że nie da rady, a jeśli umrze, zanim pogodzę się z tym, co zrobił, nie będę na to gotowa. Chcę go żywego i bezpiecznego, żeby mógł *dorastać*. Mnie się to jakoś udaje i chcę tego samego dla niego. Chcę, żeby dojrzał i pożałował tego, co zrobił. Nawet jeśli nie potrafi tego wyjaśnić, chcę, żeby było mu *żał*.

Sześć miesięcy wcześniej osierocona matka powiedziała Marnie, że żal jest bronią: „Jeśli jest ktoś, kogo chciałaby pani ukarać, osobiście skrzywdzić, właśnie taki byłby najlepszy sposób. Niech czuje żal. Trzeba go wywołać, jak się tylko da. Nie ma gorszego bólu”.

Wyrzuty sumienia to kara. Czy Marnie liczyła na to, że ukarze Stephena, zmuszając go do stawienia czoła temu, co zrobił? Nie chciała w to wierzyć, lecz nie była to nieprawda.

– Jesteś niesamowita – powiedział Ed. – Wiesz o tym?

Pokręciła głową.

– Gdybym była niesamowita, już dawno przestałabym się tym zajmować. A przynajmniej dużo wcześniej bym się przed tobą otworzyła.

– Zabierzesz mnie ze sobą? – Splótł ich palce. – Przy następnych odwiedzinach. Nie muszę wchodzić do środka. Poczekam na zewnątrz. Nie musisz też po wszystkim ze mną o tym rozmawiać, wystarczy, że będę mógł cię wesprzeć.

– Oczywiście.

– Znam kogoś w więzieniu, do którego go przenoszą. Ten mężczyzna od ośmiu tygodni jest w izolatce, na własne życzenie.

– Co z nim?

– Ma paranoję, jest groźny. Właśnie to robi z tobą izolatka. Sprawia, że wszystkiego się boisz. – Ed pokręcił głową. – Cały czas spodziewasz się zagrożenia i boisz się, więc zaczynasz się zachowywać agresywnie, przez co ludzie cię unikają. Typowe zakłęte koło.

Marnie doskonale wiedziała, jakie zniszczenia potrafi wywołać strach, jak potrafi zatrzymać cię w miejscu i nie puścić dalej, pozbawić cię tożsamości. Wielu profilerów twierdzi, że zabójcy się boją – boją się samotności i ujrzenia tego, czego nie mogą mieć. Czują nieustanne zagrożenie, zwłaszcza ze strony tych, których obrali na swoje ofiary. „Gdy pojawi się strach – mówiła terapeutka Marnie po śmierci jej rodziców – zamykamy wszystkie drzwi. Życie jest trudne. Życie ze

strachem jest jeszcze trudniejsze. Żeby go pokonać, musisz walczyć, a ta walka może się okazać najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobisz w całym swoim życiu”.

Ile dziewcząt właśnie toczyło tę walkę? Ile żyło w strachu, może nawet z zabójcą May? I czy on też się boi? Czuje się zagrożony, odizolowany...

Zadzwoił jej telefon.

– Przepraszam, że psuję ci wieczór – powiedział Tim Welland – ale skoro drogówka wbiła mi pacholek w dupę, pomyślałem, że przekażę ból dalej. Przekwalifikowali sprawę Logana Marsha na nieumyślne spowodowanie śmierci. Joe Eaton jutro rano obudzi się z zupełnie nowym bólem głowy.

– Już go aresztowali? – Marnie podniosła się z kanapy, stawiając stopy na podłodze.

– Na razie przesłuchują rodziców chłopaka. Znasz sierżanta Kenickiego? Chodzący kutas z taką szczęką, że mógłby chrupać orzechy z łupiną... Nie polubił waszego świadka z nieznanym nikomu prócz niego samego powodów. Właśnie wkroczył na wojenną ścieżkę i pomyślałem, że cię uprzedzę.

– Dzięki za ostrzeżenie. A jak się trzymają rodzice Logana?

– Podobnie jak Beswickowie, tak sędzę. Z tą różnicą, że są rozwiedzeni i nie mają innych dzieci.

– Powinam złożyć im kondolencje...

– Kenickiemu by się to spodobało. Już potrząsa szabelką na myśl o tej zaginionej dziewczynie. Spodziewaj się kłopotów, kiedy już ją znajdziecie.

– Z chęcią się z nim zmierzę – powiedziała Marnie. – Jeśli taka jest cena za znalezienie jej żywej.

Christie

HARM WŁAŚNIE SIĘ mył w umywalce, światło padało pod ostrym kątem na jego ramiona, gdzie mięśnie poruszały się jak muzyka, w górę i w dół, w górę i w dół. Zbierał w dłonie wodę i pryskał sobie na twarz. Promienie odbijały się w niej, błyszcząły, wygładzając jego szyję i dłonie.

Woda zrobiła się brązowa, a jego szyja srebrzysto biała. Christie chciała ją pocałować. Chciała położyć twarz między jego łopatkami i wyszeptać mu, co wie.

Ashleigh.

Ashleigh odeszła.

Nie będzie już uśmiezków przy stole ani trzepotania rzęs. Dziewczyna od początku do niczego się nie nadawała. Harm myślał, że pomoże jej tak, jak innym, jednak nie był w stanie. Ashleigh przyszła tu już zgniła od środka.

– Pozwól, że pomogę – powiedziała Christie.

Nie usłyszał, wciąż obracając dłonie pod wodą. Christie wiedziała, o czym myśli. Tak wiele dziewcząt żyje na ulicy i potrzebuje pomocy. Zagubionych dziewcząt, jak jego siostra, Neve. Czasami potrafił je uratować, naprostować. Kiedy słuchały, kiedy chciały, by je uratowano.

Ashleigh chciała tylko jednego.

Tej jednej rzeczy, której on nie zamierzał im dawać.

Stał teraz tutaj z ostrzem światła na plecach jak z toporkiem, błyszczący, błyszczący.

Nie wiedząc, jeszcze nie, co zrobiła.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfk54TntMbAtqCH0Teht6OI08RiNXNhhoBA==

NOAH DOTARŁ NA komisariat krótko po siódmej.

Marnie znajdowała się właśnie w sali koordynacyjnej i przypinała zdjęcia do białej tablicy. Twarze dziewczyn, uśmiechniętych, pozujących przed fotografem. Jedna posyłała buziaka, inna miała tak ciężki makijaż, że trudno było poznać, jaka jest młoda. Noah naliczył siedemnaście zdjęć. Marnie wyróżniła cztery z nich, przychepione zaraz obok dowodów z Battersea. Dodała też kilka rysunków May, które przedstawiały elektrownię.

– Wcześniej jesteś. Czy to kawa?

– Tak. – Kupił dwie z mlekiem, bo miał przeczucie, że nie on jeden zacznie swój dzień tak wcześnie. – To dziewczyny, które zaginęły niedawno w Londynie?

– Żadna z nich nie wygląda jak ta z wypadku, jednak przynajmniej trzy z nich zniknęły w podobnych okolicznościach co May. Zwyczajne życie rodzinne, żadnego konkretnego powodu do ucieczki, brak dowodów na porwanie. Czwarta pasuje miejscem i czasem, ale zajmujący się sprawą policjant powiedział, że wydała mu się typową nastolatką na gigancie. Problemy w szkole, napięcia w domu, nowy ojczym... Gdybyśmy wzięli pod uwagę każdego nastolatka, który uciekł z domu rodzinnego albo ośrodka, musielibyśmy ustawić tablice stąd pod Rockall. Uciekinierzy zazwyczaj wracają. Zaginięcia oznaczają porwania. Te dziewczyny zdecydowanie zaginęły. – Marnie napiła się kawy. – Wypełniam czas do momentu, kiedy będziemy mogli zacząć przesłuchania albo dopóki nie zadzwoni Fran. To wszystko może się okazać niczym. Zwykłym zbiegiem

okoliczności.

Noah zbliżył się do tablicy, żeby przyjrzeć się twarzom dziewczyn i zapamiętać ich imiona.

Sika Khair miała maskę zamiast makijażu, sztuczne rzęsy, przekłutą dolną wargę i czarno-złote tygrysie paski we włosach. Szesnastolatka. Dziewczyna puszczająca buziaka do obiektywu to Ashleigh Jewell. Włosy zebrane w kucyk na czubku głowy, podobnie jak u wielu nastolatek w Garrett. Bardzo dużo błyszczycy, koszulka z głębokim dekoltem, samoopalacz, charakterystycznie zakrzywiony nos, długie uszy przekłute w trzech miejscach, obwieszane złotem. Piętnaście lat na karku, zaginiona od prawie czterech miesięcy. Dwie pozostałe dziewczyny miały tak samo ciemną od samoopalacza skórę, takie same koszulki na ramiączkach, kolorowe usta i powieki, mocno ściągnięte do tyłu włosy.

– Dlaczego one to robią? – zastanawiał się Noah. – Dlaczego ubierają się tak samo? Ciągłe to widzimy w naszej okolicy. Dziewczyny wyglądają tak samo nawet wtedy, gdy zdejmą mundurki szkolne. Chłopcy też, jakby gdzieś stała fabryka, która ich klonuje... Tym, którzy nie przystają do wzoru, musi być bardzo ciężko. Duża presja, by się dopasować. – Wrócił myślami do czasów, kiedy sam był nastolatkiem i postanowił przyznać się do swojej orientacji wtedy, gdy koledzy dołączali do gangów. Niełatwo jest płynąć pod prąd i zachować swoją tożsamość, kiedy wszyscy dokoła zakładają taki czy inny kamuflaż. Podziękował Bogu za Dana i tę bezpieczną przystań, którą dla siebie znaleźli. – Która z tych dziewczyn to ta od ojczyma?

– Sika Khair. – Marnie usiadła na brzegu najbliższego biurka; była ubrana w dżinsy i szary golf, biodra miała wąskie jak u chłopca. Popatrzyła na twarze na tablicy i najwyraźniej jej myśli również odpłynęły do bezpiecznych przystani, bo zapytała:

– Jak się miewa Dan?

– Dobrze, dzięki. A Ed?

Kiwnęła głową.

– Musimy się kiedyś spotkać. We czwórkę.

To było coś. Marnie pilnie strzegła swojego prywatnego życia.

– Z chęcią – odparł.

– Nie mam na myśli obiadu. – Uniosła brew, uśmiechając się jednym kącikiem ust. – Nie skazywałabym was na to. Może wyjdziemy razem na drinka.

– Świetny pomysł. – Noah odpowiedział jej uśmiechem. – Znam kilka fajnych miejsc. Oczywiście to porządne knajpy – dodał, na wypadek, gdyby miała złe wyobrażenie.

– A dlaczego uważasz, że nie mielibyśmy ochoty na jakąś spelunę? – Powiedziała to ze śmiertelną powagą, jednak Noah znał ją na tyle dobrze, by od razu rozpoznać figlarny błysk w jej oku.

- W takim razie zaplanujemy sobie całą noc. Czy Ed lubi tequilę?
- Spędził rok w Meksyku, więc myślę, że tak. – Marnie kiwnęła na tablicę, na powrót zwracając uwagę ich obojga na sprawę. – Fran uważa, że May była odwodniona. Pełna sekcja da nam lepszy obraz.
- Czyli może wcale nie dbał o nią tak dobrze, jak nam się wydawało? Dzieciaki na ulicy się odwadniają. A nie dostaliśmy nic z monitoringu w Battersea?
- Nic z frontu budynku ani od strony rzeki. Dzisiaj rano mamy dostać plany, żebyśmy mogli sprawdzić, jak jeszcze mógł wnieść tam ciało.
- Te rysunki May są dobre. – Podążył wzrokiem wzdłuż linii wyrysowanych ołówkiem, przypominając sobie to, czego Dan nauczył go o sztuce. – Uwielbiała elektrownię, ale też się jej bała.
- Pokażesz mi? – Marnie stanęła obok.
- Noah przejechał kciukiem po liniach wyrysowanych ołówkiem.
- Chodzi o miejsca, w których umieściła cienie. Niepokojące, prawda? Te kominy, groteskowo wysokie, wydają się niemal ludzkie.
- Potrzebowała widoku na elektrownię, żeby to narysować.
- Może jakieś mieszkanie w Garrett, jedno z tych wychodzących na południe? Piętro nad Tarvin miałyby taki widok. Myślisz, że przetrzymywał ją tam?
- Wątpię. Za wiele ludzi dokoła. Jak miałby ją tam zaprowadzić, nie pokazując jej nikomu? Mieszkańcy może nie przepadają za policją, jednak nikt nie ukrywałby zabójcy dzieci. Nie, moim zdaniem wolałby bardziej odizolowane miejsce. Może Colin mógłby przygotować plan okolicy, poszukać ewentualnych kryjówek z takim widokiem na kominy elektrowni. – Zapisała to na karteczce i przykleiła ją w rogu ekranu monitora Colina. – Kazałam Ronowi poprowadzić zespół na Garrett. Od ciebie potrzebuję profilu psychologicznego naszego zabójcy; sprawdź, czy pasuje do niego ktoś, kto miał dostęp do placu budowy w ciągu ostatnich dwunastu tygodni.
- A co się dzieje z dziewczyną z wypadku? Drogówka już wie, że połączyliśmy ją z May?
- Jeszcze nie, przynajmniej nie oficjalnie. Welland chce to ogłosić tuż przed konferencją prasową. – Odezwał się telefon Marnie. – Cześć, Fran. Jesteś już gotowa?
- Czekam na was.

Kafeteria w kostnicy szybko rozdała im kanapki z bekonem. Marnie i Noha dosiedli się do Fran, która zajęła miejsce przy stoliku z widokiem na Westminster zapchane porannym ruchem.

- A więc... May zaszła w ciążę, co już wiecie. Siódmy albo ósmy tydzień.

Nie ma żadnych dowodów na to, że przymuszał ją do seksu. Żadnych krwiałków, otarć, nic poważnego. I nic świeżego. Żadnych pozostałości nasienia ani na zewnątrz, ani wewnątrz ciała. Żadnego obcego DNA. – Fran ugryzła tosta. – Napisy zmyłam oliwką dla dzieci. Na skórze nie było ani śladów po ukłuciu, ani żadnych innych. Nie było też ran obronnych, co sugeruje, że nie walczyła ze swoim zabójcą. Jednocześnie nic nie świadczy o tym, by straciła przytomność, zanim zaczął ją dusić, a większość zdrowych młodych ludzi podjęłaby walkę.

– Mówisz cały czas o mężczyźnie – zauważył Noah. – Jesteś tego pewna?

– Sądząc po tym, jakie zostawił ślady na szyi, miał szerokie dłonie, męskie.

– Udało ci się dokładniej ustalić czas śmierci?

– Od zgonu do momentu odnalezienia ciała minęło maksymalnie sześć godzin i minimalnie dwie. To oznacza, że zginęła między pierwszą a piątą po południu. Została znaleziona o siódmej, więc było blisko.

– Wiózł jej martwe ciało w czasie największego ruchu i zdołał zanieść je do penthouse'a przed zmrokiem. – Noah spisywał notatki w komórce. – Ryzykowne.

– A jednak był bardzo ostrożny. Założył gumowe rękawiczki i utrzymał wszystko w idealnej czystości. Interesująca okazała się zawartość żołądka. Soczewica i wędzona ryba. Nie to wybrałabym na ostatni posiłek przed śmiercią. Ryba była mocno solona. Innymi słowy, silnie zakonserwowana. Dziewczyna od jakiegoś czasu jadła zbyt wiele soli, sądząc po stanie jej nerek.

– Hipernatremia.

Fran pokiwała głową.

– Zazwyczaj wywoływana przez deficyt wody w organizmie, bardzo rzadko przez zbyt wysoką podaż soli. W pierwszej chwili po zobaczeniu wyników pomyślałam o zaburzeniach odżywiania, jednak dziewczyna nie była niedożywiona i jadła dużo białka. Nie znalazłam też żadnych dowodów na nadmierną potliwość, nie ograniczano jej też wody. Skórę miała w dobrym stanie. Czyli po prostu jadła za dużo soli. Jeśli reszta jej diety wyglądała podobnie do ostatniego posiłku, może chodzi o dawne metody przechowywania żywności, sprzed ery lodówek, czyli solenie i moczenie w morskiej wodzie.

– Jakie są objawy hipernatremii? – zapytała Marnie.

– Głównie duże pragnienie. Rzadziej wymioty i biegunka. Nie ma dowodów na to, by cierpiała na którekolwiek. Są też drgawki, dreszcze. Wśród osób starszych często pojawia się dezorientacja. W najgorszym wypadku ataki, śpiączka. May nie była w tak złym stanie, ale na pewno w poważnym. Gdybyście znaleźli ją żywą, wysłałabym ją pod kroplówkę.

– Wysoka podaż białka – powiedział Noah. – Czy ona nie była przypadkiem wegetarianką?

– Zdaniem jej rodziców tak – potwierdziła Marnie. – Przez co najmniej pół roku. Sean uważał to za powód braku apetytu.

– Cóż, w ciągu ostatnich dwunastu tygodni jadła dużo mięsa – oznajmiła Fran. – Zapewne konserwowanego w soli. Bez wątpienia czerwonego. Inaczej nie osiągnęłaby tak wysokiego poziomu. Komosa ryżowa jest dobra, lecz nie aż tak dobra.

– Opowiedz nam o uduszeniu. Wspominałaś, że się nie broniła?

– Wiecie co? Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że leżała na plecach, a on pochylał się nad nią, klęcząc obok jej tułowia. Jeśli to silny mężczyzna, a ona spała, kiedy przyjął tę pozycję, byłoby jej trudno z nim walczyć. – Fran napiła się herbaty. – Zrobił to szybko. Nie przeciągał sprawy, nie bawił się z nią. Chciał ją po prostu zabić. Nie mogę tego udowodnić, ale wydaje mi się, że to nie jest seksualny psychopata. On wcale nie czerpał przyjemności z tego, co zrobił, a przynajmniej nie w sadystycznym sensie.

– Wystawił ją na pokaz – powiedziała Marnie. – Nagą albo prawie nagą. To sugeruje pogardę.

– A może chciał, żebyśmy zobaczyli napisy. Ona je ukrywała, prawda? Przed rodzicami, przed przyjaciółmi. To pierwsza rzecz, jaką zauważyliśmy. Nie jej martwe ciało, nawet nie ślady na szyi, lecz napisy. Nie to, co on jej zrobił, lecz co ona sama sobie zrobiła.

– Twoim zdaniem będzie chciał to powtórzyć? – zapytała Marnie. – Nawet jeśli nie czerpał z tego przyjemności... Ten rytuał, to dokładne ułożenie. To *przedstawienie*. Wszystko sugeruje, że mógłby zrobić to jeszcze raz.

– Nie będę się z tym kłócić. – Fran dokończyła herbatę i spojrzała na zegarek. – Teraz sprawa jest w waszych rękach.

– Wyuczona bezsilność – oznajmił Noah po powrocie na komisariat. – Zastanawiam się, czy właśnie dlatego May nie walczyła, nie grymasiła przy jedzeniu przesolonego paskudztwa i mięsa, chociaż była wegetarianką. Wyuczona bezsilność oznacza zupełną bierność. Twoja ofiara nie jest zdolna fizycznie i emocjonalnie się tobie sprzeciwić albo podjąć jakąkolwiek inicjatywę.

– Silniejszy syndrom sztokholmski. – Marnie omal nie zadrzała. – A ja miałam nadzieję, że była bezpieczna, dopóki jej nie znalazł.

– Teoria o chłopaku? Wciąż może się okazać prawdziwa. Jeśli Fran ma rację i zabójca nie jest seksualnym psychopata, być może nie z nim zaszła w ciążę.

– Jednak to on ją znalazł. I może nie tylko ją... Tak, Tanner?

Debbie czekała przed biurem Marnie.

– Dzisiaj rano Ruth Eaton została wypisana ze szpitala. Joe dzwonił, żeby nas o tym poinformować. Twierdzi, że widziała naszą zaginioną i może nam podać jej dokładny opis.

– Świetnie. Pomóż jej stworzyć portret pamięciowy. Ta dziewczyna to jedna

z ostatnich osób, które widziały May żywą. Odnalezienie jej to nasz priorytet, bez względu na to, czy coś jej grozi, czy nie.

– Zaraz się tym zajmę, szefowo. Aha, na dole jest Calum Marsh i dopomina się o spotkanie. Niczego mu nie obiecywałam, wiedząc, jak jest szefowa zajęta.

– Zaraz do niego zejdę. Dzięki.

Po drodze na dół Marnie zwróciła się do Noaha:

– Sierżant Kenickie, ten z drogówki, podburzał ostatnio Marshów. Spodziewaj się rozgoryczonego ojca, który domaga się sprawiedliwości w imieniu zmarłego syna.

– Czyli idziesz zadbać o dobry PR?

– Jesteś taki cyniczny...

Calum Marsh siedział na plastikowym krzeselku pod plakatem ostrzegającym gości, że agresywne zachowanie będzie karane, w koszuli rozpiętej na szyi i ciemnych spodniach, z łokciami opartymi o kolana, zwisającymi luźno dłońmi i spuszczoną głową. Wyglądał na pogiębionego, pokonanego.

– Panie Marsh. Bardzo mi przykro z powodu Logana.

Calum podniósł się i chwycił wyciągniętą rękę Marnie. Miał na stopach te same buty, których nie potrafił zawiązać w szpitalu. Nie nosił już kołnierza ortopedycznego i temblaka, lecz zmęczenie odcisnęło swoje piętno na jego twarzy.

– Dziękuję. Nie przyszedłem sprawiać państwu kłopotów. – Kiwnął głową na Noaha. – Wiem, jacy jesteście zajęci, ale chciałem zapytać, czy udało się ją znaleźć. Tę dziewczynę z wypadku. Wszystko z nią w porządku? – Sierżant Kenickie może i starał się z całych sił wzbudzić w rodzicach Logana poczucie niesprawiedliwości, jednak poległ, przynajmniej w przypadku Caluma. Na jego twarzy nie malowało się nic poza smutkiem i troską o zaginioną. – Logan pracował jako ochotnik w schroniskach dla bezdomnych, przyjaźnił się z dziećmi, które żyły na ulicy. Jeśli ta dziewczyna była taka jak oni, chciałby wiedzieć, że jest bezpieczna. – Potarł obojczyk, mrugając spragnionymi snu oczami. – Na pewno nie chciała spowodować wypadku. Z tego, co mówił Joe, szła jak urzeczona... Próbowałem przypomnieć sobie szczegóły, cokolwiek, co by mogło pomóc. – Wydawało się, jakby miał zaraz upaść. – Chcę pomóc.

– Znajdźmy jakieś ustronne miejsce – zaproponowała Marnie. – Chciałby się pan napić kawy albo herbaty?

– Jesteście zajęci – powtórzył Calum, ale ruszył za nimi do pokoju przesłuchań. – Nie chciałbym zajmować wam czasu. Nie mogę nic zrobić dla Giny, nie po rozwodzie... Jestem piątym kołem u wozu. – Próbował się uśmiechnąć, lecz jego usta odmawiały współpracy. – Nie mogę znieść tego, jaki jestem beзуzyteczny.

Za cierpieniem w jego oczach kryły się wyrzuty sumienia. Czyżby Gina oskarżała go, choćby milcząco? Noah miał nadzieję, że nie. Bez trudu widział, jak

źle ten mężczyzna radziłby sobie z poczuciem winy.

– Jeszcze dzisiaj porozmawiamy z Ruth Eaton – powiedział Calumowi. – Mam nadzieję zdobyć dokładniejszy opis dziewczyny.

– Ruth wyszła z tego. Dobrze. – Przytknął palce do oczu, jakby obawiał się znaleźć w nich łzy, jednak to tylko ból się z nich wylewał. – Dzieci się ucieszą, że mama wraca do domu.

W pomieszczeniu śmierdziało potem i kurzem. Siedzieli przy metalowym stole.

– Wiem, że sierżant Kenickie się z panem kontaktował – rzuciła Marnie. – Jestem pewna, że na bieżąco będzie pana informował o postępach w śledztwie.

– Kenickie – powtórzył Calum. Zaciśnął szczękę. – Tak, poznałem go. Uwziął się na Joego i oczekiwał, że ja zrobię tak samo, a przecież to nie Joe prowadził mój samochód. Powinienem być szybciej zareagować.

– Z tego, co mówił Joe, nie było na to czasu.

– Ruth zobaczyła dziewczynę, jak rozumiem. Oboje ją zauważyli, tylko nie ja. Jak mogłem ją przegapić? Musiała przejść tuż przed moją maską. Skoro Joe skręcił w naszą stronę, musiała być dokładnie tam. – Wbił kciuk w blat stołu. – Powinienem być pozwolić Loganowi prowadzić. Dostał tymczasowe prawo jazdy i szło mu *świetnie*. Niczego się nie bał. Był taki dorosły, nie potrzebował pomocy w niczym, już nie. Gdybym dał mu prowadzić... – Zamknął na sekundę oczy. – Chciałby wiedzieć, czy dziewczynie nic się nie stało. Strasznie się przejmował dziećmiakami żyjącymi na ulicy. Wiem, że zdaniem Kenickiego to jej wina, bo wyszła na drogę, ale Logan by się z tym na pewno nie zgodził.

– Jak się czuje jego mama? – zapytał Noah.

– Może liczyć na rodziców. Dziadka i babcię Logana. Moi zmarli parę lat temu; Logan miał tylko rodziców Giny.

– A pan ma kogoś? – Noah liczył na to, że mężczyzna nie został sam. – Braci, siostry?

Calum pokręcił głową, jakby to nie miało znaczenia.

– Ta dziewczyna... Jeśli jest bezdomna, Logan chciałby jej pomóc. Nie pracował w wolontariacie dla wpisu do CV czy dlatego, że robili to jego koledzy. Jemu naprawdę zależało. Te dzieciaki, które poznawał... Ciągłe powtarzał, że jest taki sam jak oni, tylko im zabrakło szczęścia i dachu nad głową. „Tato, wyobrażasz sobie żyć w ten sposób? W strachu i bez nikogo, bez niczyjej pomocy?”. Bardzo się tym przejmował. Nie potrafię przestać o tym myśleć. O tej jego trosce. Byłoby mu przykro, że dziewczyna zaginęła, że nikt się nią nie opiekuje. Że jej rodzina zastanawia się, gdzie jest, tęskni i modli się o wieści... – Objął się ramionami w taki sam sposób, co przedtem Loz, kołysząc się nieco na krześle, patrząc niewidzącymi oczami. – Mam nadzieję, że Ruth powie coś ważnego. Szkoda, że ja nie potrafię. Szkoda, że w żaden sposób nie mogę pomóc, ale naprawdę jej nie

widziałem. Nikogo nie widziałem, tylko jadący w nas samochód Joego i... Logana, jak uderzył w przednią szybę.

– Biedaczysko – powiedział Noah, kiedy wspinali się z powrotem do głównego biura. – Jak długo twoim zdaniem będzie się obwiniał?

– Aż zdoła sobie w końcu wybaczyć albo aż zrobi to jego żona. – Marnie zmarszczyła brwi. – Albo aż Kenickie się wreszcie odczepi. Ewidentnie szykuje się do oskarżenia o nieumyślne zabójstwo. Jeśli ciągle będzie powtarzał rodzicom Logana, że ktoś musi zapłacić za śmierć ich syna...

Jej telefon ożył.

– Tanner, już idziemy... – Pod wpływem słów policjantki jej twarz nabierała skupienia. Przełączyła na głośnik. – Powtórz, proszę.

– Mamy jeszcze jedną. – Zakłócenia zniekształcały głos Debbie. – Kolejne ciało.

– Gdzie?

– Na Garrett.

Marnie i Noah zawrócili i ruszyli na parking.

– Kto jest na miejscu?

– Carling i reszta zespołu od przesłuchań. Ron zabezpiecza miejsce zbrodni.

– Znowu nastolatka?

– Tak, ale to nie tak jak z May. Ta została porzucona.

– Porzucona gdzie? Kto ją znalazł?

– Dzieciaki. Ron mówi, że znalazły ją dzieciaki. – Debbie wciągnęła ostro powietrze. – Nie narkotyki, to nie przedawkowanie. Nie brakuje ćpunów na Garrett, jednak tę dziewczynę ktoś zabił. Zdaniem Rona udusił. Tak jak May, ale nie czysto. Ktoś ją udusił, a potem wyrzucił.

– To dziewczyna z wypadku? – zapytał Noah.

– Ron uważa, że nie. Jest za duża, a na jej ciele nie zauważył jeszcze żadnych napisów. Zabezpieczył miejsce zbrodni i czeka w tej chwili na techników i na was.

– Powiedz mu, że już jesteśmy w drodze.

MORDERSTWO MAY BESWICK odbiło się szerokim echem, jej ciało wołało do niego z łóżka w penthousie na Battersea. To zabójstwo było milczące, schowane pod ceglany murem wciąż krwawiącym po ostatnim deszczu. Wysoka dziewczyna, wyższa od May – morderca zmienił ją w plamę, jakby wytarł brudny paluch o twardą powierzchnię, żeby sprawić, by stał się czysty.

Marnie kucnęła i dała znak Noahowi, żeby do niej dołączył. Zobaczył charakterystyczny haczykowany kształt nosa i mięsiste małżowiny, przekłute w trzech miejscach.

– To Ashleigh Jewell, prawda? – zapytała Marnie.

– Tak...

Dziewczyna z tablicy w komisariacie, ta posyłająca buziaka w stronę obiektywu. Teraz opuchlizna zamknęła jej usta, a nabiegłe krwią, czarne ślady pasowały do tych wokół szyi.

Coś poruszyło się w śmieciach i Noah obrócił głowę.

Ron Carling zauważył jego spojrzenie i popatrzył w bok, jakby miejsce zbrodni nappełniało go wstydem.

– Myślisz, że to ten sam zabójca? – zapytała Marnie.

Noah znów spojrzał na ciało.

– Tak.

– Wyjaśnij mi dlaczego.

Jej spokojny głos zakotwiczył go, zmusił do szanowania miejsca zbrodni

mimo jego zapachu, jego podłości, jego bezsensowności.

– Ślady na szyi. Są takie same. Szerokie dłonie.

– Co jeszcze? Coś jeszcze wygląda tak samo?

Na pierwszy rzut oka to zabójstwo nie miało nic wspólnego ze śmiercią May Beswick. Ashleigh Jewell była w pełni ubrana. Ani na jej dłoniach, ani na żadnej widocznej części ciała nie było widać napisów. Nikt nie uczesał jej włosów. Porzucono ją w kącie, gdzie spotykały się bloki – mała pułapka zarezerwowana na śmieci – jej ciało przekrzywiło się na prawo, oparte o ceglana ścianę, z twarzą do połowy przykrytą pustymi opakowaniami po chipsach i pudełkami po pizzy, z rękami zwisającymi luźno, bez śladów, że została związana. Miała na sobie coś, co wyglądało jak mundurek szkolny, białą koszulę i czarną spódnicę, kryjące rajstopy, trampki. Żadnego zegarka ani biżuterii. Włosy rozpuszczone, końcówki ubrudzone płytką falą śmieci. Żadnego makijażu, niepomalowane paznokcie, chociaż Noah widział resztki starego lakieru u podstawy dwóch, nierówne szare linie tuż przy skórkach.

– Jest czysta. – Popatrzył na Marnie. – Jest *zbyt* czysta. I pachnie tak samo jak May. To znaczy... jeśli nie liczyć tego smrodu śmieci. Mydło i woda. Pachnie gruszkowym mydłem. – Jego nos protestował na wspomnienie tego zapachu. – Mundurek... nie pasuje. Jakby ktoś ubrał ją tak, by wyglądała na dziecko. Na zdjęciu, które powiesiłaś na tablicy, wyglądała inaczej.

– Zupełnie inaczej. – Marnie wyprostowała się i odsunęła od ciała.

Noah podążył jej śladem, szukając na miejscu zbrodni dowodów, które należało oznaczyć. Wiatr szarpał ich kombinezonami i namiotem z tworzywa sztucznego, który postawiono zbyt późno, by powstrzymać garstkę gapiów z osiedla. Emanowała od nich zła energia, Noah czuł ciarki na karku. Spodziewał się starcia.

Marnie spojrzała w stronę ciekawskich, a potem kucnęła obok martwej dziewczyny.

– Idź i zobacz, co się dzieje. Ja tu dokończę.

Noah wyszedł z kordonu, nurkując pod taśmą i kierując się do miejsca, gdzie Ron właśnie próbował zatrzymać trzy nastolatki, podnosząc ręce wysoko, by bronić się przed ich pytaniami.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – domagała się jedna z nich. Ubrana do szkoły, jednak nie jak Ashleigh Jewell. Ta dziewczyna nosiła obcisłe spodnie i czarną bluzę z wytartym kołnierzem, a pod nią białą koszulkę. Poczernione oczy, policzki rozcięte różem, włosy wysmarowane żelam i zebrane w kucyk, który wyglądał jak bicz. Wszystko w niej było twarde i ciasne, od sznurowanych butów po usta. – Co tu się, kurwa, dzieje? – powtórzyła, kiwając brodą na Rona.

– Cofnijcie się. Już. To jest miejsce zbrodni.

– Tak? Przygniotłeś kogoś swoim tłustym dupskiem, co? – Posłała uśmiech

w stronę koleżanek.

– Cofnij się, Abi. Nie będę powtarzał.

– Widziałam cię znowu z tą białą staruchą. – To była Abi Gull, podpalaczka, która terroryzowała Emmę Tarvin. – Żresz te jej ciasteczka jak *świnia*.

– Idźcie do szkoły albo spadajcie stąd, wszystko mi jedno. Bylebyście trzymały się z dala od miejsca zbrodni.

– Mam prawo wiedzieć. W końcu tu mieszkam. Ty możesz się stąd wylogować, jak już skończysz nas wyzywać. – Wyciągała szyję, żeby coś zobaczyć, i zauważyła wzrok Noaha. – No co? – Spojrzała groźniej. – Ciebie też widziałam u tej starej prukwy. Za młody dla niej jesteś.

– Ej, Abi. – Koleżanka nosiła taki sam strój, tylko twarz miała dziecinną. – Z tego jest ciacho.

– No i? Pies to pies.

– Ale brałabyś, nie? Ja bym brała.

Dwie dziewczyny zaczęły się śmiać, jednak Abi tylko patrzyła na Noaha.

– Ktoś umarł. Masz to białe wdzianko. Kto tam leży?

Ron znowu uniósł ręce, otwartymi dłońmi w stronę nastolatek.

– Spadajcie, już.

– Ja tu, kurwa, mieszkam. Mam prawo wiedzieć, czy któraś z moich lasek nie żyje.

– Nic nie wiemy, dobra? Ani kim jest, ani jak zginęła. Dajcie nam pracować, żeby to miejsce było bezpieczne.

– Nie wiedziałbyś, co to znaczy, nawet gdyby posiadał ci kutasa. – Objęła spojrzeniem także Noaha. – Zawszone psy, wszyscy jesteście tacy sami. Nawet czarni są tylko upierdolonymi białasami.

Obróciła się na pięcie i odeszła, otoczona z dwóch stron przez koleżanki.

Noah rozpoznawał kształt, który tworzyły. Formacja grotu strzały. Abi maszerowała przed pozostałą dwójką, a każda kroczyła dumnie jak paw. Może i nie były jedynym gangiem na terenie osiedla, ale czuły się tu jak królowe. Te dwie z tyłu ciągle odwracały głowy, rozglądając się za wrogami. Noah widywał takie dzieciaki, dorastając. Unikał ich.

– To była Abi Gull – powiedział Ron. – Mówię na wypadek, gdybyś miał jeszcze jakieś wątpliwości.

– Nie miałem. – Noah rozpiął i zdjął z siebie kombinezon.

– Nic dziwnego, że Emma żyje jak zbity pies, skoro ta mała suka tu grasuje.

– Ma trzynaście lat, prawda? Wygląda na starszą.

– Wszystkie wyglądają na starsze. Ten grajdoł dodaje dziesięć lat każdemu, kto się tu pojawi. – Ron spojrział przez ramię Noaha i podniósł rękę w pozdrowieniu. – Kenickie, ty stary sukinsynu.

Mężczyzna w średnim wieku, o średniej budowie ciała, szedł w ich stronę

przez asfalt, obrzucając ich płaskim spojrzeniem o kolorze piasku, nieco ciemniejszym niż jego przeredzające się włosy. Blizny po trądziku, głębokie jak po oparzeniach, znaczyły jego twarz. Kiwnął w stronę namiotu, bawiąc się kluczykami do bmw; z przodu błyszczącego garnituru widać było zmarszczki od pasów.

– To nasza dziewczyna?

– Uważamy, że nie – powiedział Noah.

– A gdzie wasza jędzowata szefowa? – Kenickie zacisnął szczęki, wyraźnie nie miał humoru. Zęby palacza, cofające się dziąsła. – Bo nie mam ochoty gadać z małpą.

Małpą. Noah od lat nie słyszał tej obelgi. Najwyraźniej Kenickie był ze starej szkoły.

– Opanuj się, Kenickie. – Ron podniósł ręce jak wtedy, gdy bronił się przed Abi Gull.

Kenickie spojrzał na Rona.

– Logan Marsh umarł, pamiętasz?

Ron pokiwał głową.

– Jesteśmy praktycznie pewni, że to nie ona.

– Była tu widziana. – Kenickie wyciągnął szyję, rozglądając się po blokach.

– Prawda?

– Zgadza się.

– Ale ją zgubiliście. – Znowu wbił wzrok w Rona. – Wzięliście do tego najlepszych ludzi, prawda?

– Szukamy jej. Żona Joego Eatona pracuje właśnie nad portretem pa...

– Zapomnijcie o Eatonie. Koleś przyznał się do picia, chociaż badanie nic nie wykazało. – Obrzucił spojrzeniem Noaha. – Myślałem, że jesteście po uszy w robocie przy tych zwłokach z Battersea.

– A teraz jeszcze to. – Ron pokiwał głową. – Jak nie urok, to sraczka.

– Zboczeniec. – Kenickie nie spuszczał Noaha z oczu. – Na Battersea. Słyszałem, że to morderstwo na tle seksualnym.

Ron wepchnął palec pod kołnierzyk koszuli.

– Za wcześniej, żeby wyrokować. – Zerknął na Noaha, a potem odwrócił wzrok.

– Chciałbym tu poprowadzić przesłuchania. – Kenickie kołysał się na piętach, kluczyki pobrzękiwały mu w ręce. – Popytać ludzi, czy nie widzieli naszej dziewczyny.

– Lepiej zostaw to nam. W końcu mamy na głowie dwa morderstwa.

– Trzy, jeśli doliczyć Logana. Wiem, że jego mama tak to traktuje. Załamała

się, a ojciec trzyma się niewiele lepiej. Czysty przypadek, że w ogóle wtedy znaleźli się na tamtej drodze. Potrzebują odpowiedzi, które nadadzą temu sens. Czegoś więcej niż głupia krowa, która poszła na spacer i nażreć się carbonary w Chablis.

– Pracujemy nad tym. – Ron potarł dłonią twarz. – Uwierz mi, nie chcesz tej roboty. Czeka nas długi dzień i pewnie jeszcze noc.

Kenickie znowu pokazał zęby.

– W takim razie powodzenia z tym zbrojeńcem. Dobrze, że jednego macie w swojej ekipie. Narka.

Ron wypuścił powietrze przez zęby.

– Kenny zawsze był dupkiem. – Popatrzył na Noaha, jakby chciał go przeprosić.

– Nie przejmuj się. – Noah klepnął go w ramię. – Słyszałem już gorsze obelgi.

Odwrócili głowy, gdy Marnie wyszła z namiotu, zdejmując z siebie kombinezon.

– Carling, potrzebuję cię do zorganizowania przesłuchań. Kto, co i kiedy widział. – Poprawiła swoje rude loki i dała znak Noahowi. – Musimy potwierdzić tożsamość dziewczyny i skontaktować się z rodziną... Czy ja właśnie słyszałam trzaski z radia drogówki?

Ron pokiwał głową.

– Ciągle myślą, że zaginiona należy do nich. Mama Logana ponoć się załamała.

– Wiele matek się załamało. Matka May Beswick, a teraz tej nowej dziewczyny. Pokazuj portret pamięciowy w trakcie przesłuchań, jednak bez nawiązywania do sprawy May. Drogówka może poczekać.

– To samo powiedziałem Kenickiemu.

Marnie kiwnęła głową na tłum gapiów.

– To nasze podpalaczki?

Abi Gull i jej koleżanki wycofały się do bezpiecznej kryjówki pod drzwiami, jednak nie przestawały ich obserwować, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i zadartymi głowami.

– Kazałem im trzymać się z daleka. – Ron skrzywił się. – Powinny być teraz w szkole.

– Widziały ciało?

– Nie wydaje mi się – wtrącił Noah. – Poznały, że ktoś umarł, po kombinezonach i namiocie. Nie wydaje mi się jednak, by cokolwiek zobaczyły.

– Ashleigh zaginęła w Dartford jakieś cztery miesiące temu. Jeśli ktokolwiek z mieszkańców osiedla widział ją za życia, musimy o tym wiedzieć.

– Myślisz, że te sprawy się ze sobą łączą? – zapytał Ron. – May i ta

dziewczyna, a do tego jeszcze ta z wypadku?

– Jest za wcześnie, żeby mieć jakąkolwiek pewność. Nie ma oczywistych podobieństw między zabójstwem May a tym, ale miejmy otwarte umysły. Jednocześnie nie zachęcajmy prasy do spekulacji.

Kilku gapiów trzymało telefony komórkowe i filmowało pracę policji.

– Ani się obejrzymy, jak trafimy na YouTube – mruknął Ron.

– Miejmy nadzieję, że ktoś z nich był czujny zeszłej nocy albo dzisiaj wcześnie rano.

Fran Lennox właśnie szła w ich stronę, blond włosy postawione na żel, szare dżinsy i skórzana kurtka, niczym chochlik przebrany za punka. Abi i jej koleżanki zmierzyły ją wzrokiem jak rywalkę, a nie patolożkę.

– Znowu macie dla mnie jakąś nieszczęśnicę? – zapytała Fran.

– Tak, znowu martwa nastolatka. Ja i Jake widzimy powiązanie z May Beswick, ale może ty nas wyprowadzisz z błędu. – Marnie kiwnęła na Noaha. – Zajmę się tym. Ty wróć na komisariat i sprawdź, co uda ci się znaleźć na temat ostatniego znanego miejsca pobytu Ashleigh Jewell, a także jej najbliższych.

FRAN UKŁĘKŁA PRZY ciele nastolatki, przyjrzała się dokładnie spuchniętej twarzy, a potem dłońmi w rękawiczkach delikatnie dotknęła obrażeń.

Marnie trzymała się z tyłu, w milczeniu obserwując Fran przy pracy. Jej obecność sprawiała, że cała scena nie wyglądała już na zwykłe unicestwienie. Fran sprawdzała temperaturę miejsca zbrodni, szukała jego pulsu, badała fakturę. Do tej chwili Marnie miała ogromną ochotę przykryć martwą nastolatkę, schować ją przed ciekawskimi spojrzeniami. Widziała, jak Ron patrzy na ciało, zawstydzony i rozzłoszczony. Nastolatka wyrzucona na śmietnik, oburzająco bezbronna. Kiedy Fran klęczała przy niej, dziewczyna wydawała się bezpieczna.

– Śmierć nastąpiła nie wcześniej niż dwanaście godzin temu, być może nawet zaledwie sześć. Czyli ustalmy, że czas zgonu to od dziewiątej wieczorem wczoraj do pierwszej w nocy. Uduszona, jak May. Ten sam wzór zasinień, ta sama wielkość dłoni. Być może macie rację i to ten sam zabójca. – Fran podniosła głowę i spojrzała na najbliższe otoczenie ciała. – Za to nie widzę tutaj żadnego specjalnego pokazu. Napisów też nie. Chyba że są dobrze ukryte pod ubraniami.

– Może nie pokaz, ale na pewno jakiś przekaz. Tak jak w penthousie.

– May jako anioł, a ta nieszczęśnica jako śmieć?

– O ile to ten sam zabójca.

– Dziewczyna jest w wieku May. Mniej więcej.

– Naszym zdaniem to Ashleigh Jewell. Piętnastolatka. Zaginęła cztery miesiące temu w Dartford.

- Fran trzymała dłoń martwej nastolatki i przyglądała się jej paznokciom.
- Kolejna, o którą ktoś dbał. Aż do wczoraj była w świetnej formie.
 - Znajduje je, zabiera z ulicy, karmi. A potem zabija. Dlaczego? Po co się kimś opiekować, by potem porzucić go w ten sposób?
 - Może go rozczarowują. – Fran badała podbrzusze dziewczyny. – W tej chwili nie wyczuwam oznak ciąży, ale dam wam znać, czy w tej kwestii mamy powtórkę z May.
 - Rozczarowują go – powtórzyła Marnie. – Albo znajduje kogoś innego. Kogoś nowego.
 - Mówiłaś, że dziewczyna zaginęła cztery miesiące temu. Czyli w tym samym okresie co May. Nie bierze ich pojedynczo. – Fran wyprostowała się. – Zakładając, że to ten sam zabójca.
 - Za dużo spekulacji. – Marnie pokiwała głową. – Informuj mnie na bieżąco o postępach. Daj znać, gdyby pojawiło się coś łączącego to zabójstwo ze sprawą May albo coś, co by temu zaprzeczało.
 - Rozumiem, że ochrona w elektrowni została bardziej... zmobilizowana?
 - Nie miał szans na zostawienie ciała w tym samym miejscu. To mogło być przyczyną porzucenia jej tutaj.
 - Pod pewnymi względami to trudniejsze. – Fran rozejrzała się. – Żadnej prywatności. Większe szanse, że ktoś zobaczy, a ciało zostałoby odkryte szybciej.
 - Może właśnie tego chciał.
 - To nie pierwsza śmierć na tym osiedlu w tym roku, o ile się nie mylę.
 - Nawet nie pierwsze morderstwo. W styczniu mieliśmy tu ofiarę dźgnięcia nożem, a niedługo po tym przedawkowanie.
 - Pamiętam to przedawkowanie. Młody chłopak, dziesięcio- albo jedenastolatek. Potworne marnotrawstwo życia.
- Wyszły z namiotu. Większość gapiów zdążyła się rozejść, lecz Abi Gull trwała na posterunku z jedną z koleżanek. Trzecia gdzieś przepadła. Abi opierała jedną nogę o ścianę za plecami, obrzucając miejsce zbrodni groźnym spojrzeniem, jakby chciała nim zedrzeć namiot. Nic nie umknie uwadze takiej dziewczyny. Marnie zastanawiała się, ile Abi widziała z tego, co wydarzyło się między dziewiątą wieczorem a pierwszą w nocy, i czy dałoby się ją namówić do podzielenia się wiedzą ukrytą za zaciśniętymi szczękami.
- Sympatyczne dziewczę – rzuciła Fran. – Gdyby spojrzenie mogło zabijać, wyładowałabyś na moim stole jako następna.
 - Ma doborowe towarzystwo. Wątpię, by znalazła się tu choć jedna osoba widząca nas w dobrym świetle. Nawet ta emerytka terroryzowana przez nasze sympatyczne sąsiadeczki-podpalaczki nas nienawidzi. Wszędzie wszystkim brakuje zaufania. Za to paranoi jest w nadmiarze.
 - Pamiętam wypowiedź kobiety w ciąży, która mieszkała w takim miejscu.

Może nawet dokładnie z tego osiedla. Mówiła, że boi się urodzić córkę, wiedząc, co ją tutaj czeka. Z synami na pewno nie jest lepiej. Narkotyki, przestępczość, bezsensowna przemoc. Jak to lubią pisać w gazetach, patologia. Jednak pod pewnymi względami dziewczynki mają gorzej. Uczą się kłamać, oskarżać i uwodzić. Nie ma takich sztuczek, których by nie znały. Tak mówiła ta matka. Jak widzisz takie dziewczynki jak te – popatrzyła na Abi – wiesz, że miała rację. Ile twoim zdaniem ma lat? Tyle, ile nasza ofiara?

– Jest młodsza. To ledwie trzynastolatka.

Tak samo jak Loz. Hardość Abi wydawała się prawdziwa, Marnie jednak oceniała ją ostrożnie. W takich miejscach jak Garrett każdy zakłada maskę. Kamuflaż przetrwania, adaptujesz się albo giniesz. Tamte zdjęcia na tablicy... Ashleigh posyłająca buziaka. May i jej uroczą skromność. Czy zabójca zdołał zajrzeć pod ich maski? A może właśnie one go przyciągnęły? Zagubione nastolatki o już spaczonych tożsamościach. Łatwo je zdominować, łatwo kontrolować. Czy właśnie tak je wybierał, *dlatego* je wybierał? Takie dziewczyny zawsze będą szukać kryjówki, a ukrywać się można na wiele sposobów. Mieszkając za drzwiami zamykanymi na rygiel, jak Emma Tarvin, albo trzymając się gangu, jak Abi Gull. Łatwo wyobrazić sobie, że Abi Gull niczego się nie boi – tyle że Marnie sama nosiła taką maskę, kiedy miała trzynaście lat, tworzyła się na nowo i nie chciała przyjrzeć się dokładnie swojej nowej tożsamości. Chowała się przed wszystkimi, nawet przez sobą.

Abi Gull nie ruszyła się spod ściany, o którą była oparta. Zmrużonymi oczami obserwowała zbliżającą się do niej Marnie. Jej koleżanka została w pobliżu, próbując kopiować pogardę malującą się na twarzy Abi, lecz bez powodzenia; jej usta wykrzywiły się nerwowo, kiedy Marnie wyciągnęła legitymację.

– Komisarz – odczytała Abi. – Czyli jesteś szefową. Widziałam cię na siódmym piętrze.

– Masz dobry wzrok. Może zauważyłaś coś dzisiaj rano albo wczoraj wieczorem?

– Niby co? Mordercę? – Pogarda w jej głosie. – Czyjeś zwłoki?

– Właśnie coś takiego. – Marnie schowała legitymację.

– Tylko waszych ludzi urządzających sobie imprezkę pod namiotem. Kim ona była?

– Nie wiemy jeszcze.

– Słyszałam, że leży tam naga – rzuciła koleżanka Abi.

Abi posłała jej spojrzenie pełne nierozcieńczonej pogardy.

– Zamknij gębę.

– Nazywasz się Abigail Gull. A ty to Natalie Filton?

– No. – Rumieńce. – I co z tego?

– Gdzie słyszałaś, że jest naga?

– Nigdzie. – Spuściła wzrok na asfalt. – Zmyśliłam to.

– No jasne. – Abi spojrzała na Marnie. – Zaćpała się?

Marnie pokręciła głową.

– Nie wydaje nam się.

– Czyli ktoś ją zabił.

– Tak. – Bezpośrednia odpowiedź zrobiła na nastolatce wrażenie; Marnie poczuła na sobie jej taksujący wzrok. – Jeśli widzieliście jakichś obcych, przydałyby nam się takie informacje.

– Wszyscy tutaj są obcy. – Abi nawinęła kucyk na palec. – Każdy ma każdego w dupie. Nawet kumpli.

Natalie przygryzła wargę, ale nie odezwała się.

– Poważnie. Mogłabym paść trupem po przecpaniu i nikt by się nie obejrzał. Tylko ta prukwa z siódmego piętra wyprawiłaby przyjęcie w tym waszym namiocie. Z herbatką i ciasteczkami.

– Pani Tarvin obserwuje wszystko, co się tu dzieje. Powiedziała nam, że dwa dni temu widziała tu dziewczynę. Obcą. Czerwone włosy, biała koszula. Zauważyliście ją może?

Pokręciły głowami, na ich twarzach nie było śladu fałszu.

– Musicie być zdesperowani, skoro bierzecie na poważnie zeznania tej krowy – rzuciła Abi.

– W tej chwili każde zeznania są na wagę złota. – Marnie podała jej wizytówkę. – Odezwij się. I uważaj na siebie.

Po powrocie na komisariat Noah podał Marnie dokumenty, które udało mu się zdobyć.

– Ashleigh po ucieczce znalazła się w domu dziecka. Jej matka i ojczym nie potrafili sobie z nią poradzić. Ciągle miała problemy w szkole i z policją. Właściwie to ze wszystkimi.

– Więc ją oddali?

– Ashleigh tego chciała, tak twierdzi opieka społeczna. Rodzice próbowali wprowadzać dyscyplinę, ale nic nie działało. Uciekała z domu więcej niż raz. Przy ostatnim powiedziała, że jak każą jej wrócić, podpali im dom. – Noah pomasaował miejsce u nasady nosa. – Oskarżyła ojczyma o molestowanie, jednak nie było żadnych dowodów, nie postawili mu zarzutów. Matka stanęła po stronie mężczyzny, mówiąc, że Ashleigh wymknęła się spod kontroli, że próbuje zwrócić na siebie uwagę. Kobieta była wtedy w ciąży i czuła, że nie da sobie rady z Ashleigh i noworodkiem. Najwyraźniej wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy trafiła do

domu dziecka.

– Dopóki nie uciekła. Jak zareagowali rodzice, kiedy się o tym dowiedzieli?

– Wystosowali apel do Ashleigh, żeby się z nimi skontaktowała, jednak dziecko urodziło się przed terminem i wymaga dużo uwagi. Przez pierwszy miesiąc od zaginięcia Ashleigh większość czasu spędzali w szpitalu. Mały od tamtej pory co chwilę przechodzi jakieś operacje. Ashleigh w tej chwili jest ich najmniejszym zmartwieniem, a przynajmniej tak mi zasugerowali w opiece społecznej.

– Kiedy zagineła, czy to była jej pierwsza ucieczka z domu dziecka?

– Tak, ale nie spędziła tam zbyt wiele czasu. Zniknęła po dwóch miesiącach. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Nie pisała do przyjaciół, nie kontaktowała się z rodziną ani nikim ze szkoły. Jej opiekun powiedział, że to niezwykle, bo Ashleigh ciągle wysyłała do kogoś wiadomości.

– Ale są pewni, że uciekła? Nie podejrzewali, że ktoś mógł ją porwać?

– Zabrała swoje kosmetyki i ubrania. Nie garść w plecaku, całą walizkę. – Noah pokazał jej odpowiednią stronę w dokumentach. – Policja przesłuchiwała matkę i ojczyma, kolegów ze szkoły, z domu dziecka. Wszystkie procedury zachowane. Znaleźli parę nagrań z monitoringu, potem nic. Żadnych wiadomości, jej telefon był wyłączony. Tak jak u May Beswick.

Nie do końca jak u May, bo buzia tamtej okazała się dość fotogeniczna, by trafić do wiadomości w mediach ogólnokrajowych. Marnie nie potrafiła przypomnieć sobie choć krótkiej wzmianki o zaginięciu Ashleigh Jewell.

– A co z jej biologicznym ojcem?

– Nigdy nie ożenił się z matką dziewczyny. Wojskowy, często wyjeżdżał z kraju. Ashleigh nie miała z nim kontaktu. Ojczym pojawił się w jej życiu, gdy skończyła dwanaście lat. Nigdy się nie polubili, chociaż wygląda na to, że się starał. We wszystkich dokumentach podkreśla się, że to porządny facet. Opieka społeczna nie znalazła w ich domu nic poza tym, że zachowanie Ashleigh wywierało presję na matkę w ciąży.

– Skąd pochodziły nagrania, na których było ją widać po ucieczce?

– Stacja na Liverpool Street. Potem Camden. Kiedy dowiedzieli się, że jest w Londynie, wydział zaginionych uznał jej odnalezienie za mało prawdopodobne. Wyglądała jak klasyczny przypadek, po prostu kolejna z tysięcy nastolatek, które uciekają z domu każdego roku... Co powiedziała Fran?

– Powierzchowne podobieństwa do sprawy May. Głównie siniaki. Odezwie się, gdy tylko dowie się czegoś więcej.

Zawibrował jej telefon: Sean Beswick.

– Panie Beswick, jak się pan czuje?

– O niczym nie wiedzieliśmy. – Ojciec May wydawał się wstrząśnięty. – Naprawdę. Wszystko, co wam powiedzieliśmy, było prawdą. A przynajmniej myśleliśmy, że jest prawdą.

– Co się stało? – Marnie sięgnęła po płaszcz. – Panie Beswick?

– Chodzi o rysunki. Znaleźliśmy ich więcej. Nie mogę... Nie przez telefon. Może pani przyjechać? To nie... Wiemy, że musi je pani zobaczyć, ale tak nie może być. Nie może. Przepraszam. Nie wiedzieliśmy, naprawdę. Loz mówi... ale my nie. Ja i Kat. My nie mieliśmy pojęcia.

Marnie kiwnęła na Noaha.

– Już ruszamy.

DOM NA TAYBRIDGE Road był rozświetlony, błyszczało każde okno.

Marnie pamiętała taki blask z domu rodziców, kiedy chciała wywabić każdą plamę i wywietrzyć każdy zapach, jaki zostawił po sobie Stephen. Wsiadła z samochodem z Noahem i spojrzała na wyświetlacz komórki. W dalszym ciągu żadnej wiadomości od Fran.

Sean otworzył im drzwi. Jego twarz wykrzywiały żal po stracie córki i to świeże zmartwienie.

– Dziękuję, że tak szybko państwo przyjechali. – Zerknął za jej ramię na schody. – Zapraszam.

Kiedy stanęli w korytarzu, Marnie zobaczyła Loz siedzącą na górze schodów, ubraną w szkolny mundurek, z łokciami na kolanach.

– Dzień dobry.

Loz patrzyła przez nią, na Noaha.

– Powinna być w szkole – wyjaśnił Sean. – Ale nie chcieliśmy jej posyłać. Nie dzisiaj.

Noah i Marnie ruszyli za nim do kuchni, gdzie siedziała Katrina z kubkiem herbaty w dłoniach. Podobnie jak u Seana, na jej twarzy malował się niepokój, makijaż spływał pod oczy. Była ubrana do pracy: czerwona marynarka na czarną sukienkę, ciężki naszyjnik, bransoletki, szpilki. Szminka na krawędzi kubka, kozuch z taniny na powierzchni zimnej herbaty. Jej dłonie wyglądały na obtarte, zegarek wisiał na lewym nadgarstku.

– Lepiej usiądźcie.

Na stole leżał szkicownik z kartkami spiętymi grubym drutem i z żółto-czarnym tygrysem na okładce. Rodzice May patrzyli na niego z przestrachem. Marnie odsunęła krzesło i usiadła, Noah zajął miejsce obok niej. Przyniosła szkicownik w ich stronę, otworzyła i zaczęła przeglądać.

Gruby papier, kredowobiały, pobrudzony na szaro. May używała węgla i ołówków, wypełniając kartki rysunkami. Na pierwszy rzut oka wyglądały na studium anatomii, ale kryły w sobie coś więcej. Zdecydowanie były pornograficzne. Zbliżenia ust, piersi, męskich i żeńskich genitaliów. Akty seksualne, tak intymne, że z trudem się na nie patrzyło. May nie chciała, żeby ktokolwiek patrzył na te rysunki, a już z pewnością nie rodzice czy policja.

– Gdzie to państwo znaleźli?

Ciszę panującą w kuchni przerwał trzask dochodzący z zamrażarki, gdzie pękał lód.

Marnie podniosła wzrok znad szkicownika i zobaczyła Katrinę z twarzą skrytą w dłoniach. Sean potrząsał tylko głową.

– Loz znalazła go u siebie. Schowany, w jej pokoju.

– Ja go nie schowałam. – Loz stała w progu, rysując palcami stóp po kuchennej podłodze. – May to zrobiła. Ale nigdy mi o tym nie powiedziała. – Gardło miała ściśnięte przez łzy.

– W którym miejscu go ukryła? – zapytał Noah.

– Za pluszakami, na najwyższej półce.

– Loz zbierała je, kiedy była dzieckiem – wyjaśnił ojciec.

Jakby teraz była dorosła.

– Czyli May nie powiedziała ci, że chowa go u ciebie. Czy kiedykolwiek widziałas ten szkicownik?

Loz pokręciła głową i przygryzła dolną wargę, którą miała spierzchniętą i poranioną.

Pod palcami Marnie gruby drut szkicownika pokrywała firanka resztek wyrwanych kartek.

– Jesteś pewna? – zapytała tak łagodnie, jak potrafiła.

– No jasne. Raczej bym zapamiętała *coś takiego*. – Odwróciła wzrok od stołu, na którym leżał otwarty szkicownik. Po raz pierwszy mówiła jak dziecko.

Noah przewrócił kolejną stronę. Znowu to samo. Ale też coś nowego.

Tunel rozświetlony przez prostokątne pudełka zamontowane na obu ścianach. Metro? Ciała śpiących na podłodze, z twarzami obróconymi w stronę muru, z graffiti nad głowami: *Fearz* w chromowej żółceni, *Rents* w neonowym różowym. Na skraju kartki May naszkicowała twarz w kapturze, duże oczy i duże usta.

– To prawdziwe miejsce? – Noah popatrzył na Beswicków. – Rozpoznają je państwo?

Pokręcili głowami.

– To mogłoby być gdziekolwiek, prawda? Oczywiście nie jest to miejsce, w którym chętnie widzielibyśmy nasze córki. Ostrzegaliśmy je przed tunelami metra, a to... Narysowała to po zmroku. Nie pozwalaliśmy jej chodzić do takich miejsc po zmroku. – Sean odwrócił wzrok od szkicownika. – Ale może chodziła. Nie mogliśmy uwierzyć, że narysowała te inne rzeczy. Nadal nie możemy. Ona nawet nie miała chłopaka.

– Dostaliśmy już pierwsze wyniki sekcji zwłok. – Marnie poczekała, żeby mieli szansę powiedzieć Loz, że nie powinna tego słuchać. Jednak żadne się nie odezwało; oboje patrzyli na nią w milczeniu. – May w chwili śmierci była w siódmym tygodniu ciąży.

To wyraźnie wstrząsnęło Seanem. Katrina opuściła ręce na stół i zaczęła patrzeć na swoje bransoletki jak na kajdanki. Jej gardło poruszało się konwulsyjnie.

– Została... zgwałcona? – Najpierw szok, teraz wściekłość w głosie Seana. – Zgwałcił ją?

– Nie znamy tożsamości ojca. Nie było żadnych śladów wymuszenia.

– Żadnych *śladów*? Dopiero co pani powiedziała, że była w ciąży! Jakich jeszcze śladów trzeba?

– Ojciec dziecka to niekoniecznie zabójca. – Marnie położyła rękę na szkicowniku. – Wiem, że państwa zdaniem May nie miała chłopaka, ale w świetle tych rysunków...

– Była *artystką*. Tylko dlatego, że potrafiła rysować, nazywa ją pani dziwką?

– Nie. Absolutnie nie. – Wybrał dokładnie to samo słowo, które May napisała na swoich dłoniach. – Pytam tylko, czy to możliwe, że spotykała się z kimś, o kim państwo nie mieli pojęcia.

Katrina bawiła się obrączką na palcu.

– To możliwe. – Spojrzała najpierw na Marnie, a potem na męża. Wreszcie, ślepo, na Loz. – Tak musiało być.

Sean pokręcił głową, pobieleły mu usta.

– Wiedzieliśmy, że coś jest nie tak – ciągnęła dalej Katrina. – Nie wiedzieliśmy tylko co. May przestała się do nas odzywać. To tak, jakbyśmy mieli ducha w domu. Myśleliśmy... Zaczynała dorastać. Oczywiście, że dorastała, ale wydawało nam się... Przyjaciele. Nowe zainteresowania, może trochę nastoletniego buntu. Tak, to mogło być to.

Sean jęknął w proteście.

– Dzieci dojrzewają tak nagle. Nie chodzi mi o ciało. Tylko... Jednego dnia są tutaj, a następnego już ich nie ma. Straciliśmy ją. – Katrina położyła puste dłonie na blacie stołu. – Wymsknęła się nam. – Znowu zakryła oczy.

– I nikt nie przychodzi państwu do głowy? Żadna z tych twarzy nie jest znajoma? – Marnie trzymała ręce na szkicowniku. – A może jest jakiś miejsce, do którego mogłaby pójść? Może na tę stację metra?

Pokręcili głowami.

– Loz... Wiesz, gdzie to może być?

– Nie. – Nawet nie popatrzyła na rysunek.

– A może kogoś rozpoznajesz?

Loz gwałtownie pokręciła głową, wciąż przygryzając usta. Twarz na krawędzi kartki wyglądała młodo. Na piętnaście, może szesnaście lat. Trudno było odwrócić wzrok od tego spojrzenia. May zdołała uchwycić całą arogancję nastoletniego uciekiniera. Na większym rysunku: postrzępiona trawa przy wejściu do tunelu metra, tagi na ścianach.

– Czy May opowiadała o spotkaniach z bezdomnymi w takich miejscach?

– Nigdy nie rozmawiała ze mną o takich sprawach.

– Dlaczego twoim zdaniem ukryła ten szkicownik w twoim pokoju? – zapytał Noah. – Zamiast u siebie?

– Wiedziała, że policja przeszuka jej pokój. To chyba dlatego.

– To znaczy, że zaplanowała odejście.

– Nie zaplanowała. – Katrina zdjęła ręce z twarzy. – Gdyby zaplanowała, czy nie wzięłaby więcej rzeczy? Torbę, ubrania, cokolwiek. Nie planowała tego. Na pewno nie.

Zanim Marnie zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Noah.

– Spójrz na to.

Przewrócił stronę szkicownika.

Kolejny portret.

Kobieca twarz, nadąsana mina.

Charakterystyczny haczykowaty nos.

Złote kółka w mięsistych małżowinach.

Ashleigh Jewell.

Aimee

PALCE PIEKĄ OD wykręcania drutu. Udało mi się go uwolnić ze szkicownika już w połowie, ale zajmuje to zbyt wiele czasu. Muszę pracować w łóżku, pod pościelą.

Dziwnie się z tym czuję, bo kiedyś takie rzeczy szły mi świetnie. Ukrywanie się, uważanie na siebie. Teraz nikomu się nie przydaję. Harm od swojej dziewczynki chce tylko tyle, żeby była dobra w chorowaniu. Tak jak chciała moja mama kiedyś.

Christie oczywiście mnie pilnuje. Podchodzi do samego łóżka. Słyszę jej oddech, słyszę, że mnie obserwuje, gdy udaję, że śpię. Kiedy już mi się wydaje, że ona wie, Christie wychodzi. Jednak z czasem czeka coraz dłużej i dłużej. Wydawało mi się, że tylko o niego muszę się martwić. Teraz także i o nią, a Christie przyszła tu z ulicy, więc zna wszystkie sztuczki. Harm nigdy nie był bezdomny, nigdy nie był na gigancie. Wychował się w ładnym domu z miłą rodziną, chociaż to i tak nie miało znaczenia. Dla May nie miało najmniejszego. Była bezpieczna, mówiła, w domu z rodzicami. Uwielbiała swoją młodszą siostrę. A mimo to nie mogła tam mieszkać. Czasami po prostu się nie da.

Drut rani mi palce. Zaczynam je ssać, żeby wróciło krążenie.

Postanawiam, że w czasie kolacji spróbuję zabrać nóż.

Teraz jest nas tylko troje. Ja i oni.

Ashleigh zniknęła.

Wydawało mi się, że za nią nie zatęsknię, a jednak. Brakuje mi tego kamuflażu, tego, jak skupiała na sobie uwagę Harma. Tęsknię za jej piersiami. Jej piersi były cudowne. Doskonale robiły dumia z Harma i tego jego pojebanego udawania, tej całej gry. Przebierania się za uczennice, łykania jego gówna. Jej cycki były sztandarem prawdziwego świata, tego na zewnątrz, z dala od niego.

Nie udaje mi się ukraść noża. Harm jest zbyt uważny w kuchni. May próbowała kiedyś zabrać jedzenie, kiedy zaczęła mieć zachcianki, ale Harm wszystko pozamykał na klucz. Obserwuje nas. On albo Christie.

Coraz częściej jest to Christie. Harm wychodzi, czasami na długie godziny, lecz ona nigdy. Słyszę nieraz, jak skrzypią schody pod jej stopami, i kiedyś to było okej, lecz teraz zaczęła wchodzić do mojego pokoju. Zbliża się do łóżka. Patrzy na mnie i obserwuje, jak udaję, że śpię.

Właśnie po to mi ten drut – żeby przestała patrzeć.

Przestanie dla niego szpiegować, nie zobaczy nic, czego nie powinna. Harm nie widział wszystkiego, jednak Christie tak. Wie, że coś jest ze mną nie w porządku. Słyszę to w jej oddechu. Przejrzała mnie. No i jest silniejsza. Większa, wyższa, łapy ma jak łopaty, ale i tak ją pokonam.

Pokonam ją.

Znam ulice, znam tunele metra.

May wiedziała...

Właśnie tam nas znalazła, kiedy nasza egzystencja przypominała życie szcurów, gdy padał deszcz. Udawaliśmy, że to przebiegłość, wolność. Opowiadaliśmy historie o pojebach, od których udało nam się uciec. Tańczyliśmy w deszczu, to dobrze pamiętam. Tańczyliśmy w pieprzonym deszczu.

Ashleigh opowiadała tę historię o ojczymie. Jakies dyrdymały o tym, że podglądał ją, kiedy się przebierała. Każde z nas miało tego typu opowieść, ale ona ściemniała. To było widać. Ashleigh miała tylko cycki i tyłek. Jeśli się na nie nie patrzyło, nie dostrzegało się jej w ogóle, a każdy z nas chce być dostrzegany. Wydawało nam się, że nie można być niewidzialnym, kiedy się każdego dnia siedzi komuś pod nogami. A jednak tamci potrafili nas jakoś ignorować, potrafili uczynić nas niewidzialnymi. Ashleigh nie mogła tego znieść. Na pewno właśnie tam teraz jest, pokazuje komuś swoje cycki, daje się zauważyć. Powodzenia. Każde z nas próbuje po prostu przeżyć. Jeśli ona potrzebuje czuć na sobie czyjś dotyk, żeby mieć pewność, że żyje, życzę jej powodzenia. I mam nadzieję, że właśnie ktoś maca jej tyłek.

May potrzebowała opieki ze względu na swój stan, więc to też rozumiem. Rozumiem, dlaczego musiała wrócić do młodszej siostry, która niedługo zostanie

ciocią. Nie winię jej za ucieczkę. Mnie też się marzy ucieczka, ale za dobrze mnie pilnują. Teraz nie tylko on, lecz także ona.

Drut wbija mi się w palec, spod paznokcia leci krew.

Wysysam ją, czując smak soli.

Cały czas chce mi się pić. To przez jedzenie, wszystko jest solone, suszone i naszpikowane konserwantami. Może właśnie to ze mną robił, konserwował mnie od środka jak egipską mumię. Wyciągnie mi mózg przez nos i włoży moje nerki do słoików. Będę mieć twardą skórę i wielkie, puste oczy. Podobałaby mu się taka dziewczynka.

Słyszę kroki na schodach.

Serce mi wali.

Zwijam się w kłębek, chowam drut pod siebie, przykrywam ręce kołdrą.

Płytki oddech, płytki, inaczej cię zdradzi.

Zimne powietrze zakrada się do pokoju.

To on czy ona?

Śpię przecież, zobacz. Śpię.

Otwieram usta na poduszce. Oddycham przez nie.

Śpię. Nie budź mnie.

Jego cień nade mną, cięży jak kamień. A może jej cień?

Cisza udeptana jak ziemia, zielona i czarna za moimi oczami, skropiona białymi plamkami jak śliną. Płytkie oddechy przez usta, wilgotne na poduszce. Dziewczynka jest chora i śpi. Pozwól jej spać.

Nie chcę się budzić. Nie chcę.

Spojrzenia na mojej skórze, na gardle, ściskają jak palce, mocno. Nie mogę oddychać. To tylko spojrzenie. Jego albo jej. Patrzy, jak śpię. Ale czuję je jak palce, dłonie na gardle.

Nie mogę oddychać, nie mogę oddychać, nie mogę oddychać.

Panika przyspiesza mi puls, zaczyna mną trząść. Zmieniam ją w chrapanie, marszczę brwi przez sen, nie budząc się. Całe moje ciało łaskocze od strachu, każdy włoszek stoi dęba. Ale nie budzę się, nie otwieram oczu, nie poruszam się, nie licząc tego pierwszego uderzenia paniki.

Doskonale sobie radzę.

Jestem jego grzeczną dziewczynką. I jej.

Kamień poruszył się, wycofał z łóżka, wrócił do drzwi.

Czuję, jak długi cień ciągnie się niczym woda powoli wypływająca z pokoju, pozostawiając na łóżku moje wilgotne i trzęsące się ciało.

– CZYLI NASZE OFIARY się znały. – Welland patrzył na tablicę, jakby znajdujące się na niej materiały czyniły mu osobisty afront. – Jakież pomysły na to skąd?

– Szukamy stacji metra z rysunku – powiedział Noah. – To najlepszy trop.

– Z rysunku? Przecież mogła to sobie zmyślić.

– Rysowała elektrownię i inne prawdziwe miejsca. – Co myślała o bezpłciowych pejzażach ze ścian domu rodziców, skoro sama rysowała rzeczy tak intymne i surowe? – Naszym zdaniem ta stacja jest prawdziwa. Badamy w tej chwili stacje znajdujące się najbliżej jej domu i szkoły.

– I tylko tyle mamy w tej chwili?

– To i graffiti. Te tagi to oznaczenia terytorium. Jeśli je zidentyfikujemy, być może uda nam się zlokalizować tę stację. Drogówka ma bazę danych; zaczynamy od tego.

Welland przyjrzał się tagom na rysunku May: *Fearz*, *Rents*.

– Dzięki temu będziemy wiedzieć, gdzie się spotkały, ale nie to, dlaczego obie zginęły na przestrzeni czterdziestu ośmiu godzin. – Zaczął skubać górną wargę. – Rodzice Ashleigh niczego nie powiedzieli? Albo pracownicy ośrodka, z którego uciekła?

– Policja w Kent przekazała wieści jednym i drugim. Pokazali im też zdjęcie May, lecz nikt nie przypomina sobie, żeby widział ją z Ashleigh przed jej ucieczką. Musiały się poznać już po tym, jak Ashleigh przyjechała do Londynu.

Podejrzewam, że stało się to właśnie w metrze. Nie mam pojęcia, co May tam robiła. Rysunki, może. Myślę, że zabójca sam je znalazł.

– A co z tą trzecią nastolatką, tą zaginioną?

– Dzięki Ruth Eaton mamy teraz lepszy portret pamięciowy. Zespół od przesłuchań pokazuje go teraz mieszkańcom Garrett. Jest tam teraz dużo przerażonych ludzi, odkąd znaleźliśmy rano ciało Ashleigh.

Ze swojego zdjęcia na tablicy nastolatka posyłała buziaka, patrzyła zalotnie, wypychając do przodu pierś. Próbowwała zwrócić na siebie uwagę. Nie jak May, a przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrażali. Zawartość szkicownika wiele zmieniała.

Welland zaczął ugniatać skórę pod oczami.

– Gdzie jest Rome?

– Omawia z Fran Lennox wyniki sekcji zwłok. Jedno już wiemy: Ashleigh nie była w ciąży. Fran wykluczyła, by dziewczyna na krótko przed śmiercią uprawiała seks. Nie ma też śladów napaści, maltretowania.

– Czyli po prostu ją udusił i wyrzucił do śmieci. Cóż za dżentelmen z niego.

– Welland spojrzął na rysunki skopiowane ze szkicownika May. – Ta Beswickówna. Cicha woda brzegi rwie. Studium pornografii czy co?

– To nie pornografia – powiedział łagodnie Noah. – To są akty.

– Akty srakty. Czyje? – Pokazał kciukiem najmocniejszy rysunek. – Zabójcy? A co ma do powiedzenia jej siostra? W końcu szkicownik znalazł się w jej pokoju.

– Loz nie wiedziała o rysunkach. Bardzo ją zdenerwowały, ale inaczej niż jej rodziców. May miała przed nią sekrety. Przez to Loz poczuła się jeszcze bardziej samotna.

W domu Beswicków dziewczynka powiedziała Noahowi, że rodzice odgrają się, że wyślą ją do terapeuty. „Nie potrzebuję psychiatry – stwierdziła. – Mój świat jest już wystarczająco mały[4]”. Noah powiedział jej wtedy: „Rozmowa z nim może ci pomóc. Może zrozumiesz, że nie zostałeś z tym wszystkim sama”. Wtedy Loz popatrzyła mu prosto w oczy i rzuciła: „A pan zdaje sobie sprawę, że to brzmi jak wielka bzdura?”.

Welland warczał na rysunki.

– Szkoda, że nie lubiła rysować twarzy. Nie chciałbym identyfikować zabójcy po jego genitaliach. – Syknął niezadowolony. – Informujcie mnie na bieżąco.

– Ashleigh Jewell cierpiała na hipernatremię – powiedziała Marnie Noahowi jakieś czterdzieści minut później. – Fran już to potwierdziła. Co więcej, zawartość jej żołądka była identyczna jak w przypadku May. Solona ryba i soczewica. Tuż

przed śmiercią znajdowały się w tym samym miejscu i jadły taki sam posiłek.

– Uprawiał seks z May, jednak nie z Ashleigh.

– Ktoś uprawiał seks z May – poprawiła go Marnie. – Wciąż nie wiemy, czy to był zabójca.

– May układa na łóżku, czesze jej włosy, wystawia na pokaz. Ashleigh wyrzuca do śmieci.

– Zasinienia zgadzają się pod względem rozmiaru i wzoru. Znowu lateksowe rękawiczki, ślady talku. Żadnego obcego DNA. Może ją wyrzucił, jednak był na tyle ostrożny, by nie zostawić żadnych śladów. Dokładnie tak ostrożny, jak w przypadku May. – Marnie potarła lewy nadgarstek. – Jeśli to ten sam zabójca, przetrzymywał obie dziewczyny tygodniami. Karmił je, ubierał, przynajmniej w przypadku Ashleigh. Bielizna była od Marks and Spencer, podobnie jak mundurek, chociaż Ashleigh nie chodziła do szkoły. Kupił im ubrania, a potem zabił je obie w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Dlaczego? Co się mogło stać, by wywołać taką reakcję?

– Nawet jeśli ciąża May była powodem, dla którego ją zamordował, to nie tłumaczy śmierci Ashleigh. Szukaliśmy May; jej twarz była drukowana w gazetach i pokazywana w telewizji. Ashleigh nie. Jeśli martwił się, że zostanie złapany, porzucenie jej w pobliżu miejsca, które już jest objęte działaniami policyjnymi, wydaje się desperackim krokiem. – Noah pokręcił głową. – A może on *chce*, żebyśmy wiedzieli, co robi. Może pragnie zwrócić na siebie naszą uwagę.

Marnie nie zamierzała się z tym kłócić.

– Rodzice Ashleigh mają przyjść na identyfikację ciała. Potem opublikujemy zdjęcie i nazwisko. Do tego czasu oficjalnie May jest jedyną ofiarą.

– Co powiesz prasie dzisiaj rano?

– Żeby informowali o sprawie odpowiedzialnie. – Odgarnęła włosy z twarzy.

– Wysyłamy też ostrzeżenie do fundacji zajmujących się bezdomnymi, żeby uprzedzić ich, że w następnych tygodniach będzie ich często odwiedzać policja. Jeśli zabójca wybiera ofiary spośród nastolatków na gigancie, musimy obserwować miejsca podwyższonego ryzyka. Poszczyło się wam przy lokalizowaniu stacji metra z rysunków May?

– Niestety nie, ale Dan zna kogoś, kto kataloguje londyńską sztukę uliczną. Jeśli utkniemy w martwym punkcie z bazą od drogówki, mam nadzieję, że ten ktoś rozpozna tagi.

– Wspominałeś, że Dan może znać alternatywne sposoby na dostanie się do Elektrowni Battersea. Nikt od dewelopera nie dał nam nic, co moglibyśmy wykorzystać.

– Zapytam go. Przynajmniej mamy listę wszystkich osób, które miały dostęp do placu budowy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Położyłem kopie na twoim biurku. Coś zwróciło twoją uwagę?

– Organizatorzy imprezy dla mediów najwyraźniej nie stawiali wysokich wymagań. Każdy, kto miał ponad pięćset śledzących na Twitterze, dostał szampana. – W jej oczach szalała burza, na czole pojawiła się głęboka bruzda. Marnie była sfrustrowana, tak samo jak Noah. – Będę badać kilka tropów.

– Jest jeszcze coś, o czym nie rozmawialiśmy od Taybridge Road... – Zawahał się.

Marnie jednak doskonale wiedziała, co ma na myśli.

– Sean Beswick oskarżył mnie o nazwanie jego córki dziwką.

– Czyli nie tylko ja zwróciłem na to uwagę. To było... dziwne. To, że użył tego słowa. May miała szesnaście lat. Może nie podobało mu się, że córka mogła już uprawiać seks, ale w tym wieku? Nie ma w tym nic dziwnego.

– Sprawdzaliśmy jej rodziców, kiedy zaginęła. Nic nie wzbudzało niepokoju. – Marnie zaczęła skubać nitkę wystającą z rękawa jej marynarki. – Przegapiliśmy coś? Obsesja kontroli, znęcanie się? To by dało May powód do ucieczki z domu. Wyjaśniłoby napisy i zerwanie kontaktu. Katrina nie była zdziwiona, kiedy usłyszała o ciąży. – Wciągnęła powietrze, wyraźnie nieszczęśliwa. – Nie patrzą na siebie, nie pocieszają się nawzajem. Widziałeś kiedyś, żeby któreś z nich przytuliło Loz albo chociaż pottrzymało ją za rękę? Ja nie. To może być oznaka przeżywanego smutku, ale też coś znacznie gorszego. A jeśli May znała Ashleigh, możliwe, że Sean też ją znał. – Stawiła czoła spojrzeniu Noaha. – Statystyk zwróciłby nam uwagę na wysokie prawdopodobieństwo, że May zabił ktoś z jej otoczenia.

Przez chwilę milczeli, każde myślało o tej samej potworności, bo taką mieli pracę. Noah wiedział, że ich zadaniem jest myślenie o czymś takim. Spoglądanie chłodno na fakty. Rozkładanie Taybridge Road cegła po cegle, nie biorąc nic za pewnik, nie wierząc nikomu na słowo. Ich zadaniem było podejrzewać Seana i Katrinę, a może nawet Loz. Mierzyć każdego domownika miarą śmierci May, która leżała tam jak dziecko z tym samym słowem napisanym na dłoniach...

Dziwka. To samo powiedział jej ojciec, kiedy poczerwieniał ze złości na sugestię, że jego córka uprawiała seks z własnej woli, jakby wolał myśleć, że została zgwałcona...

Nie. To było niesprawiedliwe. Sean był wściekły, ponieważ jego córka zginęła; zbulwersowany, że mogła zostać przed śmiercią zgwałcona. Jeśli to była gra, Sean Beswick był jednym z najlepszych aktorów, jakich Noah kiedykolwiek widział. Zakłamany, pewny siebie i...

– Loz. Czy my musimy ją stamtąd wydostać?

– Na jakiej podstawie? Bo jej ojciec powiedział „dziwka”, zamiast użyć innego słowa? Ponieważ u Beswicków jest tyle bólu, że nikt nie potrafi go wyminąć, by pocieszyć drugą osobę? – Marnie pokręciła głową. – Pójdziemy za tym tropem, ponieważ oboje mamy złe przeczucia. Wrócimy do przesłuchań domowników, przeczytamy je na nowo. Sprawdzimy jeszcze raz alibi Seana na

dzień, w którym zginęła May, i na dzień jej śmierci. Ale pamiętajmy, że to oni przynieśli nam szkielet. Nie przestaniemy szukać innego zabójcy ani zaginionej dziewczyny.

– Ja wcale nie chcę, żeby to był on – powiedział Noah.

– Ani ja. Ale nie lekceważmy tej możliwości. – Spojrzała na zegarek. – Muszę iść na konferencję. Bądźmy w kontakcie.

[4] Gra słów oparta na podwójnym znaczeniu słowa *shrink*: zarówno ‘psychiatra’, jak i ‘zmniejszać się, kurczyć’.

SPOŚRÓD OBECNYCH NA konferencji dziennikarzy Marnie rozpoznała garść, jednak w tłumie brakowało jednej twarzy. Spodziewała się, że Adam Fletcher dotrze. Jego nazwisko znajdowało się na liście gości imprezy dla prasy zorganizowanej przez dewelopera, a zrezygnowanie z szansy zbudowania tekstu na czyjejs tragedii nie było w jego stylu, zwłaszcza jeśli mógł chwalić się, że był na miejscu, w którym znaleziono ciało.

Sześć tygodni wcześniej Adam Fletcher pił szampana i jadł drogie kanapki w mieszkaniu, w którym później zabójca zostawił May. Deweloperzy zrobili, co w ich mocy, żeby skusić dziennikarzy. Względów Adama nie zdobyli. Napisał o cenach penthouse'ów, zasugerował, żeby porównać je do tego, co oferuje okolica, wspomniał o pobliskim Garrett i zacytował statystyki bezdomności w południowym Londynie. Gazeta wydrukowała zdjęcie bezdomnego chłopca, jego twarz nie różniła się od tej z rysunków May, w tle majaczyły kominy Elektrowni Battersea. Marnie szukała tekstu Adama o morderstwie May, lecz najwyraźniej dotychczas nie poruszał tego tematu. Szukał unikalnej perspektywy, czegoś więcej niż suche fakty. Adam zawsze był dobry w unikalnych perspektywach.

Znalezienie jego adresu nie było trudne. Gdyby nie mieszkał tak blisko komisariatu, zostawiłaby go komuś innemu do odfajkowania z listy obecnych na przyjęciu. Skoro jednak nie rezydował daleko, ruszyła w stronę wąskiego szeregu bloków, nacisnęła guzik domofonu i stanęła tak, by kamera mogła objąć i pokazać

na ekranie jej twarz. Zabrzęczały drzwi na klatkę i za chwilę Marnie znalazła się przed wejściem do mieszkania Fletchera. Zapukała dwa razy, zanim odpowiedział.

Gołe stopy, poplamione spodnie, biała koszulka.

– Pani komisarz. – Oparł długie ciało o framugę. – Czyżbym był aresztowany?

– A powinienes?

– Myślałem, że polujesz na mordercę, a nie odwiedzasz dawnych kochanków.

– Mogę wejść?

– Bez pozwolenia? – Adam oparł łokieć o ścianę przy głowie. – Wątpię.

– Chciałam pogadać. O przyjęciu na Battersea sprzed sześciu tygodni. Twoje nazwisko było na liście. Chciałabym je odfajkować.

– Nie mogłaś zadzwonić? – Nie spał od kilku dni, jeśli sądzić po oczach, bardziej szarych niż niebieskich. Stracił też na wadze; jego chudość miała w sobie coś z głodu.

– Próbowałam. – Nie spał, ale nie zapominał o higienie. Pachniał żelem pod prysznic, a nie papierosami. Czyżby porzucił stary nałóg? – Zmieniłeś numer.

– Unikam dręczycieli. Wiesz, jak to jest. – Groźny błysk w jego oku, jakby przypominał sobie okoliczności ich ostatniej rozmowy; przemowę Marnie o pozostawieniu przeszłości za sobą. – Co chcesz wiedzieć o przyjęciu?

– Czy ktoś lub coś zwróciło twoją uwagę? Może ktoś wykazywał zbyt duże zainteresowanie tamtym miejscem, na przykład. Albo zadawał bardzo dużo pytań o ochronę.

Adam zmrużył oczy.

– Nie wiecie, jak się tam dostał.

– Nie ma oczywistego rozwiązania. Ktoś przychodzi ci na myśl?

– Może. – Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Zobaczyła zasinienia na jego gołych stopach. – Trudno powiedzieć, musiałbym się zastanowić.

– Nie pracujesz nad tekstem o morderstwie May Beswick?

– Tego nie powiedziałem. – Wzruszył ramionami. – Zabójstwo nastolatki to zawsze dobry temat.

Pół roku wcześniej wepchnął się w sam środek śledztwa, twierdząc, że posiada informacje, które pomogą im rozwiązać sprawę śmierci dwóch chłopców. Sparzył sobie przez to palce, a może i dumę. Teraz nie zamierzał jej nic dawać. Ale coś zwróciło jego uwagę na tamtym przyjęciu, a mieć na miejscu Fletchera to prawie jak mieć detektywa.

– Staram się schwytać mordercę – powiedziała. – Jeśli możesz mi w tym pomóc...

– Zwykłego czy seryjnego? – Oparł głowę o dłonie. Palce też miał poobijane. – Znaleźliście dzisiaj rano kolejne ciało. Na osiedlu Garrett. Kolejną

martwą nastolatkę.

– Skąd to wiesz?

– Z Twittera. Jest pani fotogeniczna, pani komisarz. Twój sierżant też.

– Kto cię pobił? – Marnie pokazała na jego stopy i palce.

– Składałem meble. – Nawet nie zamrugał. – Stawiam regał na książki.

– Mogę zobaczyć?

– Bez nakazu? – Wykrzywił usta, ale nie w uśmiechu. Chciał, żeby Marnie sobie poszła.

Stracił córkę w wypadku, kiedy miała czternaście lat. To był początek jego nieposkromionej ciekawości i poczucia, że świat jest niesprawiedliwy. Przeszłość stała się dla Adama źle obciążonym trupem, który nieustannie wpływał na powierzchnię jego teraźniejszości.

– Zapuszczasz korzenie – zauważyła. – To coś nowego.

– Wszystko jest nowe – odparł Adam. – Oprócz ciebie.

W drodze powrotnej na komisariat Marnie pomyślała, że Adam mógłby dowiedzieć się, kto wysyła paczki do Stephena Keele'a. Właściwie może już to wiedział. Pół roku wcześniej powiedział jej, że próbuje rozwiązać zagadkę powodów, dla których chłopak zabił przybranych rodziców. Bez jej pozwolenia, nie pytając, czy ona w ogóle chce jego pomocy. Bardzo wyraźnie dała mu do zrozumienia, że to jej się nie podoba, może jednak przyszedł moment, by wykorzystać jego zdolności. Adam był dobry w tym, co robi. Może uda mu się znaleźć odpowiedzi, które jej ciągle umykały. To inteligentny i pomysłowy facet. Odkryła to, kiedy miała szesnaście lat. Adam był jednym z powodów, dla których uciekła z domu. Powiedział jej kiedyś, że nie jest złą córką, ale nie uwierzyła mu.

Odezwał się telefon Marnie.

– Noah, co dla mnie masz?

– Trop w temacie stacji metra. A przynajmniej taką mam nadzieję. Dan twierdzi, że zna tagera o ksywce Rents. Jego terytorium to Stockwell. Wyślę mu rysunek i zobaczymy, czy będzie w stanie zlokalizować to miejsce. Dan obiecał jeszcze, że skontaktuje mnie z jednym z przyjaciół, którzy zajmują się eksploracją miejską. Koleś podobno może znać alternatywne sposoby na wejście do budynku elektrowni.

– Świetnie. Ja pojadę sprawdzić, jak idą przesłuchania na osiedlu. Potem spotykam się z rodzicami Ashleigh w kostnicy. – Zamilkła na moment. – Sprawdzałeś już alibi?

– Sean oba popołudnia spędzał w domu. Był tam zarówno w dniu zaginięcia May, jak i w dniu jej śmierci. Loz wróciła ze szkoły koło czwartej. O ile go nie kryje, naprawdę był wtedy w domu. Matka dotarła później, mniej więcej w chwili,

gdy Jamie Ledger znalazł ciało. Sprawdzam oba samochody, Seana i Katriny, czy nie znajdowały się niedaleko elektrowni tamtego popołudnia. Jeśli coś znajdę, pierwsza się o tym dowiesz... A jak tam prasa? Zachowywali się cywilizowanie?

– Mniej więcej. To się może zmienić, kiedy powiemy im o Ashleigh. – Adam z pewnością nie będzie wyjątkiem i więcej dziennikarzy dostrzeże powiązanie między dwiema zamordowanymi nastolatkami odnalezionymi w odległości niecałych dwóch kilometrów od siebie. – Jeśli zabójca faktycznie panikuje, musimy ograniczyć wyciek tego tematu do prasy. Znajdźmy dziewczynę z wypadku i zidentyfikujmy stację metra z rysunku May. Sprawdźmy, czy ktoś jeszcze zaginął w tamtej okolicy w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

– Myślisz, że przetrzymuje więcej dziewczyn – powiedział ze smutkiem Noah. Marnie wiedziała, że jej partner ogląda właśnie zdjęcia nastolatki z tablicy. Sika Khair i Kim Nguyen, szesnaście lat. Sasha Ronson, czternaście.

– Bądźmy w kontakcie – rzuciła Marnie i rozłączyła się, by zaraz wybrać numer Rona. – Masz coś?

– Oprócz bolących uszu? Nic. – Wydawał się zmęczony. – Tu się robi nieprzyjemnie, szefowo. Jacyś mściciele sugerują podłoże rasowe, podkreślając, że nasza ofiara to biała dziewczyna. Nie ułatwiają nam tym życia.

– Powiedz Tanner, żeby skontaktowała się z biurem bezpieczeństwa wspólnotowego i niech ktoś od nich towarzyszy ci na miejscu. Ja zrobię to samo. Informuj mnie o wszystkim.

– PORZUCONE MIEJSCA SĄ najlepsze – powiedział Noahowi przyjaciel Dana. – Te, które wszyscy ignorują. Czasami chodzi o widowiskowość, pewnie, tak jak z tymi studentami, co zakładają czapki mikołajów na iglice Kings' College, albo stawiają samochód na dachu budynku senatu. Wystawiają środkowy palec, bo dlaczego nie? Niemniej wielu z nas woli te spokojne miejsca, oglądanie miasta od innej strony, rozumiesz?

Noah podał mu kubek kawy kupionej na ulicy.

– Dan opowiadał mi o King's College. O tym aucie na dachu senatu nie słyszałem.

– Musieli je pociąć na kawałki, żeby je znieść. Więc właśnie, widowiskowość. Jednak większość z nas wcale nie chce czytać o sobie w gazetach. Nam chodzi o trzymanie się poza zasięgiem radaru, żeby nikogo nie alarmować. Riff był po trzydziestce. Garnitur, fryzura managera średniego szczebla, złota obrączka, eleganckie buty. W ciągu dnia rzeczoznawca budowlany. Nocą miejski eksplorator.

– Oczywiście mówię o tym w czasie przeszłym, jasne? – Zdjął plastikową pokrywkę z kubka. – Rzuciłem to wszystko parę miesięcy temu.

– Dlaczego?

– Za stary już jestem. – Wzruszenie ramion. – Tak jak Dan. – Skórę wokół oczu miał opaloną i poznaczoną zmarszczkami, a na dłoniach stare blizny po wspinaczce. – Musisz zrozumieć, że większość z nas ma dobre posady, eleganckie

domy, pieniądze. Najodważniejszym eksploratorem, jakiego znalazłem, był pracownik call center. Mówił, że praca doprowadza go do szału, bo jest tak bezpieczna i niepozorna.

– Właśnie, skoro już mowa o bezpieczeństwie... Co z ochroną? Jak udawało wam się wejść do tylu miejsc?

– Im bardziej zaawansowana ochrona, tym więcej ma punktów, w których można ją złamać. Często nie trzeba być nawet szczególnie przebiegłym. Zakładaliśmy kamizelki odblaskowe i plastikowe kaski; wystarczało, żeby wpuszczono nas na całe mnóstwo placów budowy w środku dnia. Czasami odstawialiśmy ninja na rusztowaniach. Innym razem trzeba było znaleźć luki w monitoringu, punkty zbiegu.

– Martwe punkty – powtórzył Noah. Czy właśnie z nich skorzystał morderca? Znalazł martwe punkty w Elektrowni Battersea i na Garrett? Z pewnością było mu ciężiej, gdy niósł martwe ciało.

Riff napił się kawy, przypatrując się rozmówcy.

– A co tam u Danny'ego?

– Wszystko dobrze. – Noah się uśmiechnął. – U nas wszystko dobrze.

– Jeszcze się wspina?

– Czasami w wakacje. Głównie pracuje w galeriach i przy instalacjach. Tak jak w tej elektrowni jakiś czas temu.

– Ale chyba nie przy tej ze zgniłymi jabłkami? – Riff wyszczerzył zęby, widząc zdziwiony wzrok Noaha. – Wrzucili do klatki sto tysięcy jabłek i pozwolili im zgnić. Przez całe miesiące śmierdziało tam cydrem.

– To musiało być wcześniej. Trójka dzieciaków człapała w stronę przystanku autobusowego po drugiej stronie ulicy. W mundurkach, tak jak Abi Gull i jej przyjaciółki, choć szkoła ewidentnie nie była im w głowie. Popatrzyły na Noaha i Riffa, ale zaraz udawały, że nie zwracają na nich uwagi, gapiąc się w telefony.

– Gdybym szukał jakiejś kryjówki, gdzie mógłbym zacząć? Place budowy?

– Może. Ale teraz już za duża część Londynu została wypłukana.

– Wypłukana, czyli zhakowana. Zbadana przez eksploratorów.

– Tak. Czasami wydaje ci się, że odkryłeś jakieś miejsce, że znalazłeś je jako pierwszy. Potem widzisz oznaczenia i wiesz, że ktoś cię uprzedził.

– Oznaczenia, czyli tagi? Graffiti?

Riff pokiwał głową.

– Ale tak szczerze, pytasz nie tę osobę, co trzeba. Ja już jestem za stary. Kiedy nie potrafisz już znaleźć miejsca, nie podejmując ogromnego ryzyka, nadszedł czas, żeby odpuścić.

– Myślałem, że w tym wszystkim chodzi przede wszystkim właśnie o ryzyko. – Noah uśmiechnął się. – Dan ciągle twierdzi, że nienawidzi bezpieczeństwa.

– Tu chodzi o znalezienie swojego miejsca. O nawiązanie więzi. Z miastem, twoją ekipą, twoim plemieniem.

– Jakie były twoje ulubione miejsca? Dan wspominał, że miałeś słabość do Battersea. On na pewno.

– Nie zaprzeczam. – Riff zamknął oczy i przechylił mocno kubek, żeby wypić ostatnie krople kawy. – Nie mogę patrzeć na to, co zrobili z tą elektrownią. Bogate świnie.

– Widziałem mieszkanie pokazowe. Na szczycie dawnej kotłowni.

– Pieprzone marnotrawstwo. Tamta kotłownia to prawdziwa księżniczka. Trzeba było zobaczyć, jak puszczali fajerwerki z okazji nowego millenium; aż się kominy trzęsły. W życiu nie miałem większej frajdy.

– Jak się dostaliście do środka? Dan mówił, że tego terenu zawsze dobrze pilnowano.

Riff najpierw spojrzął na niego z ukosa, a potem posłał mu szeroki uśmiech.

– Mam zdjęcie Danny’ego na tle jednego z kominów. Uwielbiał księżniczkę.

– Mówił mi o tym. – Noah również się uśmiechnął. Czekał, nie naciskał.

– Z czasem dostali jakiejś paranoi na punkcie ochrony. Reflektory, psy. Zrobiło się znacznie trudniej, kiedy postanowili, że zarobią na tym miejscu. Gdy tylko usłyszeliśmy o apartamentach, wiedzieliśmy, że może już nigdy nie zobaczymy księżniczki taką, jaka była. Skrzyknęliśmy się w kilka osób na ostatni wypad. Tak na pożegnanie, wiesz?

– Udało wam się?

Riff pokręcił głową. Wciąż się uśmiechał.

– To by było nielegalne.

– Jasne. Ale czysto hipotetyczne, gdyby ktoś chciał zorganizować taką ostatnią wyprawę... Przy obecnej ochronie. To by było nielegalne, ale czy niemożliwe?

– Nic nie jest niemożliwe... Apartament pokazowy znajduje się na szczycie dawnej kotłowni. Tam ją znaleźliście, tę zamordowaną nastolatkę, prawda? Zabrał ją tam, żeby zabić? – Riff pobladł. – Świr.

– Nie zabił jej w tamtym miejscu. Nie mogę podawać szczegółów, niemniej chciał, żeby dziewczyna została znaleziona w elektrowni.

– To chore. Jeśli uważacie, że to był eksplorator... Żaden z nas nie zrobiłby czegoś takiego. Sprzeciwilby się w ten sposób idei tego, co robimy.

– Wcale nie uważamy, że to eksplorator. Nie potrafimy jednak dociec, w jaki sposób dostał się z nią do środka. Jak ominął zabezpieczenia. Ochroniarzy i psy.

– Istnieje więcej niż jedno wejście.

– Nie wszedł od strony rzeki.

Riff milczał przez chwilę.

– Ochroniarze z psami. Sprawdziliście ich, prawda? Swego czasu wręczyłem

niejedną łapówkę.

– Przyglądamy się każdemu, kto miał dostęp do placu budowy w ciągu ostatnich czterech miesięcy. – Noah odnotował w pamięci, żeby jeszcze raz przejrzeć listy. – Wspominałeś o tagerach. Szukamy grafficiarza o ksywce Rents.

Riff pokręcił głową.

– Nie znam go.

Noah nie robił sobie nadziei, ale wyciągnął telefon i poszukał zdjęcia rysunku May.

– A rozpoznasz może to miejsce?

– Przykro mi.

– Odezwij się do mnie, jeśli coś jeszcze przyjdzie ci do głowy. Możesz przez Dana, jeśli tak wolisz.

– Powodzenia.

Kiedy Noah wracał na komisariat, zadzwonił Dan.

– Hej – odezwał się Noah. – Udało ci się skontaktować z tym tagerem?

– Niestety, nie oddzwonił jeszcze... Widziałeś może Sola?

– Nie, odkąd dostałem tej migreny. Dlaczego pytasz?

– Kiedy wychodziłem do pracy, on właśnie wracał do domu. Wyglądał, jakby ktoś go pobił. Nie chciał nic powiedzieć, kazał mi cię w to nie mieszać. Niczego nie obiecywałem.

Noah przyśpieszył.

– Bardzo?

– Nie widziałem nic poważnego. Zakrwawiony nos, podbite oko. Dał radę doczłapać do domu, więc nie mogło być tak źle, ale chciałem, żebyś wiedział.

– Jasne. Zadzwonię do niego.

– Ode mnie nie odbierał – uprzedził Dan. – Przed chwilą wybrałem najpierw jego numer, a potem stacjonarny naszego mieszkania. Jeśli tam jest, ignoruje dzwonek.

– Dobra. Postaram się go jakoś namierzyć. Dzięki.

Noah zadzwonił na komórkę Sola i zgłosiła się poczta głosowa. Rozłączył się i spróbował jeszcze stacjonarnego, ale i tutaj bez powodzenia. Cokolwiek planował Sol, ewidentnie nie zamierzał z nikim rozmawiać. *Cholera*.

Noah poczuł znajome ukłucie paniki. Martwienie się o Sola było dla niego nieodłącznym elementem okresu dorastania. Od tamtej pory nauczył się dystansować od młodszego brata, jednak ten głos, który usłyszał dwa dni wcześniej w mieszkaniu, te groźby pod adresem Sola...

W ich życiu było pełno takich ludzi jeszcze w czasach, kiedy Sol trzymał się z gangiem z osiedla mieszkań socjalnych i nieustannie wpadał w kłopoty. Noże,

drugi, nawet amatorska przestępcza ochrona. Ostatnio wydawało się, że Sol próbuje wszystko wyprostować, jednak to mogły być tylko pobożne życzenia Noaha. A może chłopak ma problemy z uwolnieniem się od tego światka. Kiedy się wpadnie w złe towarzystwo, trudno się go pozbyć. To samo dotyczy gangu na Garrett: Abi i jej koleżanki zaproszały ogień, terroryzowały starszki. Kiedy się już wkroczy na tę ścieżkę, nie da się z niej zejść, nie tracąc przy tym przyjaciół i twarzy. Wszystkie te harde spojrzenia tego ranka...

Abi i jej koleżanki to jeszcze dzieci. A jednak nawet martwa nastolatka ich nie poruszyła, okazywały jedynie zwykłą ciekawość i pewną makabryczną wrogość.

Każda z nich mogłaby być następna. Czy zdawały sobie z tego sprawę?

Czy właśnie dlatego nie chciały okazywać strachu? Nie chciały się chować za zamkniętymi drzwiami mieszkań?

Dlatego przesiadywały na podwórzu, w szkolnych mundurkach, udając dorosłe...

Rzucając wyzwanie – nawet zabójcy – by tylko spróbował do nich podejść.

– ONA ZAWSZE BYŁA taka obca. Nawet jako małeństwo. Tak naprawdę nigdy jej... nie rozpoznawałam. Winiłam się za to, podejrzewałam depresję poporodową, bo ciągle się zastanawiałam, kim jest to dziecko i skąd się wzięło. Nie przypominała ani mnie, ani moich sióstr, ani nikogo mi znanego. Może wdała się w ojca. Właściwie go nie znałam, nie tak, jak powinno się znać ojca swojego dziecka. A zmył się, zanim mała się urodziła. Utknęłam w domu z tą obcą osobą, a ona... nigdy mnie nie lubiła, płakała, kiedy się do niej zbliżałam, nienawidziła trzymania na rękach i przytulania. Nienawidziła po prostu mnie. Byłyśmy sobie obce. – Helen Collier wreszcie zamilkła, stojąc z suchymi oczami nad ciałem córki. Zdumiona. Jakby Ashleigh umierając, znowu dokonała czegoś niesłychanego. – Próbowałam ją kochać, ale ona mi to uniemożliwiała. Nie pozwalała nawet się *lubić* ani się sobą opiekować. Nie chciała, żebym nauczyła ją wiązać buty, a później jak się malować. Czego bym nie robiła, czego bym nie *próbowała* zrobić, odpychała mnie.

Ojczym Ashleigh objął żonę ramieniem. Przystojny, jasnowłosy mężczyzna o twarzy wyrażającej nadzieję i troskę. Helen była pulchną kobietą o przemijającej urodzie, ubraną w workowatą sukienkę; Marnie potrafiła wyobrazić ją sobie z dzieckiem w ramionach. Nie z Ashleigh, lecz synkiem, Jolyonem, chorowitym chłopcem, który od czasu zaginięcia siostry ciągle wracał do szpitala.

– Potrafią państwo powiedzieć, gdzie Ashleigh mogła przebywać przez ostatnie dwa miesiące?

– Niestety nie. – Robin Collier pokręcił głową.
– Mogła szukać towarzystwa innych nastolatek, które uciekły z domu?
– Ashleigh nie lubiła towarzystwa. – Helen zamrugła, patrząc na ciało córki. – A już w szczególności innych dziewczyn.
– Spotykała się z jakimś chłopakiem?
– Nie wtedy, gdy jeszcze mieszkała z nami. Znała jakichś chłopaków, jednak nie przepadała za nimi, zawsze to powtarzała. – Twarz Helen drżała. – Nie została zgwałcona. Przynajmniej tego jej oszczędził.

Marnie poczekała chwilę z zadaniem kolejnego pytania.

– W ośrodku powiedziano nam, że Ashleigh często korzystała z komórki. Ciągle wysyłała SMS-y albo z kimś rozmawiała.

– Nie znamy nikogo takiego. Do nas nigdy nie dzwoniła, nigdy też nie odbierała, gdy to my dzwoniłszy do niej.

– Nie kontaktowała się z nami od narodzin Jolyona – dodał Robin.

– A co z nim?

– W tej chwili lepiej. Cieszymy się z każdego wspólnego dnia. – Przyciągnął żonę bliżej. – Bardzo żałujemy, że nie zdołaliśmy pomóc Ashleigh, niemniej Helen ma rację. Nie pozwoliła nam na to. Z tego, co się orientujemy, nie pozwalała nikomu.

– A ojciec biologiczny? Odzywał się do niej?

Helen pokręciła głową.

– Nawet nie wiem, jak się z nim skontaktować. Przestaliśmy rozmawiać wiele lat temu.

– Kolejna osoba, której Ashleigh nie chciała znać. – Robin wydawał się smutny. – Chyba czuła się przez niego porzucona, ale to niejedyny powód. Dziewczyna była niezwykle niezależna, chciała jak najszybciej dorosnąć i się usamodzielnąć. My po prostu... nie potrafiliśmy do niej dotrzeć.

Marnie milczała przez chwilę, czekając, aż któreś z Collierów powie coś więcej, lecz oni tylko stali i patrzyli na obcą dziewczynę, która kiedyś uciekła z ich domu, a teraz nie żyła.

Wreszcie ciszę przerwała Helen.

– Możemy już iść? To ona, potwierdzamy, że to ona. Tylko tego potrzebujecie, prawda? – Zerknęła na zegarek. – Obiecaliśmy mamie, że wrócimy, żeby powiedzieć Jolyonowi dobranoc.

Marnie uściśnęła im ręce przy wyjściu z kostnicy.

– Dziękuję jeszcze raz. Bardzo mi przykro.

– Z powodu naszej straty – powiedziała odruchowo Helen. – To znaczy... Jej śmierć jest okropna, oczywiście. Wolałabym, żeby żyła. Chciałabym, żeby była

szczęśliwa. – Wytarła suche oczy. – Mam nadzieję, że uda wam się złapać jej zabójcę. Ashleigh nie zasłużyła na taki koniec.

– Jeszcze jedno. – Robin zmarszczył brwi. – Dziewczyna była cwana. Nikomu nie ufała, a już na pewno nie obcym. Ktokolwiek jej to zrobił, musi być albo bardzo inteligentny, albo bardzo szybki. Nie wierzę, by porwał ją przypadkowy gość. Ashleigh była strasznie cynicznym dzieckiem, ostatnią osobą na świecie, którą spodziewałbym się zobaczyć w takich okolicznościach. Ale to jednak tylko dzieciak. Udawała, że jest inaczej, ale była tylko dzieckiem. – Jego oczy zmatowiały, znowu otoczył żonę ramieniem. – Biedactwo.

– Dziękuję – Helen zwróciła się do Marnie – że tak o nią zadbaliście. Bałam się ją zobaczyć. Myślałam, że będzie wyglądać dużo gorzej. Jej skóra była ciągle... taka czerwona. Za dużo się malowała, co tylko pogarszało sprawę. A tutaj znowu wyglądała jak mała dziewczynka. – Jej usta wykrzywiły się w nierównym uśmiechu. – Dziękuję za to.

Marnie pokiwała głową, ale pomyślała: *To nie nam powinnaś dziękować.*
Tylko zabójcy.

– Czyli Ashleigh to żadna May Beswick. – Ron przyglądał się szkicom na tablicy, tym, które Welland nazwał pornografią. – Chociaż wygląda na to, że May też nie była taką znowu dobrą dziewczynką.

– Bo miała talent? – zapytał Noah.

– Tu nie chodzi o to, *jak* rysowała, ale *co*. Nie chciałbym, żeby moje dzieci zaczęły tworzyć takie obrazki. Założę się, że rodzice dostali ataku serca, kiedy znaleźli te szkice.

– Młodsza siostra je znalazła – odparł krótko Noah. Trzymał ręce w kieszeniach, schował głowę między ramionami.

Marnie patrzyła na niego, zastanawiając się, co go zdenerwowało. A może ciągle myślał o Beswickach? Tak jak ona? O żałobie i poczuciu winy, i o wszystkim, co między nimi.

– Ashleigh wiedziała, jak o siebie zadbać – powiedziała zespołowi. – May z kolei umiała omijać niebezpieczne miejsca po zmroku. Żadna z nich nie byłaby łatwym łupem dla porywaczy. Więc jak trafiły pod skrzydła naszego zabójcy? Fran nie dopatrzyła się śladów, które świadczyłyby o używaniu siły. Wszystko wskazuje na to, że poszły z nim z własnej woli. Mieszkały z nim, jadły jego jedzenie, spały pod jego dachem. Dlaczego? Jak udało mu się je namówić?

– Sugerujesz, że może być przystojny? – Ron pociągnął nosem. – Albo bogaty? Jeśli ma drogi samochód...

– A co takiego miały one, co pociągało *jego*? – zapytał Noah. – Nic ich nie łączyło. Różne pochodzenie, różne osobowości, nawet fizycznie nie były do siebie podobne.

– Kręciły się po tej samej stacji metra. Może to aż tak proste. Zobaczył je razem, więc zabrał je razem. A ponieważ były we dwie, czuły się bezpieczne... Musimy znaleźć tę stację. O ile w ogóle istnieje.

– Istnieje. Rents to grafficiarz ze Stockwell. Otagował wiele miejsc w południowym Londynie. Będzie wiedział, gdzie jest ta stacja. Musimy go tylko znaleźć.

– A jak idą poszukiwania? – zapytała Marnie.

– Dan dał mi numer telefonu. Nagrałem kilka wiadomości. Wciąż czekam, aż facet oddzwoni. Policja transportowa ma go w swojej bazie, ale bez nazwiska i adresu. Otagował kilka ich pociągów w zeszłym roku. Nie udało im się go złapać i dali nam do zrozumienia, że nam też się to nie uda. Powiedziałem, że będziemy ich informować na bieżąco.

Marnie spojrzała na Colina.

– Ile jeszcze czasu potrzebujemy na listy osób z dostępem do elektrowni?

– Do tej pory udało nam się wyeliminować trzynaście osób, ze względu na nieodpowiedni profil albo alibi na dzień, w którym zginęła May. Kilka zwróciło naszą uwagę, więc przyglądamy im się bliżej. Jeden to ochroniarz pracujący na zmiany, tak jak Jamie Ledger. Odsiedział wyrok za napaść na Litwie. Tamtego dnia nie było go w pracy, ale staramy się zbadać dokładniej każdego, kto mógł wziąć łapówkę.

– Niech wyląduje na tablicy.

Marnie podała Colinowi flamaster, a on napisał: *Romek Malis*.

– Co to za napaść na Litwie?

– Przemoc w rodzinie. Pracujemy nad zdobyciem szczegółów.

– Żadna z dziewczyn nie miała śladów przetrzymywania siłą. – Noah podszedł do zdjęć Ashleigh i May. – Czyli co? Identyfikacja z agresorem?

– Mów po ludzku – rzucił Ron. Był zmęczony. Jak wszyscy.

– Dwie inteligentne dziewczyny nie opierały się szaleńcowi, który w końcu je udusił. Nie musiały ich wiązać, nie walczyły z nim. Dlaczego? Ufały mu. Może go nawet lubiły. A może wręcz przeciwnie, bały się go i wiedziały, że muszą go słuchać, żeby przetrwać. Robiły wszystko, co zechciał. Życie w strachu może się wydawać bezpieczne. W takim stanie od nowa konstruujesz pojęcie tego, co racjonalne, a co nie. Nawet jeśli te dziewczyny zostały zupełnie zdominowane przez źródło swojego lęku, bardzo możliwe, że czuły się bezpieczne. On ich nie porwał, same zdecydowały, że z nim pójdą. Takie osoby żyją w innej rzeczywistości. Dopiero kiedy wycofają się za tę niewidzialną granicę, rozumieją, jaka jest prawda. Może dlatego dziewczyna z wypadku wyglądała na dezorientowaną. Może wcześniej ratowała skórę, będąc posłuszną.

– Ashleigh nie wydawała się typem posłusznej dziewczynki – powiedziała Marnie. – Jej ojczym uważa, że musimy szukać kogoś inteligentnego i szybkiego.

Trzy zaginione dziewczyny w trzy dni, dwie z nich znajdujemy martwe. Szybki jest na pewno. Dlatego i my musimy zwiększyć tempo. Znajdźmy stację metra z rysunku May i dziewczynę z wypadku. Kiwnęła głową na Noaha. – Mogę cię prosić?

Noah ruszył śladem Marnie i wyszli razem z budynku na parking. Deszcz przestał padać, słońce leżało w kałuży jak śmieć.

– Coś cię trapi. – Marnie otworzyła samochód. – Opowiesz mi o tym?

– Sol ma kłopoty. – Noah usiadł na fotelu pasażera. – Dan widział go dzisiaj rano z zakrwawionym nosem. Muszę z nim dzisiaj porozmawiać. – Zapiął pasy. – Gdzie jedziemy?

– Z powrotem na Battersea. – Marnie uruchomiła silnik. – Chcę jeszcze raz spojrzeć na miejsce zbrodni. I pogadać z Romkiem Malisem. Masz coś nowego o Beswickach?

– Auto Katriny znajdowało się na York Road pół godziny przed tym, jak odnaleziono ciało May. – Drgnął mu mięsień w policzku. – Tamtędy wraca z pracy do domu. Każdego dnia tak samo, więc równie dobrze może to nic nie znaczyć.

A może to dłonie Seana Beswicka wycisnęły resztki życia z córki, Katrina zaś pomogła po wszystkich posprzątać. Marnie, podobnie jak Noah, chciała pozbyć się tej wizji z głowy. Prowadziła samochód w ciszy, dopóki nie wjechali między inne auta.

– Seanowi omal się coś nie wymknęło, kiedy zadzwonił do nas, żeby poinformować o szkicowniku. Powiedział wtedy: „Nie wiedzieliśmy, naprawdę. Loz mówi... ale my nie. Ja i Kat”. Ciekawe, co takiego powiedziała im wtedy Loz. Myślę, że dla niej te szkice nie były żadnym zaskoczeniem. Może sama schowała je w swoim pokoju, żeby pomóc May albo kiedy jej siostra już zaginęła, ponieważ nie chciała, żebyśmy je znaleźli.

– Loz chce dopaść zabójcę. Nie ukryłaby niczego, co by mogło nam pomóc.

– Celowo nie, ale mogła nie mieć pojęcia, jak ważne są te rysunki.

Ich strach o Loz zmaterializował się i zajął miejsce w samochodzie jako kolejny pasażer.

Po chwili odezwał się Noah:

– Nie potrafię wyobrazić sobie ich razem. May i Ashleigh. Coś mi tu nie pasuje. Niemniej wiemy, że znajdowały się w tym samym miejscu, nie tyle z rysunków May, co na podstawie tego, czym się żywiły. Solona ryba i soczewica, zdaniem Fran pełne konserwantów. Może zabójca zabunkrował się z nimi w jakiejś kryjówce. W jakimś ultrabezpiecznym miejscu. Bez dostępu do sklepów, bez potrzeby wychodzenia na zewnątrz. Dziwi mnie ten mundurek. Ashleigh nie chodziła do szkoły, więc skąd to ubranie? Mamy do czynienia z kimś ogarniętym

obsesją kontroli.

– Przyciąga dziewczyny, których nikt nie pilnował. Coś musiało mu odpowiadać w Ashleigh Jewell i May Beswick. I w tej zaginionej. Może też w innych...

– I może nie tylko u dziewczyn – zauważył Noah. – Po ulicach kręci się mnóstwo bezdomnych chłopców. Zakładamy, że nie porwał żadnego, jeśli jednak jego działania nie mają podtekstu seksualnego i celem jest wyłącznie sprawowanie kontroli, mógł zabierać także chłopców.

Dotarli przed elektrownię. Marnie wyciągnęła legitymację przy wjeździe i zatrzymała się na parkingu. Kiedy wysiedli z samochodu, zapach rzeki wyszedł im na spotkanie.

– Ashleigh została porzucona niecałe dwa kilometry stąd. – Marnie zerknęła na telefon. – Założę się, że tę stację metra też znajdziemy w okolicy.

Noah podniósł głowę i spojrzał na kominy. Wydawało mu się, że cały Londyn został upakowany w kwadrat o dwukilometrowym boku. Mogli zapomnieć o jakiejś odległej kryjówce. Ten człowiek był gdzieś tutaj.

– On jest blisko. Czujesz go?

– Ta stacja jest niedaleko – powiedziała Marnie. – Musi być. Wiemy, że May nie zniknęła z domu na zbyt długo w ciągu ostatnich tygodni przed zaginięciem. Rysowała elektrownię, idąc do lub wracając ze szkoły. Mówimy o bardzo małej przestrzeni.

– Ciekawe, jak Loz się teraz czuje w domu. Nawet jeśli nasze złe przeczucia się nie potwierdzą, Sean i Katrina są bardzo... uprzejmi, profesjonalni. W stosunku do nas. Ciekawe, jak się zachowują jako rodzice.

Marnie nie odpowiedziała, wyprzedzając Noaha w drodze na środek placu. Zadawała sobie podobne pytania na temat własnych rodziców, po tym jak Stephen zniszczył jej rodzinę. Zastanawiała się, czy jako przybrani rodzice byli inni, może bardziej cierpliwi. Z pewnością nie dostrzegali w nim tak łatwo swoich własnych błędów, skoro nie łączyły ich więzy krwi. I Stephen – kiedy zdał sobie sprawę, że chce ich zabić? A może sam się tego nie spodziewał, dopóki to się nie stało, pod wpływem obcego mu skoku hormonów, fali gniewu?

Battersea było pełne cieni i zapachu ciętego kamienia, rozgrzanego metalu. Po lewej robotnicy coś wiercili, drgania przenikały przez ścianę, przez jej skórę, do kości. Noah popatrzył jeszcze raz na kominy.

– Wiedziałaś, że już kiedyś próbowali je zburzyć? Od środka. Wyczyścili je od środka i zauważyli, że kominy się rozchodzą. Wyściółka, warstwa toksycznego, gnijącego osadu, trzymała je w jednym kawałku. Dzięki niej zdołały przetrwać tyle lat.

– Wspominałaś, że May uwielbiała to miejsce, ale też nappełniało ją strachem. Pokiwał głową.

– Wywnioskowałem to z rysunków.

– Jeśli nasz zabójca też je widział, mogłoby to wyjaśnić, dlaczego ją tu zostawił. Zakładaliśmy, że jest zafascynowany tym miejscem, lecz to samo można powiedzieć o May. Może przyniósł ją tutaj ze względu na jej uczucia, a nie jego.

– Bo się bała?

– I była zakochana. Kochała to miejsce, ale się go bała. *Zupełnie jak życie*, pomyślała Marnie, *dla nastolatki*.

– Ze strachem trzeba się zaprzyjaźnić. – Noah wpatrywał się w niewidzące oko kamery. – Mój ojciec ciągle to powtarzał.

– W związku z czym?

– Ogólnie, z życiem. Z wychowywaniem się w takim miejscu jak Garrett, trzymaniem się z dala od kłopotów. W związku z akceptowaniem naszych ograniczeń, godzeniem się z tym, kim jesteśmy, a kim nigdy nie będziemy. To był chyba wykład o tożsamości.

Czy jego brat, Sol, potraktował te słowa poważnie? Wychowywali się w tym samym miejscu, jednak każdy poszedł w swoją stronę. Noah znalazł się w policji, a Sol ruszył w przeciwnym kierunku. Więzi rodzinne są kruche. Zabójca to wykorzystał, wybierając nastolatki, które nie potrafiły żyć w domu, a potem uczynił z nich innych ludzi, z powrotem zrobił z nich dzieci. Ashleigh zmienił tak, że nie poznali jej rodzice.

Penthouse został opieczętowany.

– Państwo z policji? – Przyszła za nimi kobieta w obcisłym granatowym kostiumie. Przed czterdziestką, chuda jak szkapa, z szeroką twarzą, nieświeżym makijażem i butami na obcasach wytartych przez żwir. – Są jakieś wieści?

Marnie pokazała jej legitymację.

– A pani...?

– Toni Shephard, pracuję w marketingu. Udało się ustalić coś nowego? – Jej wzrok powędrował na łóżko, gdzie na pościeli zostały ślady po zdjęciu ciała May.

– Coś pozytywnego?

– Chcielibyśmy porozmawiać z ochroniarzami. Nie wszyscy mieli akurat zmianę, kiedy przeprowadzaliśmy pierwsze przesłuchania. Czy Romek Malis dzisiaj pracuje?

– Muszą to państwo sprawdzić u menadżera terenu. – Odsunęła się od znacznika techników, napinając łydki. – Miałam nadzieję, że będą państwo w stanie mi powiedzieć, kiedy będziemy mogli wpuścić tutaj ekipę sprzątaczy i przygotować mieszkanie do pokazywania. Rosną nam zaległości.

Przygotować do pokazywania.

– Ma pani na myśli ludzi, którzy zapisali się na oglądanie apartamentu już po tym, jak znaleziono ciało?

– Wiem, o czym pani myśli, ale zaręczam, że to nie ghule. – Posłała im

uśmiech. – Bardzo starannie wybieramy sobie ludzi, których wpuszczamy do środka.

– W jaki sposób? – zapytał Noah – Sprawdzacie, czy stać ich na kupno tego, co oferujecie? Czy może upewniacie się, że nie są ghulami? W jaki sposób sprawdzić coś takiego?

Toni przesunęła wzrok na niego, uśmiechając się odruchowo tak, jak wszystkie kobiety na widok Noaha.

– Tak się składa, że to pierwsze. Oczywiście nie wyklucza to innej motywacji, choć wątpię, by ktoś interesujący się zakupem mieszkania marnował swój albo nasz czas, żeby zobaczyć miejsce zbrodni. Jest mnóstwo tańszych miejsc do odwiedzenia, gdyby mieli taką ochotę.

Rozdzwonił się telefon Marnie, więc odwróciła się, żeby odebrać.

– Słucham?

– Jesteście teraz na Battersea? – Dzwonił Colin Pitcher. – Ron powiedział, że chciałaś porozmawiać z Romkiem Malisem.

– Tak, jesteśmy przed miejscem zbrodni. Co dla mnie masz?

– Rozmawiałem z facetem z tego przyjęcia dla dziennikarzy, Markiem Amosem, który organizuje eventy dla miejscowej fundacji. Jeden z ochroniarzy zaproponował, że oprowadzi go po budynku, pokaże to, czego nie pokazują oficjalnie. Amos odmówił, bo nie miał przy sobie tyle pieniędzy, ile tamten chciał za tę wycieczkę. Ale kusilo go, z czystej ciekawości. Ochroniarz obiecał, że pokaże wszystkie miejsca, gdzie właściciele poszli na skróty, zasugerował, że dzieją się tu różne szemrane interesy. Amos dziwił się, że żaden z dziennikarzy nie skorzystał z oferty. Wszyscy mieli dosyć wciskanego im na każdym kroku kytu, szukali dziur.

– Dostałeś nazwisko? – Marnie odsunęła się dalej od Toni Shephard, która nadstawiała uszu, żeby zrozumieć, o czym mówi Colin. – Czy to Romek Malis?

– Nazwiska nie, tylko opis. Trzydzieści lat, ogolona głowa, twardy kołes. Tatuaze na palcach. Jeden z nich przedstawiał jakiegoś ptaka.

– Jastrzębia. – Marnie odwróciła się, by spojrzeć na Noaha i zwrócić na siebie jego uwagę. – Ten ochroniarz to Jamie Ledger.

– Ledger jest na mojej liście – powiedział Colin. – Spisaliśmy jego zeznanie. Podać ci adres i numer telefonu?

– Wyślij mi SMS-em. Sprawdzę, czy dzisiaj pracuje. Dzięki za wszystko, zadzwonię później.

– Coś nowego? – zapytała Toni, próbując wyczytać coś z wyrazu twarzy Marnie.

– Proszę trzymać się z dala od tego pokoju i zamykać go na klucz. Noah?

W pomieszczeniu ochrony dwóch mężczyzn właśnie piło herbatę

z termosów. Obaj wydawali się znudzeni, kiedy Marnie pokazała swoją legitymację. Żaden z nich nie był Jamiem Ledgerem ani Romkiem Malisem.

– Romek robi nocami. Ledger'a nie widziałem od kilku dni.

Drugi mężczyzna się z nim zgodził.

– Wczoraj nie przyszedł na swoją zmianę. Nie w jego stylu, ale dzięki temu dostałem trochę nadgodzin, więc... – Wzruszył ramionami.

– Mogę zobaczyć grafik?

– Proszę bardzo. – Kiwnął głową na plik kartek spiętych klamrą i poplamionych herbatą.

Podpisy, godziny wejścia i wyjścia, miejscami nieczytelne. „J. Ledger” zostało wydrukowane przy zmianach poprzedniego dnia, jednak brakowało przy nich podpisu. Wcześniej tego samego tygodnia wpisywał się przy kilku zmianach, w tym także tej, w czasie której odkrył ciało May.

– Istnieje wersja elektroniczna? – zapytała.

– Zapytaj Aarona, on tu jest szefem.

– Gdzie go znajdę?

– Od strony rzeki. – Znowu szarpnięcie podbródkiem. – Odbiera przesyłki.

– Ledger powinien przyjść na zmianę po południu. O której godzinie się go spodziewacie?

– W każdej chwili. Je tutaj lunch i idzie do sracza przed robotą.

W głosie mężczyzny było coś takiego, że Marnie zadała jeszcze jedno pytanie.

– Jego zachowanie jest niezwykle?

– Myje się tutaj i nosi swoje rzeczy w torbach, jakby go baba z domu wywalila.

– A wywalila?

Wzruszenie ramion.

– Nie chce o tym mówić. W ogóle mało mówi. Taki już jest.

Brygadzysta, Aaron Buxton, powiedział im coś podobnego. Przy okazji trochę ponarzekał.

– Wystawił nas i mieliśmy przez to kłopoty. Zwiększyliśmy liczbę patroli, tak jak obiecaliśmy. Potrzebujemy go tutaj.

Na brzegu właśnie rozładowywano barkę przewożącą pustaki. Twarz Bruxtona błyszczała od potu. Miał na sobie garnitur, plastikowy kask i buty z wzmacnianymi metalem czubkami. Był niskim i przysadzistym mężczyzną, lecz dłonie miał szczupłe, niemal kobiece.

– Zgłosił, że jest chory? – zapytał Noah.

– Nie, nawet słowem się nie odezwał, tylko zszedł ze zmiany po tym, jak

skończyliście go przesłuchiwać, i już nie wrócił. Chciałem to zgłosić górze, gdyby i dzisiaj się nie pojawił, ale może jeszcze przyjdzie.

– Ma pan jego numer telefonu?

– W papierach, jasne.

– Dzwonił pan do niego, kiedy opuścił swoją zmianę wczoraj?

– Ja nie, bo mam ręce pełne roboty. Ale agencja na pewno go ściagała.

– W takim razie potrzebujemy numeru do agencji.

Buxton wyciągnął telefon i zaczął kciukiem przesuwając zapisane kontakty.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – Spojrzał na legitymację, przerzucając ciężar ciała na drugą nogę, trochę nerwowo. Białka oczu miał żółtawe, jak u alkoholika. – Niestety, jesteśmy w tyle z robotą.

– Poczekamy – powiedziała Marnie – i zobaczymy, czy Jamie Ledger pojawi się w pracy. Chciałabym dostać też kontakt do innego ochroniarza, Romka Malisa.

– Agencja... – Coś zdawało się odwracać uwagę Buxtona. – Oni będą mieli szczegóły. Na Malisie przynajmniej można polegać. Pracuje na nocki, żadnej zmiany jeszcze nie opuścił. – Wsunął komórkę z powrotem do kieszeni. – W sumie do tej pory Ledger też nie. – Wbił wzrok w Marnie i Noaha, jakby to oni byli powodem nagłych braków kadrowych. – Po czymś takim ludzie robią się nerwowi. Nie spodziewałem się tego po Ledgerze, w końcu służył w wojsku, więc takie widoki nie powinny go wzruszać. Poza tym najbardziej ze wszystkich potrzebował pracy. Dobrze, że agencja ma mnóstwo nazwisk w swoich papierach. Lubię Ledgera, ale nie możemy trzymać dla niego wakatu. Trzeba nam ludzi, którym można zaufać, takich jak Malis.

– Dlaczego akurat Ledger potrzebował pracy bardziej niż pozostali?

– Bo mieszka w hostelu i próbuje stanąć na nogi. Sam mówił, że ta praca dobrze mu robi. Ale nie możemy zatrudniać ludzi, którzy nie przychodzą, kiedy powinni. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy taką ochronę i jeszcze zaległości. – Kiwnął głową na barkę. – Przepraszam, jestem potrzebny. Muszę podpisać różne rzeczy. Jakby co, proszę do mnie dzwonić. – Podał numer telefonu, który Noah wpisał do swojej komórki. – Miejmy nadzieję, że Ledger jednak pojawi się w pracy.

Marnie i Noah czekali kolejne dwadzieścia minut, aż stało się jasne, że Ledger znowu opuścił swoją zmianę. Zostawili wiadomość w agencji i spodziewali się telefonu od kobiety, która próbowała namierzyć Ledgera po tym, jak pierwszy raz nie przyszedł do pracy. Numer, który podał w czasie rozmowy z policją, nie odpowiadał.

– Zmył się. Nie uważasz? – Noah podniósł kołnierz płaszcza, żeby chronić się przed wiatrem wiejącym od rzeki. – Znalazł ciało i kazaliśmy mu zostać z nami w kontakcie. Ale on zwiął.

– Poczekajmy w samochodzie – rzuciła Marnie i ruszyła do auta.

Noah poszedł za nią.

– Rozmawiałaś z nim tego pierwszego dnia. Coś zwróciło twoją uwagę?

– Nic nie sugerowało, że mógłby uciec ani że miałby ku temu powód – odparła napiętym głosem.

Noahowi przyszło do głowy, że Marnie musiała robić sobie wyrzuty. Wiedział jednak, że jego szefowa nie puściłaby Ledgera, gdyby istniało choć najmniejsze podejrzenie, że mógłby być zabójcą.

Kiedy dotarli do auta, odezwał się jej telefon.

– Słucham. Tak, zgadza się... Rozumiem. Może mi pani powiedzieć, na jaki numer pani dzwoniła? – Otworzyła drzwi i wsiadła. – Dziękuję, a jaki adres ma pani zapisany? Nie, śmiało. Stockwell. Tak, mam. Nie, nie przyszedł do pracy. Tak, jestem pewna, że pan Buxton się odezwie. Dziękuję.

Rozłączyła się i uruchomiła silnik.

– Nie udało im się skontaktować z Ledgerem. Mają ten sam numer, który podał nam. Adres też. Paradise House w Stockwell.

– Hostel dla bezdomnych? – zapytał Noah.

– Przekonajmy się.

PARADISE HOUSE OKAZAŁ się przerobioną na hostel dla bezdomnych papiernią z wąskimi oknami, których było zbyt wiele, by mogły zapewniać mieszkańcom prywatność, a do tego pokrywała je gruba warstwa miejskiego brudu. Takiego miejsca Marnie nie chciałyby nazywać domem.

Noah musiał czuć to samo, bo gdy wysiedli z samochodu, rzucił tylko „Chryste”.

Marnie nacisnęła przycisk domofonu i pokazała swoją legitymację do obiektu kamery, na wypadek gdyby urządzenie nie było tak martwe, na jakie wyglądało. Po ośmiu sekundach otworzyły się drzwi i mogli wejść do środka.

Pleśń, ona pierwsza zwróciła ich uwagę. Na suficie czaiły się zielone i czarne plamy, na płytkach podłogi podobnie. W powietrzu unosiły się zarodniki. Płucom Marnie się to nie podobało. Gdzieś pod tą wilgocią dało się wyczuć suchy zapach celulozowej pulpy, jeszcze z czasów, kiedy zamiast ludzi mieszkały tu sterty papieru.

Na końcu korytarza z trzaskiem otworzyły się drzwi i zza nich wymaszerowała kobieta. Jasne włosy zaplecione we francuski warkocz, granatowy kostium, szpilki. Posłała Marnie i Noahowi uśmiech, lecz nie zatrzymała się i za chwilę wyszła z budynku przez drzwi frontowe, znikając na ulicy. W pierwszej chwili Marnie uznała ją za pracownicę, jednak najwyraźniej była to lokatorka. Wydał ją uśmiech: ukruszona jedynka i zbyt dużo miętowego odświeżacza do ust. Ilu jeszcze lokatorów mogłoby udawać zwyczajnych pracowników? Jamie Ledger

nabrał Marnie, kiedy rozmawiali w dniu śmierci May. Palił wyluzowany, taksował ją wzrokiem jak towar. Nie miała pojęcia, że jest bezdomny. Nie miał ukruszonej jedyńki ani śmierzącego oddechu.

– Mogę w czymś pomóc? – W ich stronę szedł mężczyzna koło pięćdziesiątki, z wyćwiczonym wyrazem twarzy, która wyrażała coś na kształt chęci niesienia pomocy. Niski i szeroki w biodrach, brudny blond na głowie, mięsiste policzki i usta. Ubrany w zieloną puchową kamizelkę, czerwoną koszulę, rozjaśnione džinsy, buty sportowe. Na wiszącym na smyczy identyfikatorze napisano tylko „obsługa”.

Marnie pokazała swoją legitymację, przedstawiła Noaha, a potem zapytała, czy mogliby porozmawiać na osobności. Wyraz twarzy mężczyzny się nie zmienił.

– O kogo chodzi? O Arkinstalla? – Poprowadził ich do biura. – Nie było go tu od dwóch dni. Zgłosiliśmy to jego kuratorowi.

– Tak? – Marnie czekała, chcąc sprawdzić, co jeszcze powie mężczyzna.

Biuro okazało się małe, śmierzące tak samo jak reszta budynku, z czarną plamą na suficie. Regały z szufladami na dokumenty zamykanymi na zasuwki, biurko z komputerem i drucianym stojakiem na pocztę, plastikowe pomarańczowe krzeselka z podartymi poduszkami, wyżarty przez mole dywan koloru żółci. Mężczyzna usiadł za biurkiem, dając znak gościom, by zajęli dwa pozostałe miejsca. – Lokatorzy razem z umową o wynajem podpisują listę zasad panujących w hostelu. Istnieją one z ważnych powodów, nie dla naszej rozrywki.

– Jaką zasadę złamał Arkinstall?

– Zakaz palenia wszędzie prócz ich własnych pokoi. – Pokazał palcem na miejsce, gdzie obok plakatu reklamującego grupę wsparcia dla uzależnionych wisiał zalaminowany regulamin.

Mężczyzna sam go zalaminował? Może to z miłości.

– Ile macie tu pokoi? – zapytał Noah.

– Trzyście dla mężczyzn. Siedem dla kobiet. – Pierwszy przebłysk emocji na twarzy mężczyzny. Pogarda czy tylko dyskomfort? – Oczywiście oddzielone.

– Wyobrażam sobie, że to trudne.

– Arkinstall tak nie uważał. Dlatego tu jesteście, prawda?

– Przepraszam, a pan się nazywa...?

– Welch.

– Panie Welch, chcielibyśmy porozmawiać z jednym z lokatorów. Jamiem Ledgerem.

Otworzył szeroko oczy.

– Z Ledgerem? To przez niego ta wizyta?

– Dziwi to pana?

– Jeśli wpadł w kłopoty. Nie spodziewałem się, że akurat on coś nawywija.

– Często go pan widywał? Dość, by wyrobić sobie na jego temat opinię?

Welch podrapał się po policzku.

– Był cichy, stosował się do zasad. Nieczęsto się tu kręcił, ale to akurat dobry znak, ogólnie mówiąc.

– Jest teraz tutaj?

– Może. Nie każemy lokatorom wpisywać się przy każdym wyjściu i wejściu, chyba że są na zwolnieniu warunkowym. – Ani cienia zainteresowania na jego twarzy. Najwyraźniej zupełnie go nie ciekawiło, dlaczego policja chce się zobaczyć z Ledgerem.

– Ilu macie pracowników? – zapytała Marnie.

– Co najmniej dwóch, do tego stróż w nocy.

– Mógłby nas pan zaprowadzić do pokoju Ledgera? Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Welch sięgnął po pęk kluczy na numerowanym breloku i poprowadził ich na korytarz, gdzie grzyb udał się na spacer. Marnie zobaczyła, że Noah się krzywi.

– Macie tu problem z wilgocią – powiedziała do Welcha.

Nie zaprzeczał, zacytował tylko regulamin:

– To miejsce ma służyć jedynie tymczasowo, jako krok ku powrotowi do społeczeństwa. Celem zawsze jest życie na własną rękę. – Jakby wilgoć robiła lokatorom przysługę, zniechęcając ich do zostania tu na dłużej.

Pokój Ledgera był zamknięty na klucz.

Welch zapukał, poczekał, zapukał jeszcze raz. A potem zawołał „wchodzę!” i otworzył drzwi, pchnął je szeroko, rozprostowując do końca rękę, jednocześnie nie ruszając stóp z korytarza. Kolejna zasada? Welch chronił prywatność Ledgera czy spodziewał się kłopotów?

Pokój okazał się pusty. Cienkie zasłony zasunięte, mały stolik i pojedyncze łóżko zaścielone jak w wojsku. Brak szafy, nawet małej szafki. Dziury w listwach przy podłodze załatano gipsem i kawałkami surowego drewna. Z sufitu zwisała czerwona żarówka. Brakowało klosza, tylko goła żarówka na czarnym kablu. Marnie wyobraziła sobie, jak leży na łóżku – zapadniętej, poplamionej kanapie – i próbuje czytać w pokoju oświetlonym na czerwono i wilgotnym tak, że ze ścian odkleja się tapeta. Nie dałaby rady. Przypomniała sobie, jak sprawnie Ledger skręcał papierosy, spalając każdego do ostatka. Stał prosto, ze ściągniętymi łopatkami, taksując ją spojrzeniem. Dokładny, porządny. Z pewnością sypiał już w gorszych miejscach niż to, ale czy z wyboru?

Zapomniałem już, jakim piekłem bywa Londyn.

Jak się musiał czuć z tym, że musi nazywać to miejsce domem? Że musi meldować się razem z narkomanami i przestępcami? Jak się czuł z tą obojętnością Welcha, z tym regulaminem obdzierającym ich z tożsamości, z tą listą zasad do przestrzegania w czerwonym świetle żarówki i pośród odłóżającej tapety? Nie miał nad tym żadnej kontroli, chociaż wcześniej jego życie kręciło się właśnie wokół

kontroli, rutyny, rozkazów. Zostały z tego tylko zasady Welcha, zakaz palenia wszędzie prócz własnego pokoju.

Ledger tu nie palił. Ani śladu tytoniu, kawałków bibulek. Niczego.

Marnie nie spodziewała się go tu znaleźć, niemniej miała nadzieję na jakąś wskazówkę, która by ich na niego naprowadziła. Niestety zabrakło im szczęścia.

– Przyjaźnił się z którymś z lokatorów? Czy ktoś tutaj mógłby wiedzieć, gdzie się podział?

– Nigdy nie widziałem, żeby z kimś rozmawiał. Proszę pamiętać, że jego przez większość czasu tutaj nie ma. Wchodzi i wychodzi, trzyma się na uboczu, dobrze wie, że tutaj lepiej się nie zadomawiać. – Z tonu Welcha można było wywnioskować, że chciałby widzieć taką postawę u wszystkich lokatorów. – Czasami rozmawiał z wolontariuszami.

– Dużo ich tutaj macie? – zapytał Noah.

– Całkiem sporo. Mogę dać wam listę, jeśli chcecie.

– Dzięki, przyda się. Będziemy też potrzebować wszystkich danych o Ledgerze. Najbliższa rodzina i tak dalej.

Welch pokiwał głową. Nawet teraz nie zadawał żadnych pytań, jego twarz pozostawała beznamiętną maską, którą zobaczyli tuż po przekroczeniu progu. Może to była konieczność. Jego kamuflaż w obronie przed zażyłością, współczuciem albo agresją – każde z tych uczuć mogłoby uczynić jego pracę trudniejszą, bardziej ludzką.

– Przez większość czasu go tu nie ma – powtórzyła Marnie. – Co pan ma na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Pojawia się na dość długo, by było wiadomo, że potrzebuje pokoju, ale żyje gdzieś indziej.

– Gdzie?

– Nie mam pojęcia. – Welch wydawał się zaskoczony tym pytaniem, lecz nie był ciekawy odpowiedzi. – Cieszę się tylko, że ma dość oleju w głowie, by nie zapuszczać tu korzeni.

Zapuszczenie korzeni tutaj to prosta droga do grzybicy.

– Ostatnie pytanie, przynajmniej na razie – oznajmiła Marnie. – Czy na terenie hostelu jest jeszcze jakieś miejsce, gdzie lokatorzy mogliby zostawić swoje rzeczy? Jakies szafki, skrytki?

– Nie, to wszystko. – Welch pokazał spartańsko urządzonego pokój. – Jeśli czegoś tu nie ma, Ledger zabrał to ze sobą.

Aimee

WIDZISZ TEN RZĄD okien na prawo od elektrowni? Ten budynek z płaskim dachem? To hostel dla bezdomnych. Zdarzyło mi się spędzić tam parę nocy, zanim poznaliśmy się z May. W środku wszędzie śmierdziało wilgocią i trzeba było zablokować drzwi łóżkiem, na wypadek gdyby komuś za bardzo spodobał lokator. Możesz się śmiać, ale Harm nie pierwszy zwrócił na mnie uwagę.

W tym nowym miejscu jest zbyt wysoko, żeby wyskoczyć, nawet gdyby nie zabił wszystkich okien. Nikt by mnie tu nie zobaczył, nikt by nie usłyszał. Jeśli istnieje stąd jakieś wyjście – a przecież musi – trzeba się najpierw przebić przez nich.

Harma i Christie.

Wyjęcie drutu zajmuje mi zbyt wiele czasu. Potrzebuję kawałka potłuczonego szkła albo noża. Po tym, jak mnie zgwałcono, udało mi się zdobyć jakiś nóż, lecz noszenie go przy sobie było zbyt ryzykowne. Jeśli na ulicy ktoś cię napadnie, może cię dźgnąć twoim własnym nożem, a w hostelach najpierw każą opróżnić wszystkie kieszenie, na wypadek gdyby mieli do czynienia z ćpunem albo wariatem. Nóż zniknął, zanim pojawiła się May.

To moja wina, że tu trafiła, do schronienia Harma.

Gdy tylko pokazała się na tamtej stacji metra, chowając się przed deszczem, stało się dla mnie jasne, że musimy być razem. Nie ma w tym romantycznej przesady i wcale nie jestem lesbą, jak twierdzi Ashleigh. Ani lesbą, ani nikim innym. Ale wystarczyło mi jedno spojrzenie, by zakochać się w May. Poszła ze mną najpierw do tego pierwszego domu, a potem do mieszkania, które jest tak wysoko, że nie da się z niego wyskoczyć. Istnieje tylko jedno wyjście – przez nich.

Może to moja wina, że May się tu znalazła, ale ich, że zniknęła.

Harma i Christie.

Mogło być dobrze, *powinno* było skończyć się dobrze. Lepiej niż w tamtej dziurze z grzybem na ścianach, gdzie trzeba spać z otwartymi oczami, żeby cię nikt nie zgwałcił.

Przesiadaliśmy tutaj całymi godzinami, May i ja. Ona kazała mi czesać sobie włosy srebrną szczotką, a sama godzinami opowiadała mi o młodszej siostrze i...

Cholera, kocham ją. Tak bardzo, że to aż boli. Chcę stąd spadać. Nawet jeśli tam jest zimno i mokro, a na koniec pewnie mnie ktoś zadźga, będzie warto, jeśli jeszcze ją zobaczę. Nawet jeśli mnie już nie chce, nawet jeśli wróciła do domu i czeka na przyjście na świat dziecka, zobaczę ją i będzie warto.

Dlatego wydostanę się stąd, nawet jeśli najpierw trzeba będzie zabić tych dwoje.

Nie zabraknie mi już odwagi, Aimee nie będzie już słabeuszem.

Pokażę, że mam jaja, i wydostanę się stąd.

Niech tylko spróbują mnie powstrzymać, niech tylko, kurwa, spróbują.

Już ja im dam popalić.

Jeszcze pożałują.

– PARADISE HOUSE TO hostel dla bezdomnych – powiedziała Marnie Timowi Wellandowi. – Prowadzony przez pracowników na etacie i wolontariuszy. Przyjmują bezdomnych ze szczególnymi problemami, zazwyczaj uzależnionych od alkoholu albo narkotyków. Oprócz tego również byłych żołnierzy, którzy z tego czy innego powodu nie potrafią sobie ułożyć życia.

– A z czym dokładnie zmagał się Ledger? – zapytał Welland.

– PTSD. Ataki paniki, także w nocy. Jego sąsiedzi złożyli skargę na hałasy. Budził się z krzykiem o trzeciej nad ranem, uderzał gołymi pięściami w ściany. Żona kazała mu się wyprowadzić, bo się bała, że stracą dom. Nie chciał żadnej pomocy, upierał się, że inni potrzebują jej bardziej niż on. Nie przyjmował też leków, bo go otumaniały, a jak mógł w takim stanie opiekować się żoną? – Marnie musnęła kciukiem zdjęcie Ledgera, które wisiało na tablicy. – Potrafi doskonale udawać normalnie funkcjonującego człowieka, jednak zdaniem jego żony i lekarza w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Paranoiczne urojenia, ataki agresji, obsesja na punkcie kontroli. I tak dalej.

Susie Ledger została podana w hostelu jako osoba kontaktowa. Grzecznie odpowiedziała na pytania Marnie, wyraźnie zmęczona. Zapytała, czy jej mężowi nic nie grozi, czy jakoś sobie radzi, czy jest bezpieczny. Marnie nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Welland przyglądał się twarzy Ledgera.

– Myślisz, że to nasz zabójca?

– Pasuje do profilu. Mieszkał w tej części Londynu co najmniej przez ostatnie dwa lata, odkąd zwolnili go ze służby. Jest kimś, komu dziewczyny mogłyby zaufać, a do tego z dostępem do budynku, w którym została porzucona May. To on ją znalazł, a teraz zniknął. W hostelu powiedziano nam, że nie pokazywał się tam od rana tego dnia, w którym przeprowadzono przesłuchania. Wyszedł z placu budowy po tym, jak pojawiła się policja. Od tamtej pory nikt go nie widział.

– A co z tą jego ofertą oprowadzania dziennikarzy za pieniądze? – Welland podrapał się po policzku. – To było ryzykowne, skoro planował zostawić tam ciało. Dlaczego zwrócił na siebie uwagę w ten sposób?

Na fotografii Ledger uśmiechał się, jednak jego oczy pozostawały poważne.

Marnie go polubiła. Nieprzyjemnie było myśleć, że źle go oceniła.

– Wszystko, co robi ten zabójca, jest ryzykowne – powiedziała Wellandowi. – Ledger karmił się ryzykiem, kiedy służył w Afganistanie. Nic go nie ruszało, nie licząc popadania w samozadowolenie cywila. Uważa, że większość z nas żyje jak zombie, że musimy się obudzić i dostrzec, co się dzieje na świecie.

– Tak mówiła jego żona? – Welland zmarszczył brwi. – Nie kontaktują się?

– Już od prawie trzech miesięcy nie.

– A co z ich przyjaciółmi?

– Nie ma żadnych w Londynie. W hostelu powiedziano nam, że nikt go nie odwiedzał, nikt nie zostawiał dla niego wiadomości.

– Czyli jest bezdomnym samotnikiem i byłym wojskowym. Niebezpiecznym, agresywnym, z paranoją. – Welland powoli pokiwał głową. – Coś jeszcze? Czy to już nam wystarczy?

– Od kilku miesięcy pracował na budowach, więc sprawdzamy je. Rozmawiał z Markiem Amosem na przyjęciu dla mediów. Możliwe, że z podobną propozycją zgłosił się też do innych dziennikarzy. Może jeden z nich skorzystał z takiej wycieczki. Staramy się to ustalić. Ledger ma też telefon, który został wyłączony albo wyrzucony. Próbuje go namierzyć. Carling chodzi po Garrett ze zdjęciem; może ktoś go tam widział ostatnio.

– Trzeba powiedzieć prasie o Ashleigh Jewell. – Welland złożył razem dłonie, mierząc swoje długie palce. – Myślę, że moglibyśmy jednocześnie pokazać wizerunek Ledgera. Jako podejrzanego.

To by sugerowało, że robią postępy. Dwie martwe nastolatki i zaginiony mężczyzna. Opinia publiczna uznałaby Ledgera za zabójcę, niezależnie od tego, czy takie stwierdzenie podsunęliby im dziennikarze.

Marnie się to nie podobało i wyraziła swój sprzeciw na głos.

Welland wzruszył ramionami.

– Potrzebujemy czegoś, co pchnie nas do przodu.

– A jeśli to coś obróci się przeciwko nam?

– Powiesz „a nie mówiłam”.

Do dziewiątej wieczorem twarz Ashleigh pojawiła się w telewizji, jej zabójstwo oficjalnie powiązano ze sprawą May, chociaż tak w życiu, jak i w śmierci wydawały się od siebie bardzo różne.

Marnie oglądała wiadomości w mieszkaniu Eda i zdawało jej się, że się skurczyła, że jej ciało było lżejsze, niż powinno. W głowie jej syczało – zapowiedź bólu głowy. Ed siedział obok niej na kanapie, służąc za wsparcie. Wiedziała, że musi się położyć spać. Kiedy zamknęła oczy, widziała twarze nastolatków, tak od siebie różnych. I inne twarze, należące do zaginionych dziewczyn z tablicy. Sashy, Kim i Siki. Także twarz tej z wypadku, której imienia jeszcze nie znali. Dręczyła ją pewna jednolitość, tyrania jednakowości skryta za fasadą zbyt szerokich uśmiechów, makijażu przypominającego kamuflaż wojenny, pustych oczu, przedłużonych włosów, pomalowanych paznokci, samoopalacza. Tak niewiele miejsca na indywidualność, na bycie sobą. Czy tak wyglądało życie, kiedy Marnie miała piętnaście, szesnaście lat? Pamiętała noszenie ciężaru swojej inności – czerwonych włosów, bladej skóry, kolców. Całe tygodnie emanowała wrogością, nadając sygnał, który był częściowo ostrzeżeniem, częściowo prośbą o pomoc. Pragnęła ratunku, bezpieczeństwa. Żeby ktoś zabrał ją od wszystkiego, od niej samej. Czy tak samo było w przypadku May, Ashleigh i innych nastolatków? Czy one też nauczyły się tej trudnej prawdy, której nauczyła się Marnie? Że choćbyś krzyczała bardzo głośno, czasami zostajesz zupełnie sama. Czasami nikt nie przybywa na ratunek.

Noah wrócił do domu i w drzwiach przywitał go Dan, mówiąc, że Sol jest w kuchni i właśnie gotuje.

– Robi reggae nachosy. Trzeba go było zobaczyć.

– Ewidentnie czuje się lepiej. – Tak zachowywał się Sol odbywający pokutę, by uniknąć trudnych pytań. Jedzenie pachniało niesamowicie. – Kiedy będzie gotowe?

– Jeszcze mu zejdzie. – Oczy Dana błyszczały. – Masz ochotę na prysznic?

Później usiedli we trzech przy stole. Sol przygotował ryż z nachosami i czarną fasolą. Noah postanowił, że nie wspomni o blaknącym już siniaku pod okiem brata.

Sol był w doskonałej formie, rzucał dowcipnymi uwagami, dolewał im napoje. Gdyby zadać mu trudne pytanie, pewnie sprowadziłby je do żartu. Noah się cieszył. Obiecał sobie kiedyś, na samym początku kariery, że po powrocie do domu będzie zostawiał pracę za sobą. To nie było łatwe, zwłaszcza odkąd zaczął

pracować u boku komisarz Rome nad sprawami takimi jak ta ostatnia. Sześć miesięcy wcześniej szukali mordercy dwóch braci, małych dzieci zostawionych na śmierć w podziemnym bunkrze. To nowe śledztwo nie było łatwiejsze, jednak Noah cieszył się, że nie stał się tak gruboskórny jak Kenickie, traktujący czyjąś śmierć jak kolejny punkt w statystykach. Gdzie się podziała dziewczyna Kenickiego, której nikt nie widział od czasu wypadku? I Jamie Ledger, który może okazać się ich zabójcą? Noah stracił pół dnia z powodu migreny. Dręczyły go te zmarnowane godziny.

Po kolacji powiedział Danowi, że idzie pobiegać.

– Chcesz towarzystwa?

Noah pokręcił głową.

– Zrobię sobie długi maraton, muszę się nad czymś zastanowić. Wrócę za dwie godziny.

Podjechał autobusem na obrzeża Chelsea, żeby w zasięgu jego wzroku jak najszybciej znalazła się elektrownia, ponieważ chciał zrozumieć, co przyciągnęło do tego miejsca zabójcę May – może Ledgera. Do niedawna kominy tego budynku dominowały w krajobrazie okolicy, jednak to się zmieniało. Po drugiej stronie rzeki Noah widział wybebeszoną przez dewelopera salę z główną turbiną, pełną pustych okien. Z tego miejsca, dzięki złudzeniu optycznemu, elektrownia wciąż posiadała wszystkie trzy kominy. Kiedy się zbliżył, brak jednego z nich stał się wyraźnie widoczny; wyrwano stamtąd kawałek historii Londynu. Kiedy patrzył na nieznaną wcześniej kruchość tego miejsca, na to, jak pożerały go znajdujące się dokoła szklane drapacze chmur, pomyślał o Emmie Tarvin otoczonej przez nastolatki z Garrett. Stary Londyn zjadany przez dziką ambicję i nudę. Noah zwolnił, biegnąc wzdłuż zakręcającej rzeki, i skupił się na zmieniającym się kształcie placu budowy.

Wbiegł między platany – ich gałęzie rosły równoległe do ziemi i w stronę wody, wyciągały się w stronę zachodzącego słońca. Potem na kamienne stopnie, odpadające ze starości, i niżej, na przybrzeżną równinę pełną kamyków. Obok wystających gdzieś jak zęby staruszka budynków, które przetrwały spustoszenie wywołane przez miejskich planistów. Trawa rosła tam, gdzie kiedyś stały żelazne ogrodzenia.

Wszędzie czuł ciąg Tamizy.

Minął most Chelsea, stracił na chwilę z oczu elektrownię, zasłoniętą przez nowe budynki, widział tylko jej przeblyski między rzędami szklanych apartamentowców. Noah wychował się niedaleko stąd. Kiedyś znał tę część Londynu jak własną kieszeń, jego alejki i arterie. Białe kominy służyły za dobre punkty orientacyjne, gdy jako dziecko poruszał się po mieście. Teraz mógł tylko życzyć powodzenia tym, którzy chcieliby wykorzystać je w ten sam sposób.

Londyn tracił swoją tożsamość. Tak jak te nastolatki, które odnalazł zabójca. Dokonał na nich aktu ugrzecznienia, pozbawiając je charakteru.

Kiedy dotarł do Garrett, przestał biec.

Zapadał zmrok, wypychając resztki dnia za widnokrąg. Cztery wysokie bloki były upstrzone światłami. Noah nie musiał szukać tamtego chłopaka. Czujki. Dzieciak jeździł w kółko na rowerze, przez czapkę jego głowa wyglądała jak pocisk. Noah wiedział, że lepiej do niego nie podchodzić. Usiadł na jednej z podłużnych betonowych donic, oparł łokcie o kolana, spuszczał głowę i dłonie, próbując odzyskać oddech. Ostatni odcinek biegł sprintem, bo nagle naszała go myśl o tym, że musi zobaczyć tego chłopaka.

Nie powiedział o tym Marnie ani nikomu innemu, ale...

Sam kiedyś był czujką.

Wiele lat wcześniej, jako dzieciak.

Na osiedlu takim jak to. Krążył, udając znudzonego, choć w rzeczywistości miał nerwy napięte jak postronki. Nie robił tego na rowerze, lecz piechotą. Wybrali go do tej roli, bo potrafił szybko biegać, ale też nie wyglądał jak oni, ci z ogolonymi głowami, obwieszeni złotymi łańcuchami. Noah wyglądał jak miły dzieciak. Porządny.

Obrobili sześć mieszkań, gdy Noah robił za czujkę.

Po wszystkim przekonywał sam siebie, że skłonili go do tego podstępem; że nie zrozumiał, czego oczekiwał od niego szef gangu, a on tylko chciał pilnować młodszego brata. Sol tak szybko wchodził i wychodził z mieszkań. Wybrali go, bo był mały, a do tego miał ładnego braciszka, który by go krył.

Noah czuł, jak czerwieni się pod wpływem wspomnień.

Złączył dłonie na karku, nisko przytrzymując głowę, i skupił wzrok na asfalcie u stóp. Wielokrotnie kłamał dla Sola przez te wszystkie lata. Nie przed policją – nikt nigdy nie przesłuchiwał Noaha w związku z tamtymi kradzieżami – ale przed rodzicami, przyjaciółmi, w szkole. W tej chwili okłamywał Dana, pozwalając Solowi nocować w ich mieszkaniu, nie mówiąc dokładnie, co mógł zrobić, gdzie mógł się szlajać i kogo przyprowadzać do ich domu.

Kiedy Noah przestanie wreszcie kłamać i unikać mówienia prawdy? Kiedy wreszcie stawi czoła faktom: Sol wciąż był tym drobnym chłopcem, który przeciskał się przez okna półtorej dekady wcześniej, by po wszystkim wyszczerzyć się do Noaha i rzucić „szybki byłem, co nie?”, czekając na akceptację starszego brata, pragnąc jej. Nigdy jednak jej nie potrzebował, a przynajmniej nie na tyle, by dezaprobata Noaha cokolwiek znaczyła. Kiedy przestał przekonywać Sola do zerwania z tym? A może nigdy nie zaczął? Gdy wstąpił do policji, Sol nie odzywał się do niego przez dwa lata, zdegustowany bardziej niż wtedy, gdy Noah przyznał się do bycia gejem. W końcu się z tym pogodził – z zawodem i orientacją Noaha – lecz zaangażował się mocniej w życie gangu, zwłaszcza w czasie tych pierwszych

dni, gdy musiał obronić swój status twardego mężczyzny mającego prawo za nic. Noah nauczył się, by nie zadawać trudnych pytań, zaakceptować wybory życiowe młodszego brata, skoro tamten zaakceptował jego. Ale właściwie komu w ten sposób pomagał? Skoro Sol przyprowadzał obcych ludzi do mieszkania, wracał z podbitym okiem... Jak to się skończy?

Dzieciak na rowerze ciągle krążył.

Noah podniósł głowę i sięgnął do kieszeni dresów, żeby wyciągnąć paczkę gum. Odpakował pasek i włożył jedną do ust, a folię rzucił do betonowego korytka na kwiaty.

Kiedy podniósł wzrok, przyłapał chłopaka na tym, że ten na niego patrzy. Ile miał lat? Dziesięć?

Dzieciak skrzywił się, stanął na pedałach i podjechał bliżej do Noaha, bo wycofanie się zdradziłoby słabość, a on nauczył się, by udawać nieustraszonego. Teraz, gdy już został zauważony, otwarcie gapił się na mężczyznę czarnymi oczami, obrzucając taksującym spojrzeniem całą jego postać, od sportowych butów po twarz. Nie było wątpliwości, że rozpoznał funkcjonariusza w cywilnych ubraniach. Oczy chłopaka patrzyły inteligentnie, a chude nogi pracowały na pedałach, utrzymując rower prosto, chociaż ten ledwo się teraz poruszał. Dżinsy miał wytarte, ale dobrej marki, a buty z najwyższej półki. Bluza z modnym logo. Pod czapką widać było jeszcze delikatne rysy, lecz szczeka już zaczynała przybierać ostry kształt i tylko patrzeć, jak zaczną mu wystawać kości policzkowe. Pewnie nienawidził swoich gęstych brwi, ale gang je uwielbiał, bo nadawały twarzy dziecienny wygląd. Za rok chłopak sam będzie się wciskał przez okna i będą musieli znaleźć inną czujkę, może młodszego brata.

Noah wyciągnął rękę z paczką gum, nie mówiąc ani słowa.

– Zboczeniec. – Dzieciak musiał słyszeć magiczne słowa sierżanta Kenickiego.

Noah nie cofnął ręki, nie cofnął oferty. Kusilo go, by się odezwać, wypróbować sposób wysławiania się sprzed lat, przekonać się, czy wciąż pamiętał brzmienie tamtej mowy. Albo rzucić to i owo ze slangu, który usłyszał u Sola. Zachował jednak ciszę, uznając, że przy tym dzieciaku potrzeba innej taktyki.

– Wsadź se tę gumę. – Mimo to zbliżył się, utrzymując rower prosto, ze stopami na pedałach. Zwycięzała ciekawość. Bycie czujką to nudne zadanie.

Dwoma palcami wyciągnął gumę z opakowania. Zerwał folię zębami, wypluł ją na beton. Zaczął rzuć. Nie odrywał wzroku od Noaha, ale jego szyja nieco się ruszała, żeby kątem oka ogarniał teren. Gdyby ktoś wyszedł z mieszkania, dzieciak by zniknął, żeby nikt nie zobaczył go rozmawiającego z gliną.

– Widziałem cię z tamtą szmulą.

Miał na myśli Ashleigh czy Abi Gull?

Nie Abi. Ona ma tutaj zbyt wiele władzy. Ten dzieciak pewnie był jej

czujką, a nawet jeśli nie, bałby się mówić o niej w ten sposób. Noah pokręcił głową, odwracając wzrok od chłopaka, opierając łokcie o kolana, dając znak, że odejdzie stąd, gdy tylko zbierze siły.

– Co? Gadasz tylko z czarnymi?

– Nie gadam z dziećmi. To wbrew zasadom. Ile ty masz lat? Dziesięć?

– Pierdol się. Jedenaście. – Uraza w głosie zdradzała, że liczy każdy miesiąc.

– Zboczeniec.

– Jasne. – Noah podniósł się i zaczął iść.

Dzieciak ruszył jego śladem, jakby Noah prowadził go na smyczy. *Zboczeniec*. Będzie powtarzał to słowo, dopóki nie wywoła jakiejś reakcji albo tylko dlatego, że w pewien sposób go chroniło, szybko doprowadziłoby go do opieki społecznej, gdyby Noah postanowił się czepiać.

– Myślisz, że nic nie wiem? Dużo wiem. Więcej niż ty, zboczeńcu.

– Świetnie. Miłego wieczoru.

– Myślisz, że jestem głupi? – Stał na pedałach, jadąc u boku Noaha. – Widzę wszystko, co się tu dzieje, *wszystko*.

– Wierzę ci. – Noah klęknął, żeby zawiązać sznurówki, nie śpieszył się. – Szkoda, że nie mogę cię przesłuchać.

– Widziałem tamtą szmulę i wszystkie inne. Przez *lata* je widywałem. Te z tymi włosami. Te z tymi napisami.

Noah nie podnosił się, próbując za wszelką cenę nie pokazać, jaki jest spięty. Dzieciak mówił wyłącznie dlatego, że Noah nie reagował. Gdyby młody zauważył, że jego słowa robią na funkcjonariuszu jakieś wrażenie, zamknąłby się i uciekł.

Te z tymi napisami.

Miał na myśli May Beswick? A może dziewczynę z wypadku?

Noah potrafił szybko biegać, jednak wątpił, by udało mu się dogonić rower, a do tego dzieciak znał to osiedle jak własną kieszeń. Jeśli Noah go wystraszy, już go więcej nie zobaczy.

– Jak już mówiłem, szkoda. Moja praca byłaby o wiele łatwiejsza, gdybym mógł rozmawiać z dziesięciolatkami. – Wyprostował się i otrzepał kolana, jakby pozbywał się w ten sposób obrażonego wyrazu twarzy chłopca.

– Pierdol się, zboczeńcu. Wiem rzeczy, które by zaraz rozwiązały tę waszą sprawę. Rzeczy, o których nie masz pieprzonego pojęcia. Ja znam *Christie*. A ty pojęcia nie masz, czego szukać.

Noah nie patrzył na niego, zamiast tego zerkając w zegarek, i wstrzyknął dodatkową dawkę znudzenia w swój ton.

– Jaką *Christie*?

– *Christie Faulk*, złamasie. Ja znam *Christie Faulk*. – Przejechał językiem po górnej wardze i wydawał się zdenerwowany, mimo pozornego braku zainteresowania ze strony Noaha.

Noahowi zrobiło się go żal. Niemniej nie zamierzał się wycofywać. Jego taktyka może i była pokrętna, jednak najwyraźniej skuteczna.

– Nie szukamy żadnej Christie Faulk.

– A powinniście. To ona przyprowadziła tutaj tę szmulę.

– Którą szmulę?

– Tę *martwą* szmulę. Tę z beznadziejnymi butami i nosem, jakby ją ktoś walnął.

Ashleigh Jewell.

– Czyli co? Christie Faulk ją tu przyprowadziła. To próbujesz mi powiedzieć?

– Ja tu wszystko widzę. – Stał na pedałach, zacisnął szczęki, nie spuszczał Noaha z czarnego oka. Za jego plecami całe osiedle pogrążone było w ciszy i patrzyło rozświetlonymi oknami jak oczami. – Widzę tu więcej niż ty. Niż ktokolwiek z was. Nic tu się nie dzieje bez mojej wiedzy.

Christie

W KUCHNI ŚMIERDZIAŁO WOSKIEM. Paliło się czternaście świec, jednak nie rozświetlały pomieszczenia, za to przyciągały jeszcze większe cienie. Chciwie, tak jak jego ból przyciągał ją, przyciągał wszystko. Jego cierpieniu nie było końca. Jemu nie było końca.

Christie starała się siedzieć spokojnie. Starła się być dla niego ciszą, w której mógłby odpocząć. Szukała właściwych słów, lecz znalazła tylko te:

– W domu było lepiej. Tutaj jest za wysoko, robią się niespokojne. To przez ten widok.

– Jaki widok? – irytował się Harm. – Zasłoniłem okna, prawda? Więc jaki widok?

Widok w ich głowach, pomyślała. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Wyteżala słuch, by usłyszeć Aimee na półpiętrze, lecz panowała cisza, jakby unosili się w próżni.

– W domu było lepiej.

– Do niczego się nie nadawał. – Machnął ręką, odsuwając sprawę na bok. – Za mały.

– Moglibyśmy wrócić. Jest nas teraz mniej.

– Ale tam jest pełno *ich*. – Uciekł wzrokiem, warknął z bólu. – Pełno *jej*.
– Neve. – Wypowiedziała imię jego siostry najłagodniej, jak potrafiła, chociaż nienawidziła Neve. Tak jak nienawidziła May i Ashleigh. I Aimee.
Harm pochylił się w jej stronę, jego ramiona były gorące od cieni.
– Co zrobiłaś?
– Co ty zrobiłeś? – powtórzyła jak echo.
Patrzyli sobie w oczy w blasku dymiących świec.
– Dałem im dom – powiedział Harm. – Wziąłem je do siebie.
– Wziąłeś je do siebie – zgodziła się Christie.
– Ciebie też wziąłem.
Uśmiechnęła się do niego całą sobą, wszystkim tym, co uratował i co stworzył.
– Co zrobiłaś Ashleigh? – nalegał.
– Wróciła na ulicę. – Christie użyła słów, którymi on sam opisał to, co się stało z May. – Tego właśnie chciała.
Zakrył usta dłońmi.
– Dla ciebie. Zrobiłam to dla ciebie.
Zakrył oczy.
– Jest jeszcze Aimee – powiedziała. – Tak jest lepiej, we troje jest lepiej. Jesteśmy jak normalna rodzina. Potrzebujemy cię. Ty tutaj rządzisz.
Potrzebował być potrzebny. Rozumiała to.
– Uratowałeś je i chroniłeś. Gdyby stosowały się do twoich zasad, byłyby bezpieczne. Ty tutaj rządzisz. Powinny to uszanować, uszanować *ciebie*. Mieszkały pod twoim dachem, wszystko ci zawdzięczały. – Oczy szczypały ją od dymu. Oblizwała palce i zgasła najbliższą świecę. Na jej kciuku została kropla gorącego wosku i zaraz zastygła. Ściągnęła ją, małą muszelkę ze śladem linii papilarnych, i położyła na stole. – Zawdzięczamy ci wszystko.
– Aimee... – Westchnął, wypowiadając jej imię.
– Ona też. Tak jak my wszystkie. – Zgasła kolejną świecę. – Jesteś głową tej rodziny, a to jest nasz dom. Żadna z nas nie miała domu, dopóki ty nam go nie dałeś. Straciłeś Neve, ale uratowałeś nas.
– Neve nie żyje. – Głos mu się załamał, jak u dziecka. – Kochałem ją, a teraz ona nie żyje.
Christie złapała go za rękę.
– Neve zaginęła, nie umarła.
– *Umarła*. Nawet nie wiesz, jak musieliśmy udawać. – Odsunął się od niej. – *Ja* musiałem udawać. Że mam nadzieję, tak jak oni. Musiałem udawać razem z nimi, że ona żyje, chociaż znałem prawdę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było... trudne. Modlić się z nimi, jakby nadal żyła.
Płomienie świec uciekały od niego, przekrzywiając się w stronę Christie.

– Ja też byłam martwa, dopóki mnie nie znalazłeś. Mieszkałam z tamtą kobietą jak zwierzę, a potem na ulicy... – Wykrzywiła usta. – One na ciebie nie zasługiwały. Ani Grace, ani May, ani Ashleigh. Dałeś im *wszystko*...

– Widziałaś ją? – zapytał Harm. – Widziałaś, co na sobie napisała?

– May? – Krzyczała całą sobą, wyrzaskiwała tamte rysunki ze szkicownika. Grace była głośniejsza na wierzchu, ale to May zrobiła najwięcej złego. Zaszła w ciążę, wszystko zepsuła. – Widziałam.

– Chciałem, żeby tamci zobaczyli. Żeby zobaczyli wreszcie jej ból. Jak się czuła, przez co przechodziła. Wiem, jak bardzo boli ukrywanie takich sekretów. – W końcu na nią spojrział. – A ty?

– Oczywiście. – Christie zmarszczyła brwi. – Przecież wiesz.

– I wiesz, dlaczego wybrałem właśnie tamto miejsce.

– Elektrownię. – Miała już dosyć mówienia o May. Jaki był tego sens? Sprawa May była już skończona, nie zostało po niej śladu. – Bo je uwielbiała, a ty chciałeś, żeby wszyscy poznali jej sekrety. Żeby zrozumieli, jak bardzo cierpiała i jak bardzo starałeś się jej pomóc. Chciałeś, żeby usłyszeli wreszcie, jak głośno wołała o pomoc.

– Pomogłem jej. – Wyprostował się, kołysząc całą kuchnią. – Powiedziałaś, że pomogłem wam wszystkim. Kochałem May.

Christie nie odezwała się. Kropla wosku wyglądała jak różowy punkt na stole.

– Kochałem Ashleigh. – Kształt jego czaszki był na podłodze, na ścianach. – A ty?

– Zrobiłam to dla ciebie. – Jej kciuk piekł nieco w miejscu, gdzie przylepił się wosk. – Wszystko dla ciebie.

– I Grace. – Harm pochylił się do przodu, płomienie świec malowały jego twarz na żółto. – Co zrobiłaś z Grace?

Zegarek na nadgarstku tykał. Harm chwycił kiedyś jej rękę, podniósł ją z chodnika i zabrał z deszczu. Jego dłonie były wtedy puste, ciepłe. Nigdy nie zdoła mu się za to odwdziaczyć.

– Szukałeś jej – powiedziała. – Po tym, jak zaginęła. Ale nie mógłbyś sprowadzić jej z powrotem do domu.

Niewdzięczna Grace, która nigdy nie musiała żyć jak zwierzę.

– Nie możesz ich kontrolować – powiedziała Harmowi. – Właśnie przez to uciekają. Przez to i widok. Jest za wysoko, widzą zbyt wiele i robią się niespokojne. Nigdy nie zdołałbyś poskromić May, Ashleigh też nie. To nie z tobą jest coś nie tak, to z nimi. Aimee jest inna. Może jest podobna do Neve. Teraz zostaliśmy tylko we troje i będzie już dobrze. Na pewno...

– Co zrobiłaś z Grace? – powtórzył. – Gdzie ona jest?

– Grace nie chciała tu być. Nie zasłużyła na ciebie. Nie chciała tu być,

choć tam są takie miejsca, które zabijają, które zabiły mnie. – Zaciśnęła dłonie w pięści. – Miejsca, które zmywają cię z powierzchni ziemi. – Zaciśnęła zęby i spojrzała mu w oczy. – Grace dostała to, na co zasłużyła.

Wstał, tak wysoki, że zakreśliło jej się w głowie od patrzenia na niego.

– Gdzie ona jest?

– Odeszła. Grace... odeszła.

– KOMISARZ MARNIE ROME?

– Tak. Kto mówi?

– Chce się z panią skontaktować podopieczny zakładu poprawczego w Sommerville. Zgadza się pani?

Marnie zamknęła drzwi do swojego biura. Co prawda było jeszcze wcześniej, ale jej zespół już ciężko pracował.

– Tak.

Cisza. Potem kliknięcie i zaraz następne. Cisza. Czyżby ich rozłączono?

– Halo?

– Cześć.

Stephen Keele.

Minęła dekada, odkąd ostatni raz rozmawiała z nim przez telefon, jednak od razu rozpoznała jego głos. Słuchała ciszy, dopóki znów się nie odezwał.

– Jesteś zajęta? Na pewno jesteś.

– Czego chcesz?

– Chodzi o May Beswick. I Ashleigh Jewell.

Połączenie było słabe, podkreślało spółgłoski syczące. Gdyby rozmawiali twarzą w twarz, nie słyszałyby tego syczenia. Stephen mówił bardzo starannie. Marnie przycisnęła wolną rękę do blatu biurka, patrząc, jak bieleją jej knykcie.

– Co dokładnie?

– Oglądałem wiadomości. – Sekunda przerwy. Usłyszała, jak przekłada

słuchawkę do drugiej ręki. – Powinnaś porozmawiać z jedną z dziewczyn tutaj. Jodie Izard. Twierdzi, że zna tę, której szukacie. Dziewczynę z czerwonymi włosami.

Marnie wyobraziła go sobie w szarych spodniach dresowych, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, z czarnymi kręconymi włosami, ze szczupłym ciałem opartym o ścianę. Zadowolonego, że ma jej uwagę. Zachowała swoją ciszę, jedyną broń przeciwko niemu.

– Ma na imię Grace. Ta dziewczyna z portretu pamięciowego. Grace Bradley. Jakiś rok temu żyła na ulicy. W ten sposób poznała się z Jodie.

– Dobra. Dziękuję. – Używała tego samego tonu, jaki usłyszałby każdy potencjalny świadek. Uprzejmego, beznamiętnego. – Wyślę kogoś, żeby spisał zeznania Jodie.

– Sama powinnaś przyjechać – powiedział Stephen. – To kłamczucha. Nie jest może mistrzynią, ale lubi kłamać. Udawała, że zna też May Beswick. I Ashleigh Jewell. W tej kwestii oszukuje, niemniej o Grace mówi prawdę. I jest coś jeszcze... – Zamilkł.

Czas na jej ruch. Chciał, żeby z nim zatańczyła. Brakowało mu tego. Jej uwagi. Tego naprawdę pragnął. Nie chodziło o to, by pomóc jej ująć zabójcę ani by znaleźć zaginioną nastolatkę. Chciał mieć znowu Marnie dla siebie, pragnął jej pytań i cierpienia. Projekt Wybaczenia był dla niego idealnym dowcipem...

Puk, puk, kto tam?

Wariat z obsesją kontroli. A teraz ty pytasz, który wariat z obsesją kontroli.

– Wyślę kogoś – oznajmiła Marnie. – Żeby spisał zeznania Jodie Izard.

– Jest coś jeszcze. Ktoś, kogo również powinniście szukać. – Chwila ciszy. – Ten ktoś porwał Grace Bradley. Co oznacza, że prawdopodobnie porwał też May. I Ashleigh. Jodie widziała, jak zabiera Grace. Opisała go.

Cisza. Marnie czuła, że zaczyna ją boleć ręka. Podniosła ją z biurka i popatrzyła na ślady na kciukach, obserwowała powracającą do palców czerwoną krew.

– Wiem, jak wygląda zabójca. I wiem, że to nie koniec.

Rozłączył się tak nagle, że wzdrygnęła się, słysząc szum w słuchawce.

Poczekala, żeby sprawdzić, czy operator z ośrodka jest wciąż na linii, ale zaraz usłyszała sygnał. Odłożyła słuchawkę i przytrzymała na niej dłoń, zastanawiając się intensywnie nad różnymi możliwościami.

Stephen chciał zwrócić na siebie uwagę i wiedział, jak to zrobić. Pozwalają im w Sommerville oglądać telewizję. Zobaczył wiadomości o May i Ashleigh, usłyszał nazwisko prowadzącej śledztwo. Mądrze postąpił, nie wspominając Jamiego Ledgera. To byłoby niezręczne. W ten sposób Marnie pojedzie do Sommerville, żeby przepytac Jodie Izard, a może nawet zobaczy się przy okazji ze Stephenem. Chciał jej uwagi, jak zawsze. Właśnie jej strachu pragnął pięć lat

wcześniej. Cały ten krwawy bałagan miał na celu zwrócenie na siebie jej uwagi.

Chwyciła długopis i napisała: Grace Bradley.

Jeśli zależało mu na jej uwadze... Marnie interesowała tylko jej praca, a on uczynił siebie jej pracą, zabijając jej rodziców. Zmuszając ją do spędzania z nim czasu, przyciągając ją do siebie i zatrzymując. Jakie istniały szanse, że faktycznie znał kogoś lub wiedział coś związanego z tą sprawą? Niewielkie, chociaż nie mogła zignorować faktu, że znajdował się w koedukacyjnym poprawczaku. Niektóre dzieciaki stamtąd z pewnością spędziły jakiś czas na ulicy. Większość z nich trafiła do domów dziecka, jak Stephen albo Ashleigh. Sześćdziesiąt jeden procent dziewcząt z takich miejsc jak Sommerville znajdowało się pod opieką instytucji państwowych; to kolejna ulubiona statystyka Wellanda. Marnie nie mogła sobie pozwolić na to, by uznać, że Stephen kłamie, nawet jeśli miała ku temu powody.

Wyszła z biura i zbliżyła się do tablicy.

– Dziewczyna z wypadku może się nazywać Grace Bradley. – Napisała imię na tablicy.

– Czyżby nowy świadek? – zapytała Debbie.

– Możliwe. Równie dobrze może się okazać stratą czasu, ale sprawdzimy to.

– Odłożyła marker i odwróciła się twarzą do zespołu. – Co jeszcze mamy nowego?

– Ron wrócił na Garrett – powiedział Colin. – Nikt jeszcze nie rozpoznał Ledgera. Wciąż staramy się dotrzeć do ludzi, którzy mogli widzieć Ashleigh albo dziewczynę z wypadku. Wiele drzwi zostaje przed nami zamkniętych, ale Ron twierdzi, że robią postępy, wykreślają kolejnych mieszkańców z listy. Jest tam ponad siedemset mieszkań, a to daje jakieś dwa tysiące lokatorów. Większość oglądała wczorajsze wiadomości, co powinno pomóc.

Albo i nie, pomyślała Marnie.

– A jakie panują tam dzisiaj nastroje?

– Znowu mamy tam kogoś od bezpieczeństwa wspólnotowego, więc jest wesoło.

– Informuj mnie na bieżąco. – Spojrzała na Noaha, który właśnie wszedł do pomieszczenia, i wyczytała z jego twarzy nadchodzące wieści. – Tak?

– Metro. Znaleźliśmy tę stację.

– Gdzie? – Sięgała już po płaszcz.

– Stockwell. Raptem kilometr od Paradise House.

– Będziemy tam chcieli techników – odezwał się Colin. – Jeśli to tam znalazł May i Ashleigh.

– Najpierw sami się rozejrzemy. – Marnie dała znak Noahowi. – Dobra robota.

– Zadzwonili do ciebie z wydziału transportu czy masz te informacje od przyjaciela Dana? – zapytała, kiedy znaleźli się w samochodzie.

– Od Rentsa, tego grafficiarza. – Noah zapiął pasy. – Nie jest przyjacielem Dana ani nikogo, z tego, co wiem. Dan musiał go przekonywać, że nie będzie miał kłopotów. Rents mówił, że nie był na tamtej stacji od miesiący, ale cały czas pełno tam dzieciaków, chłopaków i dziewczyn. Głównie nastolatków, lecz tych z mlekiem pod nosem. Nie prawdziwych bezdomnych.

Innymi słowy łatwy łup, do tego ledwie dwa kroki od miejsca, gdzie Ledger mieszkał przez ostatnie trzy miesiące.

Tym razem jechali w złą stronę; tę samą, co wszyscy inni. Noah był spięty, jego rysy wyostrzał stres. Gdyby Marnie nadstawiła uszu, usłyszałaby bicie jego serca.

– Rozmawiałeś z Solem?

Pokręcił głową.

– Ale jest okej, chyba.

Czyli nie chodzi o Solę. Denerwował się z innego powodu.

– Lepiej mi powiedz, o co chodzi. Nawet jeśli nie będzie mi się to podobać.

– Noah zerknął na nią z ukosa. Uśmiechnęła się do niego. – No daj spokój, ile czasu już razem pracujemy? Przecież widzę, że coś cię gryzie.

Opuścił ramiona. Odwzajemnił uśmiech, przelotnie.

– Dobra, ale naprawdę może ci się to nie spodobać... Rozmawiałem wczoraj z dzieciakiem na Garrett. Tym na rowerze, co robił za czujkę.

Marnie zmieniła pas, wymijając taksówkę.

– Mów dalej.

– Poszedłem pobiegać. Chciałem mieć widok na elektrownię, poczuć tę okolicę. Wcale nie planowałem zadawać komukolwiek pytań. Wiem, że takie coś może nam narobić syfu w śledztwie. A poza tym to tylko dzieciak, więc mógłbym mieć przez niego kłopoty, ale... Był sam, a poza tym wiedziałem, jak go podejść. Wiedziałem, że musiał coś widzieć, bo przecież to jego zadanie jako czujki. – Zawahał się, czekając na reakcję Marnie. – Przepraszam.

Jej umysł przeskoczył pierwszą myśl – o Wellandzie powtarzającym jej w kilku niewybrednych słowach, co myśli o jej złotym chłopaku łamiącym najprostszą zasadę z policyjnego podręcznika, „trzymaj wszystkie grube pałki z dala od kubłów z gównem” – i wylądował na drugiej.

– Co udało ci się z niego wyciągnąć?

– Nazwisko. Christie Faulk. Mieszkała kiedyś na tamtym osiedlu. Widział ją z Ashleigh Jewell.

– Tamtego wieczora?

Noah pokręcił głową.

– Myślałem, że właśnie to miał na myśli, ale potem dodał, że nie widział

Christie od kilku miesięcy. Ostatni raz z Ashleigh widział ją przed Bożym Narodzeniem.

– Jak się nazywa twój świadek?

– Nie pytałem go. Słowem by się nie odezwał, gdyby to było oficjalne przesłuchanie. Wiem, że takie informacje są bezużyteczne jako dowód. Dlatego nie zadzwoniłem do ciebie od razu. Nie wiedziałem, czy będziesz chciała, żeby zapisać nazwisko Christie na tablicy, zważywszy na okoliczności, w jakich je zdobyłem.

Marnie pomyślała o nazwisku, które sama zapisała tego ranka: Grace Bradley. Źródło było niewiele bardziej wiarygodne niż ten bezimienny chłopak Noaha.

– Jak bardzo jesteś pewien tego tropu?

– Znam takie dzieciaki, wychowywałem się z podobnymi. Chłopak nie kłamał.

– No to lepiej, żebyś to sprawdził. Każ Tanner poszukać w systemie Christie Faulk.

Noah wyciągnął komórkę i wybrał numer. Kiedy się rozłączył, natychmiast zmienił temat.

– Dan został kuratorem nowej wystawy. Sztuka więzienna. Zacząłem myśleć o rysunkach May, tych wszystkich pionowych liniach. I o Garrett. O Emmie Tarvin, która mieszka tam jak w więzieniu. Nawet Abi i jej koleżanki nie mogą się stamtąd wydostać. Dzieciak z zeszłej nocy tak samo. Wszyscy są przerażeni. Za moich czasów nie było aż tak źle. To znaczy, nie było dobrze. Istniało mnóstwo problemów, ale nie czuło się tej paranoi. Wiedzieliśmy, kto jest po naszej stronie, a kto nie. A potem pojawili się tacy ludzie jak Toni Shepherd, którzy zaczęli zarabiać na tym pieniądze. Obiecywali bezpieczeństwo, prywatność, *oddzielność*... Pamiętasz ten obraz w mieszkaniu, w którym znaleźliśmy May? Ten krajobraz nad łóżkiem? Jego celem było skłonienie klientów do dopłacenia za lepsze zamki w drzwiach i kamery. „O, patrzcie, jaki Londyn jest straszny”. Właśnie to próbują nam wmówić, to próbując sprzedać. „O, patrzcie, jak *tam* jest strasznie. Czy nie wolelibyście być tutaj, bezpieczni?”

Panic roomy. Żaluzje antywłamaniowe. Zamykane osiedla. Wokół strachu przed napadem urósł cały przemysł. Bardzo łatwo jest podsycić w ludziach paranoję.

– Jakby świat nie był dość przerażający – dodał Noah – bez szukania nowych powodów do lęku.

W Stockwell metro błyszczało po niedawnym deszczu. Z miejsca dało się zauważyć, że właśnie tę stację narysowała May – po obu stronach wejścia rosła trawa, prostokątne lampy dawały pomarańczowe światło. Graffiti też wyglądało jak

ze szkiców dziewczyny, namalowane neonowymi farbami. *Fearz i Rents*. Reszta to świeże śmieci i dzieciaki siedzące w małej grupce pod ścianą. Dwoje na kocyku piknikowym w szkocką kratę. Chłopak na foliowej torbie. Nie nastolatki na gigancie, po prostu wagarowicze. Pili piwo, u ich stóp leżały puste butelki, a gdzieś dalej coś, co wyglądało jak opakowanie po chipsach.

– Dzień dobry. Jestem komisarz Marnie Rome, a to sierżant Noah Jake. Jak się nazywacie?

Chłopak na torbie foliowej obrócił się, żeby na nią spojrzeć. Miał ładną twarz, okrągłą jak u dziecka.

– Ja jestem Joel.

– Miło mi, Joel. – Marnie pokiwała głową, patrząc na pozostałą dwójkę. Każde ubrane w obcisłe czarne dżinsy, bluzy z kapturami i martensy.

Dziewczyna miała buty w kwiaty. Uggsy dla hipsterów.

– Daisy – powiedziała.

– Corin – rzucił chłopak.

Wszyscy mieli bardzo blade twarze. Wagarowicze z liberalnymi rodzicami, którzy płacili za drogie buty i dżinsy, pracując po godzinach, zbyt długo, by mieć czas na zastanawianie się, co ich dzieci porabiają po szkole albo przed nią. May miała takich przyjaciół. Zanedbywanych, lecz inaczej, niż się mogło wydawać.

– Od dawna tu przychodzicie? – zapytała Marnie.

– Właściwie to nie – odparł Joel. – Padało i nie chcieliśmy zmoknąć, to wszystko.

Dzieciaki wydawały się wystraszone. Z powodu Marnie i Noaha? Uśmiechnęła się, żeby pokazać im, że nic się nie stało.

– Szukamy kilku osób, które mogły się tu kręcić jakiś czas temu.

Dała Noahowi znak, a on wyciągnął komórkę i pokazał im zdjęcia Jamiego Ledgera i dziewczyny z wypadku.

Tamci tylko pokręcili głowami.

– To ten zabójca? – zapytał Corin.

Czyli wiedzieli o morderstwach, a mimo to siedzieli tutaj po szkole, zamiast wracać prosto do domu.

– Ma świetne włosy – rzuciła zazdrośnie Daisy.

Marnie przypomniała sobie twarz z rysunków May, tamtego dzieciaka idealnie nadającego się na plakaty reklamujące ośrodki pomocy bezdomnym. Żadne z tych tutaj nie miało takich androgenicznych rysów ani aroganckiego spojrzenia, mimo bezbronności. Co się z nim stało?

– Czy ktoś z was znał May Beswick?

Popatrzyli po sobie, a potem odezwał się Joel.

– Nie bardzo. Tylko z telewizji. Widzieliśmy ją w wiadomościach.

– Nie kręciła się tutaj?

– Nie wtedy, kiedy my tu byliśmy. – Kolejna szybka wzrokowa konsultacja.
– Nie przychodzimy tutaj znowu tak długo. Raptem ostatnie dwa tygodnie i tylko wtedy, gdy pada.

Przez większość czasu w tym miesiącu faktycznie ciągle padało.

– Chciałabym mieć takie włosy – wtrąciła Daisy.

Marnie wyobraziła sobie, jak matka dziewczyny płaci za drogą koloryzację, podobnie jak za buty z kwiecistym wzorem, chętnie biorąc na siebie kosztą z powodu wyrzutów sumienia, ale też dlatego, że to krótka droga do choć chwilowego przypływu uczuć ze strony córki. Usta Daisy wyciągnęły się w smutny grymas.

– Znałeś ją, Corin? – zapytał Noah. – Znałeś May Beswick?

Chłopak posłał wystraszone spojrzenie koledze, zaciskając usta tak mocno, że odcisnął się na nich kształt zębów. Pokręcił głową.

– Wydawało mi się, że jest inaczej, kiedy komisarz Rome wspomniała jej nazwisko.

Corin wzruszył ramionami, a potem objął kolana i złapał się za łokcie.

Daisy beknęła.

– Ups, przepraszam. – Zachichotała, pokazując na puste butelki po piwie. – Wszystko przez to.

– Ile masz lat, Daisy? – Marnie uśmiechnęła się do dziewczyny. – Szesnaście?

– Siedemnaście. – Obronny ton.

– May miała szesnaście. Chodziła do szóstej klasy szkoły Roberta Fiedlera, uczyła się sztuki i designu. – Nie odwracała wzroku od twarzy nastolatki, wiedząc, że Noah obserwuje Corina. – Ty też chodzisz do szóstej, Joel?

Chłopak poruszył się nerwowo.

– Tak.

– Do której szkoły?

– Tej samej. Imienia Roberta Fiedlera.

– Mimo to nie znałeś May Beswick.

– To duża szkoła, nie znam wszystkich uczniów stamtąd.

– Skoro jej nie znałeś – zapytał Noah Corina – dlaczego jesteś taki zdenerwowany?

– Bo ona nie żyje. – Trącił nogą pustą butelkę. – Co pan, zwariował? Chryste.

Noah wyciągnął notes. To tylko rekwizyt, ale działał. Cała trójka od razu zeszywniała.

– Myślę, że powinniśmy zapisać wasze pełne nazwiska i adresy – oznajmiła Marnie.

– Przychodziła tutaj. – Daisy zaczęła bawić się włosami, ignorując groźne

spojrzenia kolegów. – Tak naprawdę jej nie znaleźliśmy, ale przychodziła tutaj czasem. Żeby rysować. – Owinęła kosmyk wokół palca, patrząc spode łba na Corina i Joela. – Nie zamierzam znowu wysłuchiwać kazań od ojca, jasne?

– Czyli przychodzicie tutaj co najmniej od trzech miesięcy. Kiedy widzieliście May po raz ostatni?

– Jeszcze przed Bożym Narodzeniem – powiedział Joel.

– Długo przed Bożym Narodzeniem – poprawiła go Daisy. – Wtedy dostałam te buty – wyciągnęła stopy przed siebie. – May nigdy ich nie widziała.

– To był Dzień Guya Fawkesa – rzucił Corin, obgryzając paznokieć kciuka. – Rysowała fajerwerki przy Elektrowni Battersea. Uwielbiała tamto miejsce.

May zaginęła ostatniego dnia roku. Dlaczego przestała przychodzić na stację metra dwa miesiące wcześniej? A może to te dzieciaki zrezygnowały, gdy zrobiło się zimno, postanawiając, że jednak lepiej siedzieć w ciepłym domu?

– Pojawiała się tutaj sama czy z kimś? – zapytała Marnie.

– Sama.

– Nie zgłosiliście się do nas, kiedy zaginęła – zauważył Noah. – Dlaczego?

– Dawno jej nie widzieliśmy, nie było sensu. Wypytywali nas w szkole i nie potrafiliśmy powiedzieć nic pożytecznego.

– No i nie chciałaś, żeby ojciec prawił ci kazania za to, że tu przychodzisz – dodał Noah.

Daisy podniosła wzrok i patrzyła na niego dłuższą chwilę, a potem pokiwała głową.

– Kto jeszcze się tu kręcił? Tylko wasza czwórka?

– Różni tacy – rzucił Corin. – Przychodzili i odchodzili. Nie jesteśmy przecież jakimś *gangiem*.

Noah znowu pokazał im wyświetlacz telefonu.

– A ona? Też przychodziła i odchodziła?

– To Ashleigh Jewell – powiedziała naiwnie Daisy. – Nigdy jej tu nie widzieliśmy.

– Ale wiecie, kim jest.

– Widzieliśmy ją w wiadomościach. Tak jak tego skinheada. Wasz Tumblr musi być strasznie smutny, same zdjęcia martwych dziewczyn i morderców...

– Kto jeszcze przychodził i odchodził w czasie, gdy pojawiała się tutaj May?

– Sasha – powiedział Joel. – Eric. Całkiem sporo nas było, ale każdy z czasem rezygnuje, jeśli może. Byle nie utknąć na tym pustkowiu.

– Sasha Ronson? – zapytał Noah.

Joel wzruszył ramionami.

– Po prostu Sasha. Nie podała nam swojego nazwiska.

– Widzieliście ją ostatnio?

– Nie. Zniknęła jeszcze przed May.

– A co z Erikiem? – wtrąciła się Marnie. – Znacie jego nazwisko?

Joel pokręcił głową.

– Eric był świrem i mało się odzywał. Poza tym i tak od dawna go tu nie ma. Chyba udało mu się uciec.

– A ci, co odchodzą, czy są w waszym wieku?

– Chyba tak... – Joel wydawał się nieobecny.

Nagle Corin się podniósł i kopnięciem usunął róg krzakiastego koca z drogi.

– Wracam do domu. Idziesz ze mną, Dee?

Daisy przeturlała się na kolana i wstała, ciągnąc za sobą koc. Owinęła go sobie wokół lewej ręki, czekając, aż dołączy do nich Joel. Chłopak posprzątał puste butelki, wrzucając je do foliowej torby, ewidentnie na pokaz.

– My je weźmiemy. – Marnie wyciągnęła rękę. – Potrzebujemy też waszych nazwisk i adresów. Na wypadek, gdybyśmy musieli się z wami skontaktować.

Nie chciała tracić tych dzieciaków z oczu. Noah wszystko spisał, a potem stanęli z Marnie z boku i patrzyli, żeby przekonać się, kto z nich pójdzie przodem. W końcu ruszyli równym krokiem niczym gang, chociaż Corin mówił coś przeciwnego, a gdy dotarli na zewnątrz, nasunęli kaptury.

– Co o tym myślisz? – Marnie rozejrzała się po zasypanej śmieciami stacji. – Warto tu ściągać techników?

– Mogli kłamać, gdy mówili, kiedy ostatni raz widzieli May. – Noah potarł dłonią kark. – Nie wydaje mi się, by rozpoznali Ledgera, ani ze zdjęcia z mojego telefonu, ani z wczorajszych wiadomości. Ale May była tutaj, i to nie raz. – Spojrzał na popękane kafelki, gdzie stary deszcz zebrał się jak ciemnobrązowa zupa. – Rysowała tutaj, w towarzystwie Ashleigh.

Marnie pokiwała głową.

– Zabezpieczmy to miejsce. Zadzwońię po techników. – Zawiązała foliową torebkę w supeł i odłożyła ją na kafelkową podłogę, gdzie leżała reszta śmieci. – Fran będzie chciała wiedzieć, że znaleźliśmy stację. Może nawet przyspieszy dla nas badania.

Noah nie kwestionował jej decyzji, raczej wydawał się uspokojony tym, że wreszcie mają co robić, nawet jeśli to coś oznaczało rozwijanie policyjnej taśmy, żeby nie wchodziło tu więcej chowających się przed deszczem dzieci.

Po rozmowie z Fran Marnie zadzwoniła jeszcze na komisariat, do Debbie.

– Potrzebujemy mundurowych. – Podała dokładną lokalizację stacji metra. – Otoczyliśmy wejście taśmą, a technicy są już w drodze, ale musimy zabezpieczyć to miejsce, dopóki nie skończą pracy. Znaleźliście coś o Grace Bradley?

Chciała usłyszeć, że nie, ale jednak...

– W bazie osób zaginionych widnieje niejaka Grace Irene Bradley. Zniknęła z domu dziecka rok temu, gdy miała czternaście lat. Próbuję w tej chwili dorwać jakieś porządne zdjęcie. To, które mi dali, mogłoby przedstawiać kogokolwiek.

W tym dziewczynę z wypadku.

– W którym domu dziecka mieszkała?

– Wolverhampton. Nie widzę na razie żadnego powiązania z Ashleigh albo May.

– Wyślij mi wszystko, co masz. A co z tą drugą dziewczyną, Christie Faulk?

– Jest następna na mojej liście. Ron niedługo do ciebie zadzwoni. Garrett daje mu się we znaki.

– Szukajcie dalej. Chcę mieć wszystko, co uda wam się znaleźć na temat Grace i Christie.

Marnie rozłączyła się i spojrzała na Noaha.

– Mundurowi są już w drodze. Mamy trop w sprawie dziewczyny z wypadku. Grace Bradley zaginęła rok temu, mieszkała wówczas w domu dziecka w Wolverhampton. Tanner właśnie to potwierdza i ma nam wysłać raport z bazy.

– To dobrze, prawda? – Noah widział jej zmarszczone czoło. – Że mamy jej nazwisko? To dobre wieści.

– Zobaczymy, co dostaniemy. – Marnie przesunęła kciukiem po wyświetlaczu telefonu, czekając na wiadomość od Debbie albo połączenie z Ronem.

SMS od Debbie był pierwszy.

Zdjęcie Grace Bradley miało niską jakość, było czarno-białe, a twarz znajdowała się w cieniu. Marnie szukała podobieństwa z dziewczyną z portretu pamięciowego i nagrania z kamery monitoringu.

– To ona?

Noah przechylił głowę, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Może. Tak. – Pokazał na szczękę dziewczyny, silną, nieznacznie wysuniętą do przodu. – Myślę, że to ona.

Marnie milczała dość długo, by zapytał:

– Skąd ten trop?

– Z Sommerville. Stephen dzwonił dzisiaj rano. Jedna z dziewczyn stamtąd, niejaka Jodie Izard, żyła na ulicy z Grace. A przynajmniej tak twierdzi Stephen. Jodie rozpoznała ją z portretu pamięciowego, który telewizja puściła wczoraj w wiadomościach. Twierdzi, że знаła też Ashleigh i May.

Twarz Noaha się wydłużyła, zmarszczyła.

– Co jeszcze?

– Zdaniem Stephena? Grace została porwana, a Jodie potrafi opisać tego, kto to zrobił. Być może naszego zabójcę. Jeśli Grace to dziewczyna z wypadku, powinniśmy przesłuchać Jodie i poznać całą historię.

– Mogę jechać. – Noah czekał na odpowiedź z neutralnym wyrazem twarzy. – Jeśli tak wolisz.

– Ja pojadę – odparła Marnie. – Chcę, żebyś został tutaj i szukał Grace.

I Christie Faulk.

MARNIE WYSZŁA ZARAZ po tym, jak pojawił się mundurowy, żeby pilnować wejścia na stację. Wzięła samochód, tym samym skazując Noaha na powrót do komisariatu metrem. Sierżant Jake wytłumaczył wszystko mundurowemu, ostrzegając go, żeby nie wpuszczał nikogo na stację, dopóki technicy nie skończą pracy.

– Uważaj szczególnie na dzieciaki. Lubią się tu kręcić.

Mundurowy spojrział w głąb tunelu i się skrzywił.

– Ja bym tam nie chciał.

To samo pomyślał sobie Noah, widząc oczami wyobraźni Corina i spółkę, chociaż oni siedzieli na kocyku z drogim piwem oraz chipsami na poprawę humoru. Wiedział, jak skomentowałby to jego ojciec: „te dzieciaki nie wiedzą, ile mają szczęścia”. Mimo to żadne nie zasłużyło sobie na śmierć taką jak May czy Ashleigh. Noah ruszył w stronę stacji metra, zastanawiając się, jak jemu samemu się poszczęściło w życiu. Miał matkę i ojca, młodszego brata. Dana. Nigdy nie musiał żyć w rodzinie, która przestała istnieć. Wystarczy spojrzeć na Marnie. Jej przybrany brat zabił rodziców, zmienił jej życie na zawsze.

Noah nie wierzył w dobre intencje Stephena. Wątpił, by Marnie w nie uwierzyła. Pojechała do Sommerville, ponieważ Jodie Izard była potencjalnym świadkiem, którego należało przesłuchać. Czy Stephen śledził na bieżąco każde śledztwo prowadzone przez Marnie? Czy to pierwszy przypadek, gdy zaofiarował swoją pomoc? Jaki miał w tym cel?

Kiedy mijał bramki, jego telefon zaczął wygrywać dzwonek Marnie.

– Utknęłam na M25. – Mówiła prędko i skrótowo. – Jak szybko możesz dotrzeć na Garrett?

– Dwadzieścia minut, góra. – Noah wszedł do tunelu, szukając wolną ręką karty miejskiej. – Co się stało?

– Napad i podpalenie. Emma Tarvin została zabrana do szpitala.

– Czyżby Abi Gull?

– Na to wygląda. Carling jest na miejscu, więc skontaktuj się z nim. Dołączę, gdy tylko będę mogła, ale najpierw muszę przesłuchać Jodie Izard. Zadzwoń do mnie, gdy dotrzesz na osiedle, i daj znać, jak sytuacja. Muszę dbać o to, by Welland był zawsze o krok przed prasą.

Na osiedlu komunalnym Garrett pracownicy biura bezpieczeństwa wspólnotowego właśnie wyładowywali z vana sprzęt do tłumienia rozruchów. Jeden z mężczyzn, uzbrojony w megafon, próbował przegonić gapiów, żeby przepuścić ekipę strażaków.

Z szóstego piętra rozcapierzały się paluchy dymu. Noaha szczypały od niego oczy, nawet z tak dużej odległości. Ruszył w stronę bloku, pokazując legitymację każdemu, kto stanął mu na drodze. Szukał chłopca na rowerze, jednak ten albo dobrze się ukrył, albo wcale go nie było.

Ron stał przy głównym wejściu i rozmawiał przez telefon.

– Jest tutaj. Tak... załatwię to. Dzięki, szefowo. – Rozłączył się. – Ale się porobiło. – Płatki sadzy pod oczami, krew na rękach. – To Emmy. Nieźle ją urządziły. Pieprzone gówniary.

– Zabrali ją do szpitala? – zapytał Noah.

– Tak. A Abi Gull siedzi już w samochodzie.

Odsunęli się na bok, żeby przepuścić strażaków wchodzących do budynku.

– Gdzie się pali? Nie w jej mieszkaniu? – Noah wyobrażał sobie zasłony w ogniu, Emmę leżącą na podłodze i próbującą zostać pod warstwą dymu, podczas gdy Abi i jej koleżanki kopały ją swoimi ciężkimi buciorami.

Ron pokręcił głową.

– Cwaniury zaproszyły ogień piętro niżej, musiały czekać, aż Tarvin wyjdzie, żeby to sprawdzić. Czatowały pod jej mieszkaniem.

– Wykurzyły ją.

– Właśnie tak. – Ron wydawał się chory z oburzenia. – Wiesz, co ta cała Abi powiedziała przy aresztowaniu? „Było warto”. Teraz przynajmniej możemy ją przyskrzynieć.

– Jej koleżanki też brały w tym udział? Ile osób aresztowaliście?

– Na razie tylko tę jedną. Założę się, że Natalie Filton też się zaangażowała,

ale zdążyła się zmyć przed naszym przybyciem. Abi miała zbyt dużo frajdy, żeby przestać, dopóki jej nie odciągnęliśmy.

– W jakim stanie jest Emma?

– Ratownicy szybko dotarli na miejsce, a staruszka jest twarda. Mam nadzieję, że nic jej nie będzie. I chcę zobaczyć jej wyraz twarzy, kiedy powiemy jej, że Abi idzie siedzieć.

Może Emma powtórzy słowa swojej oprawczyni: *Było warto*.

Strażacy właśnie schodzili na dół.

– Bardzo źle tam jest? – zapytał ich Noah.

– Już zgaszone – odparł jeden z nich. – Znowu podpalenie. Ktoś wspominał, że tym razem macie winowajcę?

– Już aresztowana. – Ron kiwnął głową. – Dużo zniszczeń?

– W mieszkaniu? Niewiele. Poszło głównie po zewnętrznym korytarzu. Jak zawsze. Myślałby kto, że się kiedyś znudzą.

– One? Nigdy – rzucił Ron. – Ale już jedną mamy. Nie wywinie się tym razem.

– Można bezpiecznie wejść na górę? – Noah chciał zobaczyć zniszczenia na własne oczy.

– O ile będzie się pan trzymał z dala od śledczych.

Noah mu podziękował i zostawił Rona przy głównym wejściu, a sam zaczął wspinać się po schodach, z czarnymi pozostałościami po pożarze na języku i głową pełną obrazów Emmy przebijającej się przez gęsty dym do miejsca, w którym tamte już na nią czekały.

Na szóstym piętrze nie było zbyt wiele do oglądania.

Płytką kałuża wody z węży, kawałki spalonego materiału i papieru pływające na jej powierzchni. Brązowe plamy sięgające aż do sufitu. Osiedle już absorbowало ten bałagan. Podpalenie zostawiało bliznę, lecz ta kryła się za wszystkimi innymi, tworząc po prostu kolejną warstwę kamuflażu Garrett.

Noah szedł dalej, na siódme piętro, licząc czas, który musiał minąć, żeby Emma dotarła do miejsca, gdzie została zaatakowana. Niecała minuta, nawet przy założeniu, że staruszka poruszała się wolniej niż on. Tyle, co nic.

Mieszkanie Emmy, gdy już przed nim stanął, wyglądało tak samo.

Przytknął dłoń bokiem do szyby, żeby zajrzeć przez okno do pokoju dziennego. Siatkowe zasłony miały teraz odcień sepii, jakby oglądał mieszkanie na starej fotografii. Widział leżące na ławie zeszyty, w których Emma spisywała notatki ze swojego jednoosobowego patrolu sąsiedzkiego.

A z wnętrza mieszkania dochodziło...

Pukanie?

Może lodówka albo bojler. Wsłuchał się w nieregularne stukanie, a potem spróbował przekręcić klamkę, spodziewając się, że drzwi będą zamknięte na klucz.

Były zatrzaśnięte, ale nie do końca, jakby ktoś zamykał je w pośpiechu. Noah wyczuł delikatny ucisk zapadki i zdołał je otworzyć.

Wszedł do korytarza. Przywitał go zapach spalonego mleka i dymu.

– Halo? Jest tu kto?

Stukanie było teraz głośniejsze. Nie dochodziło z lodówki czy bojlera, raczej jak...

Jakby ktoś uderzał stopami albo pięściami.

Noah poczuł, jak napina mu się skóra głowy. Podążył za dźwiękiem do sypialni znajdującej się z tyłu mieszkania.

– Halo? Jestem z policji. Nazywam się Noah Jake.

Na łóżku leżała kwiecista narzuta, do tego poduszki z tym samym wzorem. Okna zostały zasłonięte, cienki materiał rzucał na podłogę cienie w kształcie kwiatów.

Stukanie dochodziło z szafki wbudowanej w tylną ścianę. Drzwiczki były zabezpieczone żółtym sznurkiem do prania, który owinięto wokół uchwytów i zawiązano dobrym, marynarskim węzłem.

Noah miał problem z jego rozwiązaniem.

– Trzymaj się. Jestem z policji.

Pukanie nie ucichło, lecz jednocześnie nie stało się ani głośniejsze ani bardziej nagłać, nawet kiedy Noah powtórzył, skąd jest, żeby uspokoić więźnia.

W sypialni pachniało talkiem, drapało od niego w gardle. Noah szarpał za nylonowy sznurek, myśląc o wielkich dłoniach Emmy Tarvin. Palce pociły mu się z wysiłku.

– Już dobrze, jestem z policji, trzymaj się.

Wreszcie odwiązał sznurek, przeciągnął go przez uchwyty i rzucił za siebie...

Dziewczyna wypadła na podłogę, dysząc ciężko.

Żółty sznurek krępował jej nadgarstki i stopy, elastyczny bandaż zatykał usta.

Chuda, półnaga, związanymi rękami złapała go za nogi, ciągnąc go i podnosząc głowę, by spojrzeć na jego twarz. Noah kucnął.

Wystające kości i dziki krzyk w oczach.

Czerwone włosy, biała skóra popisana czarnym cienkopisem, siniaki...

Dziewczyna z wypadku.

Nastolatka, której szukali od czasu kraksy na drodze niedaleko stąd i którą Kenickie chciał aresztować za nieumyślne spowodowanie śmierci Logana Marsha.

Nastolatka, której imię podał im przybrany brat Marnie.

Grace Bradley.

SOMMERVILLE NIE ZMIENIŁO się. Te same lampy, pełne kurzu i martwych owadów, rzucały przytłumione światło. Ta sama akustyka czyniła z kroków Marnie dudnienie. Tyle samo zajęło oczekiwanie, aż Paul Bruton autoryzuje jej wejście do środka, chociaż dzwoniła wcześniej, by poinformować, że musi się natychmiast spotkać z Jodie Izard.

Jedna tylko rzecz okazała się inna. Marnie mogłaby wejść i wyjść niezauważona, gdyby nie musiała czekać, aż Jodie zostanie zaprowadzona do sali, w której odbywały się wizyty.

Na końcu korytarza znajdowały się przeszklone drzwi, a za nimi główne pomieszczenia ośrodka. Marnie przechodziła przez nie wielokrotnie. Nie zamierzała tego robić dzisiaj. Planowała wysłuchać Jodie i jak najszybciej wrócić do Londynu. Noah pewnie już zdążył dojechać na osiedle komunalne. Niebawem spodziewała się raportu.

Czekając na Brutona, zobaczyła mężczyznę stojącego po drugiej stronie przeszklonych drzwi. Jej wzrostu, może nieco wyższy, w dżinsach i szarej bluzie. Z szerokimi ramionami, ciemne włosy przycięte krótko maszynką. Stał bardzo spokojnie i ją obserwował.

Dopiero po tym bezruchu go rozpoznała.

Stephen Keele.

Poczuła, jak coś pali jej gardło, a w uszach dudni krew. W tych ramionach widziała siłę. Mógłby ją pokonać. Jego cień padał na ścianę.

Patrzyli na siebie z dwóch krańców korytarza.

Stephen skończył dziewiętnaście lat. Kiedy ostatni raz go widziała, był jeszcze chłopcem, chudziwą z czarnymi włosami i czerwonymi ustami.

Teraz ledwo potrafiła rozpoznać go w tym mężczyźnie stojącym za szybą.

Jakim cudem tak bardzo się zmienił w ciągu ostatnich sześciu miesięcy? Nie musiała oczywiście pytać o powód. W końcu przenoszą go do więzienia dla dorosłych – musiał ćwiczyć, nabrać tężyzny. Dziesięć lat temu była w stanie go podnieść i posadzić na huśtawce w ogrodzie rodziców. Teraz wydawał się niebezpieczny, nie do ruszenia. Nie chodziło tylko o napompowane mięśnie i krótko ostrzyżone włosy. Raczej o to, jak trzymał głowę; jakby szykował się do walki.

Jego wrogość pokonała dziesięć metrów i dotarła do Marnie, która musiała z całych sił powstrzymać się przed instynktowną ucieczką. Poczula, jak ciepło obmywa jej kark i kolana. Jakby rumieniła się ze wstydu. Tylko że to nie ona powinna się wstydzić. Nie zrobiła nic złego, po prostu opłakiwała śmierć rodziców i zadawała pytania, nie wycofując się nawet wtedy, gdy stało się jasne, że on nie chce albo nie może udzielić żadnych odpowiedzi. Smak gniewu w gardle, słony jak łzy...

Stracił swój kamuflaż. Nie – pozbył się go. Pozbył się ostatnich znaków świadczących o tym, że jest dzieckiem. Nie miał już swoich kręconych włosów, wąskich ramion i przezroczystego wzroku, którym ciągle przypominał jej, że obiecała rodzicom zaopiekować się młodszym bratem. Chłopcem, którego uratowali z domu dziecka, chcąc dać mu nowe życie. Sześć lat próbowali go kochać. Teraz w tym mężczyźnie stojącym za przeszklonymi drzwiami nie został nawet ślad po tym chłopcu. Zniknął...

Zniknął.

Dobrze.

Teraz mogę go znienawidzić.

Wstrząsnęła nią siła tej konstatacji. Na sekundę znalazła się w euforii, zrobiło jej się lekko, jakby spadała. Bezwiednie ruszyła w stronę przeszklonych drzwi, w stronę Stephena.

– Komisarz Rome?

Czas jakby zwolnił. Poczula, jak się rozciąga, każdy krok wydawał się zajmować wieki.

Zatrzymała się krok od niego.

Stephen nie poruszył się, cały czas stał za drzwiami.

Światło wymiotło krew spod jego skóry, rysując mu twarz w czerni i bieli. Marnie była dość blisko, by zobaczyć plamki na jego tęczęwkach.

– Komisarz Rome? – Paul Bruton stał w drzwiach do sali, w której miała się spotkać z Jodie.

Marnie widziała go, nie patrząc, nie przerywając kontaktu wzrokowego ze Stephenem. Bolały ją dłonie. Dopiero teraz się zorientowała, że zacisnęła je w pięści.

Wycofała się. Rozluźniła ręce. Odwróciła się twarzą do Brutona.

– Jodie już czeka. – Bruton patrzył nie na Marnie, tylko dalej, na przeszklone drzwi, lecz stał zbyt daleko, by dojrzeć to, co zobaczyła w oczach Stephena.

Pod warstwą wrogości, świeżo wykutej agresji, znajdował się uśmiech.

Stephen się uśmiechał.

Cieszył się, że skłonił ją do przyjazdu, ale nie tylko.

Cieszył się, że go znienawdziła.

I zaczęła się go bać, wreszcie.

MARNIE NIE BYŁA jedyną osobą, która bała się Stephena Keele'a.

Skulona na krześle Jodie Izard właśnie z zapalem skubała skórki wokół paznokci.

– Jodie, to jest komisarz Marnie Rome – powiedział Bruton. – Chce ci zadać kilka pytań. Jeśli sobie życzysz, mogę zostać.

– Nie trzeba. – Przeniosła wzrok z Brutona na Marnie. Włosy w kolorze popielatego blondu sięgały jej do ramion, końcówki były spalone od rozjaśniacza. Na grube czarne legginsy ubrała również czarną nylonową sportową spódnicę, a do tego adidas. Obcisły biały top podkreślał sztuczną opalenizną na ramionach i odkrytej części klatki piersiowej. Twarz miała owalną, pokrytą tanim makijażem z resztkami błyszczycy na krawędzi ust, ze świeżo przekłutym nosem. Oczy miała ładne, morskie i wystraszone.

Poczekala, aż Bruton wyjdzie z pomieszczenia, i powiedziała:

– Jesteś jego siostrą. – Mówiła cicho, z akcentem z Somerset. – To tobie... – Ugryzła się w język.

To tobie... Co? Co Stephen powiedział tej dziewczynie?

– Jestem tutaj, żeby porozmawiać o Grace Bradley. – Uśmiechnęła się do dziewczyny zachęcająco, lecz nie naiwnie. Stephen wspominał, że Jodie to kłamczucha, a Marnie znała się na kłamstwie. – Co możesz mi o niej powiedzieć?

– Znałam ją z ulicy. – Nie potrafiła oderwać wzroku od Marnie. – Poznałyśmy się w Gloucester, jakiś rok temu, może wcześniej. Było zimno, tyle

pamiętam. Z tej Grace to niezłe ziółko. Łamała wszystkie zasady, robiła, co chciała, ale nienawidziła zimna. Dostała propozycję i się zmyła. Szkoda, że ja nie miałam tyle farta. – Wyrzucała z siebie informacje nieskładnie i szybko, chcąc jak najszybciej mieć to z głowy. – On zabił twoich rodziców. Mówił, że ich zadźgał...

– Gdzie poszła Grace? Wspominałaś, że dostała propozycję. Jakiego rodzaju propozycję? I kto ją złożył?

– Chyba była przekonana, że to bezpieczne. Jak się sypia na ulicy, to się różne rzeczy dzieją. A to ktoś cię opluje, a to na ciebie nasika. Ludzie uważają bezdomnych za ścierwo. Czasem trafia się seks. Ale to jak się poszczęści. – Pochyliła się do przodu. W świetle lampy sufitowej jej oczy błyszczały jak u kota. – On mówił, że tego chciałaś. Że ty i on...

– Grace dostała propozycję seksualną, to próbujesz mi powiedzieć?

Marnie nie chciała słuchać o kłamstwach, którymi Stephen karmił tę dziewczynę i pewnie całe Sommerville. Kiedy tu przyjeżdżała, dzieciaki zawsze patrzyły na nią dziwnie. Myślała, że to z powodu jej zawodu, że stąd te palące spojrzenia. Teraz wszystko stało się jasne. Pod osłoną blatu stołu zacisnęła dłonie, koncentrując się na tęym bólu towarzyszącym wbijaniu paznokci w skórę.

– Kto jej złożył tę propozycję? I jak brzmiała?

– Nie chodziło o seks – odparła Jodie, wypychając policzek językiem. – Nie wszyscy jesteście zbrojeńcami.

Lampa nad nimi zaczęła bzyzczyć, jakby wpadła do niej osa.

– I co potem? Gdzie się podziała Grace?

– Gdzieś, gdzie było bezpiecznie. – Wzruszenie ramion. – Tylko tego wszystkim nam trzeba, prawda? Bezpiecznej miejscówki.

– I gdzie była ta bezpieczna miejscówka dla Grace?

– Gdzieś z dala od ulicy. Gdzie było ciepło. To nie tak, że każde z nas może wrócić do domu. – Ostatnie słowo wypowiedziała jak przekleństwo, wciąż świdrując Marnie wzrokiem. – Grace nie mogła. Macocha chciała jej zmienić imię, bo stwierdziła, że Grace jest takie staromodne, a lepsze będzie Ray albo coś w ten deseń. Wyrzuciła wszystkie jej rzeczy, ubrania i zabawki. Chciała ją ubrać w różową sukienkę druhny i żeby zapuściła włosy, by ładnie wyglądała na ślubie ojca. Kazała nazywać się mamą, jakby to wcale nie było dziwne, jakby nie robiło jej źle z głową. Grace mówiła, że tamta ją dosłownie usunęła. Że przecież mieszkała w swoim domu, a tamta ją po prostu usunęła.

– Kto złożył propozycję Grace i dokąd ona poszła? To gdzieś w Gloucester?

– Wątpię. Nigdy więcej jej nie widziałam. – Dotknęła gojącego się miejsca na nosie. – Powodzenia dla tego, kto ją przyjął. Pewnie rozwaliła mu łeb i ukradła portfel. To wariatka.

– Widziałaś tego, kto ją zabrał?

– Może.

Po raz pierwszy odwróciła wzrok od Marnie. Kłamała. Stephen to przewidział. Chyba że... Czy to możliwe, żeby on kazał jej kłamać? Żeby zatrzymać tu Marnie na dłużej?

– Jeśli go widziałaś, muszę o tym wiedzieć. Dwie dziewczyny nie żyją. Takie jak Grace, które nie chciały mieszkać w domu, ale na ulicy nie były bezpieczne. Nie miały dość szczęścia, żeby trafić do poprawczaka za kradzież i mieć ciepły kąć do spania. Nie żyją. Jeśli masz informacje, które pomogłyby nam znaleźć osobę odpowiedzialną za ich śmierć, musisz mi je podać natychmiast. Zapomnij, co kazał ci robić Stephen Keele czy ktokolwiek inny. Mów.

Dziewczyna znowu zaczęła się w nią wpatrywać, zaaferowana przemową. Zerknęła na drzwi, jakby przypomniawszy sobie, gdzie się znajduje. Na jej twarz wrócił strach.

– Szanuję cię, okej? Jesteś jego siostrą. – Nie bała się ani policji, ani Marnie. Bała się Stephena.

– Powiedz mi, co wiesz o tym, kto zabrał Grace – powtórzyła Marnie.

– Nie przyjrzałam mu się dobrze, ale to mógł być on. Tak. Ten z telewizji, którego teraz szukacie. To mógł być on.

Marnie nie wypowiedziała imienia Ledgera, żeby przekonać się, czy zrobi to Jodie. Jeśli widziała Ledgera na własne oczy, z pewnością zapamiętałaby jego nazwisko z wiadomości. Nawet jeśli rok wcześniej nie miała pojęcia, jak on się nazywa, teraz by zapamiętała. Jodie nie odzywała się, patrząc na Marnie swoimi pięknymi oczami, chcąc ją za wszelką cenę zadowolić, bo musi szanować siostrę Stephena. Jeśli taką miała motywację, Marnie mogła to wykorzystać.

– Porozmawiajmy o Stephenie. Podyktował ci, co masz mi powiedzieć, prawda? Wydał ci rozkaz, instrukcje. Nie chciałaś go denerwować, więc się zgodziłaś.

– Nigdy. – Wciągnęła głośno powietrze i zacisnęła usta. – Widziałam Grace. Okej? Znałam ją.

– Ale nie widziałaś tego, który ją porwał. Nie widziałaś, jak Jamie Ledger czy ktokolwiek inny zabiera ją z ulicy. Prawda?

Jodie zawahała się, zastanawiając się nad możliwymi scenariuszami, rozdarła między dwoma rodzajami strachu.

– Jeśli okłamiesz policję – powiedziała Marnie – dokonasz przestępstwa. Przedłużą ci pobyt tutaj, a do tego mnie wkurzysz. A tego nie chcesz, uwierz mi.

– Ale ciebie tu nie ma – syknęła przez zęby. – A on jest.

– Już niedługo. Przenoszą go do więzienia dla dorosłych. Złożyłaś fałszywe zeznania na marne. Widziałaś, kto porwał Grace Bradley?

Jodie pokręciła głową.

– Mogłaś go tu nie wysłać. Mogłaś pokazać dowody...

– Jakie dowody? – zapytała z naciskiem Marnie.

– Mogłaś im powiedzieć, dlaczego to zrobił.

– *Ja* mogłam im powiedzieć? – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. –
Twoim zdaniem ja to wiem?

Zupełnie jakby przez cały ten czas trzymała odpowiedzi jak asa w rękawie.
Jakimi dokładnie kłamstwami Stephen karmił tę dziewczynę? Tymi samymi, które
wciskał Marnie?

– Zrobił to dla ciebie – oznajmiła Jodie. – Z powodu tego, co was łączyło.

Znowu to kłamstwo.

Marnie miała już go dosyć.

Przebiły się przez nią kolce gniewu. Te same gorące i ostre kolce, jak wtedy,
gdy miała piętnaście lat.

– Z powodu tego, co nas łączyło? Nic nas nie łączyło.

Jodie pokręciła głową.

– Mogłaś im powiedzieć, ale nie powiedziałaś. To dlatego jest na ciebie tak
wkurzony. – Wciągnęła powietrze. – To dlatego cię wykończy.

Christie

ZA CHWILĘ MIAŁO padać, a ulica huczała światłem i stalową przestrzenią. Christie stała niepewnie i mrużyła oczy. Wyjście na zewnątrz zawsze skutkowało wstrząsem. Choć ubrana w dzinsy i płaszcz, czuła się naga. Przez sekundę pożałowała, że nie może cofnąć się o dwa lata. Do czasu, kiedy była niewidzialna.

Harm stał w oknie i patrzył, jak odchodzi. Czuła, jak jego spojrzenie słabnie, kiedy dotarła do rogu ulicy. Powiedział wcześniej, że wybaczył jej za Grace i Ashleigh.

Mimo to wycedził polecenie, by przyprowadziła mu nową dziewczynę.

Przeszła między zaparkowanymi samochodami, chowając dłonie w rękawach. Znalazła się zbyt daleko, by Harm mógł ją wypatrzyć, niemniej nadal czuła łączącą ich nitkę, jakby sama ich zszyła – przebiła skórę igłą i drugi koniec przyłączyła do jego łopatek albo powiek. Harm obserwował ją nawet wtedy, gdy zanurkowała do stacji metra.

Było tam pełno ludzi, ich zapach połykał ją w całości. Drżącymi palcami wstukowała ciąg cyfr na klawiaturze automatu do biletów, włożyła kartę kredytową z powrotem do kieszeni i ruszyła w stronę bramek.

Jeden przystanek, bardzo dużo schodów.

Wyszła na niebieskie światło sklepu sprzedającego kawę i drożdżówki. Od zapachu ścisnęło ją w żołądku. Tak dawno nie jadła nic dobrego. Nie, wcale nie. Teraz jadła tak, jak należy. Kawa powoduje odwodnienie, a słodkie drożdżówki to puste kalorie, które czynią człowieka powolnym i chorym. Twarz Christie patrzyła na nią głodnym wzrokiem z odbicia w szybie. Zmusiła się do uśmiechu. *Gorąca czekolada*. Dotknęła językiem ust, poczuła słodki i tłusty smak i przez sekundę chciała uciec. Zerwać nitkę. Uwolnić się, odejść. Za późno, było już za późno.

Odwróciła się plecami do sklepu i ruszyła w stronę tunelu.

Stacja stała z otwartą paszczą zwróconą w kierunku ulicy. Z dachu ciekło, kiedy wemknęła się do środka, uciekając przed deszczem.

Nagle Londynu już nie było. Hałas, który niosła ze sobą, zniknął, podobnie jak metaliczno-mięsny zapach metra. Prostokątne pudełka na ścianach dawały pomarańczowe światło, lecz cofało się ono do gardła tunelu. Ciemnego, suchego. Pamiętała to miejsce. Jak dziwnie było czuć ciepło, skoro nie ma tu drzwi, a wiatr mógł wiewać deszcz do środka. Rury pod podłogą biegły aż do elektrowni. Harm jej o tym powiedział. Całe kilometry rur, które zabierały nadmiarową parę do osiedla komunalnego po drugiej stronie rzeki.

Czworo dzieciaków na podłodze, twarze ukryte w kapturach, puste butelki dokoła. Siedzieli jak w jaskini, z opuszczonymi rękami, pochylonymi głowami. Jeśli Christie dobrze to rozegra, jutro będzie miała troje nowych dzieciaków.

– Szukam Neve.

Dwie twarze obróciły się w jej stronę. Zignorowała płomień pogardy, który rozgorzał pod jej żebrami, i dokonała instynktownej oceny. Dziewczyna z dużymi oczami, to ona. To ją wybrałby Harm. Była młodzietka i wydawała się zagubiona.

– Neve – powtórzyła Christie. – Ktoś z was ją widział?

– Nie. – Jeden z chłopaków odezwał się w imieniu całej grupy. Twardziel, a przynajmniej za takiego chciał uchodzić. Gdyby był twardzielem, nie chowałby się tutaj przy pierwszych kroplach deszczu.

– Cholera. – Oparła się o ścianę, a potem zsunęła po niej i usiadła na podłodze. – Cholera jasna.

Chłopak gapił się na nią i poruszał ustami.

– No co?

– Ona chyba nie żyje. – Christie odchyliła głowę do tyłu i dotknęła ściany pod znakiem *Fearz*. – Neve chyba nie żyje.

– A kim jest Neve? – Dziewczyna z dużymi oczami miała kolce w głosie.

– Moją siostrą. – Christie wytarła twarz mankietem koszulki. – Neve to moja siostra. – Mówiła prawie prawdę. Neve była siostrą Harma; tą, którą uznał za

zmarłą. – Wszędzie jej już szukałam, w całym Londynie. Wszędzie, gdzie kiedyś chodziła. – Zaczęła uderzać butem w popękane kafelki. – Kurwa. *Kurwa.*

– Nie widzieliśmy jej – rzucił chłopak. – Przykro mi.

– Nieważne. Zniknęła na dobre. Tylko jakoś nie potrafię przestać jej szukać, wiecie?

Cisza. Czują sączące się pod jej nogami ciepło. Kilometry rur wypełnionych parą z od dawna martwych kominów elektrowni. Jakby jądro ziemi wędrowało do góry.

– Myślisz, że ktoś ją zabił? – Wielkooka wyglądała na dwunasto-, może trzynastolatkę. Potargane włosy w kolorze jeżyn. Za duże ubrania, zupełnie jak oczy. Kolce w głosie i spojrzeniu.

– Nie wiem – odparła Christie. – Może. To się zdarza.

– Zdarzyło się niedawno – zauważyła Wielkooka. – Więcej niż raz.

Chłopak pokiwał poważnie głową.

– Policja była tu wcześniej. Musieliśmy poczekać, aż się zmyją. Szukają zabójcy.

– Tak, słyszałam o tym.

– Twoim zdaniem właśnie to przytrafiło się twojej siostrze?

– Nie wiem. – Zamknęła oczy. – Głupio wyszło, bo akurat teraz mam dla nas miejscówkę, bezpieczną miejscówkę. Tego właśnie chciała i gdyby tylko poczekała jeszcze ze dwa, trzy tygodnie... – Urwała, kręcąc głową.

– Gdzie? – zapytała Wielkooka.

– Co proszę? – Zaczęła pocierać kark, jakby była zmęczona, a pytanie czy odpowiedź ją nie interesowały.

– Gdzie jest ta miejscówka? Wspominałaś o jakimś bezpiecznym miejscu.

Wielkooka była szybka, nie jak Aimee. Harm by tego nie zauważył, nie od razu. Najpierw dostrzegłby jej twarz, zagubioną pośród potarganych włosów, i te skulone ramiona. Spodobałaby mu się, aż byłoby za późno. Wybrałby ją. Aż byłoby za późno.

– No, poszczęściło mi się. Dla Neve jest już za późno...

– Jakiś squat? – Chłopak miał gdzie wracać. Tylko ktoś, kto ma własny dom, powiedziałby coś takiego. Squat, jak coś modnego, co wyczytał w książce albo na stronie internetowej.

Christie otworzyła oczy, ale odwróciła głowę.

– Nie squat.

Wielkie oczy wpatrywały się w nią. Spojrzenie dziewczyny było gorące, jak Harma. Wyzwoliło w Christie gniew.

– Odwal się, dobra? I tak nie ma już wolnego miejsca. Dla nikogo. Mamy komplet.

– Jak dawno zaginęła? – zapytała Wielkooka. – Pytam o Neve.

– Kilka tygodni, miesięcy temu. – Niedobrze. Powinna to dokładnie wiedzieć. Powinna liczyć każdą godzinę. – Trzydzieści tygodni i cztery dni.

Wielkooka pokiwała głową i spuściła wzrok.

– Przykro mi – rzuciła, tracąc trochę swoich kolców.

– Nieważne. – Oddech. – A tak w ogóle jestem Christie.

– Siema. – Dzieciaki przywitały się z nią jeden po drugim. Chłopak powiedział, że nazywa się Joel, pozostali też podali swoje imiona. Wielkooka nie. Była ostrożna.

Christie nie wyglądała już jak jedna z nich. Czy o to chodziło? Straciła swój kamuflaż. W przypadku Grace i innych było łatwo. Wystarczyło wspomnieć o domu – ciepłym, z jedzeniem i łózkami – i szły jak myszy tropem okruszków. Wielkooka traktowała ją podejrzliwie, tak jak Christie kiedyś tamtego bogatego dziwaka w foliowym płaszczu. Czyżby sama też się taka stała? Też wzbudzała strach? Albo jak ta para dewotów, którzy chcieli, żeby była gotowa na to, co miało przyjść, chociaż nie mieli zielonego pojęcia, co by to miało być. Harm uratował ją przed zbrodnią, przed groźbami i obietnicami. Zaciągnęła u niego dług. Ale nawet gdyby nie, nie mogła wrócić z pustymi rękami. Mogła za to wziąć kogoś, kogo się nie spodziewał i kto przypomni mu, dlaczego wciąż potrzebuje jej. Christie. Nie będzie wiedział, co począć z Wielkooką, nie bez jej pomocy.

– Znaliście je? – rzuciła. – Te dziewczyny, które zostały zamordowane.

Joel popatrzył na Wielkooką, ale zaraz pokręcił głową.

– Słyszeliśmy o nich z wiadomości.

– Macie gdzie się podziać? – zapytała nieśmiało. – Gdzieś, gdzie będzie bezpieczniej niż tutaj.

– Zależy, co masz na myśli – odparł Joel, jakby miał jakąś historię do opowiedzenia.

Christie potrafiła się domyślić jej treści. Bicie. Tacy chłopcy jak Joel zawsze uważali, że to czyni ich kimś wyjątkowym. Tacy chłopcy jak Joel nie doceniali tego, co mają. Nosił na nadgarstku zegarek, za który inni mogliby zabić. I wciąż mogą. Christie potrafiła wyobrazić go sobie martwego. Na jego twarzy wymalowałyby się „nie zasłużyłem sobie na to”. Ale zasługiwał. Tym, że siedział tutaj i pił piwo ze szklanych butelek, opowiadając rzewne historyjki kolegom, a każde z nich miało dokąd wracać. Tylko udawali zagubionych. Jakby deszcz był tylko ciepłym strumieniem, po którym chwilę będą brodzić i pójdą do domu, do ciepłych łóżek.

Wielkooka była inna. Wydawała się zagubiona, ale to mógł być kamuflaż albo złudzenie optyczne. Christie nie mogła mieć pewności, dopóki nie zabierze dziewczyny do Harma.

– A co z tobą? – Tunel zabierał jej słowa i oddawał twardsze.

Łagodnie, powtarzał zawsze Harm. Łagodnie, łagodnie.

– Co ze mną? – Wielkie oczy wpatrywały się w Christie, nasączając ją swoim spojrzeniem. Widziała ją. Tak jak Harm zobaczył ją dwa lata wcześniej, tak jak nikt wcześniej jej nie widział. Christie miała ochotę krzyczeć. Chciała kopać te dzieciaki tak długo, aż jej buty zaczną się lepić.

Przyprowadź mi nową.

– Masz gdzie się podziać? – zapytała łagodnie.

– Nie – odparła Wielkooka. Skłamała, ale była dobra.

Nie obchodziło ją, czy Christie jej uwierzy czy nie. Nie była jak Joel i reszta; dla niej to nie była zabawa. Znalazła się tutaj, ponieważ uciekła przed tym, co oferowało jej życie. Przed łzami, wstydem i całą resztą. Nic dla niej nie zostało. Dotarła do granicy.

Christie wyobraziła sobie dom Wielkookiej, podobny do tego, z którego sama uciekła przed laty. Elegancki dom na eleganckiej ulicy. Zasłonki w oknach, jasne dywany. W progu zdejmować buty, pierwsza zasada. Drewniane parkiety na parterze, których skrzywienie śledziło cię, gdy zakradałaś się w nocy do lodówki, by napić się mleka z kartonu w białym blasku bijącym z wnętrza. Eleganccy ludzie śpiący w łóżkach na piętrze. Mężczyzna i kobieta, on z brązowymi włosami i oczami, ona z pasemkami farbowanymi za grube pieniądze co sześć tygodni, ciałem twardym, niedającym ciepła. Mleko smakuje niebiesko i tłusto, a z kartonu go pić nie można, druga zasada. Przez okno w kuchni obserwują cię kocie oczy. Na noc zamykają zwierzę na zewnątrz. Ciebie też powinni. Na drzwiach lodówki magnesy z listami, co zrobić i co kupić, cele do osiągnięcia na ten tydzień. Zimny oddech urządzenia porusza karteczkami, ale magnesy utrzymują je w miejscu. Pijesz tak łapczywie, że mleko się rozlewa, plami kołnierzyk koszulki. Rano będziesz śmierdziała. Odchylasz głowę i pijesz, widząc swoje odbicie w miedzianym brzuchu żyrandola, chciwie ssące papierowe usta kartonu, twoje ciało jest kanciaste, rysy twarzy rozsmarowane tłusto. Jesteś gorzej niż brzydka.

Właśnie taki dom wyobrażała sobie Christie dla Wielkookiej.

Niczego nie pragnęła, miała wszystko. Nie narzekała, poza tym, że nie mogła jeść, nie mogła oddychać, nie mogła żyć.

Tak samo było dla Wielkookiej.

Dotarła do granicy samej siebie.

Była gotowa, by ją zetrzeć, jak Ashleigh i May.

Wielkooka chciała umrzeć.

Christie mogła jej w tym pomóc.

– GRACE MUSIAŁA TU siedzieć przez cały ten czas – powiedział Noah Marnie. – Kiedy rozmawialiśmy z Emmą o wypadku, kiedy opowiadała nam o podpaleniach. Dziewczyna cały ten czas siedziała w szafce. – We wnętrzu mebla cuchnęło strachem nastolatki. – W jej kieszeni znaleźliśmy karteczkę z adresem i nazwiskiem Emmy. Ktoś powiedział jej, że to bezpieczne miejsce... Zdaniem ratowników nie jąłła od trzech dni, może nawet dłużej. Podano jej środki uspokajające. Odwodniła się. Miała też drgawki, jak mówiła Fran, ale to równie dobrze mógł być wynik szoku. – Odwrócił się, by spojrzeć na sypialnię Emmy Tarvin. – Nie mogę w to uwierzyć. A ty?

Nie mógł uwierzyć, żeby siedemdziesięciosześcioletnia kobieta mogła uwięzić piętnastolatkę. Głodzić. Związać i pobić. A może to arogancja Emmy go tak dziwiła, to picie herbatki z policją, gdy w pokoju obok znajdowała się poszukiwana przez nich dziewczyna. Jak dużo pewności siebie i jak mało wiary w ich umiejętności miała Emma, która zapraszała do siebie policję swoimi ciągłymi doniesieniami na Abi i jej koleżanki?

Na stoliku przy łóżku stała szklanka jonizowanej wody, do której staruszka wkładała swoją sztuczką szczękę. Marnie wyobraziła sobie zęby szczerzące się w środku.

– I dlaczego? – powiedział Noah. – Dlaczego to zrobiła?

– Nie wiem – odparła Marnie – ale zastanawiam się, czy Abi Gull może mieć o tym jakieś pojęcie.

– Tak – oznajmiła Abi. – Wiem, kim jest ta stara prukwa. Wreszcie się zainteresowaliście.

– To kim jest? – zapytała Marnie.

– Suką. – Schowała zaciśnięte pięści do kieszeni bluzy. – Pieprzoną morderczą suką.

– Kogo zamordowała?

Abi gapiła się w ścianę. Nie zamierzała powiedzieć jego imienia, nie tutaj. Niemniej Marnie sprawdziła to i owo po tym, jak Ron zgłosił pożar, a raczej poprosiła Colina, by sprawdził, podczas gdy ona wyruszyła w drogę do Sommerville. Dzięki Colinowi wiedziała dokładnie, co ukrywa Abi.

– Było warto, to powiedziałaś Carlingowi. Warto było dać się złapać. Warto było dać się aresztować.

Abi nie wybrała Emmy na ofiarę przypadkowo. Podpalenia były osobistą wendetką, podobnie przemoc, jaką widziała wcześniej w oczach Emmy Tarvin, a teraz w oczach Abi.

– Twój brat Clarke zmarł w styczniu z przedawkowania.

– No i? – Tym samym tonem dziewczyna pytała kiedyś, czy to samo było przyczyną śmierci Ashleigh Jewell. – Co to niby ma do rzeczy?

Marnie podejrzewała, że Abi sprzedaje narkotyki. Zmieniła jednak zdanie, gdy dowiedziała się, jaki los spotkał jej brata.

– Clarke miał dziesięć lat. Jak długo był uzależniony?

– On nie był *uzależniony*. – Kopnięcie w nogę stołu. – Suko.

– Skąd wziął narkotyki, które go zabiły?

Cisza. Z policją się nie rozmawia; dziewczyna miała tę zasadę wypisaną na twarzy.

– Daj spokój. Przecież to oczywiste. Dostał je od Emmy Tarvin.

– A potraficie to udowodnić, ha? – Abi bała się Emmy. Nie była tak przerażona jak Grace, ale w końcu Emma nie zamknęła Abi w szafce i nie pobiła jej laską.

– Obserwowałaś ją – powiedziała Marnie. – Widziałaś, jak Grace Bradley wchodzi do jej mieszkania we wtorek w nocy? W dniu wypadku?

– Widziałam mnóstwo dzieciaków, jak wchodziły do jej mieszkania.

– Widziałaś, że szukamy dziewczyny z czerwonymi włosami. Carling pokazywał ci zdjęcie.

Abi pokręciła głową, niechętnie, jakby powiedzenie prawdy sprawiało jej ból.

– Nigdy jej nie widziałam.

– Jak często Tarvin wychodzi z domu?

– Za rzadko, inaczej już bym ją załatwiła, co nie?

– Znaleźliśmy w jej mieszkaniu leki na receptę. Przeciwbólowe. Antydepresanty. Zbyt wiele jak na jedną osobę, niemniej ma na wszystko recepty. Dlatego mamy dowód gromadzenia zapasów, jednak nie sprzedazy.

– Innymi słowy, gównu możecie zrobić. Tak jak gównu zrobiliście w sprawie Clarke’a. – Abi pochyliła się do przodu, wgniatając palec w blat stołu. – Mówiłam policji, kim jest ta suka, mówiłam, że widziałam dzieciaki wchodzące do jej mieszkania i wychodzące nagrzane tym, co im sprzedawała. Każe im robić zakupy, załatwiać różne sprawy, co tylko zechce. Ona ma własną czujkę, do kurwy nędzy. Właśnie dzięki temu może gnić w chałupie, bo wszyscy jej usługują. Uwielbia, jak się jej podlizujemy, bo nas nienawidzi, żałuje, że nie zdechliśmy jak Clarke. Cukierki, tak je nazywa. To nie jest ani kokaina, ani heroina. Da cukierki każdemu, kto ma jaja, żeby ją o nie poprosić. I to maluchom, nawet tym najmniejszym.

– Jak się nazywa jej czujka? – zapytał Noah.

– Linton Mays. – Skrzywiła pogardliwie usta. – Kumpłował się z Clarkiem, dopóki się nie zrobiło źle. Teraz pracuje dla tej prukwy. Mówi jej, kto jest nowy, kto by chciał działkę. Dba o to, by nikt nie przeszkodził jej w interesach.

– Jedenastolatek w czapce, na rowerze. To Linton Mays?

Pokiwała głową. Zamrugwała.

– Fajny był z niego chłopak, dopóki nie trafił w jej łapy.

– Znasz kogoś, kto nazywa się Christie Faulk? Linton twierdzi, że kiedyś przychodziła na osiedle.

– *Christie*. – Abi skrzyżowała ręce na piersi. – Znam, a co?

– Widziałas ją ostatnio? – zapytał Noah.

– Nie, odkąd się wyskrobała.

– Christie miała aborcję?

– Puszczala się dla tej starej prukwy, więc tak, miała aborcję, bo tamta jej kazała. A potem i tak ją wyrzuciła. Taka z niej suka. Pozwala u siebie zostać, udaje, że cię lubi, a ty się nabierasz, bo jest stara, jak babcia. Uzależnia cię od swojego towaru, aż jesteś gotowy zapłacić każdą cenę. Kradzieże, puszczenie się. Christie się wprowadziła i Emma nagle stała się dla niej bogiem. Dziewczyna gotowała, sprzątała, robiła zakupy. Byłaby gotowa ogolić sobie głowę, gdyby ta suka sobie zażyczyła. Ale Tarvin wywaliła ją na zbity pysk, gdy tylko zobaczyła, co się święci.

– A co się święciło? – zapytała Marnie.

Abi zaczęła wwiercać sobie palec w skroń.

– Wariatka. Robiła wszystko, co chciała Emma. Ubierała się jak dziwka, dawała każdemu, nawet staruchom, których nikt inny nie chciał dotknąć. Tarvin lubiła ją puszczać z dziwakami. Znalazła Christie na ulicy, więc dziewczyna pewnie się bała, że będzie musiała tam wrócić. Zawsze starała się dopasować,

wszystkich zadowolici. Głupia krowa.

– Emma znalazła Christie na ulicy?

– Tamta zebrała, tak słyszałam. Głupia krowa pewnie myślała, że właśnie została uratowana. Była jej taka wdzięczna, że aż się rzygać chciało. Taka lojalna. Nic nie było dla niej problemem, dopóki Emma widziała w niej kogoś. Jakby robieniem loda można było zarobić na ponowne rozpatrzenie sprawy.

Noah próbował sobie wyobrazić dziewczynę opisywaną przez Abi. Desperacko próbującą zadowolić otoczenie, gorączkowo szukającą oparcia w miejscu, które z początku musiało jej się wydawać szansą na normalne życie. Z kobietą tak starą, że mogłaby być jej babcią, której trzeba pomagać przy zakupach i sprzątaniu. Christie czuła się u niej potrzebna, ceniona. Jak wpłynął na nią fakt, że została wyrzucona przez swoją zbawczynię?

– Kiedy ostatni raz widziałaś Christie? – zapytała Marnie.

– Przed Bożym Narodzeniem. Długo przed.

– Linton powiedział, że widział ją z Ashleigh Jewell.

– Tak? Ja nie, ale to ma sens. Pewnie robiła za dziwkę dla tej starej prukwy. Mówiła mi, że jak kiedyś wpadnę w kłopoty, mogę poprosić Emmę o pomoc. Wszystkim dziewczynom wciskała ten kit. Poważnie, to *wariatka*. Jeśli jej szukacie, lepiej od razu weźcie ze sobą kaftan bezpieczeństwa.

– Widziałaś ją kiedyś z tym mężczyzną? – Noah pokazał jej na ekranie telefonu zdjęcie Ledgera.

– Widziałam ją z całym mnóstwem kolesi. – Abi nawet nie spojrzała na fotografię. – To nie o facetów musicie się martwić. Tylko o nią. Tarvin. I o dzieci. O nas. Co zrobicie w naszej sprawie? – Jej oczy płonęły. – Chodziły do niej ośmiolatki. Maluchy. Ją to gównu obchodzi, tylko czeka, żeby ją błagały. „Proszę, pani Tarvin”. „Dziękuję, pani Tarvin”. Ona ma nierówno pod sufitem. To więdźma. – Odchyliła się gwałtownie do tyłu. – Skopałam jej dupę i wiecie co? Żałuję, że tylko tyle. Że przestałam, zanim zdechła. Żeby nikt z nas więcej u niej nie wylądował.

Nagle w jej rozpalonym spojrzeniu błysnęły łzy i Abi na powrót zmieniła się w trzynastolatkę rozpaczającą po śmierci brata, smutną i wystraszoną.

– Żadne z nas nie jest tam bezpieczne. Żadne.

Po powrocie do sali koordynacyjnej Noah uzupełnił notatki na tablicy o szczegóły na temat Grace Bradley, a także informacje przekazane im przez Abi Gull.

– W szpitalu powiedzieli nam, że nie możemy przesłuchać Emmy, dopóki nie obejrzy jej lekarz. Grace to inny problem. Możemy ją odwiedzić, ale nie powie nam ani słowa. Ani nikomu innemu.

– To musi się zmienić, jeśli mamy odnaleźć Christie Faulk. – Marnie otworzyła butelkę wody. – A co z Jamiem Ledgerem?

– Po emisji wiadomości rozdzwoniły się telefony. Colin właśnie się przez to przebija. Sprawdzamy też place budowy, na których pracował Ledger przed fuchą na Battersea, na wypadek gdyby się tam z kimś zakumplował albo znalazł jakąś kryjówkę.

– Skontaktujcie się jeszcze raz ze szpitalem. Powiedzcie im, że przyprowadzimy do Grace pracownika biura wsparcia ofiar. Musimy wyjaśnić, ile zależy od jej współpracy. – Marnie napiła się wody. – Sprawdźmy też, kiedy będziemy mogli porozmawiać z Emmą. Możliwe, że zanim zaczęła ją bić, a może w trakcie, dowiedziała się czegoś od Grace. – Zakręciła butelkę. – Ponieważ zamierzamy postawić jej zarzuty pobicia i uwięzienia, domyślam się, że będzie chciała współpracować.

– Twoim zdaniem Emma raczej nie jest zamieszana w coś poważniejszego? – Noah myślał o szerokich dłoniach Emmy Tarvin. – W zabójstwo May albo Ashleigh? Grace była z May tej nocy, kiedy znalazła drogę na Garrett, a jeśli dziewczyny znały Christie Faulk...

– Słyszałeś, co powiedziała Abi Gull. Gdyby Emma w ciągu ostatnich dwóch tygodni wyszła choć raz z domu, Abi dawno posłałaby ją do szpitala. Zapytajmy Emmę o Grace i Christie. Niemniej nasz morderca nadal grasuje. Może jest w jakiś sposób powiązany z Christie, ale jeszcze za wcześnie na takie założenie.

– Jeśli to Christie włożyła karteczkę z adresem do kieszeni Grace, jest niebezpieczna. Albo chora psychicznie, jak sugeruje Abi. Kto by wysłał wystraszoną nastolatkę do Emmy Tarvin?

Marnie pokiwała głową.

– Sprawdźmy, czy Emma zna odpowiedź.

– MAM NADZIEJĘ, ŻE gówniara już gnije w więzieniu. – Emma pokazała swoje ramiona pokryte wybroczynami. – Widzicie, co mi zrobiła? Pieprzone zwierzę. – Siedziała na szpitalnym łóżku w prywatnej sali, nogi miała okryte kocym, cienka skóra na jej głowie w paru miejscach krwawiła.

– Musimy porozmawiać o Grace Bradley, dziewczynie, którą pani pobiła i uwięziła w swoim mieszkaniu. Co się tam stało?

– Ach, o niej! – Pogarda. – Sami ją zapytajcie. Dałam jej dach nad głową, nie? Skąd mogłam wiedzieć, co to za ziółko.

Noah widział, jak Emma szuka na twarzy Marnie oznak słabości; skazy świadczącej o tym, że Rome nie jest przygotowana na to, by całą noc czekać na odpowiedź. Kiedy nie znalazła tego, czego chciała, skrzywiła się.

– Poprosiła o pomoc i ją dostała. Ledwo się obróciłam, a ta zaczęła podkradać mi pigułki z szafki i ćpać, a potem chciała mi rozkazywać. Już dosyć się nacierpiałam od tych gówniar, które mnie tak urządziły. Więc zamknęłam ją w szafce, żeby się uspokoiła. Robiła krzywdę sobie i mnie, niszczyła moją własność. Przedsięwzięłam niezbędne środki, to wszystko.

– Takie jak pobicie jej laską?

– A kto powiedział, że to zrobiłam? Ona? Kłamie. Była nagrzana jak meserszmit, dwóch kroków prosto nie mogła zrobić. Gdybym wiedziała, że jest ćpunką, nie wziąłabym jej do siebie.

– Wiedziała pani, że jej szukamy. Dlaczego pani nie zadzwoniła?

– I tak byście mnie zignorowali, jak zawsze. – Złapała za brzeg koca. – Uznałam, że sama sobie z nią jakoś poradzę.

– W kieszeni Grace znaleźliśmy karteczkę – powiedziała Marnie. – Z pani nazwiskiem i adresem. Wiedziała o tym pani, zanim zamknęła ją w szafce?

– Nigdy wcześniej jej nie widziałam. – Ssała sztuczne zęby. Podkreślała swój podeszły wiek.

– W takim razie skąd знаła pani nazwisko i adres?

– Nie mam pojęcia. Może przyszła mnie okraść albo podpalić mi mieszkanie. Może ta Gull ją zna.

– Pytaliśmy. Nie zna. – Marnie położyła torebkę na dowody rzeczowe tak, by Emma mogła przeczytać karteczkę znaną w kieszeni Grace. – Rozpoznaje pani charakter pisma?

– Na pewno nie Gull to pisała. – Głos jej zadrżał. – Dość się napatrzyłam na jej nienawistne liściki.

– Ktoś wysłał Grace prosto do pani mieszkania. Kto by to mógł być?

– Nie mam zielonego pojęcia. Całe szczęście, to nie ja jestem detektywem. Jak już mówiłam, zapukała do moich drzwi i ją wpuściłam. Próbowałam jej pomóc. A ona w podziękowaniu chciała mną rządzić.

Marnie odwróciła wzrok od kobiety, jakby nie mogła już na nią patrzeć, jakby miała dosyć słuchania jej kłamstw.

– Mamy laskę i zdjęcia obrażeń Grace. Udowodnienie tego, co zaszło, nie nastęrczy nam żadnych trudności. Proszę się jeszcze zastanowić, jak to będzie wrócić na Garrett, kiedy rozejdą się wieści o tym, co pani zrobiła wystraszonej piętnastolatce. – Sekunda ciszy. – Nie wspominając już o innych dzieciach; tych, którym sprzedawała pani narkotyki. Abigail Gull złożyła pełne zeznania, by wytłumaczyć swój postępek. Może jednak nie doceniam tolerancji panującej na osiedlu. Może jednak sąsiedzi uwierzą pani na słowo.

Emma Tarvin zebrała ślinę i splunęła. Na szpitalnej podłodze u stóp Marnie wylądowały plwociny koloru i wielkości starej dziesięciopensówki.

– Próbujesz mnie wystraszyć, panienko? Widziałam, jak traktowani są ludzie z Garrett. I nie tylko przez te gówniary. Przez policję, media, wszystkich. Najmłodszy są najgorsi. Ścierwa. Nie szanują nikogo i niczego. Nieważne, że moja matka całą wojnę pracowała w fabryce, składając bomby dla obrony kraju. Szkoda, że żadnej nie zachowałam, żeby wysadzić w powietrze te gówniary. To by je wreszcie czegoś nauczyło.

Marnie wysłuchała jej do końca. Odezwała się dopiero wtedy, gdy Emma zamilkła.

– Znaleźliśmy Grace Bradley zamkniętą w szafce, wystraszoną na śmierć. Pani to zrobiła. Pani ją głodziła i biła.

– Należy im się trochę strachu. Tym wszystkim szczeniakom. Co one sobie

myślą, że będę tylko siedzieć i czekać, aż znowu mi podpalą mieszkanie? Myślą, że się do niczego nie nadaję? – Patrzyła rozsierdzona prosto na Marnie. – Przez lata grałam według waszych zasad i co z tego mam? Wypełniałam formularze, słuchałam tej wyniosłej krowy z biura wsparcia ofiar. Teraz wreszcie ktoś z nas przypomniał sobie, że jesteśmy lepsi niż te siksy wożące się po osiedlu, jakby należało do nich, urywające się ze szkoły, puszczające się z byle kim. – Aż się trzęsła z pogardy. – Wredne małe dziwki. Męty. Powinny gnić w więzieniu, gdzie ich miejsce.

Marnie wyciągnęła torebkę strunową zawierającą pigułki i położyła ją na łóżku.

– A to?

– A co ma być? – Obrzuciła Marnie taksującym spojrzeniem. – Wyglądasz, jakby ci się przydało kilka. Nie jesteś chodzącym szczęściem, co, kochaniutka?

– Sprzedawała pani te pigułki dzieciom na osiedlu. Clarke, młodszy brat Abi, zmarł po ich przedawkowaniu. Nic dziwnego, że uznała panią za wroga numer jeden.

– Ta siksa nie potrzebuje wymówki. Ona to uwielbia. Kocha podpalać, rzucać kamieniami. Ma to we krwi. Wiesz, co jeszcze widziałam? Raz zadarła spódniczkę i wyszczała się na chodnik. – Opadła głębiej na poduszkę; zabrakło jej tchu. – To zwierzę, tak jak te jej koleżaneczki. Zwierzęta.

– Czyli nie zaprzecza pani, że sprzedawała pani te leki? – Noah nie spodziewał się, że tak łatwo będzie wyciągnąć z niej zeznania. – Sprzedawała je dzieciom?

– Skoro macie całą lodówkę dowodów? Nie widzę sensu, przystojniaczku.

– I nie ma pani wyrzutów sumienia? Nie czuje pani wstydu?

– Wstydu? – Podniosła się nad poduszki. – Ja jestem *dumna*. Staram się być kimś. Czy nie w tym rzecz? Sama nie biorę. Och, mogłabym. Mnóstwo moich koleżanek uzależniło się od tego gówna, które nam dają, żebyśmy zbyt głośno nie narzekały na dokuczające pęcherze, artretyzm i Bóg jeden wie co jeszcze. Uwielbiają szprycować nas tą trucizną. Wreszcie bym się zamknęła, prawda? Skoro żyjemy coraz dłużej, miło by było, żebyśmy się nie odzywali. – Znowu splunęła, ale słabiej, a plwociny wylądowały na jej swetrze. – Dlatego biorę wszystko, co mi przepiszą, i sprzedaję to tym, co nie potrafią żyć bez wspomagania. – Jej oczy rozbłysły, obwiedzione na czerwono przez gniew. – Powiem ci coś, kochaniutka. Nikt nigdy mi tak nie dogadzał, jak te ćpuny. Na kolanach szorowały podłogę, nazywały mnie panią Tarvin. A trzęsły się jak galareta, bo potrzebowały czegoś, po czym nie czuły się zimne i puste, chociaż tak naprawdę nie mają pojęcia, co to znaczy. Zasłużyły sobie na to. Żadnemu nie wiedzie się lepiej, niż na to zasługuje.

Innymi słowy nie chodziło tylko o względy finansowe. To była zemsta,

czyste zło. Abi miała rację. Pieniądze stanowiły miły dodatek, ale główną motywacją Tarvin była chęć wykorzystania słabości dzieciaków mieszkających na osiedlu komunalnym. Czerpała z tego przyjemność.

– Powinniście się cieszyć, że nie potrzebuję pomocy. Mam więcej, niż mi trzeba. Ta dwa piętra niżej? Głoduje tygodniami, żeby odłożyć pieniądze na ubezpieczenie, bo ciągle ją okradają. *Głoduje*. Bo doskonale wie, że znowu wszystko straci, a to jedyne rozwiązanie. Oczywiście o ile ci od ubezpieczeń jej nie oszukają. Każdy jeden na osiedlu boi się tego, co może przynieść następny dzień. Ja tylko staram się zapanować nad sytuacją. Kto to zrobi za mnie? Na pewno nie wy. Jesteście zbyt zajęci ratowaniem własnej dupy, żeby się przejmować moją. – Znowu opadła na poduszki, zadowolona z widoku marsowej miny Noaha. – Pewnie dobiorą się wam do tyłków. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego nie mogliście znaleźć tej dziewczyny, skoro mieliście ją pod nosem. Cały tydzień kręciliście się w moim mieszkaniu. Wy i ten grubas, który mi wyjadał ciasteczka.

Ron polubił Emmę za jej odwagę. Ona jednak czuła wobec niego tylko pogardę.

– Tak, nie przyszło nam do głowy, że mogłaby pani pobić i uwięzić dziecko w szafce. – Marnie wstała. – Ale teraz wiemy, z kim mamy do czynienia, więc to już jakiś progres.

Emma popatrzyła na nią zaskoczona.

– Już sobie idziecie? To nazywacie przesłuchaniem?

Pod złośliwym uśmiechem krył się strach. Jak odbiorą ją ławnicy? W tej chwili wyglądała na kruchą staruszkę. Uda im się przejrzeć ten kamuflaż?

– Rozmawiała pani choć trochę z Grace? – Marnie zatrzymała się w progu. – Może wtedy, kiedy pierwszy raz się u pani pojawiła. Kiedy zaproponowała jej pani miejsce u siebie. Dlaczego w ogóle to pani zrobiła?

– Z dobroci serca. Taka odpowiedź wystarczy?

Marnie zignorowała zaczepkę.

– Wyobrażam sobie, że widziała w niej pani nową ofiarę. Kogoś, komu można sprzedać pigułki albo kogo można sprzedać mężczyznom. Do tego służą te zapiski, prawda? To lista potencjalnych klientów. Nowa dziewczyna, w trudnym położeniu, musiała być dla pani nie lada gratką.

– Sama pokazywała cycki, nie musiałam jej do niczego namawiać. Czy z nią rozmawiałam? Nie. Ona nie chciała rozmawiać, chciała tylko jedzenia i dachu nad głową. Myślała, że spadła na cztery łapy, znajdując mnie.

– A potem ją pani zakneblowała – wtrącił Noah. – I nie było już szans na pogawędkę.

– Lubię, jak w domu jest cicho. – Poprawiła kocyk, wygładziła. – Nie wszyscy wychowaliśmy się w getcie.

– Christie Faulk – rzuciła Marnie. – Czy ona też myślała, że znalazła u pani

schronienie?

To pytanie przedarło się przez mur obronny Emmy. Otworzyła szeroko oczy i usta, zaskoczona.

– Kto?

– Christie Faulk. Mieszkała u pani przez jakiś czas kilka lat temu. Aż nie zaszła w ciążę. Wtedy wyrzuciła ją pani z domu. Wyobrażam sobie, że stręczenie ciężarnej nastolatki to za dużo nawet dla kogoś tak obrotnego jak pani.

Emma oblizwała usta.

– Nie wiem, o czym mówisz, kochaniutka.

– Czy to Christie napisała wiadomość, którą znaleźliśmy w kieszeni Grace? Adres z miejscem schronienia dla kogoś w absolutnie rozpaczliwej sytuacji? Nie wydaje mi się, by Christie zbyt dobrze wspominała czas spędzony pod pani dachem.

– Nie znam żadnej Christie. – Mimo to po raz pierwszy Emma wydała się naprawdę wystraszona.

Prostytucja, aborcja – mogłaby sobie poradzić z oskarżeniem o sprzedawanie leków narkomanom, ale na inne zarzuty nie może sobie pozwolić, nie na Garrett.

– Tanner przeprowadzi pełne przesłuchanie. Oprócz tego dokona oficjalnego aresztowania pani pod zarzutami stręczycielstwa i sprzedaży narkotyków, napadu i bezprawnego przetrzymywania, a także składania fałszywych zeznań.

– Oddajesz sprawę? Z takim nastawieniem daleko nie zajdziesz. Musisz zostawić po sobie jakiś ślad, jakieś dowody, że tu byłaś. Właśnie to próbuję zrobić, kochaniutka. – Emma znowu pochyliła się do przodu, jej gniew wysysał światło. – Zostawiam po sobie *ślad*.

RON CZEKAŁ Z DEBBIE na szpitalnym korytarzu, wyraźnie niepokieszony wieściami o prawdziwym obliczu Emmy Tarvin, jak oni wszyscy zresztą. Jedno spojrzenie na twarz Noaha wystarczyło mu, by domyślić się, że staruszka przyznała się do zarzutów i niczego nie żałuje.

– Chryste Panie! – rzucił i odwrócił się.

– Co z Grace? – zapytała Marnie.

– Ciągle jest w szoku – odparła Debbie. – Podłączyli jej kroplówkę. Wygląda na to, że przyjęła dużą dawkę diazepamu i tramadolu. Dziewczyna traci kontakt z rzeczywistością i w zasadzie jest w niewiele lepszym stanie, niż kiedy Noah ją znalazł.

– Przeżyła traumę, zanim to się stało – przypomniała im Marnie. – Kiedy weszła na jezdnię przed maskę samochodu Joego Eatona, była w szoku.

Zupełnie jakby przywołały go jej słowa, przez podwójne drzwi wszedł sierżant Kenickie z drogówki i ruszył w ich stronę, z rękami w kieszeniach.

– Szukam Grace Bradley. W której sali leży?

Marnie dała znak Debbie i Ronowi, żeby poszli do Emmy Tarvin.

– Grace Bradley w tej chwili jest poza zasięgiem – powiedziała Kenickiemu.

– Nie ja to zarządziłam, tylko lekarz. Jeśli ci się to nie podoba, złóż zażalenie u niego. Noah, musimy wracać na komisariat.

– Muszę dokonać aresztowania – oznajmił niezrażony Kenickie, ignorując Noaha i koncentrując się na Marnie. – Gina Marsh zasługuje na choć tyle, chyba że

w tym całym bałaganie rezerwujesz sobie wszystkie ofiary.

– W tej sprawie starczy ich dla nas wszystkich. – Marnie zerknęła na zegarek. – Szukamy mordercy, może nawet dwóch. O ile nie jesteś w stanie zająć się chociaż jednym z nich, sugeruję pouprawić pozerstwo gdzie indziej.

– Mogę zająć się jednym od ręki. Nawet jeśli będziemy musieli to nazwać nieumyślnym spowodowaniem śmierci. Twoja dziewczynka zabiła Logana Marsha. – Kenickie zadzwonił kluczami w kieszeni. – Kiedy zamierzaliście nam powiedzieć, że ją znaleźliście?

– To zadanie nie znajdowało się zbyt wysoko na mojej liście – przyznała Marnie.

Ruszyła, zostawiając go za plecami. Noah poszedł jej śladem.

– Nie wiedziałem, że pozytywna dyskryminacja dotyczy nie tylko pracowników, ale i podejrzanych! – zawołał za nimi podniesionym głosem. – Gdyby to był facet, a Logan był dziewczyną, zmieniłabyś priority.

Marnie nie odpowiedziała, ale miała srogi wyraz twarzy. Noah wydłużył krok, żeby ją dogonić.

– Ciekawe, czy Gina Marsh cieszy się z tej jego krucjaty.

– Wątpię. Podejrzewam, że jest zbyt skupiona na opłakiwaniu śmierci syna. Na zewnątrz padał niespokojny deszcz.

Kiedy Marnie otworzyła samochód, odezwał się jej telefon.

– Komisarz Rome... Panie Beswick, dzień dobry... Nie, właśnie jestem w drodze na komisariat. – Zatrzymała się z ręką na klamce. – Proszę powtórzyć.

Rozłączyła się i spojrzała na Noaha.

– Loz zniknęła.

– Loz... – Ścisnęło go w żołądku. – Kiedy?

– Nie dotarła do szkoły. Upierała się, że pójdzie na piechotę, ale nie pojawiła się na lekcjach. Dyrekcja wypytała jej kolegów i koleżanki i ktoś powiedział, że Loz miała przy sobie rysunki siostry. Rysunki stacji metra. Loz wyznała, że chce poszukać May, ale koleżanka uznała to za żart.

– Przecież zablokowaliśmy wejście na stację...

– Technicy śpieszyli się, bo ich o to poprosiliśmy. – Marnie pokręciła głową. – Taśmę zdjęto kilka godzin temu, kiedy my byliśmy w mieszkaniu Emmy.

– Cholera. – Noah poczuł, jak szczypią go oczy. – Joel i reszta dzieciaków. Myślisz, że kłamali?

– Przekonajmy się. – Marnie wybrała kciukiem numer i przystawiła telefon do ucha. – Joel, tutaj komisarz Rome. Gdzie jesteś? Rozumiem. Zostań tam. Musimy porozmawiać.

Wnętrze Starbucksa. Daisy trzymała w rękach kubek piernikowego latte. Joel i Corin obserwowali drzwi. Sprawiali wrażenie wystraszonych na śmierć, kiedy w progu pojawili się Marnie i Noah.

– Loz Beswick zaginęła – poinformowała ich Marnie. – Wydaje nam się, że widzieliście ją jako ostatni. Na stacji metra, niedawno.

Noah zobaczył kłamstwa przepelniające oczy chłopców. Nie pozwolił im wypowiedzieć ich na głos.

– Wiemy, że kierowała się właśnie tam. *Zaginęła*. Mówcie prawdę, natychmiast.

– Nie wiedzieliśmy, kim jest – powiedział Corin. – Dopiero później się przyznała.

– I co od niej usłyszeliście?

– Że znalazła szkicownik May i udało jej się ustalić, gdzie jest narysowana przez nią stacja metra. Chciała tam przyjść i zobaczyć ją na własne oczy. Pozwoliliśmy jej posiedzieć z nami. Była smutna.

– Dlaczego do nas nie zadzwoniliście? – zapytał ostro Noah. – Mielicie numer. Wiedzieliście, że szukamy zabójcy. Loz ma trzynaście lat i liczy na to, że znajdziemy mordercę jej siostry.

To wywołało śmiech Daisy.

Joel i Corin odsunęli się od stołu, od koleżanki.

Daisy mieszała kawę drewnianym patyczkiem.

– Dlaczego to zabawne? – zapytała Marnie.

– Bo ona wcale nie liczy, że ktoś to zrobi – odparła Daisy. – Sama go szuka.

– Powiedziała ci to?

– Tak. Ale to nic takiego. Ona wcale nie zaginęła, po prostu nie chce na razie wracać do domu. – Oblizwała patyczek z bitej śmietany. – Każde z nas tak robiło. Rozumiem, że jej rodzice się wściekają, ale tak na serio? To nic wielkiego.

May została zamordowana. Loz zaginęła. *To nic wielkiego*.

– Gdzie jest teraz Loz?

Daisy wzruszyła ramionami. Podobnie Joel i Corin. Zupełnie, jakby nie potrafili sobie wyobrazić, że dziewczynkę mógł czekać gorszy los niż ten – siedzenie w Starbucksie i sączenie koszmarnie drogiego mleka z kawą.

– Nic jej nie jest – upierała się Daisy. – Po prostu gdzieś poszła.

– Gdzie? – powtórzyła Marnie.

– W bezpieczne miejsce – odezwał się Joel. – Nie trzeba się denerwować.

Corin pokiwał głową, jednak wydawał się niezadowolony. Mimo to powtórzył kłamstwo, które wybrała dla nich Daisy.

– Jest bezpieczna. Na pewno. No bo kto normalny idzie szukać zabójcy? Przecież żartowała. Prawda?

– JAK TO ZNOSZĄ jej rodzice? – zapytał Welland Marnie. – Przynajmniej już wiedzą, jak wyglądają poszukiwania.

– Nie jestem pewna, czy dzięki temu jest im łatwiej.

– Puścili ją do szkoły samą?

– Chodziła sama od lat. Sean i Katrina czuli, że muszą jej dać trochę przestrzeni, i zaufali jej.

– A my im ufamy? – Szorstko. Jeśli coś im umknęło...

– Sprawdzaliśmy ich zaraz po zaginięciu May, a w ciągu ostatniej doby, po odkryciu szkicownika, sierżant Jake jeszcze raz dokładnie im się przyjrzał. – Marnie zamilkła na moment. – Gdybyś ich teraz zobaczył... Odchodzą od zmysłów. Żaden z ich samochodów nie opuszczał Taybridge od wczoraj. Sąsiedzi widzieli Loz w mundurku, jak szła do szkoły tą samą trasą, z tą samą torbą i o tej samej porze co zawsze. Moglibyśmy zmarnować jeszcze trochę czasu na przepytывanie Beswicków, ale wolę go wykorzystać na sprawdzanie stacji metra. Mamy tam wszędzie kamery. Patrzymy też na okolice Taybridge Road, na wypadek gdyby wróciła tą samą drogą. Gdyby tylko zostawili taśmę policyjną na dłużej; gdyby nie poprosiła techników o szybszą pracę; gdyby udało jej się zdobyć zaufanie Loz...

Welland potarł kark.

– Namierzamy jej telefon?

– Nie korzystała z niego od wczoraj. Mamy nadzieję, że wzięła go ze sobą.

W tej chwili to nasz najlepszy trop. Sprawdzamy też jej komputer. May nie korzystała zbyt często z nowych technologii, ale Sean twierdzi, że Loz ciągle przesiadywała w Internecie. Dotychczas udało nam się znaleźć tylko zdjęcia znaków drogowych i fałszywe konta.

– Fałszywe konta?

– Tak, za ich pomocą udawała kogoś, kim nie jest. Nic szkodliwego, po prostu odgrywała role ulubionych postaci z książek i seriali telewizyjnych. Taka forma eskapizmu. Nic nie zwróciło naszej uwagi.

Welland zmarszczył brwi, patrząc na raport Marnie.

– Powiedz mi coś o tej całej Christie Faulk.

– Dwudziestoparolatka. Zdaniem Jodie Izard rok temu miała ciemne włosy i brązowe oczy. Widziana w Lewisham, skąd zabrała Grace. Nasze dzieciaki z metra twierdzą, że Loz poszła z blondynką z brązowymi oczami i zakładamy, że to ta sama osoba.

– Taka młoda, ale uważamy ją za naszego zabójcę? Czy tylko za pomagierkę?

– Nie wiemy. – Tak czy inaczej Loz wyszła z nią z własnej woli. Jaki ból musiało czuć to dziecko, że podjęło tak niesamowite ryzyko? – Oczywiście musimy ją znaleźć.

– Jakież powiązania między Faulk a Ledgerem?

Marnie pokręciła głową.

– Niemniej nie przeprowadziliśmy oficjalnej identyfikacji Christie. Nie mamy żadnych jej danych ani zdjęcia. Liczymy na pomoc Grace w tej kwestii. Wybieram się zaraz do szpitala, żeby z nią porozmawiać.

– Leży w tym samym miejscu co Kathy Bates? – Miał na myśli Emmę Tarvin.

– Na różnych piętrach, ale tak.

Welland przygryzł wargę.

– Drogówka znowu mi się naprzykrzała przez telefon w tej sprawie.

– Mam nadzieję, że im się odgryzłeś. Kenickie to kawał dupka.

– Wykreśliłem go z listy osób, którym wysyłam życzenia na święta. Co jeszcze znaleźliśmy na stacji metra? Domyślam się, że technicy zebrali całą górę dowodów. Gumki, obsrany papier toaletowy i tego typu rzeczy.

– Fran sprawdza, czy DNA będzie się zgadzać z tym, co mamy w bazie osób zaginionych. Joel i reszta wspomnieli pewnego chłopca o imieniu Eric, a także Sashę. Pokazaliśmy im zdjęcie Sashy Ronson, jednak ich zdaniem to nie ona.

– Nawet gdyby – odparł Welland – to ten wariat ma na swoim terenie całą masę zaginionych nastolatków. Jeśli porwał jeszcze kogoś, jakie są szanse, że trzyma go przy życiu?

– Morderca May i Ashleigh nie ukrywał ich śmierci. Nie ma powodu, by

myśleć, że w przypadku innych ofiar byłoby inaczej.

– Chyba że te inne ofiary zginęły pierwsze. Załóżmy, że odwalił fuszerkę. Może musiał dopracować kwestię publicznej ekspozycji ciał. Czy nie tak się to zazwyczaj odbywa u tych pomyleńców?

Marnie nie chciała myśleć o żadnej nastolatce jako fuszerce odwalonej przez zabójcę.

– Ekspozowanie ich ciał w publicznych miejscach może być komentarzem do tego, jak ich ból pozostawał ignorowany – oznajmił Welland. – Czy żona Ledgera nie powiedziała czegoś podobnego o życiu cywilów? Że trzeba nas obudzić, żebyśmy dostrzegli, co się dzieje wokół nas? – Zaczął ugniatać opuszkami palców skórę pod oczami; wydawał się przy tym bardziej cyniczny i zmęczony niż zazwyczaj. – Demonstruje nam, że może poruszać się po całym mieście, gdzie zechce i robiąc, na co ma ochotę. Żadnych ograniczeń, za to dużo podejmowanego ryzyka.

Marnie nie skomentowała. Welland mógł mieć rację, na tym polegał przygnębiający problem tej sytuacji. Być może szef trafił w dziesiątkę.

Pochylił się w jej stronę.

– Przekażemy mediom zdjęcie Laury Beswick?

– Jeszcze nie. To mogłoby wystraszyć naszego zabójcę. Być może właśnie dlatego Ashleigh została porzucona tak szybko po śmierci May.

– Ale on wciąż porywa nastolatki. Co planuje? Bawi się w rodzinę Mansona, tworzy jakąś sektę? Nie gwałci ich, przynajmniej jeszcze nie. I to miałyby sens, gdyby zabójcą była kobieta. Ta cała Christie Faulk.

Marnie zdała sobie sprawę, że Welland jeszcze nie podjął decyzji. Ani w kwestii Jamiego Ledgera, ani Christie Faulk.

Wstała.

– Przekażę ci, co powie Grace. Poza tym niech wszyscy skupią się na poszukiwaniach Loz. A gdyby dało się zorganizować więcej ludzi...

Welland pokiwał głową.

– Zostaw to mnie.

Jodie Izard opisała Grace Bradley niezłomną i twardą jak skała.

Jednak dziewczyna leżąca na szpitalnym łóżku była zmizerniała i posiniaczona, dłonie trzymała zwinięte w pięści. Nikt nie próbował jeszcze zmyć z jej skóry napisów, ich czarny atrament rozmazał się tam, gdzie wylądowały ciosy zadane laską Emmy Tarvin.

Marnie potrafiła odczytać część słów.

Kłamca. Zwierzę. Martwa.

Fran usunęła tusz z ciała May oliwką dla dzieci. Marnie miała ochotę zrobić

to samo dla Grace. Usiadła na krawędzi łóżka.

– Grace, nazywam się Marnie Rome i jestem z policji. Potrzebuję twojej pomocy.

Żadnej odpowiedzi, jej wielkie szare oczy, zbyt duże w drobnej twarzy, jak u Loz, pozostały nieruchome.

– Potrzebuję twoje pomocy w odnalezieniu miejsca, w którym zatrzymałyście się z May. Pamiętasz je?

Grace zamknęła oczy. Poruszyła swoimi rękami tak, by wyciągnąć je wzdłuż ciała, na widoku. *Kłamca. Zwierzę. Martwa.* Słowa, owszem, jednak nie te, których potrzebowała od niej Marnie.

– Muszę znaleźć Christie Faulk. Myślę, że ją znasz. Christie porwała siostrę May. Znałaś May. Mieszkałaś z nią i Ashleigh. Zgadza się? Tylko że teraz Christie zabrała tam też Loz, młodszą siostrę May. Loz ma dopiero trzynaście lat. Bardzo się o nią martwimy. Wydaje mi się, że wiesz, dokąd Christie ją zabrała. To jest to samo miejsce, z którego uciekałaś, zanim trafiłaś do Emmy Tarvin. – Marnie nie wspomniała wypadku, szafki i pobicia. – Pomóż mi odnaleźć Loz, proszę. Jest bardzo rozszalona i wystraszona. Za wszelką cenę pragnie znaleźć osobę odpowiedzialną za śmierć jej siostry. Wydaje nam się, że poszła z Christie, wierząc, że zaprowadzi ją do zabójcy May...

Dźwięk, jaki dobył się z ust Grace, był surowym, niskim pomrukiem. Dziewczyna odwróciła głowę na poduszce.

– Nie wiedziałaś, że May nie żyje – zdała sobie sprawę Marnie. – Przepraszam, byłam przekonana, że o tym wiesz. Myślałam, że właśnie dlatego uciekałaś z tamtego domu; bo przekonałaś się, jak bardzo jest tam niebezpiecznie.

Czekała, chcąc przekonać się, czy Grace mocniej pograży się w rozpacz. Ale przecież nie mają na to czasu. Nie mają czasu na czekanie.

– Grace, powiedz mi, dokąd Christie zabrała Loz. Powiedziała, że to bezpieczne miejsce. Wiem, że macie tam jedzenie, dach nad głową. Wiem, że opiekowała się wami, przynajmniej na początku.

– N-nie. – Rwany szept. – N-nie wiesz.

– To mi *powiedz*.

Grace znowu obróciła głowę. Nie chciała odpowiedzieć na pytanie Marnie czy nie mogła? Nie płakała, przynajmniej nie oczami. Spod jej opuszczonych powiek nie leciały łzy, lecz pod kocem pierś unosiła się i opadała gwałtownie.

– Uspokój się. – Marnie złapała dziewczynę za rękę. – Będzie dobrze. Jesteś już bezpieczna. Możesz mi pomóc. Potrzebuję twojej pomocy. Możemy razem uratować Loz i każdego, kogo Christie zabrała w tamto miejsce. Christie kłamała, wcale nie było bezpieczne. Wręcz przeciwnie, jest bardzo, bardzo groźne. Musimy zabrać stamtąd Loz i wszystkich innych. Muszą stamtąd odejść, tak jak ty odeszłaś. Powiedz mi, dokąd cię zaprowadziła. Pomóż mi.

Grace przestała kręcić głową. Jej pierś podniosła się szybko jak w ataku czkawki, a potem zamarła. Kompletnie zamarła.

Marnie już miała sprawdzić dziewczynie puls, kiedy ta podniosła rękę i przykryła nią oczy, nienaturalnie wyginając przy tym nadgarstek.

Światło padało na jej przedramię, podkreślając zapisane tam słowa.

Kłamca. Zwierzę. Martwa.

Marnie oczami wyobraźni zobaczyła Grace i May siedzące po turecku na podłodze, piszące sobie po skórze czarnymi cienkopisami, wybierające słowa jak oręż.

Jednak na ręku Grace znajdowało się coś jeszcze.

Tuż nad lewym nadgarstkiem.

Nastroszone, mniejsze od pozostałych litery:

Zabójca.

Christie

– TO NASZ DOM – powiedziała Christie do Wielkookiej. – Podoba ci się?
Zdjęła płaszcz, przekładając klucze do kieszeni dzinsów.

Wielkooka rozejrzała się po kuchni. Szafki, stół, stojak na noże.

– Tak.

– Chcesz zobaczyć sypialnie?

– Nie będę miała własnego pokoju, prawda?

– Może. Zależy, kto akurat będzie nocował. Ludzie przychodzą i odchodzą.

– Dostanę swój klucz? – zapytała Wielkooka. – Skoro mogę wychodzić, kiedy zechcę, będę potrzebować klucza.

– Pewnie. – Christie pokiwała głową i wysunęła szufladę przy kuchence. – Proszę.

W szufladzie leżało mnóstwo kluczy z plastikowymi breloczkami. Wielkooka wybrała zielony.

– Niedługo obiad. Mamy tu mnóstwo jedzenia. Umiesz gotować?

– Trochę. Właściwie to nie. Ale mogę pomagać. Chyba wszyscy tutaj to robią? Pomagają? – Wielkooka schowała klucz do kieszeni, wciąż rozglądając się po kuchni. Co drugie spojrzenie lądowało na drzwiach. Nie marnowała czasu na

okna. Mieszkanie znajdowało się zbyt wysoko. Jedyne wyjście były drzwi.

Christie wyminęła ją, żeby zamknąć szufladę. Klucze znalazła w sklepie z używanymi rzeczami i żadne nie pasowały do drzwi w mieszkaniu. Ale wyglądały dobrze, wrzucone do szuflady.

Weź sobie, możesz wchodzić i wychodzić...

To był pomysł Harna. Miał sprawić, by dziewczyny poczuły się bezpieczne. Żadna nie sprawdzała klucza pierwszego dnia, a nawet i nie w pierwszym tygodniu pobytu. Później, kiedy było już za późno, płakały, przekonawszy się, że klucze nie pasują. Albo – tak jak Grace – szarpały się.

Kiedy Wielkooka stała w kuchni, wydawała się starsza. W rzeczywistości była młodsza niż wszystkie inne, nawet jeśli w tej chwili wydawała się stara. Strach ścisnął gardło Christie. Co ona narobiła?

Sięgnęła po szklankę.

– Woda jest tutaj. – Podeszła do miejsca, gdzie stały zbiorniki, i pokazała dziewczynce, jak działają kranie zamocowane przez Harna.

– A co jest nie tak z normalnymi kurkami? – zapytała Wielkooka.

– Nie podłączyli budynku do wodociągu. To niedokończony blok. Nie ma wody, nie ma gazu. Prąd tylko tam, gdzie podłączył go Harm.

– Kim jest Harm?

– Kolegą. – Christie popatrzyła na nią. – Nie denerwuj się. On nie jest taki, jak myślisz.

Wielkooka zamrugnęła.

– Czyli jaki?

– No, nie wiem, co tam sobie wyobrażasz. – Christie wciągnęła powietrze i zaczęła pić wodę ze szklanki, dopóki wąż w jej ustach nie przestał się poruszać. – Było tak samo wtedy, kiedy ja się tu pierwszy raz pojawiłam. Wydaje się dziwnie, bo żadna z nas nie jest przyzwyczajona, że ktoś się o nas troszczy. – Wzruszyła ramionami. – Niektórzy jednak nie mają nas w dupie. To wszystko.

– Tak jak Harm. – Wielkooka włożyła ręce do kieszeni i wyprostowała się jak struna, próbując udawać twardzielkę.

– Tak. – Christie patrzyła na nią znad krawędzi szklanki. – Tak jak Harm. – Zamilkła na moment, a potem dodała: – Musisz podać nam swoje imię.

– Laura. – Mogło być prawdziwe albo zmyślane.

Każda z dziewczyn kłamała, prędzej czy później. Nawet May, której Christie jako jedynej zaufała na tyle, by wręczyć jej prawdziwy klucz. Była pewna, że dziewczyna wróci po tym, jak pomoże Grace się wydostać. Niemniej to sprawa Christie, że rudowłosa ze strachu udała się do Emmy Tarvin. Staruszka z pewnością zadbała o to, by dziewczyna nie paplała i dostała nauczkę, jakiej nie zapomni do końca życia. May wróciła sama, a przynajmniej tak im się wydawało. Nikt nie wiedział o kłamstwie rosnącym w jej brzuchu i o tym, jak wszystko

zrukuje.

– Chodź. – Christie zaprowadziła Laurę do pokoju, który May dzieliła z Ashleigh. – To twój. Przyniosę ci zaraz jakąś pościel.

– Dzięki. – Mała patrzyła na schody na półpiętro. – Co tam jest?

– Kolejna sypialnia.

– Ty tam śpisz?

– Nie, mój pokój jest z tyłu.

– To kto śpi nad schodami?

– Aimee, przynajmniej na razie. – Christie wzruszyła ramionami. – Przedstawię cię później. Nie chcę jej budzić.

– A co? Aimee to dziecko, że śpi o tej porze? – Laura wyglądała, jakby wizja małego dziecka w tym mieszkaniu ją przerażała.

– Nie. Zachorowała na gripę i potrzebuje dużo odpoczynku. Za chwilę zaniosę jej trochę jedzenia.

– Okej. Mogę w tym pomóc, jeśli chcesz. Jestem dobra w opiekowaniu się ludźmi. Moja mama pije, dlatego tata nas zostawił. Zajmowałam się młodszym bratem, dopóki nie zabrali nas do domu dziecka.

Christie była przyzwyczajona do słuchania opowieści dziewczyn, natychmiast przybrała minę wyrażającą współczucie. Pomagało to, że bała się Laury. Nie miała pojęcia dlaczego, poza tym, że dziewczynka wyglądała na bardzo starą, jakby żyła od zarania dziejów. Harm chciał nową podopieczną i Christie mu ją przyprowadziła. Niech sam się tym zajmie.

– Co się stało z twoim bratem?

Laura podeszła do okna z przyciemnionymi szybami i widokiem na kominy Elektrowni Battersea.

– Umarł – oznajmiła sztywno. – To dlatego uciekłam. Żeby nie skończyła w ten sam sposób.

Christie pokiwała głową.

– Rozumiem.

– Czyżby?

– Przecież mówiłam ci o Neve.

Laura odwróciła się tak, że światło miała z tyłu, i spojrzała na Christie oczami skąpanymi w cieniu.

– Jak udało ci się znaleźć to miejsce?

– Harm je znalazł. Pracował tutaj, kiedy stawiali ten blok. Nie dokończyli budowy, stracili pozwolenie, skończyły im się pieniądze. – Christie wyrecytowała tę historię, wzruszając ramionami. – Prędzej czy później ktoś przyjdzie nas stąd wyrzucić, ale na razie do tego nie doszło.

– Czyli jesteśmy na squacie?

– Mniej więcej. Jest bezpiecznie, to najważniejsze. – Czy dziewczynka

słyszała dudnienie kłamstwa w głosie Christie? – Czyli... zostajesz?

Laura ciągle trzymała ręce w kieszeniach. Christie widziała, że zacisnęła pięść wokół klucza, który jej dała. Klucza, który nie pasował do żadnego zamka w mieszkaniu.

Pokiwała głową.

– Na jakiś czas, dzięki. Jeśli nadal twierdzisz, że to nie problem.

– Najmniejszy. Miło cię tutaj gościć.

– MAMY PROBLEM Z GRACE Bradley.

Marnie stała przy zdjęciu dziewczyny, które wisiało na tablicy, i mówiła do swojego zespołu.

– Nastolatka jest wyraźnie w szoku. Nie tylko z powodu tego, co się stało w Garrett, ale i wcześniej. Specjalista właśnie próbuje poskładać do kupy szczątki informacji, jakie ma Grace, i może to w jakiś sposób pomoże nam znaleźć Loz.

– Czyli to nieprawda, że przyznała się do winy. – Ron skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie przyznała się. – Marnie popatrzyła po kolei na wszystkich członków zespołu. – Wiem, że niektórzy z was widzieli zdjęcia napisów z ciała Grace. Jestem też pewna, że wszyscy słyszeliście plotki, że ktoś napisał na jej lewej ręce słowo „zabójca”, może nawet ona sama. – Zamilkła na chwilę, aby skupili się na tym, co najważniejsze. – Na jej rękach, nogach i innych częściach ciała znajduje się wiele napisów. Jeden z nich to „zabójca”, inne to „martwa”. Nie uważam, by Grace była zabójczynią, a dzięki dobremu słuchowi sierżanta Jake’a nie jest też martwa. Żeby wszystko było jasne: nie mamy w tej chwili najmniejszego powodu sądzić, że Grace jest odpowiedzialna za śmierć May Beswick, a już z pewnością nie Ashleigh Jewell, ponieważ w tamtym czasie była uwięziona w mieszkaniu Emmy Tarvin. Musimy ustalić, gdzie przebywała, zanim to się stało, skąd uciekała w dniu wypadku. Zdaniem Joego i Ruth Eatonów szła z zachodu, boso, i wyglądała, jakby przebyła już spory kawał drogi. – Stopy Grace były podrapane i spuchnięte. –

Szukamy wszystkiego, co się da na temat Christine albo Christie Faulk. Była widziana z Loz osiem godzin temu. Pracujemy właśnie nad portretem pamięciowym, żebyśmy mieli co pokazywać ludziom. Wciąż szukamy też Jamiego Ledgera. Noah, masz jakieś wieści w tej sprawie?

– W ciągu ostatnich trzynastu miesięcy Ledger pracował na kilku placach budowy w całym Londynie – powiedział Noah. – Sprawdzamy te znajdujące się najbliżej Elektrowni Battersea i osiedla komunalnego. Wiemy, że Christie znalazła Grace gdzieś w Lewisham, więc szczególną uwagę zwracamy na tamten kierunek. Pitcher narysował nam mapę. Mamy ją na tablicy. Spójrzcie.

– Loz nie korzystała z telefonu od czasu wysłania SMS-a zeszłej nocy – oznajmiła Debbie. – Rodzice próbowali się do niej dodzwonić i pisali wiadomości, komórka jest jednak wyłączona i być może dziewczynka się jej pozbyła. Staramy się ją namierzyć.

– Wydaje nam się, że musi chodzić o coś wystarczająco dużego, by pomieścić więcej niż jedną ofiarę naraz, i gdzie wszystkie czułyby się bezpieczne – odezwał się Colin, zdejmując okulary do wytarcia. – Przynajmniej na początku. May i Ashleigh były czyste i najedzone. Nie przyglądamy się magazynom ani opuszczonym budynkom. Tu chodzi o jakieś miejsce z bieżącą wodą i możliwością gotowania. Czyli budynki mieszkalne. Zakładamy, że właśnie tam Christie zabrała Loz.

– Nasi świadkowie ze Stockwell nie odebrali Christie jako kogoś niebezpiecznego. – Noah kiwnął na zdjęcia przychepione do tablicy. – Nie zmusza nastolatek do pójścia z nią, ale jest przebiegła. Manipuluje nimi. Chciała zabrać ze sobą Loz i wiedziała, jak to osiągnąć. Joel, Corin i Daisy uważali, że dziewczynka będzie bezpieczna; nie traktowali Christie jako zagrożenia. Loz nie jest naiwna, ale podejmuje desperackie kroki. Chce za wszelką cenę znaleźć mordercę siostry. – Zamilkł na chwilę. – Jestem w stanie uwierzyć, że poszła z Christie, wierząc, że ta zaprowadzi ją do mordercy. Nie wierzę natomiast, by zrobiła to, myśląc, że to Christie jest tym mordercą.

– Mogła się pomylić – powiedziała Debbie. – Ma trzynaście lat i nie myśli racjonalnie.

– Bradley niczego nam nie podsunęła? – zapytał Ron. – Jakiegoś adresu albo ogólnej lokalizacji?

– Jest w szoku – zauważyła Marnie. – Daj jej czas.

– Ale my nie mamy czasu. Loz zaginęła pięć godzin temu. Poszła gdzieś z wariatką, która albo sama zabija nastoletnie dziewczyny, albo przekazuje je jakiemuś innemu świrowi. Jej rodzice z pewnością odchodzą od zmysłów.

Marnie nie próbowała się z nim spierać. Sean i Katrina Beswick wciąż nie potrafili przyjąć do wiadomości, że ich córka poszła szukać zabójcy siostry. „Dlaczego – pytała ciągle Katrina. – Dlaczego to zrobiła? Czy ona nas

nienawidzi?” Zupełnie jakby Loz była dla niej zagadką, tak jak Ashleigh dla jej matki.

– A co z innymi nastolatkami, o których mówił nam Joel? Co z tym Erikiem? Udało się nam znaleźć kogoś takiego w bazie osób zaginionych?

– Mamy jednego kandydata. – Debbie podała Marnie wydruk. – Eric James Mackay. Piętnaście lat, zaginiony od 2012 roku. Ma na koncie kilka przestępstw, więc nie dajcie się nabrać na tę anielską twarzyczkę. – Zdjęcie pokazywało ciemnowłosego chłopca z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i nieśmiałym uśmiechem; był jedną z tych prawie znajomych twarzy, jakie zdawało się mieć wiele zaginionych dzieci. – Fotografia przedstawia Erica w wieku dwunastu lat.

– Co takiego nawywijał do tej pory?

– Zniszczenie mienia. Naruszenie własności. Nic poważnego, ale mógł od tego czasu wpaść w gorsze kłopoty.

– Nie mamy też informacji, by ktoś go niedawno widział – dodał Noah. – Brakuje nam punktu zaczepienia, a zdjęcie jest już nieaktualne, skoro chłopak ma teraz piętnaście lat. Joel nazwał go psycholem. Mogę się założyć, że sporo się zmienił.

Marnie przyjrzała się fotografii, zastanawiając się, jak Eric mógłby teraz wyglądać. Czy podobnie jak Stephen zrzucił anielski kamuflaż i został ogolonym na łyso zbirem?

– Wyślij mi kopię na telefon. – Podała zdjęcie z powrotem Debbie. – I Noahowi też. Powinniśmy to pokazać Joelowi i reszcie, może rozpoznają chłopaka. Christie wykorzystuje tamtą stację metra do werbowania nowych nastolatków. Najpierw May i Ashleigh, teraz Loz. Powinniśmy sprawdzić każdego, kto się tam kręcił i mógłby znać Christie albo wiedzieć, dokąd prowadzi te dzieciaki. Naszym priorytetem jest znaleźć Loz. Inspektor Welland ma nam załatwić dodatkowych ludzi do przesłuchań w terenie i sprawdzania monitoringu. Pracujemy, aż namierzemy Loz. Noah?

Noah ruszył za Marnie do jej biura. Usiadła za biurkiem, podłączyła komórkę do ładowarki. On zajął miejsce naprzeciwko i czekał, aż usłyszy to, o czym jego szefowa właśnie myślała.

– Musimy być ostrożni z Grace – powiedziała. – Kenickie sterczy przed jej salą i czeka, aż pozwolimy mu ją aresztować. Carling wydaje się rozumieć jego pobudki.

– Ron ciągle przejmuje się Emmą – wyjaśnił Noah. – Nie potrafi pogodzić się z tym, że tak bardzo pomylił się w jej ocenie.

– Będzie gorzej, kiedy zobaczy zeznania, jakie złożyła Jodie Izard. W jej oczach Grace to dziewczyna, której spodobałoby się, że spowodowała wypadek,

nawet śmiertelny. – Marnie zgarnęła włosy z twarzy i sięgnęła po komórkę, która się właśnie rozdzwoniła. – Komisarz Rome, słucham? – Na jej twarzy malowało się napięcie, gdy słuchała osoby po drugiej stronie. – Zdajesz sobie sprawę, że to śledztwo w sprawie morderstwa? Świetnie. Zrób to. – Wstała i pokazała Noahowi, żeby ruszył jej śladem, rozmówcy zaś odpowiedziała: – Widzimy się na komisariacie.

Rozłączyła się i chwyciła płaszcz.

– To był Adam Fletcher.

– Ten dziennikarz? – Noah pamiętał Fletchera ze sprawy, którą prowadzili pół roku wcześniej. Jego nazwisko znajdowało się na liście zaproszonych na przyjęcie w Battersea. – Co dla nas ma?

Marnie znalazła się już przy drzwiach.

– Jamiego Ledgera. – Wsunęła telefon do kieszeni. – A przynajmniej tak twierdzi.

Adam Fletcher sprawiał wrażenie kogoś, kto nie spał od tygodnia. Miał sińce pod oczami i nieogolone policzki. Ubrany był w chinosy i biały podkoszulek, a na gołych stopach miał mokasyny. Musiało mu być zimno w taką pogodę. Zadrżał, kiwając głową Noahowi, a potem skupił wzrok na Marnie.

– Szukacie Ledgera – powiedział. – Ale to nie on jest zabójcą.

– Gdzie go znajdziemy? Wspominałeś, że masz na ten temat teorię.

– Sześć tygodni temu zabrał mnie do takiego jednego miejsca w Mitcham. – Fletcher podał Noahowi adres. – Jakies sto lat temu znajdowała się tam klinika planowania rodziny, a teraz kupił ją jakiś Amerykanin i czeka na pozwolenie, by postawić tam szklane pudło. W tej chwili wszystko zabili dechami i blachą. Ale Ledger wiedział, jak dostać się do środka. Miał tam kuchenkę turystyczną, butelkowaną wodę i śpiwór. Nie mieszkał tam na stałe, nocował tylko czasem, gdy chciał być poza zasięgiem.

– Dlaczego się tym zainteresowałeś? – zapytała Marnie.

– Z powodu ironii. – Adam wzruszył ramionami. – Klinika planowania rodziny podkupiona przez teksańskiego dewelopera związanego z pro-liferami? Znam redaktora naczelnego, któremu bardzo spodobałaby się ta historia.

– Poznałeś Jamiego Ledgera na przyjęciu w Battersea, prawda?

Adam pokiwał głową.

– Powiedział, że ma dla mnie temat o deweloperach biorących łapówki. Nie byłem przekonany, czy faktycznie jest mu za co płacić, nie w Battersea, ale potem dowiedziałem się, że zna inne miejsca z podejrzanymi interesami. Dlatego dałem mu pięćdziesiąt funtów i zaprowadził mnie do tego miejsca w Mitcham.

– Kiedy ostatni raz się z nim kontaktowałeś?

– Jakież dwa, trzy tygodnie temu? – Adam pokręcił głową. – Długo zanim zaczęliście znajdować ciała.

– Powiedziałaś, że to nie zabójca. – Noah szukał w telefonie szczegółów na temat tego opuszczonego budynku w Mitcham. Podniósł teraz wzrok, żeby zobaczyć reakcję Fletchera. – Skąd ta pewność?

– Widywałem już morderców – rzucił beznamiętnie Adam. – Ten koleś nie jest wystarczająco szalony.

– Łamie prawo – powiedziała Marnie. – Wkracza na teren prywatny. I zaginał krótko po tym, jak przesłuchaliśmy go w sprawie morderstwa.

– Ten, kto umieścił ciało May Beswick w tamtym miejscu, chce być widoczny. Ledger wręcz przeciwnie.

– Miał dostęp do apartamentu – zauważył Noah. – Pracował tam tego dnia, gdy zginęła May.

– Tak, założę się, że dręczą was wyrzuty sumienia, że go od razu nie aresztowaliście. – Adam wsunął ręce do kieszeni, na ramionach miał gęsią skórę. – Słuchajcie, mam złożyć zeznania czy co? Odmrażam tu sobie tyłek.

– Składasz zeznania – rzuciła krótko Marnie. – Jaki masz numer do Ledgera? Adam poszukał kontaktu na komórce i pokazał Noahowi.

– Nie odpowiada.

Noah wklepał numer na swoim aparacie i wybrał połączenie.

– Czyli dzwoniłeś do niego – zauważyła Marnie.

– Po tym, jak znaleźliście May. Wiedziałem, że to nie zabójca. Chciałem tylko sprawdzić, czy coś wie.

– I wiedział?

– Nie mam pojęcia. Jak już wspominałem, nie odbierał. Nie myślałem, że to ważne, dopóki nie zauważyłem jego zdjęcia w gazecie dzisiaj rano.

– Puszczali je również w wiadomościach wczoraj wieczorem.

– Przegapiłem. Skończyliśmy już?

Marnie popatrzyła na Noaha, który pokręcił głową. Po wybraniu numeru Ledgera usłyszał kilka sygnałów, a potem uruchamiała się poczta głosowa.

– Coś jeszcze powinniśmy wiedzieć na temat tego budynku w Mitcham? – zapytał Adama. – Na przykład jak dostać się do środka. I czy Ledger trzyma tam jakąś broń.

– Nie widziałem żadnej broni. Skorzystaliśmy ze schodów przeciwpożarowych na tyłach budynku obok. Dwa piętra w górę, potem można przeskoczyć do kliniki. Łatwo nie jest, ale wy przynajmniej nie będziecie tego robić po ciemku.

– Czyli tak dorobiłeś się tych siniaków – powiedziała Marnie. – Tych na stopach i rękach.

– Ostrzegaliśmy, że bym wziął rękawiczki. – Adam skrzywił się. – Myślałem, że

martwi się o odciski palców, ale jemu chodziło o wspinaczkę. Buty lepiej też załóżcie jakieś porządne.

Takie jak buty do wspinaczki marki Red Chilli, które Dan kupił sobie w czasach, gdy zajmował się hakowaniem miejskiej przestrzeni. Ledger nie był hakerem. Jedynie kimś, kto lubił znikać albo czuł potrzebę, by to zrobić raz na jakiś czas. Riff powiedział, że wręczał czasami łapówki ochroniarzom. Czy Ledger też je przyjmował? A może robił coś znacznie gorszego?

– Zapomnijcie o tych butach – rzucił jeszcze Adam. – Wy pewnie wejdzicie frotowymi drzwiami.

Marnie pokiwała głową.

– Idź do środka i niech spiszą twoje zeznania.

Patrzyła, jak Fletcher wchodzi do budynku. Kiedy znalazł się wystarczająco daleko, by ich nie słyszeć, powiedziała:

– Tych dziewczyn nie przetrzymywano w opuszczonym budynku.

– Tak nam się wydaje – zgodził się Noah. – Poza tym Mitcham leży poza wyznaczonym przez nas terenem poszukiwań, ale niedaleko. Powinniśmy to sprawdzić. Może przeniósł się, kiedy zdał sobie sprawę, że go ścigamy.

– Dobra, zorganizujemy to. – Marnie pokiwała głową. – Podjadę jeszcze do szpitala i sprawdzę, jak się miewa Grace. Bądźmy w kontakcie.

Aimee

PRZYŚNIŁO MI SIĘ coś. Sny nigdy nie są dobre, a ten był jeszcze gorszy, bo pojawiła się w nim May.

Stoi w drzwiach do łazienki, na białych kafelkach, a światło sprawia, że jej włosy błyszczą. Uśmiecha się do mnie tak jak zawsze, bo ona od początku wiedziała. Tylko przed nią nie jestem w stanie się ukryć. Nikt inny mnie nie dostrzegł. Ani Ashleigh, ani Grace. One widziały tylko dobrą, chorą dziewczynkę Harma.

May stoi na białych kafelkach gołymi stopami, podobnymi do moich, tylko mniejszymi, bardziej różowymi. Włosy ma puszczone luźno, a z powodu światła padającego z tyłu jej koszula nocna jest prześwitująca. Patrzę na jej brzuch i piersi, wszystko. Jest piękna. Pragnę jej dotknąć.

Wiem, co powiedzą Ashleigh i reszta.

Nazwą mnie lesbą, dziwolągiem. Ale May wie. May widzi prawdę.

Pod ubraniami, które kazał nam włożyć, spódniczkami i grubymi rajstopami. Pod jego mundurkiem. Jesteśmy jak lalki, ale ja jestem matryoszką, chowam się w innej lalce, która skrywa inną, a tamta...

Wyciągam rękę do May, a ona ją łapie i przyciąga do koszuli nocnej.

Czuję zimną bawełnę pod palcami, a pod materiałem gorącą skórę.
Dotykam jej.
Ona wymawia moje imię i pyta, co ukrywam i kto się we mnie chowa.
To był błąd.
To wszystko było strasznym błędem.
Ale już za późno.

OPUSZCZONY BUDYNEK KLINIKI w Mitcham był w środku brązowy i lepki, ściany miał poplamione sadzą. Na drugim piętrze dach przeciekał, po podłodze walały się połamane dachówki i kawałki gipsu.

Kuchenka turystyczna, śpiwór, butelkowana woda. Dokładnie tak, jak to opisał Fletcher.

Obok leżały ptasie odchody, Noah czuł ich kwaśny smak na języku. Stał przy prowizorycznym posłaniu Ledgera, próbując ocenić to półzycie. Nawet nie półzycie, jeszcze mniej.

Ledger służył w Afganistanie, wrócił z PTSD i od tamtego czasu próbował dostosować się do życia w cywilu. Być może wolał taką egzystencję niż tę w prawdziwym domu, gdzie tylko udawał normalność. Wolał to niż grzyb na ścianach w Paradise House. Tutaj był zupełnie sam – poza zasięgiem wszystkich innych ludzi. Obite blachą okna nie przepuszczały hałasu miasta, ruchu, samolotów, sprowadzały je do grającego gdzieś w oddali radia. Ścieżka dźwiękowa życia płynęła gdzieś indziej, daleko stąd. Jak często Ledger budził się na tej podłodze z krzykiem po koszarze? Może lepiej śnić je tutaj, z dala od ludzi.

Noah zakreślił powoli koło pod zapadającym się sufitem.

Promienie słońca wpadające przez szpary między cegłami odbijały się od wgniecionych plastikowych butelek po wodzie i metalowego zamku śpiwora. Nie licząc tych cienkich strużek światła panowały tu ciemności, chociaż na zewnątrz trwał dzień. Było też zimno. Oprócz gnijącego gipsu i gołębich odchodów dało się

też czuć zapach papierosów. Noah kucnął i przesunął dłoń w rękawiczce pod krawędzią śpiwora, podświetlając to miejsce latarką.

Pod nylonowym materiałem znalazł poobijaną żółto-zieloną puszkę. Otworzył ją i w środku znalazł pocięty tytoń oraz bibułki.

W kupce czerwonego tytoniu dało się zobaczyć dokładnie miejsce, w którym Ledger palcem wskazującym i kciukiem wybrał porcję liści.

– Niczego tam nie ma – powiedział Noah Marnie, kiedy wyszedł z powrotem na świeże powietrze. – Przesiadywał tam sam, ale już dawno go nie było. Na kuchence widać grubą warstwę kurzu, a śpiwór zaczęła porastać pleśń. To straszna dziura, nawet gorsza niż w Paradise House. Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym sypiania w takim miejscu. – Zadarł głowę i popatrzył na zabite okna poznaczone graffiti. – A co u Grace?

– Lekarz był u niej. Uzupelnienie płynów ją uspokoiło, ale nie jestem pewna, czy w ciągu najbliższych godzin uda nam się wyciągnąć z niej coś sensownego.

Noah słyszał frustrację w jej głosie.

– Ani śladu po Loz i Christie?

– Nic. Colin sprawdził każdą trasę ze stacji, czy to dla samochodu czy dla pieszego. Jeśli miała samochód, na pewno byśmy już coś znaleźli. Monitoring ulic jest naprawdę niezły. Znacznie łatwiej ominąć kamery, gdy się idzie pieszo. Wydaje mi się, że Christie wiedziała, jak to zrobić.

– To nawet logiczne, skoro od miesiący udawało jej się porywać dzieciaki.

Noah ruszył w stronę przystanku tramwajowego.

– Wracam na komisariat, o ile nie chcesz mnie nigdzie indziej.

– Zobaczymy się na miejscu.

– To ja – powiedziała Marnie.

– Hej. – Ed był w pracy, w tle dało się słyszeć charakterystyczny dla biura hałas. – Wszystko w porządku?

– Loz Beswick zaginęła. Podejrzewamy, że jest w tej chwili z mordercą.

– Cholera. Jakim cudem?

Marnie włożyła klucz do stacyjki, ale go nie przekreśliła. Wciąż czekała na informacje od lekarza zajmującego się Grace. W samochodzie było cicho i nikt jej nie słyszał.

– Loz wiedziała, dokąd chodziła May, gdy nie było jej w domu. Wszystko było w szkieletniku, który May zostawiła w pokoju Loz. Stacja metra w Stockwell. Dziewczynka poszła tam dzisiaj rano i teraz zaginęła. Zabrała ją młoda kobieta. Troje nastolatków widziało, jak Loz z nią wychodzi. Nie uważali, by był to powód

do niepokoju.

Joel, Corin i Daisy sęczyli swoje piernikowe latte, wiedząc o grasującym zabójcy, lecz nie łącząc tego faktu ze swoim życiem ani z życiem Loz. Wierzyli, że to ich nie dotyczy.

– Znaleźliśmy dziewczynę z wypadku – ciągnęła. – Nazywa się Grace Bradley. Jest teraz w szpitalu, ale nic jej nie będzie, a przynajmniej taką mam nadzieję. Grace wie, dokąd ta kobieta prowadzi nastolatki, ale nie potrafi nam jeszcze pomóc. Pracuje z nią teraz specjalista, to wszystko zajmuje jednak zbyt wiele czasu. Musimy jak najszybciej odnaleźć Loz. Ten facet zabił już dwie dziewczyny.

– Facet?

– Nie wydaje mi się, żeby ta kobieta była mordercą. Niemniej mogę się mylić. – Marnie zamknęła na chwilę oczy, chowając się przed światłem z okien szpitala. – Pojechałam dzisiaj do Sommerville. – Zatańczyła, jak Stephen jej zagrał, a do tego złamała obietnicę, że zabierze ze sobą Eda. – Zrobiłam to ze względu na śledztwo; jedna z pensjonariuszek rozpoznała Grace w wiadomościach. – Wyciągnęła rękę do kierownicy i zaczęła skubać kruszącą się gąbkę. – Widziałam Stephena. Nie rozmawiałam z nim, ale przyszedł mi się pokazać. Bardzo się zmienił.

– W jaki sposób? – zapytał Ed.

– Ćwiczył. Nabrał tężyzny. Może boi się przeniesienia do zakładu dla dorosłych.

– A wyglądał na przestraszonego?

Uśmiechający się do niej zza grubej tafli szkła, z obciętymi na krótko włosami ukazującymi kości czaszki...

– Nie.

– Ale dobrze się czujesz?

– Powinna była spędzić więcej czasu z Loz. Zadawać jej lepsze pytania, zdobyć jej zaufanie. Wiedziała, dokąd chodziła jej starsza siostra, ale nie powiedziała nam o tym. Odcięła się od rodziców i zdawałam sobie z tego sprawę, lecz myślałam, że gdyby miała jakiegokolwiek informacje, przekazałaby je mnie albo Noahowi. A jednak nie wierzyła, byśmy byli w stanie znaleźć mordercę May. Sama poszła go szukać. Ed, ona ma trzynaście lat.

– Nie zataiła tego, bo ci nie ufała. W tym wieku po prostu trudno się rozmawia.

Marnie wiedziała, że Ed ma rację, jednak nie zmieniało to faktu, że jemu by powiedziała. Z nim wszyscy chcą rozmawiać. To jego supermoc.

– A ten szpicownik, który znaleźliśmy w pokoju Loz, zawierał akty, jak się okazało. Moim zdaniem Loz wiedziała, że on tam jest, może nawet sama go ukryła.

– Przypomniała sobie drut pod palcami i falbanki resztek wyrwanych kartek.

Czyżby Loz wydarła rysunki, których nie chciała pokazać rodzicom? Jeśli tak, to dlaczego? I jakie rysunki? – Chciała chronić May, a do tego była wystraszona. I zawstydzona. W tamtym domu wszyscy się wstydzą... – Zabrała rękę z kierownicy. – Mówię strasznie nieskładnie. Przepraszam. Nie mam już siły.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał Ed.

– Przed szpitalem, czekam, aż będę mogła porozmawiać z lekarzem Grace. Nic mi nie jest. Trochę mi lepiej, bo mogłam z tobą porozmawiać. Szkoda tylko, że nie postarałam się bardziej w rozmowie z Loz, kiedy jeszcze miałam szansę. Wyciągnięcie z niej tamtych informacji nie mogło być niemożliwe. Widziałam, jak wyglądało jej życie w tamtym domu. Widziałam, jaka musiała się tam czuć samotna. Wypytywała mnie o Projekt Wybaczania, o Stephena. Powinnam była nawiązać z nią więź, skłonić ją do mówienia, do zaufania mi.

– Nie zadręczaj się – ostrzegł Ed. – Musisz skupić się na pracy.

– Wiem. – Wyprostowała się i spojrzała w lusterko, natychmiast usuwając z twarzy nienawiść do samej siebie. – Lekarz na pewno niedługo skończy badać Grace. Później muszę spróbować skłonić ją do porozmawiania ze mną.

– Mogę w tym pomóc? – zapytał Ed.

To w końcu jego praca. Jego supermoc. A Grace bała się Marnie, nie chciała mieć nic wspólnego z policją.

– Mógłbym przyjechać za pół godziny – powiedział Ed. – Jeśli mnie potrzebujesz.

Zamknęła z ulgą oczy.

– Tak, proszę.

CHRISTIE USTAWIAŁA BRUDNE naczynia do zmywania. Liczyła zbiorniki z wodą w kuchni. Sprawdzala zapasy i zapisywała na liście, co się kończyło. Potrzebowali więcej ryb, mąki i mleka w proszku. Posegregowała śmieci do czarnych worków, by wrzucić je do kubłów na sąsiedniej ulicy, gdzie w domach mieszkało mnóstwo ludzi. Policzyła baterie i butle z gazem do kuchenki. Niedługo miała dostać miesięczkę, więc zapisała sobie, żeby nie zapomnieć o kupnie podpasek. Aimee dojrzewiała powoli; w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy miała okres tylko dwa razy, ale w końcu dziewczyna nie była w najlepszym stanie, za mało jadła. Christie nie powiedziała Harmowi o jasnoczerwonej krwi, jaką widziała na podpaskach Aimee; nienaturalnie jasnej. Może Aimee naprawdę była chora i wcale nie udawała dla przyjemności Harma.

Jakiś hałas z półpiętra.

Christie zamarła i nasłuchiwała. Napięła się cała, aż poczuła skurcz w szyi.

Laura eksplorowała mieszkanie. Wciskała nos, gdzie nie trzeba. Co pomyśli o niej Harm? Christie zaczęła ssać palec, zastanawiając się, co właściwie powoduje u niej gęsią skórkę. Nie strach, a na pewno nie tylko. Zrobiła, o co ją prosił, przyprowadziła mu nową dziewczynę. Starą. Bardzo starą.

Co ona narobiła?

Odłożyła listę zakupów i podeszła do zbiornika z kubkiem w rękę, podstawiała go pod kran i napełniła. Zaniósła wodę do kuchni, poruszając się powoli, żeby słuchać Laury. Znała każde skrzypnięcie i każdy jęk tego mieszkania,

a kiedy stanęła z kubkiem w ręku, słyszała pustkę pokoju Laury. Na górze...

Laura poszła na górę.

Christie stała, nasłuchując klatką piersiową i mokrymi opuszkami palców na szklance. Bąbel powędrował na powierzchnię, łaskocząc ją. Gdyby spuściła wzrok, zobaczyłaby swoją twarz w szklance, usta wyciągnięte w uśmiechu.

Laura szła po podłodze w pokoju Aimee, kierując się w stronę łóżka.

Jeszcze dwa kroki i znajdzie się na miejscu, zaraz obok Aimee, która spała albo udawała, że śpi. Christie znała wszystkie jej sztuczki. Christie *wiedziała*.

Kolejny krok, jeszcze jeden.

Dlaczego się zatrzymała? Bo się przestraszyła?

Christie podniosła szklankę do ust.

Woda była niebieska i martwa.

Christie stała i słuchała ciszy rozciągającej się na półpiętrze.

– NIE BYŁAŚ ŚWIADKIEM zabójstwa May. Nie wiedziałaś o jej śmierci, dopóki nie wspomniała o tym komisarz Rome. May jeszcze żyła, kiedy opuściłaś tamto miejsce, ale zrobiłaś to w pośpiechu, w szoku. Co tam się działo? Co takiego zobaczyłaś, że musiałaś uciec?

Grace miała rozbiegany wzrok, mierzyła bojaźliwie dystans dzielący łóżko od drzwi. Znowu chciała uciec. Półnaga, zmizerniała, cała w siniakach. Nie czuła się tutaj bezpiecznie.

– Co tam się dzieje? – zapytał znowu Ed. – Powiedz mi jedną rzecz. Jakąkolwiek.

Siedział na krawędzi łóżka Grace, ubrany w jasnoniebieską koszulę i spodnie z diagonalu. Całą uwagę skupił na dziewczynie. Na całym świecie nie było osoby, której łatwiej byłoby się zwierzyć niż jemu.

– Nie było... nie było wody. – Głos Grace był suchy, cichy. – W kranie.

Ed nappełnił plastikowy kubek z dzbanka przy łóżku, a potem przytrzymał, żeby Grace mogła się napić.

– Nie było wody w kranie. To dziwne. Co jeszcze niezwykłego powiesz mi o tym miejscu?

– I światła. I... grzania.

– To stary dom?

– Nie... dom.

– Mieszkanie? A może jeszcze coś innego?

Grace podniosła rękę nad głowę, skrzywiła się.

– Wysoko.

– Blok? Stary blok.

– Nowy – szepnęła. – Wszystko nowe.

– Czyli nowy budynek.

Kiwnęła głową, poruszyła się na wąskim łóżku, patrząc ze zdziwieniem na otarcia na rękach.

– Co mi się stało? – Uciekła przestraszonym wzrokiem do Eda. – Nie pamiętam.

– Spokojnie. Byłaś odwodniona i dlatego masz kłopoty z pamięcią, ale to minie. Jesteś teraz w szpitalu i lekarze się tobą zajmują. – Byli zadowoleni z tego, jak organizm Grace zareagował na podanie płynów, i spodziewali się pełnego powrotu do zdrowia, jednak psycholog ostrzegał ich, żeby przepytawali ją ostrożnie. – Opowiedz mi o tym mieszkaniu. To nowy budynek, jeszcze nieskończony. Nie ma wody, światła, ogrzewania. Jakie tam są pokoje?

– Ładne. – Zamknęła oczy. – Są... ładne. – Zacisnęła powieki jeszcze mocniej. – Chcę do domu. Kiedy wrócę do domu?

– A gdzie jest dom?

– Mówiłam. Nowy. Wysoko. – Chciała wrócić do miejsca, z którego uciekła.

Skromnie złożyła ręce. Gdzie się podziała twarda sztuka z opowieści Jodie? Marnie potrzebowała tamtej dziewczyny, tamtej Grace.

– Mielicie stamtąd ładny widok? – zapytała. – Z okien?

– Tylko... kominy.

– Takie kominy? – Marnie przytrzymała jej telefon przed twarzą. – Grace? Czy z okna widziałaś takie kominy?

Dziewczyna zamrugła, patrząc na wyświetlacz, który pokazywał rysunek Elektrowni Battersea autorstwa May.

– Tak.

– Dzieliliś z kimś pokój? Z May albo kimś innym?

– Nie... nie zawsze.

– Czyli to duże mieszkanie. Ile jest tam pokoi, pamiętasz?

– Cztery.

– Cztery sypialnie?

– I jeszcze jedna na górze. – Grace odsunęła głowę. – Na półpiętrze. Piąta sypialnia.

Duże mieszkanie, sporo pokoi i jeszcze półpiętro. Marnie widziała oczami wyobraźni to miejsce, z modną antresolą. Ile niedokończonych bloków z takimi mieszkaniami znajdowało się w okolicy Battersea? Łaskotały ją kciuki. Wysłała tę nową informację do Colina i Noaha, krótką i zwięzłą.

– Opowiedz mi o tym pokoju na półpiętrze – poprosił Ed. – Kto tam śpi?

Grace skupiła na nim wzrok. Nie denerwował jej, w przeciwieństwie do Marnie.

– Aimee.

Jeszcze jedna dziewczyna. Ile ich tam było?

– Ile lat ma Aimee?

– Szesnaście? Nie wiem.

– Aimee śpi w pokoju na półpiętrze?

– On... trzyma ją tam. – Ugryzła się w język i odwróciła głowę.

On. Czyli kto?

Marnie wstrzymała oddech, prosząc bezgłośnie Eda, by wyciągnął z dziewczyny imię.

Grace spuściła wzrok, przesuwając kciukami po zapisanych na skórze słowach.

– Aimee jest wyjątkowa, nie zadaje się z nami. – Wbiła paznokiec w jeden z wyrazów. – Oprócz May.

Ed przeprowadził ją przez szereg bezpiecznych pytań, zdobywając jej zaufanie.

– Co Aimee i May robiły razem?

– Rozmawiały. – Grace wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Cały czas siedziały w pokoju we dwie. Ashleigh im dokuczała.

– W jaki sposób?

– Ciągle gadała na Aimee, nie podobało jej się, że jest wyjątkowa. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Na miejscu Aimee zrobiłabym tak, żeby się wreszcie zamknęła.

Marnie zamajaczył przed oczami obraz Ashleigh leżącej w śmieciach, z zamkniętymi na zawsze ustami.

– Kto jest teraz w mieszkaniu? – Ed siedział bardzo spokojnie u boku Grace.
– Możesz mi podać imiona?

– May, Ashleigh i Aimee. – Na jednym wdechu. – My wszystkie.

Marnie czekała, aż dziewczyna przypomni sobie, że May nie żyje. Grace nie poprawiła listy imion, ale zaraz dodała jeszcze dwa inne:

– My wszystkie oraz Christie i Harm.

– Harm. – Ed zerknął na Marnie, starając się nie dopuścić niepokoju do głosu.

Marnie wysłała imiona Noahowi.

– Kim jest Harm? – zapytała.

Grace skuliła się na poduszce, zacisnęła usta i nie chciała mówić. Marnie popatrzyła na imię, które na ślepo wysłała SMS-em.

– Czy Harm to mężczyzna?

– Chcę do domu.

– Do domu... Harma? Kim on jest? To przyjaciel Christie?

Grace wycofała się jeszcze bardziej, podnosząc rękę w tym samym geście co wcześniej, wykręcając nadgarstek tak, że pokazywała słowo, które Ron wziął za wyznanie winy: *Zabójca*.

Harm był zabójcą?

– Opowiedz mi o napisach. – Ed łagodnie na powrót skupił uwagę dziewczyny na sobie. – O słowach, które zapisywałyście na sobie z May. Kto to zaczął?

– Ja. – Jej palce drżały. – Dawno temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem.

– May cię naśladowała?

– Żebym miała towarzystwo, żebym nie była samotna. – Jej twarz skurczyła się. – May była miła.

– Jak wybierałyście słowa?

– Oni je wybierali.

– Kto?

– Oni wszyscy. *Wszyscy*.

– Ale oni się myślą. Nie jesteś zabójczynią. Nie jesteś też martwa.

– Nie wiesz tego.

– Kogo zabiłaś? – zapytał lekko Ed.

– Mnie. – Zwinęła palce. – *Zabiłam mnie*. Chcę do domu. Kiedy mogę wrócić do domu?

– Okej. Opowiedz mi jeszcze o domu. To niedaleko? Ile czasu zajęłoby nam dotarcie tam?

– Nie wiem. To *ona* mnie zabrała. Było ciemno.

– Ona, czyli Christie?

Zacisnęła powieki.

– Tak.

– Ale dało się stamtąd zobaczyć elektrownię. To wysoki i nowy budynek.

– Sekretny. Tam jest bezpiecznie tylko dlatego, że to sekret. Trzeba dbać, żeby był sekretem.

– Czulaś się tam bezpieczna?

– Bardziej niż wcześniej. On był lepszy. Pozwalał nam być sobą. Kochał nas.

– Smutek na jej twarzy. – Tam było *dobrze*. Nigdy wcześniej nie było mi dobrze.

– Ale musiałaś stamtąd odejść. Dlaczego? Co się stało?

Pociągnęła nosem.

– Ja po prostu chciałam, żeby bardziej mnie lubił. – Dotknęła słów na nadgarstku. – Było nas za dużo. On mnie nie widział. Chciałam być lepsza, żeby bardziej mnie lubił.

– Co się dzieje, kiedy on kogoś nie lubi?

– Nie przytula. Nie patrzy. Znowu stajesz się nikim. – Wbiła paznokcie

w skórę. – Nie chciałam znowu być nikim.

Marnie zobaczyła odbicie cierpienia dziewczyny na twarzy Eda. Odczekał chwilę i poprosił:

– Opowiedz mi więcej o tym miejscu, w którym mieszka. Wiem, że to sekret, ale czy możesz mi je lepiej opisać? – Czekał. – Nie ma wody w kranie. Na pewno bardzo chciało wam się pić. Jak się myłycie?

– Butelki. Dużo butelek... On o nas dba. Bardzo dobrze dba. Kiedy mogę iść? – Mówiła z determinacją, jednak powoli zaczynała płakać. – Nie wiesz. Puść mnie do domu.

– Już dobrze. – Ed położył dłoń na jej nadgarstku, zakrywając zapisane tam słowo i uwalniając ją od niego. – Harm jest teraz w tamtym mieszkaniu? Z pozostałymi dziewczynami? Z Christie?

– Nie zawsze. Przychodzi i odchodzi.

– Tak jak Christie. – Kiwnięcie głową. – Czy to Christie dała ci kartkę z adresem pani Tarvin? Znaleźliśmy ją w twojej kieszeni. Christie ją napisała?

Grace przytaknęła.

– Powiedziała, że tam będzie bezpiecznie. Tarvin miała mi... pomóc.

Christie wysłała strauumatyzowaną dziewczynę do Emmy Tarvin, wiedząc, do czego ta jest zdolna. Dlaczego? Żeby ukarać Grace? Czy chciała, by Tarvin ją uciszyła?

– Christie zabrała siostrę May – powiedziała Marnie. – Dzisiaj rano. Loz ma trzynaście lat. Na pewno jest bardzo wystraszona. Czy Christie zaprowadziła ją do mieszkania? Do Harma?

– Tak. *Tak*.

– Musisz mi powiedzieć, gdzie ono się znajduje. Pomóż mi znaleźć Loz i resztę. Proszę, Grace.

Dziewczyna trzęsła się od płaczu. Marnie wiedziała, że powinna przerwać przesłuchanie, zawołać pielęgniarkę, zostawić Grace w spokoju. Jednak Loz była w tej chwili sama z zabójcą. Marnie zaczęła przeglądać zdjęcia na telefonie, aż znalazła fotografię Jamiego Ledgera.

– Czy to jest Harm? Proszę, spójrz na niego. To ważne.

Grace zwinęła wolną dłoń i uderzyła nią słabo w łóżko.

– Puść mnie... do domu.

– Nie mogę tego zrobić. Mogę się tobą zaopiekować, mogę zadbać o twoje bezpieczeństwo, ale nie mogę posłać cię z powrotem do tamtego miejsca. Nie zrobię tego. Wiesz, że to niebezpieczne, i dlatego uciekłaś. Harm i Christie oszukali cię, mówiąc, że tam jest bezpiecznie. Loz ma dopiero trzynaście lat. Jest młodszą siostrą May.

Jak miała dotrzeć do tej dziewczyny i sprawić, żeby jej zaufała na tyle, by im pomóc?

– Byłaś z May tamtego dnia, gdy uciekłaś. – Ed chwycił Grace za rękę. – W dniu wypadku. Tobie udało się stamtąd wydostać, ale May już nie. Ona wróciła do domu, tak samo jak ty chcesz teraz wrócić, i została zamordowana. Poszczęściło ci się, Grace. Ty jedna się wydostałaś. Ty jedna możesz nam pomóc uratować Loz.

Grace odwróciła głowę na poduszce. Ed wyciągnął rękę i zdjął kosmyki, które przykleiły jej się do twarzy; każdy wygładził palcami.

– Już dobrze. Jesteś teraz bezpieczna. I możesz nam pomóc.

Marnie słyszała tykanie swojego zegarka, odmierzającego upływający czas, może także uciekające życie Loz.

– Jesteś teraz bezpieczna – powtórzył Ed.

Grace usiadła wyprostowana na łóżku i wyciągnęła chude ręce, by ją przytulić.

Ed wziął ją w ramiona, pogładził po głowie, pozwolił jej wypłakać mu się w ramię.

Po chwili dziewczyna się uspokoiła, oparła o niego.

– Pokażesz mi? – szepnęła.

Marnie podała swój telefon Edowi, a on pokazał Grace zdjęcie Ledgera. Dziewczyna zamrugała kilka razy z twarzą przy bawełnianej koszuli.

– To nie on.

– To nie Harm. Jesteś pewna?

Grace znowu się wyprostowała, zabrała komórkę od Eda i przytrzymała ją w obu rękach.

– Nie Harm. – Pociągnęła nosem, jej głos zaczynał przypominać normalny. – To nie on. – Jej kciuki poruszały się po wyświetlaczu, jakby przypominała sobie, jak działa to urządzenie. – Aimee... – Przełączyła na inne zdjęcie i spojrzała na Eda. – To jest Aimee.

– Pokażesz mi? – Ed przesunął się, żeby Marnie też mogła spojrzeć na ekran.

Grace odwróciła telefon w ich stronę.

Marnie poczuła, jak ściska ją w żołądku. Pokręciła głową.

– To nie jest...

– Zmieniła się. Ale to Aimee. – Oddała komórkę Edowi. – Poznaję ją po uśmiechu.

Nieśmiały uśmiech. Wysoko umiejscowione kości policzkowe. Grace myślała, że Aimee ma szesnaście lat, jednak twarz na fotografii nie należała do szesnastoletniej dziewczyny.

Należała do piętnastoletniego dziś chłopca, który zaginął w dwa tysiące dwunastym roku.

Chłopca, którego Joel nazwał psycholem. Erica Jamesa Mackaya.

Drzwi były zamknięte, ale za nimi nikt się nie krył, tylko kurz odprawiał swój rytualny taniec – jak zawsze, gdy się weszło do pustego pokoju. Dwa okrągłe okna na końcu patrzyły na nią jak zachmurzone oczy. Toaletka, łóżko, szafa, a wszystko spowite pleśniowym zapachem stęchlizny. Ani żywej duszy. Tamta kobieta, Christie, kłamała. Może to nawet nie było to miejsce. Może to nie tutaj przyszła May i nie tutaj umarła...

Potem Loz przypomniała sobie to, co mówiła Christie – „miała grypę i potrzebuje dużo odpoczynku” – i jej wzrok powędrował w stronę łóżka przy ścianie naprzeciwko.

Łóżko miało wysoką, drewnianą ramę. Loz nie widziała, czy ktoś na nim leżał, czy nie. Żeby się przekonać, musiałaby wejść głębiej i oddalić się od drzwi oraz schodów. Zaryzykować, że zostanie tu uwięziona. Włożyła rękę do kieszeni i policzyła na wycucie, ile zębów ma klucz. Coś w nim jej nie pasowało, ale mimo to dodawał jej odwagi.

– Halo?

Jakiś odgłos z pomieszczenia niżej sprawił, że zamarła.

Czyżby Christie wchodziła po schodach?

Loz przygryzła policzek tak mocno, że zaczął krwawić. Nie chciała utknąć tutaj z Christie, która tylko udawała miłą i bardzo możliwe, że tak naprawdę była szalona. Loz wyteńczyła słuch, aż krew zadudniła jej w uszach, żeby nie przegapić żadnego nieznanego dźwięku. Cały budynek był upiorny, nikt tu nie mieszkał prócz Christie i innych w tym jednym mieszkaniu. Loz się to nie podobało. Miała ochotę uciec. Co ona tu w ogóle robiła? Musi zapomnieć o Christie, to wariatka.

– Hej – powiedział ktoś na łóżku.

Loz aż podskoczyła i znowu ugryzła się w policzek.

Choleracholera...

Zamknij się.

Przyszłaś tu dowiedzieć się wszystkiego, prawda? Dowiedzieć się, kto ją zabił.

– Hej. – Zmusiła się do tego, by ruszyć w stronę łóżka, ale zamarła, gdy spod kołdry wychynęła postać i usiadła, opierając się o poduszki, jak lalka.

Czarne nastroszone włosy i oczy w tym samym kolorze. Twarz bardzo blada i ładna, jak u Haruki Nanase albo innych chłopców z anime, obdarzonych wielkimi oczami i spiczastymi podbródkami.

Jednak Loz rozpoznawała tę twarz. Widziała już ją. W szkicowniku May.

Wszystko znajdowało się na rysunkach May, jak historia, której śladem mogła podążać, lecz której nie potrafiła wyjaśnić policji ani nikomu innemu. To opowieść przeznaczona wyłącznie dla niej i mówiąca o tym, gdzie May poszła i kogo zobaczyła. Historia o tym, kto ją zabił. Właśnie dzięki niej Loz wiedziała, że...

Dziewczyna w łóżku nie była prawdziwa. Nie istniała.

– Nazywam się Aimee. – Głos był prawie dziewczęcy, tylko trochę niższy.
To kłamstwo.

Nie jesteś Aimee. Ona nie istnieje.

– A ja Laura. – Teraz i ona kłamała. Nigdy nie była żadną *Laurą*. Od zawsze była Loz.

– Jesteś tu nowa. – Aimee usiadła wyżej na łóżku i otoczyła rękami kolana. Większość jej ciała skrywała kołdra, wystawały tylko szyja i kościste ramiona w białym podkoszulku. Na skórze nie było widać napisów.

Loz spodziewała się napisów.

Zmusiła się do odwrócenia wzroku od łóżka i rozejrzenia się po reszcie pokoju. Nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo się boi. Na toaletce zobaczyła coś srebrnego – szczotkę do włosów. Wokół okrągłego lustra zamontowano żarówki. Pleśniowy zapach unoszący się w pomieszczeniu sprawiał, że ścisnęło ją w żołądku.

– Mieszkasz tutaj?

– Tak. – Aimee oparła brodę o kolana.

Loz zobaczyła ją w lustrze, a dokładniej połowę jej ciała, jedno duże oko patrzące na nią bez przerwy.

– Co jest w szafce? – zapytała, żeby tylko coś mówić. Cisza była przerażająca.

– Zbiornik wody.

– Ale nie ma wody – powiedziała Loz.

Lustro przecinało ją na pół. *Aimee*.

– Christie mówi, że nie ma wody w kranie. – Loz odwróciła się w jej stronę.

– Tylko w zbiornikach.

Nazywała ją teraz kłamcą, jednak *Aimee* miała to gdzieś.

To oko jak u wrony, skupione na niej. Wyzywające Loz, by powiedziała o niej coś gorszego.

– Jesteś chora – rzuciła Loz.

Mrugnięcie. Czerń.

– Christie mówiła, że miałaś grypę.

– Jestem chora – przyznała Aimee.

Loz podeszła do nóg łóżka. W stronę twarzy ze szkieletu siostry. May narysowała tę twarz. Właśnie ona była ostatnią rzeczą, jaką narysowała. Loz wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że to nie jest twarz dziewczyny. Znała styl starszej siostry, wiedziała, jak tamta patrzy na świat. I właśnie wtedy zaczęła rozumieć, co się przytrafiło May. W tym miejscu, z tym kłamcą. Stała w linii światła między oknami, gdzie tańczył kurz, łaskocząc ją w policzek.

– Jak długo tutaj jesteś?

– Już od jakiegoś czasu. Kilka miesięcy.

– Ile dokładnie?

– Trzy, może cztery. Mniej więcej.

May leżąca w zimnej kostnicy. Jej siostra. Jej latawiec.

Loz puściła klucz spoczywający w kieszeni i położyła ręce na drewnianej ramie łóżka.

– Powiesz mi jeszcze raz swoje imię?

– Aimee.

– Nie. Wcale nie. A chcesz wiedzieć, skąd to wiem?

Czarne oczy wspięły się na nią.

– Skąd?

– Bo May była moją siostrą. Bo May cię narysowała. Mam rysunki twojej twarzy. Rysunki ze stacji metra. Narysowała cię, jeszcze zanim przyszła tutaj i dała się zabić. Tobie? Ty ją zabiłeś? – Była wystraszona i zła. Drewno wpijało jej się w dłoń dość mocno, by ból wyciskał jej łzy z oczu. – May była moją siostrą i nigdy, przenigdy ci nie wybaczę. Więc zrób, co chcesz. Zabij mnie, tak jak zabiłeś ją. Tak jak zabiłeś Ashleigh Jewell. Wiem, co zrobiłeś i kim jesteś. Nie jesteś żadną *Aimee*. *Aimee* nie istnieje. Jesteś kłamcą i mordercą. Nienawidzę cię. Nienawidzę.

Rama łóżka trzęsła się pod jej rękami, a łzy zamazywały postać leżącą w pościeli, aż widoczne zostało tylko spojrzenie, palące spojrzenie.

– No dalej. Zabij mnie. Zabij mnie tak, jak i ją zabiłeś, bo i tak już jestem martwa. Już mnie zamordowałeś, zniszczyłeś. Tylko ona jedna mnie dostrzegła, bez niej nie istnieję. Jesteś świnią. Jesteś popieprzoną świnią. Ona nigdy... nigdy nikogo nie skrzywdziła. Sama cierpiała cały czas, lecz nigdy nikogo nie skrzywdziła. Była miła i cicha, i tylko ona mnie kochała, tylko ona potrafiła mnie kochać. – Łzy ścisnęły jej gardło. – Teraz w domu nic mnie nie czeka. Zostali tylko oni i ich nienawiść do mnie, że to ona zginęła, a nie ja. Że to na nią musieli patrzeć w kostnicy, a nie na mnie. Ja jestem brzydkim i głupim śmieciem. Ale ona... ona była miła i cicha i kochali ją bardzo. Kiedy ją zabiłeś...

Zamilkła dopiero wtedy, gdy jego dłoń zatkała jej usta, miażdżąc je o zęby.

Nie widziała, kiedy ruszył się z łóżka; łzy wszystko rozmyły.

– Zamknij się – syknął gorąco w jej policzek.

Loz próbowała go ugryźć, kopnąć. Przytrzymał ją mocno przy łóżku, z ręką na ustach, aż przed oczami zobaczyła czerwone gwiazdy.

– Ostrzegam cię – wysyczał. – Zamknij się!

Próbowała się wyswobodzić, ale on był silny. Silniejszy niż się wydawał, gdy siedział jeszcze na łóżku. Jego ramiona wcale nie były chude, pod skórą znajdowały się mocne mięśnie. Loz podniosła wzrok i spojrzała na jego twarz od dołu.

Czarne oczy, kości policzkowe i zarys szczęki – dokładnie takie, jak

narysowała May. *Aimee*. Czy ktoś w tym domu naprawdę wierzył, że to dziewczyna?

Pochylił się do przodu, jego włosy łaskotały jej powiekę, oko.

Przestała się szarpać, zbyt wystraszona, żeby oddychać, a co dopiero walczyć.

Przystawił usta do jej gardła.

– Lepiej – wydyszał. – Tak zdecydowanie lepiej.

– ERIC JAMES MACKAY. Piętnaście lat, zniknął z domu dziecka w Derby w maju dwa tysiące dwunastego roku. Wiemy, że pojawiał się na stacji metra w Stockwell, jednak Joel i jego przyjaciele nie widzieli go od września, czyli dwa miesiące przed tym, jak May przestała tam chodzić. Wiemy, że tam go poznała. Narysowała go. Grace zidentyfikowała rysunek. – Marnie przypięła dzieło May obok zdjęcia Erica Mackaya. – Żadne z nas nie rozpoznało na rysunku Erica, jednak Grace miała tę przewagę, że przez jakiś czas z nim mieszkała. Zmienił się bardziej, niż się spodziewaliśmy.

Wyobrażali sobie zbira z ogoloną głową, a Eric Mackay przeobraził się w anioła o androgynicznej urodzie. Być może taki kamuflaż był lepszy dla bezdomnego nastolatka. Z pewnością jednak jednocześnie bardziej niebezpieczny.

– Dlaczego trafił do domu dziecka? – zapytał Ron.

– Z powodu choroby matki – odparła Debbie. – Cierpiała na zastępczy zespół Münchhausena. Nie puszczała go do szkoły, kazała mu łykać różne prochy, zabroniła wychodzić z domu. W końcu zabrała go opieka społeczna, ale wygląda na to, że matka zdążyła na niego wpłynąć i zdziwaczał, pół roku w domu dziecka nie wychodził z łóżka, jakby niczego poza nim nie znał.

– Teraz sam siebie nazywa Aimee Finch. – Marnie dotknęła rysunku May. – Zdaniem Grace mieszkał z Christie i Harmem ostatnie trzy miesiące. Pojawili się jednocześnie z May.

– Te rysunki pornograficzne – zauważył Ron. – Czy pozował do nich

Mackay?

– Nie wiemy. Może. Poznali się z May na stacji metra, ale nie mamy pojęcia, gdzie spał w tamtym okresie. Możliwe, że podobnie jak Christie zajmuje się rekrutowaniem nowych osób.

– Czy Joel nie nazwał go psycholem? – zapytał Ron.

Noah pokiwał głową.

– Jednak kiedy próbowaliśmy wyciągnąć z niego więcej informacji, niewiele nam powiedział. Najwyraźniej szaleństwo Erica polegało na kilkukrotnym zeskoczeniu z dachu stacji metra i tańczenia w deszczu. Innymi słowy, nastoletnia wizja bycia psycholem. Niemniej zdaniem Joela Eric niczego się nie boi. Nieraz wychodził z obcymi na seks.

– Z mężczyznami czy kobietami?

– Joel twierdzi, że chłopak nie był wybredny.

– A teraz mieszka w tym domu wariatów – rzucił Ron. – Przebrany za dziewczynkę.

– Nie tylko *przebrany* za dziewczynkę – poprawiła go Marnie. – Grace była absolutnie przekonana, że Eric jest dziewczyną. Twierdziła, że wszyscy w mieszkaniu nie mieli co do tego wątpliwości, w tym May i Ashleigh.

– Jesteśmy tego pewni? – Noah przyglądał się portretowi Erica. – Jak patrzę na ten rysunek, wydaje mi się, że May mogła znać jego prawdziwą płć.

– Grace mogła się mylić. Jednak upierała się, że Harm nie miał o niczym pojęcia.

– Co oznacza, że ich nie molestuje – powiedziała Debbie. – Inaczej już by się wszystkiego dowiedział.

– Grace twierdzi, że Harm nigdy jej nie dotknął. Ani innych. Z jej perspektywy ten brak zainteresowania jest jego najdziwniejszą cechą.

– Dziewczyna ma ciekawe pojęcie na temat tego, co dziwne. – Zła opinia Rona o Grace nie poprawiła się, gdy nastolatka zaczęła składać zeznania. – W takim razie dlaczego uciekła, skoro tam jest tak miłutko?

– Nie jest miłutko, ale za to bezpiecznie. Są zamki w drzwiach, żaluzje zaciemniające, ścisłe zasady zachowywania ciszy. Trzy miesiące temu mieszkali w domu w Chiswick. Harm uznał jednak, że nie jest dość bezpieczny. Właśnie wtedy przenieśli się do aktualnego mieszkania. – Marnie zerknęła na Colina. – Udało się je namierzyć?

– Skróciliśmy listę możliwych lokalizacji, ale zdobycie informacji od deweloperów to droga przez mękę. Są setki nowych budynków w całym Londynie, bloków mieszkalnych, biurowców. Mnóstwo projektów, które utknęły w martwym punkcie.

– Dlaczego ona nie może nam po prostu podać tego cholernego adresu? – utyskiwał Ron. – W końcu teraz mówi już normalnie.

– Nie wychodziła z budynku, dopóki stamtąd nie uciekła, a wtedy była spanikowana i panowały ciemności. Grace pracuje w tej chwili z Waywellem i wspólnie próbują znaleźć dokładną lokalizację.

– A co z tym domem w Chiswick?

– Ciągłe go szukamy – powiedziała Marnie. – Grace nie pamięta adresu, ale podała nam różne informacje. Niemniej wolimy, żeby skoncentrowała się na mieszkaniu.

– Naszym zdaniem Loz znała Erica albo Aimee? – Noah wciąż przyglądał się rysunkom przyczepionym do tablicy. – Z pewnością widziała jego portret w szkicowniku May.

– Powiedziałyby nam o tym. – Marnie chciała w to wierzyć. – Gdyby wiedziała coś, co mogłoby doprowadzić nas do May w czasie, kiedy ciągle była tylko zaginioną, albo do zabójcy teraz... Powiedziałyby nam.

– Harm – odezwała się Debbie. – Co o nim wiemy?

Marnie kiwnęła na Noaha.

– Sierzancie?

– Jest mniej więcej w tym samym wieku co Jamie Ledger, czyli po czterdziestce. Możliwe, że są do siebie nieco podobni, ale Grace nie ma wątpliwości, że Ledger to nie Harm. Niedługo będziemy mieli portret pamięciowy. Dziewczyna nie chciała nic powiedzieć, lecz na szczęście pomógł nam Ed Belloc. Z tego, co udało mu się od niej wyciągnąć, Harm wydaje się samotnikiem z dość dużą znajomością sztuki przetrwania. I obsesją kontroli. Wszystko starannie racjonuje: jedzenie, dach nad głową, swoją uwagę. Przygotował dla swoich podopiecznych wiele zasad do przestrzegania i każe im się ubierać w szkolne mundurki. Ciągłe myśli o bezpieczeństwie. Dlatego przenieśli się z tamtego pierwszego domu. Mieszkanie łatwiej obronić. To jego słowa.

– Jak dla mnie gada niczym były wojskowy – stwierdził Ron.

– Zabezpieczył budynek, na lewo podłączył ogrzewanie i światło. To złota rączka, do tego siłacz. Grace się go boi, a ją niełatwo przestraszyć. Dziewczyna za wszelką cenę próbuje zachować jego tajemnice, więc możemy założyć, że namieszał jej w głowie. Harm nie przebywa cały czas w mieszkaniu. Zdaniem Grace przychodzi i odchodzi. Dziewczyny dostały swoje klucze, lecz te nie pasują do żadnych drzwi w mieszkaniu; to musi być jakiś podstęp, żeby dać im fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Harm regularnie opuszcza budynek, co sugeruje, że prowadzi gdzieś normalne życie. Może nawet chodzi do pracy.

– Ledger też pracował – zauważył Ron. – Do niedawna.

– Ciągłe szukamy Ledgera – powiedziała Marnie. – Ale priorytetem jest odnalezienie tego mieszkania. Musimy zebrać ludzi gotowych do akcji w każdej chwili. W tym specjalistów od negocjacji. Grace boi się zarówno Christie, jak i Harma. Nie uważa Erica za zagrożenie, jednak powodem może być fakt, że ciągle

uważa go za Aimee.

– Jak on się goli? – zapytała Debbie. – Musi to robić codziennie, żeby udawać dziewczynę. Z pewnością ktoś już zauważył, że coś się nie zgadza.

– Z opowieści Grace wynika, że *Aimee* przez większość czasu jest pozostawiona sama. Harm każe jej leżeć w łóżku, przekonany, że jest chora. Może Eric przykrywa się pościelą, nie pokazuje się zbyt często. To ma wiele wspólnego z jego dzieciństwem i problemami psychicznymi mamy.

– A jakie to ma znaczenie, czy on tam funkcjonuje jako dziewczyna czy chłopak? Jeśli Harm ich nie molestuje ani nie próbuje molestować, czy Eric nie mógłby być po prostu Erikiem?

– Harm nie cierpi nastoletnich chłopców – wyjaśniła Marnie. – To jedna z rzeczy, które ciągle powtarzał Grace i reszcie. Narkotyki, seks, choroby. Dlatego nietrudno sobie wyobrazić, jak zareagował na wieść, że May jest w ciąży. Uratował te dziewczyny przed tym wszystkim, przed zagrożeniami i pułapkami czyhającymi na nich na ulicy. Jednocześnie ubiera je w szkolne mundurki, każe im być potulnymi. Noah ma rację, ten człowiek ma obsesję kontroli i prawdopodobnie przeżył jakieś traumatyczne wydarzenie.

– Grace nie wiedziała o morderstwach? – zapytał Ron. – Więc co robiła z May dzień przed tym, jak ta została zabita?

– Uciekła w panice po konfrontacji z Harmem. Nie chciała nam dokładnie wyjaśnić, co się stało, ale czytając między wierszami, domyśliliśmy się, że próbowała go uwieść, licząc na przywileje. Źle to przyjął, a ona uciekła. May ruszyła jej śladem, chcąc pomóc. Zdaniem Grace May zawsze próbowała wszystkim pomóc. Zabrała ubrania na zmianę i adres Emmy Tarvin od Christie. Niby miał to być azyl, ja jednak nie byłabym taka pewna motywacji Christie. Grace próbowała namówić May, żeby uciekła razem z nią, jednak ona upierała się przy powrocie do Harma i pozostałych.

– Dlaczego? Udało jej się wyjść z mieszkania, więc po co tam wracała? Gdyby tego nie zrobiła...

– Grace nie udzieliła nam dokładnej odpowiedzi, a sama wciąż nazywa tamto miejsce domem. Twierdzi, że May nie chciała zostawiać Aimee samej.

– Wróciła i przez to zginęła – zauważył Ron. – Jak Grace na to zareagowała?

– Przejęła się, ale nie wydawała się szczególnie zaskoczona. Zwłaszcza kiedy poinformowaliśmy ją, że May była w ciąży. Sama już wcześniej wyczuła, że coś tam się dzieje złego. Harm nie zezłościł się w normalny sposób. Podobno aż się w nim zagotowało. Grace uciekła, bo bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby została. – Marnie zamilkła na moment, czekając, aż w sali zrobi się cicho. – Wiemy, że dwie dziewczyny, które znalazły się w tamtym mieszkaniu, nie żyją. Zginęły z ręki Harma, Christie, a może Erica, tego nie wiemy.

– Jeśli Harm nienawidzi nastoletnich chłopców – zauważyła Debbie – to Eric

też jest w niebezpieczeństwie.

– Tak uważa Grace – zgodziła się Marnie. – Tak czy inaczej, musimy znaleźć to mieszkanie, zanim komuś znowu stanie się krzywda.

– SIEDŹ SPOKOJNIE I NIE odzywaj się. – Podeszedł do drzwi i przez chwilę nasłuchiwał, a potem wrócił do łóżka.

Loz nie poruszyła się, nie licząc tego, że chwyciła klucz i zacisnęła dłoń w pięść. Z pokoju dało się wyjść tylko w jeden sposób. Przez drzwi, które on przed chwilą sprawdził. Nie było tu żadnej broni, przynajmniej żadnej widocznej. Miała tylko klucz.

Stał nad nią i patrzył. Wyglądał jak połączenie wszystkich znanych jej postaci z anime, z tymi nastroszonymi włosami i twarzą o kształcie serca, w luźnej koszulce, wiszących na biodrach granatowych spodniach od piżamy.

– Jesteś Loz – powiedział. – Młodszą siostrą May.

– Zamknij się. – Cała się trzęsła ze złości. – Nie masz prawa wypowiadać jej imienia. Nie po tym, jak...

– Cicho bądź. Chcesz, żeby Christie tu przylazła? – Położył dłonie na drewnianej ramie łóżka. Miał długie palce, zadbane paznokcie. Zbielały mu knykcie. – Dlaczego twierdzisz, że ona nie żyje?

– No bo nie żyje. Ty ją zabiłeś. Ty... *świrze*.

Patrzył na nią z góry, jego rzęsy wyglądały jak ostrza.

– Powiedziałaś, że twoi rodzice musieli oglądać ją w kostnicy. – Mówił sztywno, przez ściśnięte gardło. – To prawda?

– *Tak*.

– Rzeczywiście nie żyje? – Rama łóżka zaskrzypiała pod ciężarem jego

ciała, na ramionach odznaczały się długie mięśnie. Na rzesach perliły się łzy. – Kiedy?

– Od dwóch dni.

– Gdzie? – Dusił każde słowo przez zaciśnięte zęby, ale teraz już płakał.

– W Elektrowni Battersea.

– Jak?

– Została uduszona.

Zgiął się w pół, jakby go kopnęła w brzuch. Łóżko zaszurało o podłogę.

Loz popatrzyła na dystans dzielący ją od drzwi. Wysiłkiem woli wstała.

Chłopak płakał całym swoim ciałem, kołysząc się na piętach, z głową między wyciągniętymi ramionami i ukrytą twarzą. Zdążyłaby dobiec, gdyby była szybka. Wyminąć chłopaka i zbiec po schodach do kuchni. Christie zamknęła drzwi wyjściowe, ale Loz miała klucz. Rozprostowała palce i popatrzyła na niego, żeby przekonać samą siebie do tego planu. Miała klucz. *Popatrz...*

Zęby były gładkie, zbyt gładkie, żeby klucz nadawał się jako broń. Zbyt gładkie jak na nowy klucz. Dostała stary klucz do nowiutkich zamków. Czyli...

Ten klucz nie otworzy nowych zamków. Wiedziała, że było z nim coś nie tak, kiedy Christie kazała jej go wziąć z szuflady. Nie nadawał się ani na broń, ani jako sposób na ucieczkę.

– To nie ty ją zabiłeś – powiedziała do chłopaka.

Płakał, kręcąc głową.

– My... my byliśmy...

Loz włożyła klucz do kieszeni, podchodząc bliżej do nóg łóżka.

– No, słucham.

– Byliśmy zakochani. Kochałem ją. Miała urodzić nasze dziecko. – Podniósł głowę i pokazał swoją czerwoną i mokrą od płaczu twarz. – Policja... Kto ją znalazł?

– Ochroniarz z Battersea. Policja nie wręczyła nam jeszcze raportu z sekcji zwłok, ale powiedzieli nam, że była w ciąży. – Loz popatrzyła na niego. – Czy to dlatego została zamordowana?

Poruszał ustami, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Kto ją zabił? – zapytała z naciskiem Loz. – Skoro nie ty?

– Nie wiem.

– A czy ten ktoś, kimkolwiek był, wiedział o ciąży?

– Wszyscy stąd wiedzieli. – Wytarł łzy wierzchem dłoni. – Ona im powiedziała. Nie chciałem, żeby mówiła, ale ona nagle stanęła przed wszystkimi i się przyznała. Bałem się o nią. O nas wszystkich. Nie można tak po prostu mówić takich rzeczy, nie tutaj, nie przy nim...

– Nie wiedziałeś, że nie żyje, ale wiedziałeś, że zniknęła. – Loz czuła w ustach smak krwi z przygryzionego policzka. – Dlaczego nie poszedłeś za nią?

Dlaczego jej nie szukałeś?

– Nie miałem pojęcia. On mówił, że wróciła na ulicę albo do domu. Myślałem, że poszła do ciebie. A nawet jeśli nie, jeśli poszła mieszkać w hostelu... Wiedziałem, że dadzą jej miejsce, jeśli powie im o ciąży. Lepiej by sobie poradziła beze mnie. – Ramiona mu się trzęsły, nagle na twarzy pojawił się grymas gniewu. – Nie miałem dość odwagi, żeby mu się przeciwstawić. Lepiej by jej było poza tym mieszkaniem.

– A kto powiedział, że wróciła na ulicę?

– Harm.

Popatrzyli sobie w oczy.

– A ty jak się nazywasz? – zapytała Loz.

– Eric.

– Dlaczego oni myślą, że jesteś Aimee?

– On tak myślał. Kiedy zabrał mnie do siebie po raz pierwszy. Ja nie miałem pojęcia, o co chodzi. Spodziewałem się, że chce po prostu seksu. A sam rozpaczliwie potrzebowałem dachu nad głową. – Zaczerwienił się i wyglądał, jakby miał gorączkę. – Kiedy kazał mi to włożyć – pokazał na dziewczęcy mundur szkolny, który wisiał na drzwiach szafy – myślałem, że to jakiś jego fetysz, że wie, kim jestem, ale udaje. Potem za bardzo się bałem, bo zaczął te swoje kazania o tym, jak należy dbać o bezpieczeństwo, o czystość. Byłem pewien, że jeśli się dowie prawdy, oszaleje.

– Czyli nie wie.

– Nikt nie wie.

– Ale May zaszła w ciążę. Jak niby miało się to stać, gdybyś był dziewczyną? – Ścisnęło ją w żołądku. – One myślą, że to *jego* sprawka?

– Nie. W żadnym wypadku. On nas nie dotyka. Nikogo. Gdyby chociaż na nią spojrział w ten sposób, zabiłbym go. Myśleli, że się wymykała z domu. Faktycznie raz wyszła, z Grace. Ale wróciła ze względu na mnie. To wszystko moja wina. – Jego twarz wykrzywiała się coraz bardziej, mokra od łez. – Zabrałem ją do tamtego domu, bo mi się podobała.

– Jakiego domu?

– Tego, w którym mieszkaliśmy, zanim trafiliśmy tutaj. May lubiła tamto miejsce, lubiła ogród. Moglibyśmy tam być razem i chciałem tego ponad wszystko. Ale wiedziałem, że coś jest nie tak z Harmem i nigdy jej nie ostrzegłem, nie tak, jak powinienem, bo chciałem mieć ją przy sobie, a tylko tam było to możliwe. To przeze mnie umarła. Gdybym nie zrobił jej dziecka, gdybym ją ostrzegł...

– Do czego mu jesteście wszyscy potrzebni, skoro was nie dotyka?

– Dzięki nam czuje się jak prawdziwy mężczyzna. A on musi się tak czuć. Właśnie to mu wpajał ojciec przez całe dzieciństwo. – Mówił zbyt szybko, jakby został sam na tak długo, że zapomniał, jak się rozmawia z ludźmi. Loz musiała się

skupić, żeby za nim nadażyć. – W głowie mu się od tego pomieszało. Tak jak mi od tego, co robiła matka. Tylko że ja miałem być kimś przeciwnym do *prawdziwego mężczyzny*. Miałem leżeć w łóżku i chorować dla jej przyjemności.

Loz tego nie rozumiała, ale nie interesowała jej jego matka.

– Dlaczego potrzebuje was aż tyle?

– Im więcej, tym bezpieczniej, tak ciągle powtarza. Ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa. To dlatego kazał nam się tutaj przeprowadzić. W domu podobno nie było dość bezpiecznie. Zawodowo zajmuje się instalowaniem alarmów i ciągle słucha od ludzi opowieści o włamaniach i napadach. Uważa, że wszystko załatwił, że nic nam tu nie grozi. Tak to się zaczyna. On nas znajduje, albo ona, przyprowadza tutaj, opiekuje się nami. Przynajmniej na początku. – Znowu wytarł twarz. – Zupełnie jakby... kogoś szukał. Albo miał z jakiegoś powodu wyrzuty sumienia. Nie wiem, nie potrafię go rozgryźć. Jedno tylko wiem na pewno, że brakuje mu kilku klepek. Nie spodziewałem się jednak, że aż tak. Nie spodziewałem się, że to morderca. – Wciągnął gwałtownie powietrze. – Nigdy bym jej tu nie przyprowadził, gdyby było inaczej.

– A co z Christie? – Loz potrzebowała jakiegoś słabego ogniwa tego miejsca. Zabrałaby nóż ze stojaka w kuchni, gdyby Christie nie pilnowała go jak oka w głowie. – Jaka jest jej rola w tym wszystkim?

– Wydaje mi się, że była molestowana. Nie wie, kiedy przestać. Uważa, że panuje nad sytuacją, ale to nieprawda. Znałem takie dziewczyny w domu dziecka. Zazwyczaj były molestowane.

– Byłeś w domu dziecka.

– Wszyscy byliśmy. Grace, Ashleigh.

– May nie.

– Nie – zgodził się i znowu skrzywił. – Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

– Czyżby? – Loz popatrzyła na niego z pogardą. W głowie jej się kręciło. Nie jadła nic od wielu godzin. – Dopiero co mi powiedziałeś, jakim jest wariatem. I przesiadujesz w tym pokoju, bo się go boisz. Dlaczego tak trudno ci uwierzyć, że ją zabił? I nie tylko ją. Ashleigh też nie żyje.

Eric popatrzył na nią dziwnie, płasko. Czy on coś brał?

– Jak nas znalazłaś? – zapytał.

– Przez stację, przecież już mówiłam. May was narysowała. Wiedziałam, gdzie chodziła, ale nie miałam pojęcia, kim naprawdę byliście. Dopiero teraz wiem. – Loz rozejrzała się jeszcze raz po pokoju. – Co więcej mi powiesz o Christie?

– Mieszka z Harmem od dwóch lat. Jest jego psem stróżującym. Chyba się w nim zakochała.

Loz zmarszczyła nos.

– Najgorsza reklama miłości na świecie.

Eric niemal się uśmiechnął.

– Nie miałam na myśli tylko jej – rzuciła i ruszyła w stronę drzwi.
– Gdzie idziesz?
Wyciągnęła telefon.
– Nie ma tu sygnału. Inaczej już bym zadzwoniła po policję.
– Pozwoliła ci zachować telefon? – Mięśnie twarzy drżały mu pod wpływem paniki. – Nigdy tego nie robi.
– Dała mi też klucz. – Loz chciała się przekonać, czy Eric zna prawdę o kluczach. Nie była pewna, czy chłopak jest wobec niej szczerzy. Na temat May, Christie i całej sytuacji.
– Klucze nie pasują. – Opuścił ręce wzdłuż boków. – Gracie mi to powiedziała.
– Kim jest Gracie?
– Też tu z nami mieszkała. Odeszła jako pierwsza. Dzień przed May.
– Czy to znaczy, że Gracie też nie żyje?
– Nie wiem. – Zmarszczył brwi. – Może. Jeśli Ashleigh nie żyje.
Nie wierzył w to. Albo go to nie obchodziło.
– Czy Grace ma czerwone włosy? – zapytała Loz.
Eric pokiwał głową. Był taki chudy i ładny. Musiała sobie przypominać, jaki okazał się silny, gdy ją chwycił.
– I pisała sobie po ciele?
– Tak.
– Czyli nadal żyje. A przynajmniej tak mi się wydaje. Spowodowała wypadek dzień przed tym, jak znaleźli May. Policja jej szuka.
– Czy oni wiedzą, że tu jesteś?
Powinna skłamać? Powiedzieć mu, że ma wsparcie, że cały budynek jest otoczony? Tak by to wyglądało w telewizji albo książce.
– Może. Nie jestem pewna. Na pewno mnie już szukają. – Spojrzała na okno i nagle poczuła, że szczypią ją oczy. – Mama i tata pewnie strasznie się martwią.
– Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytał z naciskiem. – Myślałaś, że to ja ją zabiłem, tak mówiłaś. Dlaczego tu przyszedłeś, skoro tak myślałaś?
– Chciałam się upewnić. Nikt nic mi nie chciał powiedzieć. Miałam tylko to.
– Wyciągnęła kartkę z kieszeni; wyrwała ją ostrożnie ze szkicownika May, tak, by komisarz Rome i sierżant Jake tego nie zauważyli. Znajdował się na niej portret Christie. Wyglądał jak kiepskie zdjęcie, ale dało się ją rozpoznać. Marnie nigdy nikogo nie rysowała w ten sposób, chyba że z tą osobą było coś nie tak. Na tej samej stronie był szkic stacji metra, z trawą rosnącą przy wejściu, graffiti na ścianach. Loz wyrwała tę kartkę, wiedząc, że policja zabierze szkicownik, bo chciała mieć dowód na to, gdzie poszła May. – Ciebie też narysowała. – Portret Aimee zostawiła komisarz Rome, razem z innymi rysunkami tej samej stacji.
Eric wpatrywał się w podobiznę Christie, jakby jej nienawidził.

– Tutaj nie jest bezpiecznie.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie. Dlatego tu jesteś, prawda? Dlatego nie próbowałaś uciekać.

– Miałem kłopoty z policją. Bałem się, że mnie aresztują. May powiedziała, że to by się nie stało. Obiecywała, że mnie obroni, ale to nie było jej zadaniem. – Zaczął pocierać oczy, brakowało mu sił. – To ja powinienem się nią opiekować, a nie na odwrót.

– Bo ty jesteś chłopakiem, a ona dziewczyną? To głupie.

– Nie byłem dla niej dość dobry. Zasługiwała na kogoś lepszego.

– Ale wybrała ciebie, prawda? Wolala ciebie niż nas. – Paliło ją w nosie od powstrzymywanych łez. – Niż mnie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Cały czas o tobie opowiadała. O tym, jaka jesteś odważna. Żałowała, że bardziej nie przypomina ciebie. Sprawiała, że miałem ochotę cię poznać. Kochała cię.

– Przestań. – Miała dziwne uczucie w nogach, wydawały się gumowe. – Przestań gadać bzdury, żeby mnie podnieść na duchu. Przestań kłamać.

– Nie kłamię. – Ruszył w jej stronę, wyciągając rękę. – Powiedziała mi, że będziesz najlepszą ciocią na świecie, bo taka jesteś odważna. Nic nie potrafi cię przestraszyć, nie naprawdę i nie na długo. Gdy świat chciał ci dokopać, odpłacałaś tym samym. Tak powiedziała.

Loz pokręciła głową. Gardło miała tak mocno ściśnięte, że nie mogła dobrać głosu.

– Ona też była odważna. – Eric złapał dziewczynkę za rękę. Miał zimne palce. – Stawiała się Harmowi. Nie tak jak Grace, krzycząc i szarpiąc się. Po cichu. Dzięki niej nie oszalałem. Bez niej byłbym już wariatem. Właściwie już zaczynałem nim być... To najodważniejsza osoba, jaką poznałem.

Loz zamrugnęła. Jej ręce nie chciały przestać się trząść.

– Walczyłaby o nas. – Eric otoczył ją ramieniem. – Gdybym jej na to pozwolił. I kochała cię. *Kochała cię.*

– To dlaczego mnie zostawiła? – Loz zaczęła płakać. – Samą z nimi? Jeśli mnie kochała, dlaczego zostawiła mnie samą?

– Chciała wrócić. – Eric też szlochał. – Naprawdę. Mieliśmy razem zamieszkać. Ty, ja i ona. I dziecko. Mieliśmy żyć we czwórkę.

Jego łzy płynęły po jej szyi.

Loz odsunęła się.

– Idę. – Wytarła twarz do sucha, a potem ręce o kurtkę. – Idziesz ze mną?

Patrzył na nią intensywnie.

– Nie możesz tak po prostu... wyjść.

– Dlaczego nie?

– Ona ci na to nie pozwoli.

– Christie? Nie zabrała mi telefonu.
– Nie pozwoli ci tak po prostu odejść. Zwłaszcza teraz.
– A co to ma znaczyć?
– Wiesz wszystko o Harmie i o tym miejscu. – Na wpół zamknął oczy. – Wspominałaś o śmierci. O morderstwach.
– No i? Przecież ty nic jej nie powiesz. Za bardzo się boisz.
– Nie muszę jej nic mówić – oznajmił Eric. – Ona już wszystko wie.
– Co takiego? – W głowie jej dudniło, była zdezorientowana. – Jakim cudem?
– Cały czas stała pod drzwiami i nas podsłuchiwała.
Loz spojrzała na zamknięte drzwi i zrobiło jej się niedobrze.
– Ona...
– Słucha. Właśnie to zawsze robi, słucha. – Gapił się w drzwi, jakby ich nienawidził. – Taka już jest.
Światło odbijało się w klamce.
Była ciemnobrązowa, z paskiem bieli biegnącym przez środek. Żadnego zamka. Ciężkie drzwi, które zamykają się i zatraskują nawet wtedy, gdy próbujesz zostawić je otwarte.
Loz pomyślała o tych wszystkich pomieszczeniach, przez które musi przejść, żeby się wydostać. A potem jeszcze o schodach, wielu piętrach schodów dzielących ją od ulicy.
– Musimy iść. Teraz, dopóki w mieszkaniu jest tylko ona. Zanim wróci Harm.
– Już za późno.
– Co takiego?
– Nie czujesz go? – Eric nie odwracał wzroku od drzwi, nienawidząc ich całym sobą, napięty jak zaciśnięta pięść. – Wrócił. Wrócił, kiedy rozmawialiśmy. Jego wzrok wypalał dziury.
– Harm jest tutaj.

– GRACE PAMIĘTA SCHODY prowadzące do pokoiów, w których byli trzymani. Przynajmniej dziesięć pięter wewnątrz budynku. – Terence Waywell przypiął pięć zdjęć do tablicy. Bloki mieszkalne i biurowe, każdy z przypisanym adresem. – Nie używali głównego wejścia. Z tyłu znajdowało się drugie. Tak jak w budownictwie komunalnym, ale w ramach prywatnego projektu deweloperskiego.

– Drzwi dla biedoty – powiedziała Debbie. – Czy nie tak je nazywają?
Terence pokiwał głową.

– Właśnie czegoś takiego szukamy. Razem z Colinem ograniczyliśmy listę do tych pięciu miejsc, posiłkując się wspomnieniami Grace. Najlepiej byłoby przejść się tą trasą razem z nią, zaczynając od miejsca wypadku, jednak w szpitalu mówią, że dziewczyna nie jest jeszcze na to gotowa. Czyli musimy sobie jakoś radzić z tym, co mamy.

– Czy żadne z tych miejsca nie ma ochrony z prawdziwego zdarzenia? – rzucił Ron zrzędliwie.

– Sprawdźmy to – orzekł Noah. – Zadzwońcie do osób odpowiedzialnych za teren budowy każdego z tych budynków. Mamy do czynienia z relatywnie niewielką przestrzenią. Jeśli wyślemy ludzi do niewłaściwego bloku i zabójca to zauważy, będzie to dla niego ostrzeżenie. Dlatego musimy jak najszybciej wykluczyć kolejne miejsca z listy.

– Szefowa nadal nie wróciła z rozmowy z Wellandem. To chyba znaczy, że

musi go błagać o wsparcie. Można by się spodziewać, że po dwóch martwych nastolatkach dostaniemy cały tabun uzbrojonych oddziałów.

– Wystarczyłby nam tylko jeden – powiedział Noah. – Jeśli nasz następny krok wykonamy prawidłowo.

– To zeznanie świadka na temat Grace Bradley. – Welland wyglądał na zmęczonego, skórę wokół oczu miał nienaturalnie napiętą. – Nie podoba mi się.

– Uważasz, że nie możemy jej ufać? – zapytała Marnie.

– Nie. Nie podoba mi się źródło tego zeznania. – Pokazał palcem na papiery.

– Pojechałaś do Sommerville. Dlaczego nie wysłałaś tam Tanner albo Waywella?

– Ja mogłam to odbębnić szybciej. Już mnie tam znają. Załatwiłam od ręki to, czego potrzebowaliśmy, i wróciłam tu raz-dwa.

– W czasie, kiedy zaginęła mała dziewczynka?

– Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze o zaginięciu Loz. Nie wiedzieliśmy też, że Grace leży związana w szafce Tarvin. Potrzebowaliśmy zeznania od Jodie Izard i wydawało się sensowne, żebym to ja je spisała.

Welland zakrył przed nią oczy.

– Widziałaś się ze Stephenem?

– Nie rozmawiałam z nim – odparła zgodnie z prawdą.

– Ale widziałaś go. – Jego spojrzenie było bezlitosne. Paliło ją, tak jak zawsze. Pragnęła akceptacji Wellanda, nie tylko dlatego, że był jej szefem.

– Tak, pojawił się. Posłuchaj, Eric Mackay jest w mieszkaniu, w którym trzymane są nastolatki. Christie, Eric i ten mężczyzna, Harm. Potrzebuję negocjatora. Toby’ego Gravesa, jeśli to możliwe.

– Rozumiem. Kogo uznajemy za najbardziej niebezpiecznego z tej trójki? Tego survivalistę, Harma? Czy Christie Faulk, która wynajduje ofiary? A może chłopca udającego kogoś, kim nie jest?

– Nie wiem. Musimy zakładać, że wszyscy troje są groźni.

– Ale tylko jedno z nich – Welland nacisnął napiętą skórę nad lewym okiem – jest zabójcą.

– Prawdopodobnie tak.

– Mamy tu dużo udawania. I dużo kamuflażu. Nie podoba mi się to.

Mógł mówić o Stephenie i odgrywanych przez niego rolach. Przybranego brata, bezlitosnego zabójcy, informatora policji.

– Tak jak nam wszystkim – odparła Marnie.

– Media uczepliły się Beswicków. Ich druga córka zaginęła, co czyni ich albo wyjątkowo pechowymi, albo winnymi. Jesteśmy pewni, że nie trzeba tego zbadać?

– Niczego w tej chwili nie mogę wykluczyć. Ale w ich domu jest czysto, żadnych podejrzanых śladów. Musimy znaleźć miejsce, z którego uciekła Grace.

Jesteśmy już blisko, dzięki pomocy Waywella i Pitchera.

– Mam nadzieję, że to prawda. Cała ta sprawa to jeden wielki bałagan. Wiesz, że sam burmistrz Londynu pośpieszał mnie, mówiąc o zagranicznym kapitale w Battersea? Podobno trupy źle wpływają na interesy. Zwłaszcza gdy są młode i ładne.

– Przypominam o Tobym Gravesie – odparła Marnie. – I drużynie SWAT w pogotowiu. Tego potrzebuję. Chcę wkroczyć do akcji, gdy tylko ustalimy właściwy adres.

Waywell odpiął jedno ze zdjęć z tablicy.

– Ten budynek możemy wykluczyć. Schody nie zostały dokończone.

– Czyli lista się skraca, świetnie. Kontynuujcie.

Noah próbował świeżym okiem spojrzeć na wszystkie dowody i liczył, że znajdzie coś, co wcześniej przeoczyli. Loz patrzyła na niego oskarżycielsko swoimi wielkimi oczami. Nie podobało jej się, że ktoś jej robi zdjęcie. Czy pozwalała siostrze rysować jej portrety? Wiedziała o rysunkach stacji metra i tam poszła szukać zabójcy. Dlaczego nie przekazała tej wskazówki policji? Bo nie wierzyła, że uda im się odnaleźć mordercę... a może próbowała chronić tajemnice siostry?

Wszystkie nastolatki mają swoje sekrety, to część procesu dojrzewania. Noah popatrzył na inne dziewczyny z tablicy, ich twarze uchwycone przez fotografów były uśmiechnięte, ale tak samo patrzyły na niego z niemym oskarżeniem. Kto ich szukał? Nikt. Zdjęcie Grace wisiało pod zdjęciem Logana Marsha i obok raportu z sekcji May. Cięża, hipernatremia. Grace wypadła z szafki na podłogę, cała się trzęsła. Obie nauczono, jak solić ryby, jak przetrwać. Nauczył je zabójca. Wyszkolił...

Ręka Noaha powędrowała do zdjęcia Jamiego Ledgera i zawisła nad nim niepewnie.

Ron rozmawiał z kimś przez telefon.

– O ile dam radę. Pracujemy tu bez przerwy. Muszę spadać. Tak, postaram się. – Rozłączył się i zauważył wzrok Noaha. – W następnym tygodniu jest msza za Logana Marsha, jego mama to zorganizowała. Kenickie pytał, czy się wybieramy.

– Jak się trzyma mama chłopaka?

– Ledwo. Kenickie twierdzi, że ojciec się od wszystkiego odsunął. Jego zdaniem ma wyrzuty sumienia. Pomagają przyjaciele Logana. Założyli stronę na Facebooku o jego pracy wolontariackiej, charytatywnej. Był z niego taki trochę miejscowy bohater. Wiem, że mamy teraz inne rzeczy na głowie, ale postaram się pojechać na tę mszę. To był ledwie dzieciak, tak jak tamte dziewczyny. – Ron uszczypnął się mocno w nos. – Myślisz, że tym razem zdążymy? Znajdziemy Loz na czas?

– Nie, jeśli nie wyeliminujemy kolejnych budynków – powiedział Noah.

Ron pokiwał głową i podniósł słuchawkę.

Noah wrócił do biurka i wyciągnął profil psychologiczny zabójcy, nad którym pracował wcześniej.

Biały mężczyzna po czterdziestce, samotnik. Tekst wyglądał jak notatki ze wstępu do psychologii. Czuł, że coś tu jest nie tak. Profil pasował do Jamiego Ledgera, jednak Grace upierała się, że to nie on dał jej dach nad głową. Zrobił to Harm, owładnięty obsesją kontroli, który pragnął się nimi opiekować, zapewnić im przetrwanie. Trzem nastoletnim dziewczynom i Ericowi Mackayowi, który udawał czwartą. Czy to Eric był ojcem dziecka May?

Rozdzwonił się telefon Noaha.

– Jake, słucham.

– Riff z tej strony, kumpel Dana. Masz chwilę? Chyba wiem, w jaki sposób ten wasz zabójca przeniósł ciało dziewczyny do Battersea.

– Jak? – Noah sięgnął po kartkę i długopis.

– Przez tunele. Naprawdę ogromne tunele pod rzeką. Kiedyś przesyłali tamtędy gorącą parę, żeby ogrzewać nią osiedla komunalne na Pimlico, aż do lat osiemdziesiątych. Nie wspominałem o nich, bo wszyscy myśleliśmy, że zostały dawno zamknięte, ale sprawdziłem kilka kontaktów i wygląda na to, że da się tamtędy dotrzeć do kotłowni. Czy nie mówiłeś, że apartament znajduje się nad kotłownią? W każdym razie pomyślałem, że może wam się to przydać.

– Czyli do kotłowni można wejść dołem? Tunelami?

– Tak, kto by pomyślał. – W głosie Riffa dało się słyszeć tęsknotę za starym życiem. – Właśnie o coś takiego mi chodziło, gdy mówiłem o martwych punktach. Całe kilometry tuneli!

– No właśnie, kto o tym pomyślał? Możesz mi podać nazwiska tych kolegów?

– Kontaktów – poprawił go Riff. – Przykro mi, ale nie. Mogę podyktować ci ich pseudonimy internetowe, niemniej nie wiem, czy się do czegokolwiek przydadzą. Powinniście sprawdzić to na miejscu. Nie mieli powodu, żeby kłamać, a poza tym tunele są ujęte na oficjalnych planach. Teoretycznie zamknięte, ale tak się mówi o wielu miejscach w Londynie, które zostały zhakowane...

– Sprawdzę to, dzięki.

– Nie ma za co – rzucił Riff i rozłączył się.

– Masz coś? – zapytał Ron.

– Wejście do Elektrowni Battersea, o którym nie wiedzieliśmy. O ile źródła nie kłamią. Zadzwoń do menadżera budowy, Aarona Buxtona, ale pewnie będziemy musieli podjechać na miejsce.

– Nie ma na to czasu, chyba że pomogłoby nam znaleźć Loz i tych wariatów.

– Może by pomogło. – Noah pokazał na mapkę wiszącą na tablicy. –

Mówimy o tunelach. Jeśli zabójca użył ich, by dostać się do elektrowni, mógłby używać ich także w tej chwili. Może to dlatego Christie i Loz nie pokazały się na nagraniach z monitoringu ze Stockwell.

– Podziemne tunele... Jasny gwint. Właśnie podwoiłeś obszar naszych łowów.

Noah pokiwał głową.

– Musimy to sprawdzić.

Christie

– HARM WRÓCIŁ. – Christie zignorowała to coś na łóżku. – Chce cię poznać.

Loz cała się trzęsła, twarz miała spuchniętą i mokrą od płaczu. Bielszą od pościeli. Powiedziała, że ma na imię Laura. Kłamała.

– Nie bój się. – Christie czuła jej zapach. – On nie lubi, gdy się boicie. – A do Erica: – Ty lepiej zostań tutaj.

Obrzydzenie smakowało jak zbyt długo żuta guma. Miała ochotę zdjąć pościel z łóżka. Podpalić. Wywabić wybielaczem wszystkie plamy, wszystkie kłamstwa. Wyciągnąć to *coś* za włosy i rzucić o podłogę, o ściany. Ale nie mogła. Harm by tego nie chciał. Harm będzie musiał osobiście zobaczyć, co zamknął w tym pokoju, czym się opiekował. Nie uwierzy na słowo ani Christie, ani nikomu innemu. Będzie musiał zobaczyć wszystko na własne oczy, a wtedy... sam zechce się tym zająć.

Czekała w progu na Loz.

– Jest w kuchni.

Pokazała dziewczynce, żeby ruszyła przodem i zeszła schodami jako pierwsza.

Eric leżał bez ruchu, na wpół schowany pod pościelą. Słońce rzucało promienie na dywan przy łóżku. W takim miejscu Christie miała klęczeć, modląc się i martwiąc, lecz teraz nigdy już tego nie zrobi. Miała szary smak na ustach.

– Czeka na ciebie – powiedziała do Loz. – W kuchni.

Harm właśnie gotował ryż, garbiąc się nad kuchenką i z troską otaczając dłonią cienki płomyk. Za jego plecami ze stołu bił blask świec. W powietrzu unosił się pikantny zapach, czerwony i zielony. Przez chwilę jakby nic się nie zmieniło, ale tylko przez chwilę.

– To jest Loz. – Christie stanęła poza plamą światła, pozwalając Harmowi przyjrzeć się dziewczynce. Podała mu jej prawdziwe imię, a nie to fałszywe, które sama usłyszała.

Harm był zajęty podsycaniem płomienia, lecz posłał jej uśmiech przez ramię.

– Cześć, Loz. Miło cię powitać w rodzinie. Christie pochyliła się w stronę tego uśmiechu, zazdrosna o dziewczynkę stojącą u jej boku, śmierzącą strachem i drżącą tak bardzo, jakby miała zaraz upaść.

Między leżące na stole widelce i noże padł cień dłoni Harma.

– Mam nadzieję, że lubisz curry. – Kuchenka zastukała, kiedy zaczął mieszać ryż w turystycznym kociołku.

– Tak – odparła Loz. Jej głos był suchy, grzechotał jej w gardle jak monety wrzucone do puszki. Starła się trzymać wzrok z daleka od broni leżącej na stole.

Spróbuj, no dalej.

Christie pomyślała o chłopcu w pokoju na półpiętrze, którego Harm dotychczas bronił. Dał mu dach nad głową, jedzenie, miłość – wszystko dla tej *Aimee*. Zamki, światła. Zbiorniki z wodą, baterie. Ból pragnienia sprawiał, że w nocy nogi tańczyły jej w pościeli, drżały uda i palce, aż w końcu myślała tylko o tym, by wczłgać się do łóżka Harma i zastygnąć, by jego ciężar i spokój przytrzymały ją w miejscu.

Pomogła mu po tym, co się stało z May. Kiedy wrócił do domu z elektrowni, zapłakany i zgięty wpół pod brzemieniem tego, co zrobił, kazała mu obiecać, że nigdy nie zostanie z czymś takim sam. To ona zajęła się Ashleigh. Pozbyła się tego, co zostało, tak jak kiedyś uprzątnęła trupa myszy z kuchennej podłogi, żeby matka nie przeklinała kota za to, że postępuje w zgodzie ze swoją naturą. Dla Harma to też było normalne. Christie to rozumiała. Śmierć to wcale nie najgorsze, co się może przytrafić. Po Ashleigh nie odezwał się ani słowem, nie podziękował, nic. Christie nie oczekiwała podziękowań. Mogłaby to zrobić jeszcze raz, gdyby poprosił. Zrobiłaby dla niego wszystko. Miała u niego dług i rozumiała – potrafił długo trzymać ręce z dala od nich, aż któregoś dnia już nie mógł. Ona pomoże mu zawsze, gdy nadejdzie ten moment, jednak teraz czuła obrzydzenie na myśl o tym,

ile poświęcili dla Aimee, która nawet nie istniała.

– Przyniesiesz nam wodę? – zapytał ją Harm.

Christie podeszła do zbiornika i napełniła kubki, przypominając sobie krople deszczu uderzające o plastik i mężczyznę z miedzianymi monetami, przed którym uratował ją Harm. Tak samo jak uratował ją przed powrotem do Emmy Tarvin, sprzedającej dziewczyny taniej niż swoje pigułki, prychającej na wykrwawiającą się na podłogę Christie, by na koniec kazać jej się wynosić.

Harm uratował ją podwójnie.

Bąble powietrza zadudniły we wnętrzu zbiornika.

Płomień świec zamajaczyły w kubeczkach, kiedy przyniosła je na stół.

– Proszę.

Harm wyciągnął krzesło dla Loz i dziewczynka usiadła. Patrzył na nią z poważnym wyrazem twarzy. Włosy miała rozczochrane jak u Grace, jednak czarne, nie czerwone. Nie nosiła makijażu, biżuterii, nie malowała paznokci. Nie miała też piersi. Niewiele się dało z nią zrobić, niewiele potrzeba było zmian.

Harm popatrzył Christie w oczy. Nie rozumiał jeszcze, co narobiła. Na razie widział tylko nową dziewczynę.

– Świetnie – powiedział. – Miło cię poznać, Loz.

– TAK, POD BATTERSEA znajdują się tunele – powiedział Aaron Buxton.
– Ale nie da się do nich zejść. Ani tutaj, ani po drugiej stronie rzeki. Zapieczętowali wszystko wiele lat temu.

– Tunele biegną od budynku elektrowni pod rzeką aż na Pimlico, prawda?

– Tak. – Buxton był właśnie w pracy; Noah słyszał w tle hałasy z placu budowy. – Dzięki nim kotłownia się nie przegrzewała, a na nadwyżce gorącej pary dało się jeszcze zarobić. Mądre rozwiązanie. Tylko że tunele zamknięto na początku lat osiemdziesiątych.

– Widziałem zdjęcia w Internecie. Zrobione całkiem niedawno. Ludzie w jakiś sposób dostają się do tych tuneli.

– Ma pan na myśli tych hakerów, eksploratorów czy jak oni się tam nazywają. Może da się gdzieś znaleźć wejście, ale nie da się wyjść na naszym terenie. Chyba że potrafią się przebić przez trzy metry betonu.

– Jest pan absolutnie pewien? Prowadzimy właśnie śledztwo w sprawie morderstwa...

– Proszę zaoszczędzić sobie trochę czasu i uwierzyć mi na słowo. Mogę sfotografować ten beton, jeśli potrzebuje pan dowodu. To nie tędy dostał się do apartamentu. Żałuję, ale nie. Wtedy nie musiałbym sprawdzać dwa razy każdego pracownika ochrony, żeby mieć pewność, że jeden z nich nie lekceważy swoich obowiązków.

– Albo więcej niż jeden.

– Dzięki – odparł ponuro Buxton. – Ten poranek od razu wydał się lepszy.

Noah rozłączył się, doskonale wiedząc, jak czuje się jego rozmówca. Mimo to powiedział do Rona:

– Dobre wieści. Teren łowiecki właśnie znowu się skurczył. Wracamy do punktu wyjścia.

– Przydałby nam się wreszcie jakiś przełom – rzucił Ron, pocierając oczy ze zmęczenia.

Noah postanowił rozprostować kości i podszedł do tablicy.

Zabójca nie chował się pod ziemią. Pracował na otwartym terenie. Byli o tym przekonani od razu po odkryciu ciała May. Mieli do czynienia z kimś, kto nie ukrywa się w żadnym konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Z radością dawał się odnaleźć właściwym ludziom. Zagubionym dziewczętom jak Ashleigh albo Loz. Może nawet policji. Popełnił błąd, przyjmując Erika Mackaya, czyli nie jest nieomylny. Obecność chłopaka świadczy też o tym, że mężczyzna ich nie molestuje. Czyli co właściwie z nimi robi takiego, że dwukrotnie już skończyło się to morderstwem?

– Grace nazywa to miejsce domem – powiedziała Marnie, stając obok. – Ciągłe chce tam wrócić, nawet po tym wszystkim. Dziewczyna boi się alternatywy, okej, ale musi w tym być coś jeszcze. Nawet wiedząc o tym, co zrobił Harm, nadal chce do niego wrócić.

– A jednak nie chciała tamtego dnia, gdy doszło do wypadku. Wtedy wróciła tylko May.

– Ze względu na Aimee. Tak powiedziała Grace. May nie chciała tam zostawiać Aimee. – Marnie spoglądała na twarze na zdjęciach. – Wiedziała, prawda?

– Że Aimee to Eric? Myślę, że tak. Na jej rysunku... Zastanawiam się, czy to jemu miała urodzić dziecko.

– Moim zdaniem jest na to duża szansa. – Błękitne oczy Marnie zmatowiały. – Co jest nie tak z naszym zabójcą, że nie rozpoznaje chłopaka, chociaż ma go pod nosem? I jeśli May z Erikiem uprawiali seks, to też uszło jego uwadze.

– Może nie przygląda im się zbyt dobrze. Te mundurki, zasady... Może one wszystkie są dla niego takie same, jak lalki. Ostateczne uprzedmiotowienie. – W takim wypadku w przypadku Loz czeka go szok, bo to najmniej przypominająca lalkę dziewczynka, jaką Noah znał. – To by tłumaczyło sposób, w jaki potraktował ciało May po śmierci, to schludne przygotowanie i ułożenie jak na wystawie.

– Z Ashleigh było inaczej. – Spojrzenie Marnie intensywnie szukało na tablicy wskazówek. – Grace twierdzi, że Ashleigh próbowała flirtować, a Harm tego nie lubi. Lubi grzeczne dziewczynki bez makijażu, bez biżuterii. Jeśli dowiedział się o ciąży May, a Ashleigh z nim flirtowała... Obie złamały tę samą zasadę. Były kobietami, a nie dziewczynkami, dziećmi.

– A Christie? Jaka jest jej rola w tym całym układzie? Jest dorosłą kobietą.
– Jedna kobieta jest dopuszczalna, jeśli gra matkę. Z tego, co mówiła Grace, Christie sama sobie wyznaczyła tę funkcję.

– To mi matka. Trudno powiedzieć, żeby dbała o bezpieczeństwo tych dziewczyn... Myślisz, że Loz jeszcze żyje? – Zadał to pytanie po cichu i zaraz pożałował. Bał się, że jest głupie, optymistyczne.

– Mam nadzieję. Wszyscy musimy mieć nadzieję – powiedziała Marnie.

– Wydawało mi się, że znalazłem trop. Tunele pod Battersea. Okazało się jednak, że to ślepy zaułek.

– Czyli nadal podążamy w tym samym kierunku. – Marnie chwyciła go za łokieć. – Zrób sobie przerwę, jeśli potrzebujesz. Zadzwoń do Dana albo Sola. Przypomnij sobie, co jest ważne. Potrzebuję twojego skupienia. – Rozdzwonił się telefon w jej biurze i poszła odebrać.

Noah wybrał numer Dana, ale odezwała się poczta głosowa.

– Będę późno, przepraszam. Kocham cię.

Spróbował jeszcze skontaktować się z Solem, ponieważ Marnie miała rację i ponieważ tablica zaczynała przypominać ceglany mur.

– Hej – rzucił, kiedy jego brat odebrał. – Wszystko w porządku?

– Spoko. – Chwila ciszy. Szuranie stopą po podłodze. – Trochę nawaliłem, ale już ogarnięte.

– Czyżby? – Noah podszedł do okna, potrzebując zmiany widoku. – Pracuję jeszcze nad sprawą, po prostu martwiłem się i chciałem jakoś pomóc. O ile potrzebujesz mojej pomocy.

– Dzięki, ale nie trzeba. Wiesz, ja tylko chciałem się uwolnić. To wszystko.

– Od gangu?

– No. – Sol westchnął. – Ale jest okej. Chyba... będzie już okej.

– Świetnie. Posłuchaj, będę w domu późno. Dan już wie. Nie czekajcie na mnie. I trzymajcie się.

– Okej. Noah? Dzięki.

– Nie ma za co. – Rozłączył się. Zamierzał jeszcze porządnie rozmówić się z Solem. Zaciśnąć zęby i poruszyć temat, którego obaj unikali: w jakie wpadł kłopoty i jak ciężko jest się z nich wydostać. Sol sam z siebie nigdy nie poprosiłby o pomoc, Noah był tego pewien. Jeśli jednak faktycznie jej potrzebował, Noah musiał zrobić pierwszy krok.

Loz spoglądała na niego ze zdjęcia wiszącego obok zdjęcia siostry. Jedna zaginiona dziewczynka i jedna martwa. Dlaczego Loz nie poprosiła ich o pomoc? Dlaczego tak szybko się poddała? Pójście na tamtą stację metra było aktem desperacji albo gorzej, samobójstwem. Nie wierzyła, że policja zdoła odnaleźć zabójcę May. Na laptopie Noaha był otwarty jej Tumblr, a na nim zrobione przez nią zdjęcia znaków drogowych. Głównie strzałek, jakby chciała w ten sposób

powiedzieć, być może podświadomie, że jej życiu brakuje kierunku. Albo szukała drogi wyjścia z żałoby po stracie siostry.

Przez kilka dni po śmierci May Loz czytała w Internecie o policyjnych procedurach, statystykach wyroków, Projekcie Wybaczenia, przeludnieniach więzień. Znalazła nazwiska innych nastolatek, które zaginęły w Londynie, widziała zdjęcia Ashleigh i pozostałych. Wyszukiwała informacji o wypadku, na bieżąco śledziła wieści o stanie zdrowia Logana, aż do jego śmierci – najwyraźniej zapamiętała pytania zadawane przez Marnie i Noaha jej rodzicom na temat czerwonołosej dziewczyny, która mogła mieszkać na Garrett. Loz sprawdzała wszystko, co tylko mogła, a potem wyłączyła Internet i poszła szukać mordercy w realu.

Colin już prześledził historię jej przeglądarki. Nie znalazł żadnych wskazówek. Jedynie zapis jej wysiłków, by zdobyć oręż w postaci wiedzy o wszystkim związanym ze sprawą, od dowodów niezbędnych do skazania mordercy po stronę ze wspominkami po Loganie. Uwagę Noaha przykuły kondolencje. Kenickie miał rację, Logan był miejscowym bohaterem, biegał w charytatywnych maratonach, budował szkoły za oceanem, pracował jako wolontariusz w hostelach dla bezdomnych...

Zatrzymał się i cofnął. Jeszcze raz sprawdził, czy dobrze widzi.

Cholera.

– Tanner, odebrałaś wiadomość od Giny Marsh, mamy Logana. – Już wstał od biurka. – Masz jeszcze jej numer telefonu?

– Gdzieś. – Debbie zaczęła przeszukiwać papiery. – Dlaczego pytasz? –
Podała mu karteczkę.

– Dam ci znać.

– COŚ NOWEGO? – Marnie przyjrzała się twarzy Noaha, kiedy wszedł do jej biura.

– Może. Tak mi się wydaje. – Skulił ramiona; znalazł coś, owszem, jednak nie był jeszcze pewien tego znaleziska. – Logan pracował jako wolontariusz w domach pomocy i schroniskach dla bezdomnych. Jednym z nich był Paradise House.

– Dawny adres Ledgera. – Marnie dała mu znak, żeby usiadł. – Nie przypominam sobie, by jego nazwisko znajdowało się na liście od Welcha.

– Nie było go tam, ale Logan miał dopiero osiemnaście lat i pracował tam tylko kilka godzin w tygodniu. Może Welch zapisywał jedynie wolontariuszy z pełnym wymiarem godzin.

– Czyli... Logan mógł znać Ledgera?

– Myślę, że chodzi tu o coś więcej. – Był spięty, albo z powodu wątpliwości, albo z ekscytacji.

– Ile więcej?

– Rozmawiałem z Giną Marsh. Podobno ten cały wolontariat to pomysł Caluma.

– Wspominał o tym, kiedy tu przyszedł, prawda?

– Tak, ale nie powiedział, że on sam też często pojawiał się w schronisku. Pomagał, naprawiał różne rzeczy. Jest elektrykiem z zawodu i złotą rączką.

Marnie przyglądała się jego zmęczonej twarzy.

– Mów dalej.

– Pomyślałem sobie... elektryk? – Zaczął pocierać skroń. – Jego nazwisko nie znajdowało się na liście z Battersea, jednak ta firma, która go zatrudnia, Resa Electrical, już tak. Czekam na informacje o tym, kogo wysłali na plac budowy sześć tygodni temu.

Marnie poczuła, że skóra na nadgarstkach jej się napina.

– I twoim zdaniem...

– Chodzi o te dreszcze – powiedział Noah. – Kiedy przeszłuchiwalismy go w szpitalu, pamiętasz? Miał dreszcze. Myślałem, że to adrenalina, szok. Ale jemu drżała cała twarz, dłonie i stopy. To było takie drzenie, o jakim opowiadała Fran. I jeszcze Kenickie powiedział, że Marsh pojawił się na tamtej drodze przypadkiem. Zazwyczaj tamtędy nie jeździł. Co, jeśli był tam, bo szukał Grace? Bo wiedział, że uciekła z miejsca, w którym ją trzymał?

Gdzieś na komisariacie zadzwonił telefon.

Dwa, trzy sygnały, a potem ktoś odebrał.

– Calum Marsh – powiedziała Marnie. – Myślisz, że Calum Marsh to Harm.

Ojciec Logana. Mężczyzna, który siedział tutaj, trzymając się za głowę. Zabójca.

– To ma sens, prawda? – Noah czekał, aż Marnie zacznie szukać dziur w jego teorii. – Nawet to, że się u nas pojawił, ma sens. Wiedzieliśmy, że to ktoś, kto chce być widziany...

– Tamtego dnia jechał z Loganem. Dlaczego?

– Zbieg okoliczności. Gina mówiła, że zadzwoniła do niego w ostatniej chwili i poprosiła, żeby odebrał Logana, bo ona utknęła dłużej w pracy.

– Miał odebrać osiemnastolatka? Dlaczego Logan sam nie wrócił do domu?

– Tydzień wcześniej spadł z roweru, dopiero co przestał chodzić o kulach. Gina obiecała go podwieźć, nie miał pieniędzy na taksówkę, więc zadzwoniła do Caluma. On się zgodził. – Noah wciągnął płytko powietrze. – Gina powiedziała, że nie powinni byli jechać tamtędy, nie była to droga do ich domu. W ogóle nie powinni być na York Road. Kiedy go o to zapytała, Calum wspomniał o robotach drogowych na ich zwyczajowej trasie. Sprawdziłem. Nie prowadzono żadnych prac. Więc dlaczego pojechał tamtędy?

Napięcie Noaha było zaraźliwe. Marnie przyśpieszył puls.

– Gdzie jest teraz Calum?

– Zaginał tego samego dnia, kiedy przyszedł tutaj. Gina nie może go namierzyć. Zakładała, że czuje się winny i nie potrafi stawić jej czoła. Jej zdaniem czuł się odpowiedzialny za śmierć Logana. Nie winił Joego Eatona, który w niego wjechał, ani Grace, która weszła na jezdnię. Winił siebie.

– Zaprzeczył, kiedy pytaliśmy go, czy widział Grace – przypominała sobie Marnie. – Gdy rozmawialiśmy z nim w szpitalu, a potem tutaj, w komisariacie.

Powiedział, że nie widział na jezdni żadnej dziewczyny.

– To mogła być prawda. Jechał w drugą stronę. Jeśli jednak jej *szukał*... Mógł nas okłamać. Może próbował podkopać zeznania Joego Eatona. – Noah pochylił się do przodu, oparł dłonie o kolana. – Dzwoniłem do jego pracy, do domu. Nikt go nie widział od wypadku. Gina z nim rozmawiała tylko raz, tamtego popołudnia, gdy umarł Logan. Sprawdziłem daty. Logan zmarł tego samego dnia co May, mniej więcej w tym samym czasie. Co jeśli śmierć syna sprawiła, że stracił panowanie nad sobą? Nie pierwszy raz stracił kogoś bliskiego. Jego rodzice zginęli dwa lata temu, a do tego była jakaś historia z jego siostrą. Wydawało nam się, że zabójca przeżył jakąś traumę...

Zadzwoił jego telefon.

– Jake, słucham. Tak. Gdyby mogła pani... – Słuchał w pełnym skupieniu. – Rozumiem. Dzięki.

Rozłączył się i spojrzał na Marnie.

– To ze szpitala. Poprosiłem ich o sprawdzenie dokumentów z dnia wypadku. Calum Marsh cierpiał na hipernatremię.

– Musimy porozmawiać z Giną. – Marnie wstała od biurka. – Niech nasi szukają Caluma Marsha. Jego SUV został skasowany, ale może miał jakiś inny samochód.

GINA MARSH PRZYWITAŁA ich w drzwiach ubrana w czarny kostium. Twarz miała spuchniętą od płaczu, a w rękę trzymała iPhone'a z wyświetlaczem popękanym w jednym rogu.

– Przeglądałam zdjęcia na jego telefonie. Chciałam... po prostu zobaczyć jego twarz. – Pokazała komórkę Marnie i Noahowi. – To ta dziewczyna z wiadomości. Ta martwa.

– May Beswick? – Noah wziął komórkę i przechylił ją tak, by światło przestało się odbijać od pęknięcia.

– Nie, ta druga. Ta, którą znaleźliście na osiedlu komunalnym. Ashleigh Jewell. To ona, prawda?

– Tak. – Na zdjęciu Ashleigh uśmiechała się, wydymając usta. Flirtowała, ale z kim? Z Loganem?

– Logan ją znał – powiedziała sztywno Gina i zadrżała. – Musiał ją znać, żeby zrobić takie zdjęcie. Nigdy o niej nie wspominał, ale miał tak wielu przyjaciół.

Fotografię zrobiono dwudziestego października, krótko przed zaginięciem May. Noah przeskrolował pozostałe zdjęcia z podobnego okresu. Więcej twarzy, głównie należących do chłopców. Kilka selfie przedstawiających Logana uśmiechającego się do obiektywu.

– Innych nie ma – rzuciła Gina. – Ona jest tylko na tym jednym.

Wyciągnęła rękę po telefon i ujęła go delikatnie w dłonie, kiedy Noah go

puścił.

– Wie pani może, gdzie wykonano to zdjęcie? – zapytała Marnie.

– W wiadomościach mówili, że tamta dziewczyna mieszkała na ulicy, więc może w schronisku dla bezdomnych? Logan pracował tam jako wolontariusz... Ale państwo na pewno chcą wejść do środka. Zapraszam.

Poprowadziła ich do pokoju dziennego, gdzie paliły się wszystkie światła, a potem usiadła w fotelu i poczekała, aż Marnie i Noah zajmą miejsca na kanapie. Na ścianach wisiały zdjęcia jej syna. Na żadnym nie było widać jego ojca. Będą musieli poprosić ją o dobrą fotografię Caluma.

– Pamięta pani, w których hostelach czy schroniskach dla bezdomnych pomagał Logan? – zapytał Noah.

– Jego ojciec się tym zajmował. Ostatnio było to jakieś miejsce na Stockwell.

– Paradise House?

– Paradise, tak. Wcześniej pracował z młodszymi ludźmi. Nie było go dwa albo trzy wieczory w tygodniu i w weekendy. To pomysł jego taty. Cal mówił, że w ten sposób Logan pracuje nad charakterem. Chciał, żeby jego syn był odpowiedzialny, ciągle prawił mu na ten temat kazania. – Wytężyła wzrok, patrząc na zdjęcia w ramach. – Właściwie to nam obojgu. Cal... lubi prawić morały.

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Domyśla się pani, gdzie mógłby się teraz znajdować?

– Sprawdzalam już wszędzie. Właśnie załatwiam pogrzeb, a on... zniknął. Nie mam pojęcia gdzie.

– Kiedy ostatni raz z nim pani rozmawiała?

– Tego popołudnia, kiedy zmarł Logan. – Skrzywiła się. – Nie mogłam się z nim dogadać. W kółko powtarzał coś o swoich rodzicach, o tym wariackowie, w którym się wychował. Prawie w ogóle nie wspominał o Loganie. – Rozprostowała palce, po wewnętrznej stronie dłoni widać było ślady po paznokciach. – Muszą państwo coś wiedzieć na temat Cala. On nie jest... nigdy nie był z *nami*. Nigdy nie był naprawdę częścią naszej rodziny. Był odpowiedzialny, pomocny i tak dalej. Nie pił, nie sypiał z nikim na boku, zawsze można było na niego liczyć. Jednocześnie jednak jakby go... nie było. – Znowu zacisnęła dłonie. – Myślę, że wolałby mieć córkę, której mógłby bronić. Robił wszystko to, co powinien robić tata, nauczył Logana łowić ryby i jeździć na rowerze. Wychował go tak, by szanował dziewczyny i kobiety. Zarabiał, żebym nie musiała pracować, gdy Logan był mały. Chciał, żebym została w domu i była pełnoetatową mamą. Strasznie się bał, że Logan zachoruje. – Posłała im słaby uśmiech. – Logan nigdy nie chorował. Był szczęśliwym dzieckiem, jednak Cal ciągle się zamartwiał. Myślę, że przez to, co się stało z jego siostrą. Wiele czasu minęło, zanim zauważyłam, jaki był naprawdę, jak niewiele go obchodziliśmy. Wiem, jak to

brzmi... Robił wszystko, jak należy, nie popełniał żadnych błędów, ale zawsze chodziło o to, co się dzieje *na zewnątrz*. Ciągłe mówił o niebezpieczeństwach czyhających na nas na świecie... – Zamilkła na moment. – Przepraszam. Wiem, że mają państwo za dużo pracy, żeby przejmować się moim byłym mężem i jego problemami.

W tej chwili właśnie tym powinni się zajmować – problemami jej byłego męża.

– Co się stało z jego siostrą? – zapytała Marnie.

– Zaginęła w wieku siedemnastu lat. Uciekła z domu. Cal był dwa lata młodszy. Nigdy jej nie znaleźli. – Coś się poruszyło w jej oczach i Gina minimalnie zeszytywniała, prostując się na fotelu. – Po co te wszystkie pytania o Calą?

„Ona wie”, pomyślał Noah. Nawet jeśli nie połączyła jeszcze Ashleigh z jej synem, schronisk dla bezdomnych z dziwną nieobecnością męża w rodzinie i jego zaginioną siostrą. Wiedziała, dlaczego zadają te pytania.

– Jego rodzice zmarli dwa lata temu – powiedziała Marnie. – Zgadza się?

Gina pokiwała głową.

– Ale od lat nie utrzymywał z nimi kontaktu. Nie przyjechali na nasz ślub. Nigdy ich nie poznałam. Myślę, że to przez tę sprawę z siostrą... Odsunęli się od siebie.

– A gdzie mieszkali? Gdzie wychowywał się Calum?

– Mieli dom na Chiswick, ale to nie tam dorastał. Jego ojciec był wojskowym, więc ciągle się przeprowadzali.

– Ma pani adres tego domu na Chiswick?

– Powinnam gdzieś mieć. – Rozejrzała się bezradnie po pokoju. – Dostaliśmy list od adwokata, ale Calum pewnie go ze sobą zabrał.

– Kiedy przyszedł ten list? – zapytał Noah.

– Dwa lata temu, po ich śmierci. To wtedy dostał ten dom. – Wstała i odłożyła telefon syna, żeby przejrzeć zawartość segregatorów stojących na półce. – Miał zamiar go sprzedać, ale trzeba tam było najpierw posprzątać i dlatego ciągle to przekładał. Nie było mu łatwo oglądać zdjęcia siostry i wracać do tych wszystkich nieprzyjemnych wspomnień. A potem stracił pracę i mieliśmy ciężki okres.

– Jak zginęli jego rodzice?

– Wypadek na promie we Włoszech. – Otworzyła kolejny segregator, mechanicznie przerzucając kolejne dokumenty. – Pojechali tam na wakacje.

– Calum jest elektrykiem, prawda?

– To była dobra praca, ale wyrzucili go po ich śmierci. Bardzo przeżywał ich stratę. Powinien był wziąć sobie wolne. Ale Cal potrzebuje pracy. Mówiłam mu, że przecież to nic takiego, ja mogę przez jakiś czas utrzymywać rodzinę. Uznałam, że

po prostu przyszła moja kolej. Lecz on nie potrafił tego przeboleć. To jeden z tych mężczyzn, którzy muszą czuć się potrzebni.

Calum powiedział to samo w komisariacie. „Nie mogę znieść tego, jaki jestem bezużyteczny”. I o Grace Bradley: „rodzina zastanawia się, gdzie jest, tęskni i modli się o wieści”. Czy mówił o własnej rodzinie i zaginionej siostrze?

– Wie pani, gdzie ostatnio pracował Calum? – zapytała Marnie.

– Robił na zlecenia w różnych miejscach, nic na stałe. – Przestała szukać listu od adwokata. – Nie mogę tego znaleźć, przepraszam. Musiał go zabrać ze sobą. Ten dom jest gdzieś w Chiswick. Nigdy tam nie byłam, a Cal nie chciał poruszać tego tematu, mówił tylko, że jest pełen wspomnień, rzeczy należących do jego siostry. Niezbyt szczęśliwe miejsce, tak to ujął.

Grace nazwała tamten dom squatem. Calum ich stamtąd przeniósł, bo martwił się o bezpieczeństwo. Jego zdaniem na wpół wykończony blok mieszkalny był lepszy.

– Zawsze mi mówi, gdzie pracuje. – Gina wytarła ręce o spódnicę. – Na wypadek gdybym chciała się z nim skontaktować, tak jak wtedy, gdy Logan potrzebował podwiezienia. – Zamrugła szybko, jakby spodziewała się płaczu, lecz jej twarz pozostała uparcie beznamiętna.

– Pracował może w jednym z tych nowych wieżowców mieszkalnych w południowym Londynie?

– To jego ulubione. – Sięgnęła po telefon Logana, otuliła go dłonią. – Uwielbiał bezpieczeństwo, *ideę* bezpieczeństwa. Gdyby mógł, kazałby nam zamieszkać w takim bloku. Ale ja nienawidzę wysokości, a poza tym nie było nas stać na takie miejsce, jakie jemu się marzyło. W jednym z tych nowiutkich wieżowców, które budują nad rzeką.

– Był jakiś budynek, który lubił w szczególności? Gdzie niedawno pracował?

– Brigantia Gardens. – Żadnego zawahania. – Najlepsze widoki w całym Londynie, budynek wyższy niż kominy na Battersea, ochrona lepsza niż w Fort Knox... – Przewróciła oczami, a potem objęła się, przyciskając komórkę Logana do piersi. – Najchętniej by nas tam przeniósł jeszcze przed zakończeniem budowy. Swoją drogą, skończyły im się pieniądze i budowa stanęła. W Londynie jest pełno takich przypadków. Ale jak się słuchało Cala, gdy mówił o Brigantia Gardens, takie szczegóły nie miały znaczenia.

Odwróciła wzrok, nie patrząc na nic konkretnego.

– Idealny dom dla Cala, nieważne, że stoi pusty i będzie tak stał jeszcze długo. Nieważne, że nie ma już rodziny. To był jego wymarzony dom i tyle.

LOZ BYŁA NAJMŁODSZĄ osobą przy stole – i najbrzydszą. Brudne włosy, spocone pachy, obgryzione paznokcie. Udawała, że się tym nie przejmuje, ale to była nieprawda.

Twarz Christie była bardzo gładka, a włosy błyszczące. Nic nie budziło w niej strachu. Wiedziała, jak wszystko działa tutaj i na zewnątrz. Wiedziała, jak sprawić, żeby ktoś z nią tu przyszedł i został. Była przerażająca, jednak nie aż tak jak on.

On wydawał się...

Normalny. Miły.

Loz próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądało to mieszkanie, zanim zabrakło Grace, May i Ashleigh, kiedy wszystkie siedziały przy stole w mundurkach, idealnie zadbane. May z błyszczącymi włosami i ukrytymi napisami. W domu też je ukrywała, jednak nigdy nie przypominała laleczki Barbie bez biustu. Loz nie mogła tego znieść. Nienawidziła tych głupich ubrań i zapachu mydła dla dzieci. Nienawidziła tej *jednakowości*.

– Nie modlimy się przed posiłkiem – powiedział łagodnie Harm. – Chyba że masz taką ochotę.

Loz pokręciła głową. Kiedy Harm sięgnął po widelec, Christie zrobiła to samo. Zupełnie jakby spuszczone żaluzje zaciemniające i siedzenie przy świecach było normalne – jakby to wszystko było normalne. Jedzenie z naczyń campingowych w upiornych cieniach rzucanych przez płomyki świec. Na zewnątrz

nie zapadł jeszcze zmrok. Prawda?

Nogi ruszały jej się nerwowo pod stołem. Nie wiedziała, która jest godzina. Ścisnęła kolana i skupiła się, by zachować spokój, by wydać się spokojna.

– No, jedz – powiedział Harm z uśmiechem.

Loz posłusznie naładowała ryżu na widelec. Ciekła jej ślinka na samą myśl, bo tak długo nic nie jadła. Curry smakowało dziwnie, od razu zachciało jej się od niego pić. Znowu wierzgnęły jej nogi. Co jeśli jedzenie było zatrute?

„May została uduszona, ty głupolu. On nie truje ofiary, tylko ją dusi”.

Jadła curry, popijając posiłek wodą, gdy tylko mogła.

– Przyjemnie tu – powiedział Harm. – Gdy tak siedzimy wszyscy razem. Miło cię u nas widzieć, Loz.

– Dzięki. Cieszę się, że tu jestem.

Poradzi sobie. Mogła udawać, chociaż ścisnęło ją w żołądku i naprawdę, naprawdę chciało jej się sikać. Czuła się jak z powrotem w domu rodziców, gdzie udawała, że nie jest smutna, że nie przeszkadza jej bycie tą brzydką córką, której ubrania są zawsze za duże, która głupio wygląda w sukience i której włosy są wiecznie rozczochrane. To ona nie przestawała gadać, ona nie chciała się przytulać na dobranoc ani przy innych okazjach, ona cieszyła się, że przestali już mówić „kochamy cię”, bo ile ona niby miała lat? Osiem? Cieszyła się, że to wszystko już za nią.

Christie podała jej papierowy ręcznik.

– Z nosa ci cieknie. I z oczu.

– To przez to curry. – Wytarła twarz. – Dzięki.

Harm przyniósł kolejny kubek wody i postawił obok jej talerza.

– Proszę – powiedział łagodnie. – Nic nie szkodzi. Na początku jest dziwnie, trzeba się przyzwyczaić. Wszyscy przechodziliśmy przez to samo. Każdy z nas przeżył coś złego albo wręcz potwornego. Masz prawo być smutna. Nie musisz o tym mówić, ale możesz, jeśli chcesz. Tutaj możesz być sobą. Po prostu... sobą. My to rozumiemy.

Dobry był. W ustach większości ludzi – nauczycieli, rodziców, psychologów – ta przemowa przyprawiała by o mdłości. Jednak on zdołał sprawić, że wydawała się czymś, co powiedziałby każdy mądry człowiek; tak jakby się miało w głowie sensowny głos, a nie tylko ten, który cię nienawidzi. Harm sprawiał, że te słowa wydawały się dobre, i nagle Loz zrozumiała, dlaczego May chciała tu być. Dlaczego wolała to miejsce zamiast domu rodzinnego, dlaczego tu została.

Harm wyglądał na dobrego człowieka i mówił jak dobry człowiek. Jak większość psychopatów. Loz wystarczająco czytała na ten temat, żeby to wiedzieć. Psychopaci są ujmujący, wręcz czarujący. Po niektórych artykułach zaczynali jej przypominać zwierzątka domowe, które można głaskać po główce i karmić pod stołem, które zostaną przy tobie na dobre i na złe. Wiele z tego, co czytała, było

ściemą. Na całym świecie jest mnóstwo ściemy. Loz nie była głupia, nie w tym sensie, ale on był dobry. Nie upiorny, nawet w blasku świec, które rzucały jego długie cienie, nawet gdy się wiedziało, co zrobił. Loz rozumiała, dlaczego May go lubiła. Dlaczego jej siostra chciała tu zostać. Nie wiedziała tylko, dlaczego ją zabił. O ile to on. To mogła być Christie. Albo Eric. Nie podejrzewała Erica, chyba że był bardziej szalony, niż się wydawał, mogła za to uwierzyć, że to Christie. Podśluchiwała pod drzwiami, rozdawała fałszywe klucze, patrzyła na Harma, jakby mogła zrobić dla niego wszystko, wytarzać się w szkło, zabić...

W ustach Loz zebrała się ślina. Nogi nie przestawały jej wierzgać pod stołem. Bała się, że zwymiotuje jedzenie, bo tak mocno miała ściśnięty żołądek. Musiała znaleźć zabójcę May. Po to tutaj przyszła – żeby dowiedzieć się prawdy. Tylko że teraz czuła się głupia i wystraszona, żałowała, że nie została w domu, nie zadzwoniła do komisarz Rome albo sierżanta Jake'a, a jej rodzice na pewno strasznie się martwią...

– Nie jesz – powiedział Harm. – Źle się czujesz?

Pokręciła głową.

– Może musisz się umyć. Przyjemnie jest być czystym. Możemy też dać ci lepsze ubranie.

Nie podobał mu się jej zapach. Nie podobał mu się brud pod jej paznokciami ani zmatowiałe włosy. Chciał, żeby wyglądała tak jak pozostałe dziewczyny. Jak głupia, plastikowa lalka.

Nie wiedziała, dlaczego to mówi.

Nie wiedziała, że to powie.

Słowa same wyszły z jej ust, kiedy je otworzyła. Jak zwykle.

– Jestem w ciąży.

– KIEDY CALUM MARSH pracuje dla Resa Electrical, jeździ białym vanem. Wpisałem numery rejestracyjne do systemu. Nigdzie go ostatnio nie widziano, ale teraz przynajmniej mamy go w bazie. Znał plan Battersea, ponieważ pracował tam jako członek ekipy zajmującej się podłączeniem prądu.

– Brał udział w wypadku – zauważyła Debbie. – Nosił kołnierz ortopedyczny, miał złamaną rękę...

– Obojczyk – poprawił ją Noah – i nie złamany, tylko mocno poobijany. Jego urazy nie ograniczały mu ruchów; nie jeśli był dość zdeterminowany. Wiedział, w jaki sposób dostać się na plac budowy, znał wszystkie słabe ogniwa systemu bezpieczeństwa. Jego siostra Neve zaginęła, kiedy miał piętnaście lat.

Noah przyczepił do tablicy zdjęcie nastoletniej dziewczyny, z ciemną, nietwarzową grzywką, ustami bez śladu uśmiechu, oczami skupionymi na punkcie gdzieś nad ramieniem fotografa.

– Gina twierdzi, że szukał siostry cztery lata, razem z ojcem. Sprawdzali schroniska dla bezdomnych, squaty, gdziekolwiek mogła się udać nastolatka. Cztery lata poszukiwań. Neve była inteligentna, niezależna i ambitna. O opuszczeniu domu mówiła, odkąd skończyła dwanaście lat. Calum ciągle przekonywał ją, by tego nie robiła, ponieważ był przerażony wizją pozostania samemu z ich ojcem i jego gniewem. Kiedy odeszła, sytuacja w domu uległa znacznemu pogorszeniu.

– Przejdź do rzeczy – mruknął Ron. – Brakowało mu uwagi w dzieciństwie

i teraz został psychopatą? Super. Złapmy go i wsadźmy za kraty. Skoro wiemy, gdzie się znajduje.

– Musimy zrozumieć, z kim mamy do czynienia – powiedziała Marnie. – Nasz brak przygotowania może się skończyć śmiercią Loz. Zamiast wpadać tam z antyterrorystami, lepiej najpierw spróbujmy skłonić go do kapitulacji.

Spojrzała na negocjatora, Toby’ego Gravesa, oczekując poparcia.

– Im więcej wiemy, tym lepiej – zgodził się. – Ale czas nie działa na naszą korzyść, więc rozumiem pośpiech. Mamy tam dwoje dzieciaków w stanie zagrożenia. Opowiedz mi o nich, zwłaszcza w kontekście psychozy Caluma.

– Aimee to jego ulubienica – powiedział Noah. – Jest przekonany, że jest chora i potrzebuje jego ochrony. Calum nie wie, że Aimee to tak naprawdę chłopak o imieniu Eric. Myśli, że znalazł zagubioną dziewczynkę, w której widzi swoją siostrę.

– Jeśli Aimee to Neve – odezwała się Debbie – dlaczego potrzebuje pozostałych?

– Przez lata pracował w schroniskach dla bezdomnych. Zdaniem Giny zawsze szukał kogoś, kogo mógłby uratować. Robił to, czego nie mógł zrobić dla Neve.

– Więc dlaczego zaczął zabijać te dziewczyny? – zapytał Ron. – Pomijając fakt, że to psychol.

– Nie wiemy tego, jednak kluczowy wydaje się czas. May zabił w dniu śmierci syna. Kiedy wydarzył się wypadek, Calum szukał Grace. Być może winił się za tę krakę, ale równie prawdopodobne jest to, że wini pozostałe dziewczyny. Z pewnością wściekał się na May za to, że mimo tak wielu ostrzeżeń zaszła w ciążę, wbrew jego zasadom. Sądząc po zeznaniach Grace, wiele w tym wszystkim wstydu. Wszystkie to czuły, choć zupełnie nie rozumiały. Myślę, że Calum czuł wstyd, kiedy był jeszcze dzieckiem. Jako brat i jako syn. To może być niebezpieczne.

– Może ostrzegali ich przed samym sobą – zauważyła Debbie. – Też kiedyś był nastoletnim chłopcem, do tego nieszczęśliwym. Może wtedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że coś z nim nie tak.

– Wiemy, że uważa świat zewnętrzny za groźne miejsce. Gina mówi, że miewał okresy wielkiego niepokoju. Kiedy kupowali swój pierwszy dom, nie brał pod uwagę żadnego budynku z otwartym dostępem z tyłu. Był też zafascynowany więzieniami; cztery ściany, wszędzie zamki. Podobno oglądał programy na temat więzień tak, jak ludzie oglądają programy o domach sławnych ludzi.

– Uczynił z tamtego miejsca więzienie – powiedział Ron. – Zamknął ich dla ich własnego dobra.

– Zdaniem Grace są tam szczęśliwi. Sprawia, że czują się kochani i wartościowi. Pożyteczni.

- Czyli to sekta. Oni go tam wielbią jak bożka. Do czasu, aż ich nie zabije.
- Noah mógł się z tym zgodzić. Był to swego rodzaju kult, toksyczny i niezwykły. Rodzina wielbiła Harna, a on wielbił Aimee.
- Mamy Brigantia Gardens pod obserwacją. Sprawdzamy wszystkie wejścia i ochronę. Niebezpieczeństwo polega na tym, że nas zauważy i spanikuje.
- Już dwa razy spanikował – zauważył Ron. – Jeśli mówiąc o panikowaniu, masz na myśli zabijanie.
- Kto tam w zasadzie rządzi? – chciał wiedzieć Graves. – Calum czy Christie?
- Nie jesteśmy do końca pewni, lecz musimy zakładać, że to Calum zabijał. Świadczy o tym wielkość zasinień na gardłach dziewczyn oraz fakt, że ciało May zostało wniesione do apartamentu. Bardzo możliwe, że Christie mu w tym pomagała. Grace twierdzi, że jest w nim zakochana.
- Wskazuje na to również imię, jakie przybiera w tamtym mieszkaniu – powiedziała Debbie. – Prawda? Każe do siebie mówić nie Calum, lecz Harm[5].
- Czy te nastolatki też patrzą na to w ten sposób? – zapytał Graves. – Z tego, co powiedzieliście mi o Grace, nawet teraz nie potrafi dostrzec w nim kogoś złego. Musimy wiedzieć, jakie nas tam czeka przyjęcie i czy przebywające w tym mieszkaniu osoby chcą zostać uratowane, czy może będą walczyć po *jego* stronie.
- Loz nie będzie – odparł Noah. – Christie i Eric, może. Jednak nie Loz. Przede wszystkim dlatego, że jest rozgniewana.
- Mam nadzieję, że nie za bardzo rozgniewana. – Graves pokręcił głową. – Po tych wszystkich informacjach nietrudno o wniosek, że lepiej tego faceta nie stawiać w pozycji obronnej.

[5] *Harm* w języku angielskim znaczy ‘krzywda’.

CHRISTIE WSTAŁA JAKO pierwsza.

Powoli odsunęła krzesło, nie śpieszyła się. Wiedziała, że klucz w kieszeni Loz nie otworzy drzwi, a jej telefon nie łapał sygnału. Pozwoliła dziewczynce zachować komórkę, żeby czuła się bezpieczna, tak samo jak wręczenie klucza miało dać jej uludę kontroli. Jakby trzynastolatka mogła mieć kontrolę nad czymkolwiek.

Christie wsunęła krzesło pod stół, równiutko, kładąc ręce na oparciu. Dłonie jak dwa bochny chleba. Dowody – właśnie tego potrzebowali. Żeby dokonać aresztowania i udowodnić winę w sądzie. Na May nie zostały żadne ślady. Scena zbrodni została absolutnie czysta. Właśnie dlatego Loz tutaj przysłała. Żeby zdobyć dowody.

Siedzący po drugiej stronie stołu Harm zamrugął, wciąż trzymając widelec.

Stół kołysał się, woda w kubkach falowała, cienie migotały na ścianach.

– Co się stało? – zapytała Loz i sięgnęła po kubek.

Dziwne; wiedziała, że powinna się bać, a jednak nie czuła strachu. Nie bardziej niż wcześniej. Zupełnie jakby patrzyła na scenę z telewizora, jakby to się nie działo naprawdę. May – ona była prawdziwa. Nie to.

– W porządku – powiedziała Christie. – Zabiorę ją z powrotem. Zabiorę ją stąd. – Jej dłonie ścisnęły krzesło, oczy wpatrywały się w Harna tak, jak się patrzy na samochód jadący po drodze, którą się chce przekroczyć, licząc, że nie przyśpieszy. – Zabiorę ją. Nie denerwuj się...

– Ile masz lat, Loz? – Jego głos pozostały łagodny, jednak twarz zmieniła wyraz.

Loz słyszała oddech Christie; dyszała.

– Trzynaście – odparła. – W lipcu skończę czternaście.

– To w jaki sposób... zaszłaś w ciążę?

Loz przewróciła oczami tak, jak robiły to inne dziewczyny, te ze sztuczną opalenizną i przedłużonymi włosami, te chwalone się aborcją.

– Mogę to narysować, jeśli chcesz.

Tak jak May. W rysunkach May było wszystko: strach i łzy, miłość i Eric.

– Kto jest ojcem? – Twarz Harma zmieniła się w maskę.

Czy właśnie tak wyglądał, kiedy May powiedziała mu o dziecku? Jakby chciał zniszczyć... wszystko?

– Eric.

– Kim jest Eric?

– Nie. – Christie złapała ją za rękę i odciągnęła od stołu. – Zabieram ją. To moja wina. Powinam była sprawdzić...

– Eric jest na górze – powiedziała Loz. – Jest na górze...

Christie wykręciła jej rękę i dziewczynka ugryzła się w język. Zamknęła na chwilę oczy z powodu bólu, a kiedy je otworzyła, Harm stał tuż przed nią, z twarzą napiętą, jakby ktoś ciągnął za skórę od tyłu. Zmrużone oczy, a zęby... widziała jego zęby.

– Kto jest na górze? – zapytał.

Czuła na sobie dwie pary rąk. Jego i Christie. Jakby zamierzali się o nią pokłócić, rozedrzeć ją na pół.

Dobrze. Będą dowody...

Jeśli rozsmarują ją po podłodze, zostaną ślady.

Harm pochylił się, widziała czerwień na jego zębach i w białkach oczu.

– *Kto jest na górze?*

– Aimee! – krzyknęła mu w twarz. – Eric to Aimee, w tym twoim specjalnym pokoju! To Eric, który udaje Aimee. Ty idioto! To on zrobił dziecko mojej siostrze, a potem ty ją zamordowałeś. Zabiłeś moją siostrę bez powodu! Ta twoja wyjątkowa dziewczynka to chłopak! To *chłopak!*

– KTOŚ UŻYWAŁ KARTY kredytowej Caluma na stacji metra Vauxhall godzinę przed zaginięciem Loz. Od tego czasu nie było żadnych transakcji. Na monitoringu widać kobietę, którą Grace zidentyfikowała jako Christie Faulk.

Twarz Christie była szara. Oczy skryte pod kapturem, usta jak kreski. Mogłaby być kimkolwiek.

– Vauxhall to stacja najbliższa Brigantia Gardens – powiedział Noah. – Żadna kamera nie uchwyciła Caluma, ale jego kartą kredytową zapłacono za wodę butelkowaną, butle z gazem, wkłady do toalety chemicznej oraz jedzenie o długim terminie przydatności, takie jak to, które Fran znalazła w żołądkach May i Ashleigh.

– Czyli zabunkrował się z dziewczynami w Brigantia Gardens – rzekł Graves. – Ze sporą ilością paliwa. Co jeszcze?

– Noże. Głównie kuchenne, ale Grace twierdzi, że Calum ma jeszcze scyzoryk. I siekiere.

– Siekiere – powtórzył Graves. – Prawdziwy Bear Grylls.

Drużyna SWAT była już w drodze.

Loz znajdowała się w bloku mieszkalnym, który zaraz zostanie oblężony.

Noah tak się o nią martwił, że rozboleły go zęby.

Rozdzwonił się telefon Marnie.

– Komisarz Rome, słucham. – Jej twarz się zmieniła, teraz malowało się na niej skupienie. – Ledger. – Wstała, patrząc Noahowi w oczy. – Tak, szukamy pana.

Gdzie pan jest? – Słuchała przez chwilę, a potem powiedziała: – Proszę się nie rozłączać. – Kiwnęła na Gravesa. – Ledger jest w Brigantia Gardens i mówi, że wie, gdzie Calum trzyma dziewczyny.

CIĄGNĘLI JĄ PO schodach, walcząc o nią, każde jedną ręką. Christie pląta z wściekłości, Harm był jak gład, który pękł na pół. Prowadzili ją do pokoju Aimee...

Rzucili ją na łóżko.

– Leż! – warknęła ostrzegawczo Christie.

Harm wyszedł z pokoju, lecz nie da długo, i wrócił zaraz z siekierą.

Siekierą.

Loz wycofała się w stronę ściany, płacząc się w pościeli. Z łóżka podniósł się Eric, o bladej twarzy, zaskoczony.

– Coś ty narobiła? – syknął, przerażony bardziej niż ona sama.

Harm stał w oknie z drewnem i gwoździami; przybijał deski, zasłaniając światło. Christie została w nogach łóżka, dyszała ciężko, łzy błyszczały jej na policzkach. Patrzyła to na nich, to na Harna, ale zawsze wracała wzrokiem do niego.

– Powstrzymaj go – błagała Loz. – Możesz go powstrzymać.

Christie roześmiała się i pokazała puste ręce.

– Nie.

– Tak. Powstrzymaj go. Pomóż nam.

– Niby jak? – Kręciła głową, cały czas zezując na Harna. – Jak można go powstrzymać?

JAMIE LEDGER WYGLĄDAŁ jak człowiek ścigany. Blizna nad jego lewym uchem była wyraźnie biała. Pod paznokciami miał brud, pod oczami sińce, a policzki zapadnięte.

– Nie wiedziałem, że jestem poszukiwany przez policję, aż do teraz...

– Proszę nam powiedzieć, co się dzieje w budynku – powiedziała Marnie. – Reszta może poczekać.

– Widziałem Marsha i przynajmniej jedną dziewczynkę, plus tę, która przyprowadza je do niego. – Ledger wbił wzrok w wieżowiec mieszkalny. – Czasami są na najwyższym piętrze, czasami kondygnację niżej. – Pokazał. – Tam, gdzie są spuszczone żaluzje.

Brigantia Gardens w planach miało być luksusowym apartamentowcem. Na stronie internetowej dewelopera można było zobaczyć artystyczną wizję zakrzywionego szkła i stalowego szkieletu. W rzeczywistości budynek był tak samo brutalny jak bloki na osiedlu komunalnym, a jego szklaną skórę miejscami pokrywały plastikowe osłony. „Żywozielony wspólny ogród” był ugorem pełnym cegieł i gruzu.

– Nie wiedziałem, kim on jest – powiedział Ledger. – Dopiero dwa dni temu poznałem prawdę. Kiedyś przychodził do hostelu pracować z wolontariuszami, tak się poznaliśmy. Wiedziałem, że ma problemy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie. Dopiero po dwóch zabójstwach to pojąłem. – Wykrzywił brzydko usta. – Kiedyś szybciej łapałem takie rzeczy.

– Skup się na budynku – poleciła mu Marnie. – Jak wchodzi i wychodzą?

Wyjaśnił im. Rex Carter przekazał wszystko swojemu zespołowi, a potem zapytał:

– Co jeszcze pan widział? – Napięcie w jego głosie sprawiło, że Ledger stanął na baczność. – Z kim mamy do czynienia?

– To typ schizoidalny. Udaje dobrego człowieka. Mnie oszukał, a nie jestem taki głupi, niejedno widziałem już w życiu. Może trochę dziwnie się zachowywał przy synu, ale większość nie zwróciłaby na to uwagi. – Poruszył wyschniętymi na wiór ustami. – Zobaczyłem, co zapakował sobie do plecaka w Paradise House. Wtedy w mojej głowie rozległ się alarm. Widziałem ludzi, którzy na misji rozpadali się na drobne kawałki. On tak właśnie wyglądał, jakby cały czas był zaniepokojony. Jakby stąpał po linie... Uważał, że moja przeszłość w wojsku to coś wielkiego, podobno przypominałem mu ojca. Gównu prawda. Powiedziałem mu, że to gównu prawda, ale on nie poddawał się. Ciągle pieprzył o tym, że musi uhonorować takich ludzi jak ja. Musi zadbać o to, byśmy wracali do lepszego miejsca. Musi je dla nas przygotować, posprzątać. – Udręka w spojrzeniu Ledgera. – Zupełnie jakby zostawił ją dla mnie. Jakby ten psychol zrobił to *dla mnie*.

– Śledził go pan przez dwa dni – rzekła Marnie – bo myślał pan, że to nasz zabójca. Dlaczego nie zadzwonił do nas pan od razu?

– Nie miałem żadnego dowodu. Równie dobrze to wszystko mogło być tylko tutaj, tak jak reszta koszmarów. – Popukał się w skroń, oczy błyszczały mu z braku snu. – Pomyślałem, że jeśli zrobił to dla mnie, jeśli wymyślił sobie, że... sprząta. *Sklada hold*. Ja pierdołę, nie mogłem z tym żyć. Musiałem go znaleźć, dowiedzieć się, co knuje. Gdyby okazało się, że naprawdę jest mordercą, że nie wyobraziłem sobie tego...

– Już dobrze. Zajmiemy się resztą. Może pan spocząć.

– Traktuje mnie pani jak żołnierza? – Zarechotał. – Na pewno podziąła. Wystarczy nakręcić i posłać w odpowiednim kierunku, co? Przestałem słuchać rozkazów, kiedy odszedłem z wojska.

– Mogę też pana po prostu aresztować.

– Za co? Za to, że mam oczy otwarte?

– Za włamanie w Mitchan i zniszczenie mienia. Utrudnianie pracy policji. Może pan sobie wybrać.

Patrzył na nią dziko.

– Spocznij – powtórzyła łagodnie. – Proszę nam pozwolić zaopiekować się tymi dziećmi.

Ledger poszedł z Noahem do czekającego radiowozu.

– W budynku nie ma zasięgu – powiedział Toby Graves do Marnie. – W dodatku znajdują się bardzo wysoko, co ogranicza negocjacje. Minęło dziesięć godzin od zabrania Loz. To oznacza, że przechodzimy do drugiej rundy. Myślę,

żeby potraktować to jako porwanie i wysłać tam Cartera i jego ludzi. Ale to twoja decyzja.

Marnie popatrzyła na niedokończoną inwestycję, kamizelka kuloodporna ciążyła jej na piersi.

Szesnaście pięter od ziemi.

Zbyt daleko, żeby przeżyć upadek, gdyby ktoś wyskoczył albo został wypchnięty.

Tak wiele szans, by ta akcja skończyła się katastrofą.

Sean i Katrina Beswickowie stracili już jedną córkę.

To było jej zadanie. Sama wybrała taki zawód.

Kiwnęła do Gravesa, a potem do Cartera.

– Powiedzcie mi, jaką mam zająć pozycję.

HARM MIAŁ MŁOTEK. Do zabicia okna deskami. Młotek i gwoździe, kilka kawałków starego drewna i siekiere – pieprzoną siekiere. Nie chciał na mnie spojrzeć, patrzył wszędzie, tylko nie na łóżko. Byłem dokładnie tam, gdzie mnie chciał, ale nie spojrział. Bał się zobaczyć Aimee. Aimee była bezpieczna. Aimee miała wszystko...

Zamierzał pozwolić jej umrzeć, ponieważ tak bardzo ją kochał. Erica nienawidził. Wiedziałem, że tak będzie, i dlatego się ukrywałem, dlatego przy nim nigdy nie byłem Erikiem.

Christie obserwowała jego poczynania, jakby oglądała swój ulubiony film. Harm warczał gdzieś z głębi piersi. Całe to jego udawanie gotowało się w nim. Słyszałem to wrzenie. Nigdy nie powinien był udawać. Powinien był od razu wziąć to, czego pragnął. Oto nasza kara – moja i jego – za czekanie. Za udawanie.

– Jesteśmy, kim jesteśmy – szepnąłem. Krzyknąłbym, gdybym miał dość odwagi.

Gdzie się podziała jego szczęśliwa rodzinka? Gdzie się podziała jego mała, chora dziewczynka?

Przestał i odłożył siekiere na podłogę. Przesunął wzrok na Loz, która znajdowała się w kącie pokoju. Uwięziona między dwiema białymi ścianami, tak samo jak one biała. Nie wyglądała jak May. Nie dostrzegalem w niej żadnego podobieństwa do siostry, ale Harm owszem. Przyglądał się jej, jego wzrok zatrzymał się na twarzy Loz.

To ona powiedziała im o Ericu, o mnie. To ona jest wszystkiemu winna – przyprowadziła tu ze sobą prawdziwy świat. Zabiła ten sen, właśnie wykrwawiał się na podłogę. Wcisnęła mu lustro przed twarz, pokazała mu, jaki jest naprawdę. I będzie musiała za to zapłacić.

– Jestem tutaj! Tutaj! – krzyknąłem z łóżka.

Odwrócił gwałtownie głowę.

Jesteśmy, kim jesteśmy.

– Jestem, kurwa, tutaj!

Ale to Christie do mnie przyszła.

Zatrzymała go w pół kroku, niemal za szybko. Niemal.

Christie.

Większość pędu należało do niej. Ja tylko wystawiłem rękę w odpowiednim miejscu i kiedy ściągnęła mnie z łóżka, uderzyłem nią tak mocno, jak tylko potrafiłem, dwukrotnie.

Była silniejsza ode mnie, miała naprawdę mocne mięśnie, ale udało się. Dzięki temu, gdzie ją uderzyłem i czym.

Zatoczyła się do tyłu. Krzyczała.

Zrobiłem to znowu, tuż nad sercem.

Wtedy Harm się na mnie rzucił, ale odepchnąłem go pięścią – czerwoną – i zatrzymał się, kłapiąc szczękami, widząc, co zrobiłem, co *on* zrobił. I wiedział, że to powtórzę, że uderzę ją jeszcze raz...

Nie można być zbyt ostrożnym. Właśnie on mnie tego nauczył.

Christie padła na kolana i gapiła się szeroko otwartymi oczami na swoją pierś. Dwie ciemne plamy rozpląwały się po jej koszuli. Zerwała ją, wydając zduszony okrzyk, nie dowierzając.

Z mojej pięści ciekło.

Drut ze szpicownika May wpijał się w moje knyckie, jego ostry brzeg był kilka centymetrów krótszy niż wcześniej. Musiał się złamać we wnętrzu jej ciała, między dwoma żebrami.

Darła koszulę palcami, próbując znaleźć źródło bólu. Trzymałem pięść tak, by widział ją Harm.

Zabezpiecz teren.

Przewróciła się na bok, przestała się ruszać.

Leżała tak, z siekierą jak trzecią ręką.

Dłoń miałem owiniętą drutem, z przodu sterczał postawiony na sztorc. Niewiele już z niego zostało, jednak nadal mógł uchodzić za porządną broń, chociaż, jak się zastanowić, siekiera była lepsza.

Szukaj otwartej przestrzeni.

Spojrzałem na siekierę. Potem na niego.

Christie się nie ruszała. Pomyślałem: *Zabiłem ją.*

Teraz został już tylko on.
Ja i on.

MARNIE PRZEBIERAŁA PALCAMI pod wpływem adrenaliny, kamizelka kuloodporna ciążyła jej na piersi. Schody w wieżowcu mieszkalnym pachniały wilgocią, kiedy szła za zespołem Rexa Cartera, mijając na wpół pomalowane ściany z wystającymi kablami i oknami o wzmocnionych szybach, na których wciąż przyklejone były na krzyż taśmy. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, która zbierała ich odciski palców.

Na szesnastym piętrze Rex dał im znak, żeby się zatrzymali. Zebrali się, żeby spojrzeć na plan piętra i wysłuchać raportu zespołu obserwującego mieszkanie z miejsca, gdzie wcześniej Jamie Ledger widział cienie przesuujące się za żaluzjami.

– Pięć pokoi – informował mężczyzna. – Plus jeden na półpiętrze. Drzwi frontowe zamknięte na klucz, ale możemy się tym zająć. Ze środka nie dobiegają żadne dźwięki.

Rex spojrzał na Marnie.

– Twoja decyzja.

– Wchodzimy pojedynczo. Po kolei zabezpieczamy każde pomieszczenie. – Pot szczywał ją na całym ciele. – Na półpiętrze trzyma Aimee. Na jego miejscu przyczałabym się właśnie tam.

Rex kiwnął na pozostałych.

– Słyszeliście.

Drzwi frontowe to była błąhostka.

Kiedy znaleźli się w środku, pochłonęła ich ciemność; w każdym oknie żaluzje były opuszczone.

Włączyły się kamery termowizyjne. Żadnych ciał na tym piętrze. Na niemą prośbę Rexa Marnie trzymała się z tyłu, pozwalając zespołowi zabezpieczyć teren.

Na stole w kuchni znajdowały się resztki niedojedzonego posiłku.

Zbiorniki z wodą odbijały głucho dźwięki, kiedy ruszyła za Rexem przez niewykończone pokoje aż do wewnętrznych schodów prowadzących do pokoju na półpiętrze.

Do pokoju Aimee.

Dwóch funkcjonariuszy stało na zewnątrz, kręcąc głowami na Rexa i Marnie. Trzeci i czwarty czekali na schodach, z bronią wycelowaną w podłogę i wzrokiem wbitym w drzwi.

Nie było zamka. Tylko gładkie drewno i klamka z brązu.

Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki.

To miejsce, to bezpieczne schronienie, śmierdziało Harmem. Ostрым, żywicznym zapachem jak świeżo rąbanego drewna. Ściany były zbyt ciasne, całe mieszkanie było gęsto wypełnione i gotowe, by eksplodować.

Marnie podniosła rękę i zapukała do drzwi.

– Policja. Jesteśmy uzbrojeni. Nazywam się Marnie Rome, jestem komisarzem policji i chcę porozmawiać z Loz i Erikiem.

Powolna, wijąca się cisza. Po drugiej stronie drzwi pokój oddychał miarowo.

– Wchodzę. Musicie zachować spokój. Potraficie to zrobić?

Uzbrojeni funkcjonariusze czekali. Nie ruszą się, dopóki Rex nie da im znaku. Marnie dowodziła akcją, powiedział to jasno. Jej śledztwo, jej decyzje.

Cisza, a potem:

– Może pani wejść. – Loz wydawała się spokojna. – Tylko pani.

Loz. Żyje.

– Tylko ja? – Marnie czekała, chcąc, żeby dziewczynka powiedziała jej coś więcej, dała jakąś wskazówkę, dzięki której będzie wiedziała, co się dzieje w środku. Za jej plecami słychać było skrzypienie rękawiczek funkcjonariuszy trzymających broń. Zignorowała ten dźwięk, skupiając się wyłącznie na tych, które dobiegały zza drugiej strony drzwi. – Loz?

– Oni nie żyją – oznajmiła wyraźnie dziewczynka. – Jest już bezpiecznie. Jesteśmy tylko ja i Eric, ale Eric się boi. Naprawdę się boi. Jeśli wejdzie tylko pani, będzie dobrze.

– Jeśli się boi, lepiej, żebym sprowadziła pomoc.

– Nie, wcale nie. On... Jeśli wejdzie tylko pani, będzie dobrze.

– Przyszliśmy tutaj, żeby ci pomóc.

– Powiedziała pani, że jesteście uzbrojeni. Musiała pani, rozumiem, ale strasznie go to wystraszyło. Jeśli wejdzie tylko pani... Proszę. – Łzy w jej głosie,

schowane pod udawanym spokojem. – Proszę.

Marnie spojrzała Rexowi w oczy.

– Dobrze. Niech tak będzie. – Chwyciła kławkę. – Tylko ja.

Drzwi były ciężkie, musiała naprzeć całym ciałem.

Natychmiast się za nią zamknęły i zatrzasnęły, pochłaniając funkcjonariuszy na schodach i światło.

W pokoju panowała ciemność, Marnie czuła tylko zapach rąbanego drewna.

Okna zostały zabite deskami, przez szczeliny przenikało nieco światła, zbyt mało jednak, żeby cokolwiek zobaczyć, przynajmniej nie od razu. Marnie wyteżęła wzrok, a jej walczące z mrokiem oczy posłały sygnał paniki do stóp i palców.

Dwa ciała na podłodze po prawej. Po lewej...

Łóżko wciśnięte pod ścianę, skotłowana pościel.

– Loz? – Marnie stała plecami do drzwi. Jeden krzyk do Cartera i jego zespół wpadnie do środka. Kamizelka kuloodporna trzymała ją w miejscu niczym dodatkowa porcja grawitacji. Marnie spojrzała na ciała leżące na surowej, niewykończonej podłodze. Trochę krwi, lecz niewiele. Było zbyt ciemno, żeby mogła mieć pewność, ale zwłoki wydawały się zbyt duże, by należeć do dzieci.

– Loz, przepraszam, że tak długo zajęło mi dotarcie tutaj. – Pokój pochłonął jej słowa. – Ale w końcu jestem. Powiedz mi, w jaki sposób mogę ci pomóc. – Zrobiła krok w stronę łóżka. Nie widziała żadnej innej kryjówki. Gdzieś za nią coś błysnęło...

Żarówki toaletki złapały promień słońca wpadający przez szczeliny między deskami. Dwóch żarówek brakowało.

– Mów do mnie. – Powinna zbadać ciała. Jej zadaniem było sprawdzić ciała.

– Co tu się wydarzyło? Ktoś musi mi to wyjaśnić. Loz, powiesz mi, co tu się wydarzyło?

Kucające w kącie pokoju, na wpół owinięte prześcieradłem...

Dwie wąskie sylwetki, tak mocno ze sobą splecione, że wyglądały jak jedna. Czarne loki, białe kościste łokcie, wystająca szczeka. Nie dało się dojrzeć, gdzie kończył się Eric, a zaczynała Loz. Czy on ją przytrzymał siłą? Jak długo siedzieli w tej ciemności? Marnie miała wrażenie, że Eric lepiej widzi ją niż ona jego.

– Loz, jesteś ranna? – Żadne z dzieci nie poruszało się. – Muszę wiedzieć, czy jesteś ranna.

Kurz tańczył w mroku, uwięziony między cienkimi strużkami światła płynącego z okna. Nie słyszała ich oddechów. Podłoga skrzypiała jej pod nogami. Skądś przedostawało się ciepło. Naciskało na ściany, kurczyło pokój, trzęsło nim.

– Muszę zobaczyć, czy nic ci nie jest. Czy obojgu wam nic nie jest. Ale już wszystko dobrze. Obiecuję, że teraz już nic wam nie grozi.

Jakiś ruch za jej plecami.

Podnosi się z podłogi, ciągnie za sobą cień twardy jak ściana...

Harm.

Otworzyła usta, żeby krzyknąć, lecz on chwycił gwałtownie toaletkę i pchnął ją na drzwi.

Patrzył na Marnie. Prosto na nią.

Ludzie Cartera uderzali pięściami w drzwi po drugiej stronie, wykrzykując jej imię. Głupia, *głupia*, bo nie sprawdziła od razu ciał.

– Nic mi nie jest – zawołała.

Harm poruszył głową jak zwierzę, które wyczuło zapach ofiary, skupiając na niej swoją uwagę. Przekroczył drugie ciało, ignorując je. Christie Faulk. To Christie leżała na podłodze, a Harm stanął między Marnie a drzwiami.

– Przepraszam – powiedziała Loz przez ściśnięte gardło. – Musiałam. Kazał mi to zrobić. Przepraszam...

– Nie przejmuj się. – Nie spuszczała wzroku z mężczyzny. – Calum. Panie Marsh. Pamięta mnie pan. Jestem komisarz Marnie Rome. Poznaliśmy się w szpitalu. Przyszedł pan na komisariat.

Nie przypominał wcale Caluma Marsha, ojca oplakującego syna. Stojący przed nią człowiek, Harm, był wyższy, szerszy w ramionach, ogólnie większy. W resztkach światła dało się zobaczyć krew na jego koszuli.

– Jest pan ranny. Co się stało? – Została między Harmem a dziećmi kucającymi pod ścianą. To przez ten pokój wydawał się inny. Przez te ciemne, zamknięte drzwi za jego plecami. To jej strach sprawiał, że jego ramiona wyglądały na szersze. Był tylko człowiekiem. – Jak poważne są obrażenia?

Pokręcił powoli głową. Tak jak wąż tuż przed atakiem.

– Chciałabym przyprowadzić tu ratownika, żeby na pana spojrzął. – Marnie starała się zupełnie nie ruszać i mówić dość głośno, by usłyszeli ją Carter i reszta. – Czy pan się na to zgadza?

– Nic mi nie jest. – Jego twarz ułożyła się w uśmiech. – To był wypadek. – Mówił spokojnie, pewnie. – Nikt tu nikogo nie chciał zranić. – Ciągle się do niej uśmiechał, ale tak, jak nie widziała u nikogo wcześniej.

Jego ręce zwisały puste wzdłuż boków. Nie miał broni, lecz takie dłonie same w sobie są bronią. Zabił nimi May i Ashleigh.

Powinna zawołać zespół Cartera, żeby przebili się przez drzwi i obezwładnili Harna? Toaletka wyglądała na ciężką, ale Carter miał tam czterech funkcjonariuszy, uzbrojonych i wyszkolonych do takich akcji.

Nie. Loz i tak już za dużo przemocy widziała w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Marnie krzyknie dopiero wtedy, gdy nie będzie miała innego wyjścia.

– Dobrze. Cieszę się, że nic się panu nie stało. Ale i tak chciałabym tu wpuścić ratowników. Żeby obejrzeliby dzieci. – Ostatnie słowo nieco podkreśliła,

obserwując jego reakcję.

Jego spojrzenie objęło także kąć pokoju.

– Gdzie one są?

– Są bezpieczne. Tego właśnie pan chce, wiem o tym. Chce pan, żeby były bezpieczne. – Jej lewe ramię przyjęło największe obrażenia zadane jego palącym wzrokiem. – Chciałabym, żeby przyszli tu ratownicy i upewnili się, że nikomu nic się nie stało. Panu też. Muszę mieć absolutną pewność.

– Wszystko w porządku. Chciałem, żeby to pani zobaczyła. Może pani teraz odejść. – Kurz podniósł się jak dym za jego plecami. – Ja się wszystkim zajmę.

– Jestem o tym przekonana, ale muszę wykonywać swoją pracę. Moim zadaniem jest upewnić się, że wszyscy są bezpieczni.

– Nie, to jest moje zadanie. – Znowu ten uśmiech. – Dzieci to moja działka.

Jakiś ruch za nią, w kącie pomieszczenia. Stopy szorujące po podłodze.

Spojrzenie Harma wbiło się w jej ramię, chcąc je przeniknąć.

– Panie Marsh. Będę mówić po imieniu, dobrze? Calum, musisz zachować spokój.

– Ale ja jestem spokojny. – Oddychał przez nos, uśmiech niczym nóż przecinał mu twarz. – To moje mieszkanie. Moja rodzina. Ja się tym zajmę.

Pół roku wcześniej Marnie utknęła na zamkniętej przestrzeni z groźnym mężczyzną. Wściekłym, rozżalonym mężczyzną oplakującym stratę najbliższych. Myślała wtedy, że to przerażająca sytuacja, jednak teraz wydawała jej się niczym. Z tamtym człowiekiem dało się rozmawiać. Jego ból miał kształt, który rozpoznawała. Harm pogrzebał swój zbyt głęboko.

– Pozwól mi zająć się rodziną – powtórzył.

– Nie mogę tego zrobić. Przepraszam. Mogę ci pomóc się nimi zająć, ale ucierpiało już zbyt wiele osób i moim zadaniem jest zadbać o to, by nikomu więcej nie stała się krzywda. Z pewnością to rozumiesz.

– Loz. – Przystawił język do górnej wargi, pokazując czerwone wnętrze ust.
– Chodź tutaj.

Marnie wystawiła rękę do tyłu, ostrzegając Loz, żeby się nie ruszała.

– Zostań tam, gdzie jesteś.

Harm odchylił głowę, jego oczy w półmroku wyglądały jak dyski.

– To jest *mój* dom. – Bąbelki śliny między zębami. – *Ja* ustalam zasady.

– Ale to nie jest naprawdę twój dom, prawda? To mieszkanie należy do dewelopera. Twój dom jest w Chiswick. – Wytrzymała jego spojrzenie mimo żaru. – Dlaczego się tutaj przeniosłeś?

– Bezpieczniej...

– Owszem, jest bezpieczniej – zgodziła się. – Chcemy, żeby te dzieci były bezpieczne. Oboje pragniemy tego samego. Uczynić to miejsce bezpiecznym. Dlatego pozwól mi otworzyć drzwi i wezwać pomoc.

– Nie potrzebuję pomocy. – Zrobił krok do przodu. – Dlaczego niby miałbym potrzebować?

– Christie potrzebuje pomocy. – Marnie pokazała na ciało leżące na podłodze. – Nie zasługuje na nią? W końcu razem z tobą opiekowała się dziećmi.

– Nie wszystkimi. – Czy on miał przekłute płuco? Emanujące z niego ciepło pachniało siarką. – Nie zaopiekowała się Ashleigh.

– Opowiedz mi o Ashleigh.

– Nie.

– W takim razie opowiedz mi o swojej siostrze, Neve. Nie chciałeś, żeby te dziewczynki zmieniły się w nią, żyły na ulicy, zagubione...

Warknął śmiechem. Nawet jeśli bał się albo czuł się zagrożony czy izolowany, to nie wystarczyło. Nie wystarczyło, by współpracować z Marnie. Nic tu nie wskóra. Jeszcze chwila i będzie za późno.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie. Wyjaśnij, dlaczego czujesz potrzebę naprawiania.

– Popeliłem błąd, wpuszczając cię tutaj. – Zamknął się przed nią. – Chciałem, żebyś zobaczyła, jak dobrze dbam o te dzieci, ale ty nic nie rozumiesz. Nic a nic. Miałbym ci powiedzieć o Neve! Ty niczego nie rozumiesz. Lepiej, żebyś już sobie poszła.

Jakby spodziewał się, że uda mu się jej wszystko wytłumaczyć. Ale co dokładnie – to, co spotkało May i Ashleigh? A może jego siostrę? Marnie tyle czasu spędziła na poszukiwaniach May... A kto szukał Neve? I dlaczego nie udało mu się jej znaleźć?

– Grace jest w dobrych rękach – powiedziała Marnie. – Wyjaśniła nam, jak jej pomogłeś. Jest ci bardzo wdzięczna.

– A wy myślicie, że ja jestem zabójcą. – Jego głos zniżył się, złagodniał. – Taka jest prawda?

Czy w ten sposób udało mu się uwięzić te dzieci? Mamił je łagodnością i retoryką, sprawiał, że myślały – nie, *czuły*, że je rozumie, że wszystko staje się jasne, a świat już dłużej nimi nie pomiata? Swoimi zasadami przywracał ład, wygładzał wszystkie ostre krawędzie. Nie było już drzazg, nic nie raniło stóp i dłoni, wszystko otaczała ochronna warstwa taśmy izolacyjnej.

– Dwie dziewczynki nie żyją – rzekła Marnie. – May Beswick i Ashleigh Jewell. Dwie dziewczynki oplakiwane przez rodziny, zupełnie jak w twoim domu. Ty też oplakiwałeś siostrę.

– Christie była niebezpieczna. – Zupełnie jakby się z nią zgadzał. – Ale to już zostało załatwione.

– Kto to załatwił? – Dopasowała swój głos do jego głosu, naśladowała jego mowę ciała. – Ty?

– Eric. – Znowu uśmiech. – Ale to był wypadek. Nieporozumienie.

Nieporozumienie. Ten uśmiech.

Stephen tak się uśmiechał.

A Calum Marsh kłamał.

Powiedział im, że nie widział na drodze Grace, ale przecież specjalnie jechał tam, by jej szukać. Właśnie przez to zmarł jego syn, a potem May i Ashleigh. Z powodu *nieporozumienia*.

– Jak to się stało?

– Musisz zapytać Erica. – Pokazał puste dłonie, pewien swojej mocy perswazji. Chciał, żeby Marnie tu przysła. By wysłuchała jego alibi. Pragnął zasiać w jej głowie ziarno wątpliwości. Mocno wierzył w swój dar przekonywania, przyzwyczaił się do ślepego posłuszeństwa podopiecznych. Christie zabiła dwie osoby. Eric zabił ją. A Calum pozostanie nietkniętym bohaterem tej opowieści.

– To nie Eric umieścił May w tamtym mieszkaniu. Christie też nie. To ty powiedziałaś Jamiemu Ledgerowi, że chcesz oczyścić świat. Cóż, śmierć May nie była czysta. Wyrwała brzydką, brudną dziurę w życiu jej rodziny. Martwe ciała nigdy nie są *czyste*. Martwe ciała to chaos, to *bałagan*. Śmierć czyni świat gorszym miejscem. Niebezpiecznym, brudnym. Śmierć to przeciwieństwo porządku, przeciwieństwo czystości.

– Nie w jej przypadku. – Znowu te oczy jak dyski. – Jej życie było takie, zanim ją znalazłem. Była nieszczęśliwa, cierpiała. Sprawilem, że poczuła się lepiej. Widziałaś ją, wiesz o tym. Była cicha, czysta...

– Popatrz na Christie. – Marnie pokazała na ciało leżące na podłodze. – Czy to wygląda na czystość? Na ciszę?

– Z drogi. – Mówił łagodnie, jakby dotychczas był dla niej wyrozumiały, ale to się musiało teraz skończyć. – Zejdź mi z drogi.

Nie chciał spojrzeć na Christie, nie odwracał wzroku od kąta pokoju, gdzie kulili się Eric i Loz. Marnie przegrała. Próbowwała, ale zawiodła.

– Wiem, że jesteś zdenerwowany. Wszystko zaczęło się od śmierci Logana. Twój syn nie chciałby...

– Nie. – Harm rozprostował palce, wyraz jego twarzy sprawił, że zamilkła w pół słowa. – Zejdź mi z drogi.

– Za drzwiami znajdują się uzbrojeni funkcjonariusze. – Jej oddech utknął w piersi i ciążył jej jak cegły. – To bardzo poważna i bardzo niebezpieczna sytuacja. Przez ciebie te dzieci znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie. Loz jest w niebezpieczeństwie. Musisz się wycofać. Natychmiast.

– Nie. Mylisz się. Zaopiekowałem się jej siostrą, zaopiekuję się i nią...

Z kąta za plecami Marnie coś wyskoczyło i przemknęło obok niej, zanim zdążył to zatrzymać, wyciągnęła dłoń; chciała złapać białą bawełnę i jeszcze bielszą twarz, lecz trafiła na powietrze, coś błysnęło w jego ręku, coś ostrego...

To coś wylądowało na Harmie jak tygrys.

Eric Mackay rzucił mu się do gardła ze stłuczoną żarówką.

– Carter! – Marnie próbowała pchnąć toaletkę, lecz okazała się zbyt ciężka. –
Carter!

Harm zamachnął się na Erica i chłopak uderzył stopami o mebel, coś trzasnęło. Dziki chrzęst i Marnie wciągała razem z powietrzem krew, która rozprysnęła się z twarzy Harma, kiedy rzucił chłopaka o ścianę, jednocześnie nie puszczając swojej szyi.

Marnie pchała toaletkę z całej siły i zaraz zaczęła pomagać jej inna para rąk – Loz – dopóki Rex Carter nie krzyknął do nich zza drzwi, żeby się odsunęły.

Marnie chwyciła dziewczynkę i razem z nią odskoczyła w bok, wpuszczając do środka uzbrojonych funkcjonariuszy, żeby zajęli się krwawym bałaganem: Harmem i Erikiem. Chłopiec przykleił się do ciała mężczyzny, wciąż wbijając zbitą żarówkę w jego gardło.

Marnie odwróciła się, ochraniając Loz przed tym widokiem.

W całym pokoju śmierdziało krwią. Funkcjonariusze próbowali rozdzielić parę walczących.

– Nie patrz. – Przyciskała Loz do siebie. – Nie patrz.

Stopy na podłodze zwolniły. Zatrzymały się.

Ciche stukanie szklanych okruchów uderzających o podłogę.

Marnie nadal kuliła się, otaczając dziewczynkę ramionami, dopóki długiej ciszy nie przerwał płacz Loz.

ŚWIATŁO W POKOJU PRZESŁUCHAŃ uwypuklało wyraziste kości policzkowe i długie czarne rzęsy Erica Mackaya. Jego chude ciało ubrano w papierowy kombinezon, na prawej dłoni, zranionej drutem i stłuczoną żarówką, znajdował się opatrunek. Chłopiec kulił się przed światłem, zamykał oczy w proteście. Zbyt kruchy i ładny, żeby być zabójcą, jednak dokończył to, co zaczął. Calum Marsh zmarł na miejscu z powodu utraty krwi, jego gardło zostało poszatkowane szkłem żarówki.

Opiekunem Erika na czas przesłuchania był mężczyzna z pociągłą twarzą, żółtymi włosami, tanim garniturem i butami o długich noskach. Zapadnięte usta wyglądały, jakby nie zamierzał mówić, o ile to nie będzie absolutnie konieczne.

– Możesz mi powiedzieć, co się tam dzisiaj wydarzyło? – zapytała Marnie chłopca.

– Dostaliśmy to, na co zasługiwaliśmy. – Głos mu się załamał, jakby dawno go nie używał.

– Kto?

– Ja i on. My dwaj. Należało nam się. – Odsunął głowę od światła, lecz spojrzał na Marnie, kiedy się nie odzywała. Miał niezwykle oczy i twarz w kształcie serca. Rozumiała już, skąd się wzięła Aimee. – Jeśli trafię do więzienia, dobrze.

– Dlaczego dobrze?

– Tak samo. Nawet lepiej, bo bez Harma. – Przesunął ręce na metalowym

stole, układając je w plamie światła, jakby bał się, że bez tego Marnie ich nie zobaczy. Miał krew Harma pod paznokciami.

– Powiedz mi dlaczego.

– Zabił May. Zabił nasze dziecko. I Loz też by zabił.

– Wierzyłeś, że jej życie jest zagrożone?

– Nie tylko jej, nas wszystkich. Sama pani widziała. Wszyscy byśmy tam zginęli.

Marnie odczekała chwilę, a potem zapytała:

– A Christie? Co się stało z Christie?

– Ja to zrobiłem. Ona... Zabiłem ją w samoobronie.

– Jak?

– Zamordowałyby nas. Zamordowała Ashleigh, właśnie to mi powiedziała, umierając. Zabiła Ashleigh dla niego. – Eric zamrugał. – Dla niego zabiłaby nas wszystkich.

Kiedy mrugał, Marnie widziała Aimee. Zupełnie jak iluzja optyczna, jeden z tych rysunków przedstawiających jednocześnie staruszkę i młodą dziewczynę. Czy Eric tęsknił za swoim kamuflażem? W więzieniu będzie potrzebował nowego. Ile ich jeszcze miał? Będzie musiał się od nowa nauczyć ukrywać.

Poruszył spierzchniętymi ustami.

– Podobno miał syna, tak pani mówiła.

– Logana, tak.

– Kiedy umarł... to wtedy zabił May?

– Nie jestem pewna, czy to takie proste. Byłeś z nim jakiś czas. Dlaczego twoim zdaniem do tego doszło?

– On był... szalony. – Jego oczy drżały od wstrzymywanych łez. – To moja wina. Nie powinien był jej dotykać. Kazałem jej zachować moją tajemnicę, *naszą* tajemnicę. Okazało się, że to za dużo.

– Była nieszczęśliwa?

– Nie. *Nie*. Była podekscytowana, oboje byliśmy. Chcieliśmy tego dziecka. Pomyślałem nawet, że *on* by tego chciał.

– Pomyślałeś, że Harm mógłby chcieć waszego dziecka?

– Wyraźnie cierpiał, widziałem to. – Eric spuścił wzrok na swoje dłonie. – On nie był tylko psycholem. Współczułem mu, dopóki Loz nie powiedziała mi, co zrobił.

Marnie odczekała chwilę.

– Wspominałeś, że Christie przyznała się do zabicia Ashleigh. Jesteś pewien, że Harm zabił May?

– To był on. – Wzdrygnął się. – Christie była z nami w mieszkaniu, kiedy to się stało. Tamtego wieczora, kiedy May odeszła. Christie została z nami. Nie mogła jej zabić.

– A następnej nocy, kiedy zginęła Ashleigh? Widziałeś to?

Pokręcił głową.

– Leżałem w łóżku.

– Nie widziałeś nic, co mogłoby cię uczynić świadkiem któregoś z morderstw?

– Widziałem jego. Od samego początku wiedziałem, kim jest naprawdę. Tak samo jak May zobaczyła mnie. – Zamrugał, patrząc na swoje dłonie. – Widziała mnie i dlatego ją zabił.

– May znalazła wyjście z tamtego budynku. Podobnie Grace. Nie mogłeś uciec razem z nimi?

– Bałem się. Aimee... bała się.

– Ale ty jesteś Eric.

– Tylko z nią. Tylko... teraz.

Nosił swoje przebranie zbyt długo i zupełnie się w nim zatracił. Kim był naprawdę? Joel mówił o ryzykowaniu, przygodnym seksie. Podobnie Jodie opisała wersję Grace, która nie pasowała już do byłej podopiecznej Harma. Grali dla niego pewne role, a potem one przejęły nad nimi kontrolę. Eric Mackay kiedyś uwielbiał tańczyć na deszczu. Teraz został zabójcą.

– Uczył nas sztuki przetrwania. – W oczach chłopca stanęły łzy. – Tyle że żadna z jego sztuczek na nic się ostatecznie nie zdała. Kiedyś uważałem go za silnego, niepokonanego. Ale zabiłem go zbitą żarówką. Był... niczym. Myślałem, że się boję. Ale byłem przerażony. Życiem. Byciem sobą. – Zacisnął dłonie. – Jego serce tak wyglądało. Jak pięść. Jak kamień. May... – Rozprostował powoli palce i rozłożył je na stole, w płamie światła. – Jej serce było takie, a ja się bałem, że przez to będzie słaba. Ostrzegałem ją, że powinna go nienawidzić. Wszystkich nienawidzić i bać się wszystkiego. Ale ona nie potrafiła. Była odważniejsza niż każde z nas. Tak jak Loz, jej siostra. Powstrzymała mnie przez zrobieniem czegoś gorszego. To znaczy, zanim się pani pojawiła. – Podniósł wzrok na Marnie. – Właśnie dzięki temu przetrwaliśmy. Powinna jej to pani powiedzieć. Że to ona tak naprawdę nas uratowała. Że jest odważna. Jak siostra.

– I jak poszło? – zapytał Noah.

– Jest gotowy iść do więzienia za zabicie Caluma i Christie. Twierdzi, że bał się o życie swoje i Loz.

– Loz mówi to samo. Nie zadawałem jej żadnych pytań, bo wiem, że musimy z tym poczekać, ale upierała się. Christie zamierzała ich zabić, dziewczynka była tego pewna. Wini samą siebie, ponieważ to ona powiedziała Calumowi, że Aimee to tak naprawdę Eric. – Noah zamilkł na moment. – Jest teraz z rodzicami.

– Świetnie, muszę z nimi porozmawiać. – Marnie odwróciła głowę, słysząc swoje imię.

Joe Eaton stał w szpitalnym korytarzu.

– Ruth przyjechała na badania kontrolne. Słyszałem, że znaleźliście dziewczynę z wypadku. Ma na imię Grace, prawda?

– Tak. – Marnie podeszła do niego. – Właściwie jest tutaj.

– W szpitalu? Mogę się z nią zobaczyć?

– Czy może pan...? – Pytanie ją zdziwiło. – Nie jestem pewna. Musi pan zapytać.

– Chciałbym ją zobaczyć, jeśli to możliwe. Wszystko z nią w porządku, prawda?

– Tak.

– Ciągle mam ją przed oczami. Pomyślałem, że jeśli zobaczę ją w rzeczywistości... Ale tylko jeśli nic jej nie jest.

– Jest w dobrych rękach.

– Świetnie. – Pokiwał głową. – Cieszę się.

Wycofał się w głąb korytarza, a Noah patrzył, jak odchodzi.

– Kto pomaga Grace?

– Opieka społeczna, jak mniemam.

Noah kiwnął głową; wydawał się przy tym niemożliwie smutny.

– A Ericowi?

– Pracownicy poprawczaka. Jak mu się poszczęści, dostanie porządnego adwokata. – Ujęła go za łokieć. – Doskonale sobie poradziłeś, łącząc Logana z Paradise House. Bez tego być może ciągle byśmy ich szukali. Gratuluję.

– I tak zadzwonił do nas Ledger – przypomniał jej Noah.

– Ledger nie potrafił mi nic powiedzieć na temat tego, co się działo w głowie Caluma. – Wciąż trzymała jego rękę, dopóki się nie uśmiechnął, przyjmując jej pochwałę. – Tego dowiedzieliśmy się dzięki temu, że dobrze połączyłeś kropki.

– A zrobiłem to dzięki Loz – powiedział Noah. – Ja tylko przejrzałem historię jej przeglądarki.

– Zaraz jej to przekażę.

LOZ LEŻAŁA W JEDNOOSOBOWEJ sali, towarzyszyli jej rodzice. Sean i Katrina siedzieli blisko, trzymając córkę za ręce, a na ich twarzy malowały się ulga i miłość.

– Czekamy na lekarza – powiedział Sean Marnie.

– Ma na myśli psychiatrę. – Loz przerzuciła nogi przez krawędź szpitalnego łóżka. – Nic mi nie jest, przynajmniej fizycznie, ale możliwe, że mam PTSD albo inne gówno. – Sean ścisnął jej dłoń, siląc się na uśmiech. Wolną ręką otoczył Katrinę, która przysunęła się bliżej, odwzajemniając uśmiech. Wyglądali, jakby zaraz mieli paść na twarz, ale byli szczęśliwi.

Loz wydawała się rozbudzona, właśnie rozglądała się po sali. Doskonale radziła sobie z ukrywaniem swojego niepokoju, jednak Marnie nie dała się oszukać. Nie minęły nawet dwie godziny, odkąd trzymała dziewczynkę w ramionach i słuchała jej płaczu oraz walącego jak młot serca.

– Miałam nadzieję zamienić kilka słów z Loz, zanim pojawi się psychiatra.

– Ma pani na myśli zeznania? – Katrina podniosła wzrok. – Chcemy przy tym być.

– Oczywiście, ale teraz chodzi mi o nieoficjalną rozmowę. Chciałabym jej podziękować za odwagę.

Loz zarumieniła się.

– Dzięki – powiedziała na głos, ale jej ton mówił „zamknij się”.

– Mogłybyśmy porozmawiać kilka minut? Nie dłużej, obiecuję.

– Loz? – Sean pogłaskał ją po głowie. – Nie masz nic przeciwko?

– Jasne, że nie. – Zamachała nogami i kiwnęła głową.

Marnie poczekała, aż Sean i Katrina wyjdą, a potem usiadła obok posłania.

– Uprzedzam pani pytanie. Oni mnie nie molestują.

– Dlaczego miałabym o to pytać?

– Przez te rysunki. Bo zastanowiły panią, bo nigdy nie dowiedzieliście się, dlaczego May uciekła z domu, bo my się nie przytulamy. – Loz spuściła wzrok na podłogę. – Nie jesteśmy uczuciowi.

– Mnóstwo rodzin nie jest uczuciowych.

– No dobra. Czyli jesteśmy normalni, a May nie miała powodu, żeby uciekać. Ani ja. – Wierzgała mocno nogami. – Mnóstwo ludzi ma gorzej niż my. Ciągle nam to powtarzają w szkole.

Marnie siedziała bez ruchu, czekając, aż Loz zauważy zmianę rytmu w pokoju i zwolni.

– Czyli nie było molestowania. Ani dziwnych zasad. Czasami są surowi, ale dzięki temu wszystko jakoś się kręci. May to rozumiała. Ona nie uciekła od nas. Pobiegnęła do niego, do Erica. Bo się *zakochała*. – Jej ton sugerował, że molestowanie wydawało jej się sensowniejszym powodem. – To była historia o miłości. – Jej wzrok wylądował na Marnie. – Innymi słowy, nic mi nie będzie. Jestem bezpieczna w domu. I poza domem. Nie jestem jak May.

– Eric jest innego zdania. Twierdzi, że jesteście najbardziej odważnymi osobami, jakie poznał.

– Super. – Wyraz jej twarzy się nie zmienił. – Podwójny morderca myśli, że jestem fajna. Co jeszcze chciała mi pani powiedzieć?

– Pytałaś, czy mu wybaczyłam. Stephenowi. Nie dałam ci wtedy odpowiedzi.

Loz zamrugnęła zaskoczona. Spodziewała się pochlebstwa, jakiejś wariacji na temat tego, czego spodziewała się usłyszeć od psychiatry. PTSD. Albo *innego główna*.

– Nie przebaczyłam – odparła Marnie. – I nie przebaczę. – Dobierała słowa ostrożnie, ponieważ chciała, by Loz jej wysłuchała. – Ciągle o tym myślę. O tym, co chciałabym, żeby się z nim stało. O tym, jak chciałabym, żeby zapłacił za swoją zbrodnię. Wydawało mi się, że nikt tego nie rozumie. Wydawało mi się, że nie mogę mówić o tym na głos, bo inaczej ludzie uznają mnie za groźną albo szaloną, albo ogarniętą obsesją. Ale bardzo dużo osób rozumie. Na przykład ty. Twój rodzice.

– Oni nie rozumieją – zaprotestowała Loz. – Kochali ją, oczywiście, ale to wszystko pogarsza. Zostałam im tylko ja. I ja nie wystarczam, nigdy nie wystarczałam. – W jej oczach stanęły łzy. – Jestem głupia. Co ja narobiłam, idąc tam. Ile przeze mnie wycierpieli. Jestem *głupia*.

– Jesteś wyjątkowa. Pomogłaś nas uratować. Tak powiedział Eric. Że to dzięki tobie.

– Proszę im tego nie mówić. – Zaróżowiły jej się policzki. – Proszę.

Marnie to rozumiała. Loz zbyt długo grała twardzielkę. Teraz powinna znowu zostać zwykłym dzieckiem i przestać udawać, że ją nic nie obchodzi i nic jej nie rani, podczas gdy raniło wszystko.

– Nie powiem, ale musisz zrobić dla mnie jeszcze jedną odważną rzecz. Powiedz im, jak się czujesz. Powiedz, jak bardzo jesteś rozżalona, jak bardzo cierpisz, jak wiele potrzebujesz uwagi. – Wciągnęła powietrze i uśmiechnęła się do dziewczynki. – Daj im jeszcze jedną szansę. Niech wynagrodzą ci wszystko, co robili źle, ponieważ każdy z nas się myli. Oni też cierpią. I jest im przykro. Nie odpychaj ich.

– Pani tak zrobiła? – zapytała Loz, a potem sama odpowiedziała, z mądrością, która czyniła ją tak niezwykłą: – Pani żałuje, że tego nie zrobiła, kiedy miała pani jeszcze szansę.

– Tak, zgadza się. Ty wciąż masz tę szansę i niezbędną odwagę. Zrób to, czego ja się bałam. Powiedz im, jak bardzo cierpisz. Poproś ich o pomoc.

– Nie wiem, czy potrafię. – Pokręciła głową. – Ja jestem ta dziwna, nie pamięta pani? Ja nie proszę o pomoc.

– Spróbuj. – Marnie chwyciła rękę dziewczynki. – Proszę.

– Dobrze. – Loz przestała machać nogami i wreszcie znieruchomiała, nie zabierając dłoni. – Spróbuję, ale – zmarszczyła nos – to pani wina, jeśli się przestraszą.

– Jakoś to przeżyję.

Uśmiechnęły się do siebie, a potem Loz uwolniła rękę, żeby podrapać się po policzku.

– Jednej rzeczy nie rozumiem. On miał siostrę. Tak pani powiedziała, kiedy byliśmy w tamtym mieszkaniu. Że miał siostrę, która zaginęła.

– Zgadza się.

– Co się z nią stało?

– Wiemy tylko tyle, że zaginęła, kiedy miała piętnaście lat.

– Nigdy jej nie odnaleziono? – Loz patrzyła na Marnie swoimi wielkimi oczami. – Przez cały ten czas... Nigdy nie dowiedział się, co się z nią stało?

– Nikt nie wiedział.

– To okropne. My przynajmniej wiemy. – Pokręciła głową, mądrzejsza, niż sugerował jej wiek. – Przynajmniej tyle.

KOBIERZEC MARTWYCH RÓŻ, czarnych z kolcami, zniechęcał do wejścia na posesję w Chiswick. Pod niskim murkiem oddzielającym ulicę od ogrodu rzucono śmieci, puste butelki i puszki po piwie, styropianowe pojemniki, zamoknięty różowy kocyk z dziecięcego łóżeczka. Nikt tutaj nie mieszkał, żeby zaprotestować przeciwko śmieceniu, tylko duch niegdyś ładnego ogrodu. Nad drzwiami frontowymi na zardzewiałym gwoździu wisiał łańcuch od doniczki, lecz ta gdzieś przepadła.

– Nie ma to jak w domu. – Tim Welland stał z tyłu z ekipą techników. – No, przynajmniej załatwimy rosnące ceny. Może nawet będzie mnie stać na kawalerkę tutaj.

– Za dużo wścibskich sąsiadów. – Noah pokazał na drugą stronę ulicy. – Nie spodobałoby ci się. – Podał jedną ze świeżo zakupionych kaw Wellandowi, a drugą Marnie.

– Czego właściwie tutaj szukamy? – Welland zaczął saczyć gorący napój, posyłając grupie gapiów groźne spojrzenie. – Pomijając fakt, że właśnie stajemy się gwiazdami You Tube’a.

– To tutaj na początku trzymał dziewczyny – odparła Marnie. – W tym domu się wychowywał. I z niego uciekła jego siostra, gdy miał piętnaście lat.

– Eric Mackay sprawił, że prokurator nie ma nic do roboty, przynajmniej w kwestii Caluma Marsha. Potrzebujemy jeszcze jakichś dowodów poza krwią i ciałami z Brigantia Gardens?

Mimo tych słów Welland wszedł za Marnie do budynku.

W środku było zimno i pachniało woskiem, jak w świątyni. Technicy zakryli okna folią, przez którą wpadało przytłumione światło. Wszędzie stały pudła, porzucone w połowie opróżniania domu. Na ścianach widać było jaśniejsze prostokąty, pozostałe po zdjętych ramkach z fotografiami. Dywany leżały zwinięte w kątach, by zrobić miejsce na śpiwory. W kuchni uparcie tykał zegarek, wiszący nad pokrytym osadem kranem i stalowym zlewem. Lokatorzy wyprowadzili się niecałe pół roku wcześniej, a mimo to już wszędzie panował zatechły chłód opuszczonego budynku.

Mieszkały tu, między pudłami i pamiątkami po pólzyciu Marshów, bezdomne dziewczyny przyprowadzone dla Caluma przez Christie. Nie wszystkie zdjęcia zabrano. Niektóre pokazywały chłopca i jego ciemnowłosą siostrę z twarzą pozbawioną uśmiechu. Calum i Neve, trzymający się za ręce. Do jednej ze ścian przypięte były notatki. Plany Harma, plany przeprowadzki do wieżowca, których papierowe krawędzie odstawały jak łuski albo pióra.

Welland przeczytał kilka z nich.

– Na pewno nie planował ich zabijać, inaczej nie zostawiłby dla nas tych pięknych dowodów.

Na górze jeden pokój różnił się od pozostałych. Znajdował się na tyłach domu i miał widok na ogród. Umeblowany jak pokój gościnny, lecz jakby żaden gość nigdy z niego nie korzystał. Łóżko zostało pościelone, narzuta w bladioróżowe kwiaty równo naciągnięta.

Znowu ten woskowy zapach. Dywan wytarty od strony łóżka.

Noah poczuł, jak cierpnie mu skóra na głowie.

To był pokój Neve.

Na poduszkach leżała szmaciana lalka, pilnująca swojego terytorium.

Noah podszedł do okna i spojrział w dół, gdzie znajdowała się na wpół wykopana grządka z chwastami i śmieciami rzuconymi z ulicy. Na szybie obłok mokrej pleśni. Zniszczona rama pochylała się w lewo. Gdyby Noah położył szklaną kulkę na podłodze, przetoczyłaby się z jednej strony pokoju na drugą.

Cały dom przekrzywił się pod ciężarem ich tragedii...

Tyle lat szukania, opłakiwania. Calum, piętnastoletni chłopak, uwięziony z lękami i nadziejami rodziców, których nieposkromiona wyobraźnia podsuwała coraz to nowe historie, aż w końcu przesiąknięty nimi Calum jako dorosły widział przebłyki siostry w twarzach bezdomnych dzieciaków.

Całe lata szukania, nadziei i strachu.

Gdzieś niżej zaszczekał pies.

– Noah? – Marnie schodziła po schodach.

Ruszył jej śladem przez kuchnię i dalej, do ogrodu.

Pies szukający zwłok, golden retriever, stał przy na wpół wykopanej grządce,

prosty jak strzała, pokazując całym swoim ciałem.

– Kolejna nastolatka? – Noah zmierzył ziemię wzrokiem. – Mamy tutaj miejsce na co najmniej dziesięć.

– Jest tylko jedna – odparła Marnie. – Tak mi się wydaje. Ktoś pochował tutaj tylko jedną dziewczynę.

Popatrzył na nią i zobaczył, że się trzęsie.

– Kogo?

Odwróciła się w stronę sypialni, w której przed chwilą stał Noah.

– Neve.

Kruk z krzykiem zerwał się z dachu.

Pies się nie ruszył, cały zjeżony.

Wzruszona ziemia znajdowała się niecałe trzy metry od domu.

– Tutaj? – zapytał Noah. – Przez cały ten czas leżała tutaj? Te napady wściekłości, PTSD. Myślisz, że to jej ojciec...?

– Calum. – Marnie popatrzyła w stronę Wellanda po drugiej stronie ugoru. – Myślę, że to był Calum.

Pies znowu zaszczekał i znieruchomiał.

Marnie i Noah wycofali się, przepuszczając techników.

– May chciała założyć ogród – przypomniał sobie Noah. – Kopała tutaj grządkę. Znalazła coś.

– Albo coś podejrzewała, kiedy kazał jej przestać. Gdy ją znaleźliśmy, powiedziałaś, że wyglądało to jak wyznanie zabójcy.

May ułożona jak dziecko.

Wyznanie winy Caluma Marsha.

Przyznanie się do więcej niż jednego morderstwa?

– Neve zaginęła, kiedy miał piętnaście lat. – Noah czuł smak rozkopanej ziemi, zjełczały smród śmieci. – Zabił siostrę, gdy miał piętnaście lat? Dlaczego?

– Powodów mogło być wiele. Bo jej nienawidził. Bo chciała go zostawić samego z ojcem cierpiącym na napady agresji. – Mówiła przez ściśnięte gardło. – Bo ją kochał.

Technicy okrążyli czarną plamę ziemi, wznosząc namiot. Jeden z nich pogłaskał psa.

– Dobra dziewczynka. Dobra Missy.

– Mądra, niezależna, ambitna. – Marnie wycofywała się, naciągając mocniej płaszcz. – Tak Calum opisał swoją siostrę Ginie. Wszystkich tych cech nie cierpiał u swoich podopiecznych. To cechy dorosłej... Neve przez lata chciała odejść z domu. Odwiódł ją od tego więcej niż raz. Co jeśli ich ostatnia rozmowa na ten temat źle się skończyła? Co jeśli to – pokazała na dół – było owocem ich ostatniej rozmowy?

– Przyszedł na komisariat, kiedy badaliśmy sprawę śmierci May. – Marsh

siedział wówczas pogiębiony pod wiszącymi na ścianie plakatami. – Czy on *chciał* zostać złapany?

– Żył z tajemnicą śmierci Neve od wielu lat. Tego rodzaj sekret trzeba pogrzebać bardzo głęboko. Może nawet w pewnym sensie zapomniał, że jest zabójcą. Jeśli w dalszym ciągu szukał Neve... Chyba że to było tylko kłamstwo, którym karmił podopieczne. Wiemy, że całkiem nieźle ułożył sobie życie z Giną i Loganem. Był dobrym ojcem, a przynajmniej na tyle, na ile potrafił. Potem zmarli jego rodzice...

Marnie podniosła wzrok na dom.

– Musiał tu wrócić. Do zdjęć, wspomnień, jej nietkniętego pokoju. Wypełnił ten dom dziewczynami, które udało mu się znaleźć. Nie robił im krzywdy, przynajmniej na początku. Grace tak powiedziała, a Eric potwierdził. Chciał, żebyśmy zobaczyli napisy na skórze May i zrozumieli jej ból. Zostawił ją w miejscu, które kochała. On sam też cierpiał. Tak widział to Eric. A chłopak rozumiał tajemnice lepiej niż ktokolwiek inny w tamtym mieszkaniu. – Zamilkła, kręcąc głową. – Może. A może się mylę.

Missy zastrzygła uszami, znowu pokazując na czarną ziemię. W tym miejscu May zaczęła kopać, ale Calum ją powstrzymał. Namiot rzucał na nie cień.

– Może znajdziemy więcej ciał – powiedziała Marnie. – Więcej zagubionych dziewcząt.

Mogą minąć dni albo tygodnie, zanim ta posesja odda swoje sekrety.

Lata, zanim poznają wszystkie odpowiedzi.

A może i nigdy ich nie poznają.

Noah stał u jej boku, trzęsąc się, a technicy zaczęli kopać.

Nota od autorki

NINIEJSZA KSIĄŻKA JEST fikcją literacką, jednak poniższe pozycje okazały się szczególnie pomocne w trakcie jej tworzenia:

Nick Davies, *Dark Heart: The Shocking Truth About Hidden Britain*, Vintage, 1998.

Daniel Freeman i Jason Freeman, *Paranoia: The 21st Century Fear*, Oxford University Press, 2008.

Stacy Pershall, *Loud in the House of Myself*, W. W. Norton, 2011.

Bradley L. Garrett, *Explore Everything*, Verso Books, 2013.

Jonathan Asser, „*If I move, he'll attack*”: *Mastering Rage in Prisoners*, „The Observer”, 9 marca 2014.

Spencer Ackerman, „*A Victim's Tale*”, „The Observer”, 17 grudnia 2014.

Podziękowania

NAPISAŁAM TO DLA odważnych, zwłaszcza dziewczyn. Dla Deb, mojej koleżanki z lat nastoletnich (gdzie się podziały wszystkie punkowy?), oraz dla Jude. Dla wszystkich, którzy kiedykolwiek czuli się nie w swojej skórze, nie w swoim czasie. Którzy nie chcieli się dopasowywać albo stawali przeciwko tyranii i jednakowości – którzy wyróżniali się i zapłacili za to wysoką cenę, ale się nie poddawali. To dla was.

Dziękuję, oczywiście, Vicki, Elizabeth i Jo z Headline.

A także Jane, Stephanie, Claire, Mary i wszystkim z Gregory & Co.

Blogerom, recenzentom, a przede wszystkim czytelnikom – dzięki.

Również Terence'owi Waywellowi, który wygrał aukcję „Zostań postacią książki” w ramach akcji charytatywnej CLIC Sargent dla dzieci chorych na raka. Mam nadzieję, że spodoba Ci się rola w tej historii.

